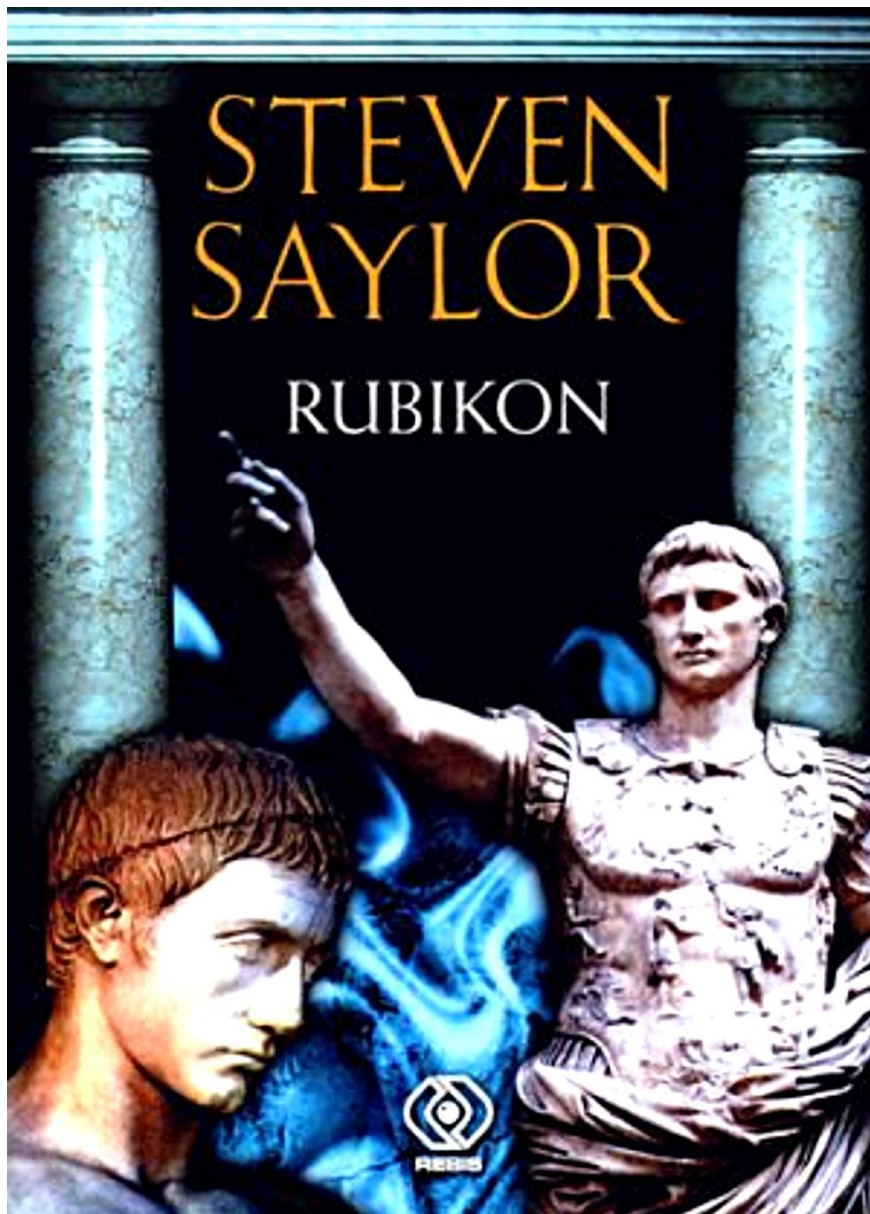




# Cykl ROMA SUB ROSA



tom 8 - Rubikon



Księgozbiór DiGG



2008



## CZEŚĆ PIERWSZA

# MINERWA



## ROZDZIAŁ 1

- Pompejusz będzie nieźle wkurzony - powiedział Dawus.

- Zięciu, masz wyraźną skłonność do wygłaszania oczywistych stwierdzeń. - Westchnąłem.

Zacisnąłem zęby i uklęknąłem, aby przyjrzeć się z bliska. Martwe ciało leżało twarzą w dół na samym środku mojego ogrodu, u stóp brązowego posągu Minerwy, niczym pogrążony w modłach czciciel bogini. Dawus krążył wokół mnie i osłaniając oczy przed jaskrawym światłem słonecznym, podejrzliwie spoglądał ku czterem rogom otaczającego perystyl dachu.

- Nie rozumiem, jak zabójca mógł tu wejść i wyjść nie zauważony przez nikogo z domowników - mruknął, marszcząc czoło, co nadało mu wygląd przerośniętego chłopca.

Zbudowany jak grecki posąg i równie inteligentny, mawiała o nim w żartach Bethesda. Mojej żonie nie podobało się małżeństwo naszej jedynej córki z niewolnikiem, zwłaszcza zaś z takim, który okazał się na tyle bezczelny (albo głupi), aby zafundować jej ciążę. Ale cóż... cokolwiek byśmy o nim myśleli, Diana była w nim zakochana. No i trudno zaprzeczyć, że owocem ich wzajemnej skłonności jest piękny syn, którego wrzask w tej chwili słyszałem; domagał się od mamy i babci, aby wypuściły go do ogrodu, i darł się tak, jak tylko dwulatek potrafi. Jednak w ten słoneczny styczniowy ranek nie można było pozwolić Aulusowi na zabawę na świeżym powietrzu, ponieważ w ogrodzie leżały zwłoki.

Chodziło przy tym o nie byle kogo: Numeriusz Pompejusz był krewnym Pompejusza Wielkiego, którymś z jego kuzynów, choć o dwa pokolenia młodszym. Przybył do mojego domu sam, przed niespełną półgodziną, a teraz leżał martwy u mych stóp.

- Nie mogę tego pojąć. - Dawus podrapał się w brodę. - Zanim wpuściłem Numeriusza, dobrze się rozejrzałem po ulicy, jak to zawsze robię. Nie zauważyłem, aby ktokolwiek go śledził.

Kiedy Dawus był niewolnikiem, służył Pompejuszowi\* jako ochroniarz; przy jego masywnej budowie taka funkcja sama się narzucała. Został wyszkolony nie tylko do walki, ale i do wykrywania niebezpieczeństwa.

---

\* Uważny czytelnik poprzedniej części cyklu *Morderstwa na Via Appia*, wybaczy zapewne autorowi tę drobną zmianę w życiorysie Dawusa (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza)

Jako mój zięć przejął na siebie obowiązek strzeżenia domu i w tych niespokojnych czasach do niego należało otwieranie gościom drzwi. Kiedy niejako tuż pod jego nosem zdarzyło się morderstwo, przyjął to jak osobistą porażkę. W służbie u Pompejusza za taki błąd czekałoby go co najmniej ostre przesłuchanie. Ponieważ milczałem, Dawus zaczął przesłuchiwać sam siebie. Kroczył po ogrodzie tam i z powrotem, na palcach odliczając kolejne pytania.

- Dlaczego go wpuściłem? No, znałem go z widzenia, nie był zupełnie obcy. Wiedziałem, że to Numeriusz, młodszy kuzyn i ulubieniec Pompejusza, a przy tym dobry i uprzejmy człowiek. Przyszedł sam, nie miał z sobą nawet niewolnika do ochrony, nie widziałem więc potrzeby, by kazać mu czekać na ulicy. Wpuściłem go do westybulu. Czy zapytałem go o posiadaną broń? Prawo oczywiście zabrania noszenia broni w obrębie murów miasta, ale nikt dzisiaj tego nie przestrzega, więc owszem, zapytałem. On zaś wcale nie protestował, tylko od razu oddał mi swój sztylet. Czy go dodatkowo zrewidowałem, zgodnie z twoim zaleceniem nawet wobec obywateli? Tak, a on mi na to bez szemrania pozwolił. Czy zostawiłem go choćby na chwilę samego? Nie. Zostałem z nim w westybulu, do ciebie zaś posłałem małego Mopsusa, by oznajmił przybycie gościa, i czekałem na twoje polecenie, aby go wprowadzić. Otrzymałszy je, przyprowadziłem go tutaj, do ogrodu. Bawiliście się w słońcu z Dianą i Aulusem, niemal dokładnie tam, gdzie teraz leży trup. Odesłałeś oboje do domu. Czy zostałem z tobą? Nie, bo mnie też kazałeś odejść. Ale ja coś przeczuwałem! Powinienem był tu zostać.

- Numeriusz powiedział, że ma wiadomość przeznaczoną tylko dla mnie - odparłem. - Jeśli już nawet we własnym domu człowiek nie może spokojnie rozmawiać... - Rozejrzałem się dookoła, patrząc na starannie przycięte krzewy i jaskrawo pomalowane kolumny otaczającego ogród portyku. Zerknąłem do góry, na posąg Minerwy; mimo upływu lat jej twarz pod wielkim hełmem wciąż była dla mnie nieprzenikniona. Ogród znajdował się w centralnej części, w sercu domu... w sercu mojego świata... i jeżeli tutaj nie jestem bezpieczny, to znaczy, że już nigdzie nie ma dla mnie spokojnej przystani. - Nie dręcz się tak, Dawusie. Dobrze wykonałeś swoje zadanie. Wiedziałeś, że Numeriusz jest tym, za kogo się podaje, i wzięłeś jego broń na przechowanie.

- Ale taki Pompejusz ani na chwilę nie pozostaje bez ochrony, a ja...

- Czyżbyśmy dożyli takich czasów, że zwykły obywatel musi naśladować Pompejusza bądź Cezara i ochrona musi stać nad nim przez okrągłą dobę, nawet kiedy sobie wyciera tyłek?

Dawus zmarszczył czoło. Wiedziałem, co myśli: że takie wyrażenia do mnie nie pasują, że muszę być porządnie wstrząśnięty i usiłuję nie dać tego po sobie poznać, że jego teść jest już za stary, by poradzić sobie z szokiem w rodzaju odkrycia zwłok w ogrodzie jeszcze przed południowym posiłkiem. Spojrzał znów na dach i rzekł:

- Ale przecież to nie Numeriusz stanowił zagrożenie. To ten człowiek, który tu za nim przyszedł. Facet musi być jak jaszczurka, żeby tak błyskawicznie i bezszelestnie wspinać się po murach. Nic nie słyszałeś, ojczec?

- Mówiłem ci, że rozmawiałem przez chwilę z Numeriuszem, potem zostawiłem go samego i poszedłem do gabinetu.

- Ale to tylko parę metrów stąd. Co prawda Minerwa mogła ci przesłonić widok, a twój słuch...

- Mój słuch jest tak samo dobry jak u każdego innego sześćdziesięciolatka! - przerwałem mu.

Dawus skinął głową z szacunkiem.

- W każdym razie dobrze, że cię tu nie było, kiedy zjawił się zabójca, bo inaczej...

- Bo inaczej i mnie mógłby udusić?

Dotknąłem sznura, który wciąż był okręcony wokół szyi Numeriusza tak mocno, że aż wrzynał się w skórę. Narzędziem zbrodni była prosta garota: krótka linka zamocowana do dwóch końców grubego kijka służącego do jej zaciskania. Dawus przyklęknął obok mnie i rzekł:

- Morderca musiał zająć go od tyłu, zarzucił mu garotę na szyję i skręcił kijem. Paskudna śmierć.

Odwróciłem się, czując nagłą słabość, Dawus zaś ciągnął:

- Ale za to cicha. Numeriusz nie mógł nawet krzyknąć. Może na początku wydał jakiś jęk czy charkot, ale potem sznur odciął mu dopływ powietrza. Widzisz, teściu, jak Numeriusz zarył tu piętami w żwir? No, w ten sposób hałasu by nie narobił. Gdyby choć mógł rąbnąć pięścią w Minerwę... Ale obie ręce miał zajęte: instynktownie próbował chwycić za sznur, by uwolnić gardło. Zastanawiam się... - Dawus znów spojrzał na dach. - Zabójca nie musiał być duży. Przy garocie nie trzeba wielkiej siły nawet wtedy, gdy ofiara jest dobrze zbudowana, pod warunkiem że zostanie zaskoczona.

- Mówisz z własnego doświadczenia, mój zięciu?

- Och, u Pompejusza nauczono mnie wielu podobnych rzeczy... - Dawus rzucił mi zawadiacki uśmiech, który jednak szybko zniknął z jego twarzy, kiedy zobaczył moją minę. - Nie sądzisz chyba, że ja...

- Oczywiście, że nie - zapewniłem go. - Ale kto wie, czy taka myśl nie zaświta Pompejuszowi? Powiedz mi, czy jest coś, za co mógłbyś chować do niego urazę? Coś, o czym nie wiem? Czy zdarzało się, że byłeś w jego służbie źle traktowany?

- Nie. Czy kiedykolwiek na niego narzekałem? Pompejusz był dobrym panem. - Dawus znów się uśmiechnął. - Poza tym to właśnie on wypożyczył mnie tobie do strzeżenia domu podczas zamieszek po śmierci Klodiusza, dzięki czemu poznałem Dianę i... - Zarumienił się.

I zostałeś jej potajemnym kochankiem, pomyślałem. Spłodziliście dziecko, po czym miałem dwa wyjścia: albo pozwać Pompejusza do sądu i przyglądać się, jak zostajesz zaćwiczony na śmierć, albo kupić cię od niego, wyzwolić i uczynić zięciem. Jeśli ktoś mógłby chować urazę do twego pana, to właśnie ja. Nie powiedziałem jednak tego głośno.

- Chciałem... - Dawus się zająknął. - Chciałem tylko powiedzieć, że dobrze wspominam mego dawnego pana, a on musi o tym wiedzieć, jeśli w ogóle poświęciłby mi choć jedną myśl.

- A Numeriusz? Mówisz, że był ulubieńcem Pompejusza. Czy nie pozwalał sobie na jakieś szykany wobec służby, kiedy przebywał w jego domu? Może wyrządził ci jakąś krzywdę, zakpił z ciebie albo w jakikolwiek

sposób uraził? - spytałem, dobrze wiedząc, że niektórzy z ochotą wykorzystaliby niewolnika o budowie i inteligencji greckiego posagu.

- Nigdy! Powiedziałem już, że Numeriusz dla każdego umiał znaleźć dobre słowo. Lubiłem go.

- A zatem nie ma najmniejszego powodu, aby Pompejusz mógł cię podejrzewać, kiedy się dowie o jego zamordowaniu?

- Nie ma!

- Pytam o to, mój zięciu, ponieważ gdyby było inaczej, mógłbym ulec pokusie wywleczenia trupa na ulicę i udawania, że nigdy nie dotarł do mego domu. W dzisiejszych czasach opłaca się uczynić wszystko, by uniknąć kłopotów, zwłaszcza ze strony Pompejusza Wielkiego. - Obserwowałem przez chwilę twarz Dawusa i doszedłem do wniosku, że nie potrafiłby mnie oszukać. - No, dobrze. Trzeba więc mu o wszystkim powiedzieć. Chyba muszę to zrobić osobiście, to znaczy wybrać się do jego willi za miastem, odczekać, aż mnie przyjmie, przekazać złe wieści i niech sobie z nimi radzi po swojemu. Pomóż mi odwrócić go na wznak - powiedziałem, wskazując na nieboszczyka.

Z głębi domu dobiegł mnie płacz wnuka, znów wojującego z matką i babcią o zabawę w ogrodzie. Obejrzałem się przez ramię. Bethesda i Diana z niepokojem wyglądały przez drzwi; mogłem uważać za cud to, że do tej pory słuchały mnie i nie wychyliły nosa z domu. Bethesda zaczęła coś mówić, ale powstrzymałem ją uniesieniem dłoni i przeczącym kręceniem głową. O dziwo, i tym razem bez słowa cofnęła się do wnętrza, pociągając za sobą Dianę.

Zmusiłem się, by spojrzeć na zsiniałe oblicze Numeriusza. Jego widok mógł przyprawić o nocne koszmary. Miał dwadzieścia kilka lat, pewnie był ciut starszy od Dawusa. Jego szeroka, urodziwa twarz wykrzywiona była w śmiertelnym skurczu nie do poznania. Przełknąłem ślinę i wyciągnąłem dłoń, by zamknąć mu powieki. Ujrzałem przy tym swoje odbicie w jego czarnych, martwych oczach. Nic dziwnego, że moja żona i córka posłuchały mnie bez szemrania; wyraz mej twarzy zaniepokoił mnie samego.

Wstałem powoli, a moje kolana skrzyknęły równie głośno jak żwir pod stopami. Dawus zerwał się błyskawicznie, pomimo swej masy zwinny jak kocur.

- Pompejusz będzie porządnie wkurzony - mruknąłem ponuro.

- Już to mówiłem!

- Ano, mówiłeś, Dawusie. Złe wieści jednak nie ulatują szybko, jak napisał poeta. Dzień jest młody, nie muszę więc natychmiast gnać z nimi przez pół miasta do Pompejusza. Najpierw lepiej się przyjrzyjmy Numeriuszowi, co? Warto wiedzieć, co miał przy sobie.

- Przecież mówiłem już, że go zrewidowałem, odbierając od niego broń. Miał u pasa tylko małą sakiewkę i pochwę na sztylet, a poza tym nic.

- Nie byłbym taki pewny. Pomóż mi go rozebrać. Ostrożnie! Musimy go ubrać dokładnie tak jak przedtem, zanim ludzie Pompejusza przyjdą po zwłoki.

Pod dobrego kroju tuniką Numeriusz nosił płócienną przepaskę biodrową. Teraz była mokra od moczu, ale nie zabrudzona. Poza pierścieniem, symbolem obywatela, nie miał żadnych ozdób. Zdjąłem mu pierścień z palca

i obejrzałem; sprawiał wrażenie wykonanego z litego żelaza, bez ukrytych miniaturowych schowków czy mechanizmów. W sakiewce znalazłem zaledwie parę monet. Przy panującym w Rzymie chaosie człowiek bez ochrony byłby nierozsądny, nosząc przy sobie więcej pieniędzy. Wywróciłem ją na lewą stronę; sakiewka również nie miała żadnych dodatkowych kieszonek.

- Może masz rację, Dawusie - powiedziałem. - Możliwe, że nie miał przy sobie nic innego. Chyba że... Zdejmij mu buty, dobrze? Plecy mnie już bołą od tego schylania.

Buty Numeriusza uszyte były z dobrze wyprawionej czarnej skóry, ozdobionej misternie wytłoczonym deseniem w przeplatające się trójkąty, sznurowane długimi rzemieniami do owijania wokół kostki i łydki. Podeszwy były grube, wykonane z kilku warstw sztywnej skóry i połączone z cholewkami za pomocą ćwieków. Niczego w nich nie było. Wnętrze było jeszcze ciepłe i przesiąknięte zapachem stóp zmarłego. Naszła mnie myśl, że ich dotykanie jest czynnością bardziej intymną niż w wypadku ubrania i sygnetu. Już miałem oddać buty Dawusowi, kiedy zauważyłem na obu podeszwach coś nietypowego. W środkowej warstwie skóry znajdowały się dwie szczeliny odległe od siebie na szerokość kciuka, a przy jednej z nich mały otworek.

- Masz przy sobie jego sztylet? - spytałem.

Dawus zmarszczył czoło.

- Sztylet? Ach, rozumiem! Ale jeśli chcesz rozcinać te buty, przyniosę z kuchni lepszy nóż.

- Nie, daj mi ten Numeriusza.

Podąłem mu buty, biorąc w zamian pochwę ze sztyletem, którą wyciągnął spod tuniki. Przyjrzałem się jej i kiwnąłem z satysfakcją głową.

- Rzuciło ci się coś w oczy w tej pochwie? - spytałem.

Znów się zmarszczył, wyczuwając, że poddaję go próbie.

- No, zrobiona jest ze skóry...

- Tak, ale jakiej?

- Czarnej. - Spostrzegłem, że ta odpowiedź mnie nie zadowoliła, i spróbowałem znowu: - I ozdobionej.

- W jaki sposób?

- Ma wytłoczenia... Taki sam wzór jest na rękojeści.

- Właśnie. Przeplecione trójkąty.

Dawus zerknął na trzymane w ręku buty.

- I taki sam jest na nich! - zakrzyknął zdziwiony.

- Właśnie. I co z tego wynika?

Nie wiedział.

- To znaczy, że pochodzą z tego samego warsztatu - podpowiedziałem. - Stanowią komplet. To raczej niezwykle, by jeden rzemieślnik wykonywał przedmioty o tak różnym przeznaczeniu, nie sądzisz?

Dawus kiwnął głową, udając, że nadaża za moimi myślami.

- No to jak, teściu, rozcinasz te buty czy nie?

- Nie, Dawusie, otwieram je.

Pozostawiłem sztylet w pochwie i dokładnie obejrzałem rękojeść

wyrzeźbioną z syryjskiego terebintu<sup>\*</sup>, zamocowaną do klingi guzami z kości słoniowej. Ozdobne trójkąty zmyślnie skrywały tajny schowek, ale kiedy odnalazłem właściwe miejsce do naciśnięcia, otworzył się bez trudu. Wewnątrz znajdował się maleńki kluczyk, zaledwie igielka z brązu z haczykiem na końcu.

- Potrzymaj je tak, żebym widział pięty - poleciłem Dawusowi.

Oględziny zacząłem od lewego buta. Dziwne szczeliny w podeszwie były brzegami wąskich drzwiczek z zawiasami po jednej stronie i dziurką od klucza z drugiej. Włożyłem w nią ów delikatny kluczyk i przez chwilę manewrowałem nim ostrożnie, aż w końcu drzwiczki odskoczyły z cichym szcęknięciem sprężyny.

- Nadzwyczajne! - szepnąłem. - Cóż za misterna robota! Taki delikatny mechanizm, a jednak dość mocny, by wytrzymać wstrząsy i ciężar ciała przy chodzeniu.

Wziąłem but z rąk Dawusa, odwróciłem tak, by słońce oświetliło podeszwę, i zajrzałem do schowka. Nic w nim nie było. Przekręciłem but i postukałem nim o otwartą dłoń. Nic.

- Jest pusty.

- Możemy go jeszcze rozciąć - odpowiedział Dawus.

Obrzuciłem go karcącym spojrzeniem.

- Mój zięciu, czyż nie powiedziałem ci, że musimy pozostawić wszystkie rzeczy Numeriusza w takim samym stanie, w jakim je zastaliśmy, aby ludzie Pompejusza nie spostrzegli żadnych śladów naszych oględzin?

Dawus skinął głową.

- Dotyczy to także jego butów! Daj mi teraz ten drugi.

I tym razem otwarcie drzwiczek schowka zajęło mi trochę czasu. Wewnątrz znalazłem kilka skrawków cienkiego pergaminu.



---

\* Inaczej terpentynowiec, śródziemnomorski krzew z gatunku pistacjowatych o twardym i ciemnym drewnie stosowanym do wyrobu drobnej galanterii. Z jego kory po nacięciu zbierano terpentynę.





## ROZDZIAŁ 2

- Co tam jest napisane? - spytał Dawus.
- Jeszcze nie wiem.
- Czy to łacina?
- I tego nie wiem.
- Widzę tam wymieszane greckie i łacińskie litery.
- Brawo, zięciu.

Dawus ostatnio brał lekcje u Diany, która z determinacją usiłowała nauczyć go czytać, ale postępy czynił mizerne.

- Ale jak to możliwe? - zdziwił się. - Mieszać alfabety?

- To jakiś szyfr - wyjaśniłem. - Dopóki go nie odgadnę, też nie będę mógł przeczytać treści tych zapisków.

Wróciliśmy do mojego gabinetu i siedzieliśmy teraz przy małym stoliku pod oknem, wpatrując się w kawałki pergaminu schowane przez nieboszczyka w tak przemyślanej skrytce. Było ich pięć, wszystkie pokryte rzędami tak drobnego pisma, że musiałem dobrze wyteżać wzrok, by je odczytać. Na pierwszy rzut oka zapiski wydawały się bezsensownym zlepkiem liter. Musiał to być szyfr, dodatkowo skomplikowany przez zastosowanie dwóch alfabetów. Starłem się wytłumaczyć Dawusowi, na czym polega szyfrowanie tekstu. Dzięki Dianie zdążył się oswoić z podstawową zasadą, że litery wyrażają pojedyncze dźwięki, ich zespoły zaś stanowią całe słowa, ale na razie jego wiedza była jeszcze słabo zakorzeniona. Kiedy wyjaśniałem, że litery można w dowolny, ale ustalony sposób zamieniać lub zmieniać ich kolejność, a potem znowu wracać do wersji pierwotnej, na jego twarzy malowało się czyste zdumienie.

- Ale ja myślałem, że właśnie o to chodzi, aby litery były niezmiennie i zawsze oznaczały to samo!

- Owszem... Jak by ci to wytłumaczyć... - Szukałem w myślach odpowiedniego porównania. - Wyobraź sobie, że litery mogą się przebierać. Weźmy na przykład twoje imię. D mogłoby przebrać się za M, A za T i tak dalej. W rezultacie miałbyś zestaw pięciu liter, które nie przypominałyby żadnego znanego słowa. Ale jeśli znajdziesz sposób, by je z przebrania rozebrać, odgadłbyś, jakie słowo kryją. - Uśmiechnąłem się, zadowolony z błyskotliwego, moim zdaniem, wyjaśnienia, ale zdumienie na twarzy Dawusa zaczęło nabierać odcienia paniki. Westchnąłem ciężko. - Ech, gdyby tak Meto był tutaj...

Młodszy z mych dwóch adoptowanych synów przejawiał niemal geniusz, jeśli chodzi o wszelkie aspekty słowa pisanego. Pod rozkazami Cezara ten dar przydawał mu się niezmiernie: został czymś w rodzaju jego adiutanta-pisarza. Jak sam mawiał, lwia część zapisków wielkiego wodza z kampanii w Galii, które przez ostatni rok czytali chyba wszyscy Rzymianie, wyszła spod jego, Metona, pióra. Nikt przy tym nie mógł mu dorównać w łamaniu wszelkiego typu kodów i szyfrów czy układaniu anagramów. Teraz jednak nie było go w Rzymie, choć przybycia Cezara



oczekiwano lada dzień; jedni z radością, inni z przerażeniem.

- Łamaniem szyfrów rządzą zasady - mruczałem do siebie, starając się przywołać z pamięci niektóre proste sztuczki, których wyuczył mnie Meto. - Szyfr to jakby szarada, której rozwiązywanie to gra, a gry...

- A gry mają swoje reguły, które byle głupek może poznać i zastosować.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem stojącą w drzwiach moją córkę.

- Diano! Mówiłem, żebyś została w domu! Co będzie, kiedy Aulus...

- Mama go pilnuje i nie wypuści go do ogrodu. Wiesz, jaka jest przesądna, kiedy chodzi o trupy. - Diana cmoknęła głośno. - Ten biedak wygląda okropnie!

- Chciałem ci oszczędzić tego widoku.

- Tato, widywałam już przedtem zwłoki.

- Ale nie...

- Ale nie ludzi uduszonych w ten sposób, chcesz powiedzieć. Zgadza się, ale samą garotę już widziałam. Ta jest bardzo podobna do tej, którą parę lat temu zabito Tytusa Treboniusza. Udowodniłeś wtedy, że zamordowała go własna żona. Zatrzymałeś sobie narzędzie zbrodni na pamiątkę. Mama groziła, że użyje jej na Dawusa, jeśli kiedykolwiek mi podpadnie.

- Żartowała oczywiście. Tego typu broń jest dzisiaj równie rozpowszechniona jak sztylety - powiedziałem.

- Dawusie, czy dobrze się spisujesz, pomagając tacie? - Diana zwróciła się do męża, kładąc mu dłoń na muskularnym ramieniu i całując delikatnie w czoło. Pasemko jej długich, czarnych włosów opadło mu na twarz, a on uśmiechnął się do niej.

Odchrząknąłem.

- Zastanawiamy się z Dawusem nad znalezionymi zaszyfrowanymi notatkami, ale zagadka jest już prawie rozwiązana. No, zmykaj do matki, Diano.

- Na Izydę i Ozyrysa, tato! Jak ty w ogóle możesz odczytać taki maczek? - Diana zmrużyła oczy, wpatrując się w pergaminy.

- Wbrew powszechnie panującej w tym domu opinii nie jestem ślepy ani głuchy - odparłem. - A dziewczynom nie wypada zachowywać się bezbożnie w obecności ojca, nawet jeśli wzywane nadaremno bóstwa pochodzą z Egiptu.

Diana ostatnio pasjonowała się wszystkim, co egipskie, nazywając to hołdem dla kraju pochodzenia swej matki; dla mnie była to tylko modna afektacja.

- Nie jestem dziewczyną, tato. Mam dwadzieścia lat, męża i dziecko.

- Taak, wiem. - Spojrzałem z ukosa na zięcia, zaabsorbowanego bez reszty zdmuchiowaniem lśniących włosów swej żony z własnego nosa.

- Jeśli masz problem z tym szyfrem, tato, mogę ci pomóc. Dawus mógłby pilnować ogrodu, aby ktoś nie wśliznął się znowu przez dach.

Twarz Dawusa rozjaśniła się na tę sugestię. Odszedł natychmiast, kiedy skinąłem mu z przyzwoleniem głową.

- Ty też, Diano - powiedziałem. - No, już cię nie ma!

Ona jednak zasiadła na krześle zwolnionym przez męża.

Westchnąłem.

- No, dobrze. Musimy się pospieszyć. Nieboszczyk jest krewnym

Pompejusza. Kto wie, czy Wielki już nie wysłał ludzi, by go szukali.

- Skąd się wzięły te skrawki pergaminu?
- Miał je ukryte w schowku w bucie.
- Czyżby był jednym ze szpiegów Pompejusza? - Diana uniosła brwi.
- Niewykluczone - odrzekłem z wahaniem.
- Po co tu przyszedł? Czemu chciał się z tobą widzieć, tato?
- Zamieniliśmy jedynie kilka słów, zanim zostawiłem go samego. -

Wzruszyłem ramionami.

- I co stało się potem?
- Potem Dawus wszedł do ogrodu, znalazł zwłoki i wszczął alarm. Diana sięgnęła po jeden z pergaminów.
- Musimy szukać samogłosek i często stosowanych zbitek spółgłosek...
- I często stosowanych słów oraz końcówek fleksyjnych - dodałem.
- Właśnie.
- A także słów prawdopodobnych.
- Co masz na myśli?
- Słowa, jakie powinny się znaleźć w dokumentach szpiega Pompejusza - wyjaśniłem, - Takie jak... Pompejusz na przykład. Albo raczej Magnus, Wielki.

- Albo na przykład... Gordianus? - spytała, spoglądając na mnie spod oka.
- Być może.

Diana przyniosła dwa rylce i dwie tabliczki woskowe do robienia notatek. Oboje bez słowa wpatrywaliśmy się w swoje kawałki pergaminu. W ogrodzie Dawus przechadzał się tam i z powrotem na słońcu, pogwizdując fałszywie i obserwując dach. Po chwili wyciągnął z pochwy sztylet Numeriusza i zaczął czyścić nim paznokcie. Gdzieś z frontowej części domu znów dobiegł płacz Aulusa, a potem melodyjny głos Bethesdy, nucącej egipską kołysankę.

- Myślę, że...
- Tak, Diano?
- Myślę, że znalazłam Magnusa. Na tym skrawku ta sama sekwencja liter występuje trzykrotnie. Popatrz, jest i na twoim.

- Gdzie?

- Tutaj: LVYCSQ.

- Zgadza się. Na Herkulesa, ależ te literki są drobnutkie! Jeśli masz rację, to L oznacza M, V oznacza A...

Zapisałiśmy nasze wnioski na tabliczkach. Diana przejrzała swój pergamin do końca, po nim dwa następne, a w końcu spytała:

- Tato, możesz mi pokazać swój fragment?

Podąłem go jej, a ona przebiegła po nim wzrokiem. Nagle głośno syknęła.

- Co się stało?

- Popatrz tu, tato! - Wskazała grupę liter; na początku było Y, na końcu zbitka CSQ, czyli według naszej teorii G oraz NUS. Między nimi widniało pięć innych liter.

- Gordianus - szepnęła.

Serce zabiło mi mocniej.

- Możliwe - zgodziłem się. - Zostawmy na razie inne skrawki, zajmijmy się tym jednym.

Skoncentrowaliśmy się na fragmencie tekstu następującym po moim imieniu. To właśnie Diana zauważyła rozrzucone w tekście duże liczby. Wyglądały raczej na oznaczenia lat niż sumy, zapisane według modnego nowego systemu Warrona, w którym lata liczono od założenia Rzymu. Okazywało się, że rozszyfrowane już litery D i I (z imienia Gordianus) oznaczają również cyfry D (pięćset) i I (jeden). I na odwrót: odczytanie lat dało nam również klucz do liter C, L, X i V. Stosując tę rosnącą listę odszyfrowanych liter szybko wychwyciliśmy w tekście znajome imiona. Był tam Meto, Cezar, Eko (mój starszy syn), Cycero, a nawet Bethesda i Diana. Ta ostatnia była bardziej rozbawiona niż zaniepokojona widokiem swego imienia w zapiskach zamordowanego człowieka. W miarę czynionego postępu odkryliśmy najbardziej przewrotną cechę zastosowanego szyfru: otóż jego twórca nie tylko pomieszał litery greckie z łacińskimi, ale i całe zwroty z obu języków, stosując przy tym okrojone i nieregularne reguły gramatyczne. Moja greka zdążyła nieco zardzewieć przez ostatnie lata, ale na szczęście egiptomania Diany obejmowała też podszlifowanie języka Ptolemeuszów. Dzięki bystrzejszemu wzrokowi i żwawszej ręce córka szybko mnie wyprzedziła. W końcu udało jej się pobieżnie przetłumaczyć cały fragment na łacinę, choć tu i ówdzie czegoś jej brakowało. Skończywszy pisać, odczytała swoje dzieło na głos.

- Obiekt: Gordianus zwany Poszukiwaczem. Lojalność wobec Wielkiego: niepewna.

- Raport o lojalności! - zakrzyknąłem, kręcąc głową. - Wszystkie te skrawki pergaminu muszą być czymś w rodzaju tajnych akt różnych ludzi w Rzymie. Czyjaś oceną stanowisk, jakie mogą zająć, gdyby doszło do...

- Do wojny między Pompejuszem i Cezarem?

Jak rzeczowo Diana potrafiła wypowiedzieć te słowa, które mnie stawały w gardle... Nie przeżyła wojny domowej, nie wie, jak wygląda oblężenie i zdobycie Rzymu, listy wrogów państwa, konfiskata majątków i głowy zatknięte na tykach na Forum Romanum.

- Plebejusz o niejasnym pochodzeniu - czytała dalej Diana. - Brak wiadomości o służbie wojskowej. Wiek: około sześćdziesięciu lat. Potem mamy coś w rodzaju *curriculum vitae*, chronologiczne zestawienie najciekawszych punktów twojej kariery.

- No, to chętnie posłucham.

- Niewiele wiadomo o jego działaniach przed rokiem sześćset siedemdziesiątym czwartym od założenia Rzymu, kiedy zbierał informacje dla Cycerona do procesu o ojcoobójstwo Sekstusa Roscjusza. Zyskał wdzięczność Cycerona (była to jego pierwsza poważna sprawa jako obrońcy), ale naraził się dyktatorowi Sulli. Liczne zlecenia od Cycerona w następnych latach, często związane ze sprawami o morderstwo, podróże do Hiszpanii i na Sycylię. Rok sześćset osiemdziesiąty pierwszy, westalki Fabia i Licynia oskarżone o utrzymywanie stosunków cielesnych z Katyliną i Krassusem. Gordianus podobno przyczynił się do ich uniewinnienia, brak szczegółów. Rok sześćset osiemdziesiąty drugi, zatrudniony przez Krassusa (w przeddzień jego nominacji na dowódcę armii przeciwko Spartakusowi) w celu przeprowadzenia śledztwa w sprawie zamordowania jego krewnego w Bajach. Znowu brak szczegółów. Potem stosunki z Krassusem napięte. Rok

sześćset osiemdziesiąty czwarty, narodziny jego pięknej i genialnej córki Diany...

- Tego w tekście na pewno nie ma! - zaprotestowałem.

- Nie ma - przytaknęła. - Widać ten, kto zebrał te informacje, nie wiedział wszystkiego. A tak naprawdę następny punkt brzmi: rok sześćset dziewięćdziesiąty, śmierć jego protektora, patrycjusza Lucjusza Klaudiusza. Gordianus otrzymuje w spadku gospodarstwo w Etrurii i wyprowadza się z Rzymu. Rok sześćset dziewięćdziesiąty pierwszy, odegrał podejrzaną rolę w spisku Katyliny. Szpiegował Katylinę na rzecz Cyncerona lub na odwrót, a niewykluczone, że jedno i drugie. Zamienił gospodarstwo na obecnie zajmowany dom na Palatynie. Udaje szacownego obywatela.

- Udaje? Nie czytaj tego przypadkiem twojej matce!

- Rok sześćset dziewięćdziesiąty ósmy, pomagał Klodii przy oskarżeniu Marka Celiusza o zamordowanie filozofa Diona. - Głos się jej załamał. Oboje dobrze wiedzieliśmy, jak to było z Dionem... \* - Dalsze odsunięcie się od Cyncerona (obrońcy Celiusza).

- Im mniej będziemy wspominać tę sprawę... - burknąłem.

- Tym lepiej - wpadła mi w słowo Diana.

Tylko my dwoje i Bethesda znaleźmy tajemnicę gwałtownej śmierci aleksandryjskiego filozofa. Diana odchrząknęła, po czym czytała dalej:

- Rok siedemset drugi, zatrudniony przez Wielkiego do odkrycia okoliczności zamordowania Klodiusza na Via Appia. Z zadania wywiązał się zadowolająco.

- Zadowolająco! Tylko tyle mają do powiedzenia, po tylu cierpieniach, które przeszła wtedy nasza rodzina, aby Pompejusz mógł poznać prawdę?

- Jestem przekonana, że Pompejusz odpowiedziałby ci, że zostaliśmy sowicie wynagrodzeni. - Diana rzuciła tęskne spojrzenie w stronę Dawusa, który odpowiedział uśmiechem i pomachał do niej dłonią.

- I nad tym też lepiej za wiele się nie rozwodzić - mruknąłem. - Czy to już wszystko?

- Jest jeszcze jedna notatka, datowana przed miesiącem. Grudzień, rok siedemset czwarty, brak wiadomości o działaniach na rzecz którejkolwiek ze stron w ostatnich... - Zmarszczyła brwi i pokazała mi swój kawałek pergaminu. - Tego greckiego słowa nie mogłam przetłumaczyć.

Zmrużyłem oczy, wpatrując się w drobniutkie pismo.

- To termin żeglarski - wyjaśniłem. - Oznacza manewry.

- Manewry?

- Chodzi o zajmowanie pozycji do bitwy przez dwa okręty.

- Aha. No więc tak: brak wiadomości o działaniach na rzecz którejkolwiek ze stron w ostatnich manewrach między Pompejuszem i Cezarem.

- I na tym koniec? Cała moja kariera obrócona w kilka wybranych epizodów? Niezbyt mi się podoba taki życiorys spisany przez obcego człowieka.

- Jest jeszcze trochę o rodzinie.

- Czytaj więc.

---

\* O związku Gordianusa i Diany ze sprawą Diona z Aleksandrii opowiada jedna z poprzednich powieści cyklu, *Rzut Wenus*.

- Żona: była niewolnica, nabyta w Aleksandrii, imieniem Bethesda. Politycznie bez znaczenia. Jedno rodzone dziecko, córka Gordianusa nazywana Dianą, wiek około dwudziestu lat, zamężna z wyzwolencem, niejakim Dawusem, dawniej własnością Wielkiego. Trzy ostatnie słowa w oryginale podkreślone.

Skinałem głową.

- To by pasowało, jeżeli ten dokument jest tym, czym mi się wydaje, to znaczy poufnym raportem przeznaczonym dla Pompejusza. Dawus jest jedyną osobą, która w jakikolwiek sposób mnie z nim wiąże. Właśnie taka informacja może być dla niego ważna. Czytaj dalej.

- Dwóch synów. Eko, w dzieciństwie ulicznik, adoptowany, wiek około czterdziestu lat, żonaty z córką Meneniusza. Nie służył w wojsku. Mieszka w rodzowym domu na Eskwilinie. Czasami pomaga w pracy ojcu, ma też podobne powiązania polityczne: o szerokim spektrum, ale raczej płynne, nietrwale. Lojalność wobec Wielkiego: niepewna. - Diana podniosła wzrok znad tabliczki. - Następne zdanie też podkreślone. Szczególnie godne zainteresowania: drugi syn, Meto, także adoptowany. Dawniej niewolnik Marka Krassusa. Wiek około trzydziestu lat. Wcześniej rozpoczął karierę wojskową. Według pogłosek walczył pod sztandarem Katyliny w bitwie pod Pistorią. Krótki okres służby w armii Pompejusza w roku sześćset dziewięćdziesiątym drugim. Od dziewięćdziesiątego trzeciego u Cezara. Liczne dowody męstwa w Galii. Awansował stopniowo od szeregowego legionisty aż do bliskiego otoczenia wodza. Znany ze zdolności literackich: prowadzi korespondencję, pomagał redagować Cezarowi opisy jego kampanii galijskich. Mocno tkwi w jego obozie, a niektórzy mówią, że i w... - Diana zamilkła.

- No, czytaj! - ponagliłem ją.

- Niektórzy mówią, że i w jego łóżu.

- Co takiego?

- Tak tu napisane, tato. Mniej więcej. W oryginale było bardziej... rubasznie. Po grecku, ale znam te słowa.

- Oburzające!

- Dlaczego?

- Oczywiście, że Meto kocha Cezara. Inaczej nie ryzykowałby dlań życia niemal dzień w dzień. Kult bohatera, jak to u wojskowych. Ja sam wprawdzie nigdy tego nie mogłem zrozumieć. Ale to nie to samo, co...

Diana wzruszyła ramionami.

- Meto nigdy wyraźnie nie mówił mi o tym, co go łączy z Cezarem, ale mimo to zawsze uważałam, że musi coś w tym być. Już sam sposób, w jaki o nim opowiada...

- Co masz na myśli?

- Tato, nie musisz zaraz podnosić głosu.

- Ach, tak! Wygląda na to, że nie ty jedna wymyślasz niestworzone historie. I to w poufnym raporcie dla Pompejusza, niech mnie! Wrogowie Cezara rozpowszechniają o nim takie plotki od trzydziestu lat, odkąd zaprzyjaźnił się z królem Nikomedesem. Na Forum wciąż ludzie go nazywają królową Bitynii. Ale jak on śmiał wciągnąć Metona do swoich brudnych gier! Nie przewracaj oczami, Dian! Ty pewnie myślisz, że

robię z igły widły.

- Myślę, że nie ma potrzeby krzyczeć, tato.

- No, dobrze...

Dotknęła mojej dłoni.

- Wszyscy martwimy się o Metona - powiedziała. - O to, że jest tak blisko Cezara, o to, co się może stać... Tylko bogowie wiedzą, co z tego wszystkiego wyniknie, tato.

Skinąłem głową. Pokój wydał mi się nagle cichy jak grób. Słoneczne światło w ogrodzie już przyblakło; dni styczniowe są krótkie. W skroniach zacząłem czuć bolesne pulsowanie. Pracowaliśmy już kilka godzin, z jedną tylko przerwą na dorzucenie drewna do ognia, aby odpędzić rosnący chłód. Palenisko grzało tak już od brzasku i w gabinecie było sporo dymu. Zerknąłem na zapiski Diany i przekonałem się, że jeszcze nie wszystko mi odczytała, poleciłem jej więc, by kontynuowała.

- W domostwie jest niewielu niewolników. Wśród nich: dwaj chłopcy, bracia kupieni wkrótce po śmierci Klodiusza od wdowy po nim, pierwotnie stajenni w willi przy Via Appia. Imiona: Mopsus (starszy) i Androkles. Małe dzbanki mają duże uszy. - Diana zmarszczyła czoło. - Jestem pewna, że tak właśnie było tam napisane.

- To cytaty ze sztuki Enniusza - wyjaśniłem. - Chodzi o to, że mali chłopcy wszystko słyszą. Implikacja, że Mopsus i Androkles mogą być użytecznymi informatorami. Czytaj dalej.

- Jest jeszcze coś o nich. Przy skłonności Gordianusa do adoptowania sierot i niewolników, czyżby szykowało mu się dwóch następnych synów? - Diana uniosła brwi i czekała na mój komentarz.

- Kontynuuj - powiedziałem tylko. - Jest coś jeszcze?

- Podsumowanie: obiekt nie ma wpływów politycznych ani dużego majątku, ale cieszy się szacunkiem wśród wielu takich, którzy je posiadają. Cyncero nazwał go kiedyś „najuczciwszym człowiekiem w Rzymie”. Skąd jednak ta opinia? Gordianus nigdy nie staje po niczyjej stronie w żadnych niebezpiecznych sporach, udaje mu się więc pozostać ponad zamieszaniem i swobodnie poruszać się wśród przeciwników. Nawet wynajęty przez jedną ze stron utrzymuje pozory niezależności i neutralności, dążąc bardziej do odkrycia „prawdy” niż do osiągnięcia pożądanego przez zleceniodawcę celu. Łączy talenty śledczego i dyplomaty. Podczas kryzysu mogłoby to być jego największą zaletą: potencjalny pośrednik darzony zaufaniem przez obie strony. Niektórzy jednak postrzegają go jako chytrego pragmatyka, wykorzystującego ufnosć wpływowych ludzi, nie ofiarowując im w zamian pełnej lojalności. Jakim trzeba być człowiekiem, by odnajmować swą uczciwość od sprawy do sprawy? Wobec kogo będzie lojalny w razie bezprecedensowego kryzysu? Ma elegancki dom na Palatynie i udaje mu się unikać zadłużenia (kolejny element jego niezależności). Trudno sobie wyobrazić, aby pragnął wojny domowej. Z drugiej strony, jego niekonwencjonalna rodzina przybranych synów i wyzwolenców świadczy o braku zbytowego przywiązania do tradycyjnych rzymskich wartości. Najbardziej niepokojące jest jego powiązanie z Cezarem przez młodszego syna, Metona. Może to wciągnąć go do obozu Cezara łatwiej niż cokolwiek innego. Wniosek: Gordianus może być użyteczny dla Wielkiego, ale należy

go bacznie obserwować. - Diana podniosła na mnie oczy. - To już wszystko, tato.

Zmarszczyłem nos.

- Chytry pragmatyk? - powtórzyłem.

Ubodło mnie to równie mocno, jak plotka o Metonie.

- Ja myślę, że cały raport raczej ci pochlebia - rzekła Diana. - Wyglądasz w nim na dość subtelny człowieka.

- W takich czasach właśnie subtelni ludzie tracą głowy - mruknąłem.

- No, to przynajmniej Dawus powinien być bezpieczny. - Diana przez chwilę zachowała kamienną powagę, lecz szybko się roześmiała.

I ja się uśmiechnąłem, choć musiało to wypaść blado. Wiedziałem, że dziewczyna usiłuje mnie rozweselić, ale ona przecież nie miała pojęcia o ogromie niebezpieczeństwa, jakie nad nami zawisło. Poczulem nagły przypływ czułości i pogładziłem ją po włosach.

Gdzieś we frontowej części domu rozległy się czyjeś głosy. Dawus wyszedł z ogrodu, a po chwili wrócił, by zaanonsować kolejnego gościa. Twarz miał pobladłą.

- Gość o tak późnej porze? - spytałem.

- Tak, teściu. To sam Wielki we własnej osobie.







## ROZDZIAŁ 3

- Pompejusz? Niemożliwe! - zakrzyknąłem.

- A jednak to właśnie on czeka w westybulu. Ma z sobą zbrojną eskortę.

- Łamię zatem prawo! Pompejusz dowodzi armią. Nieważne, że jego legiony stacjonują w Hiszpanii. Prokonsulom mającym pod komendą wojsko nie wolno wchodzić na teren miasta.

- Przestańcie nam mówić o prawach, my mamy miecze u boku - odezwała się Diana, cytując słynną wypowiedź Pompejusza z czasów, kiedy przebywał na Sycylii i niektórzy z miejscowych zarzucali mu, że narusza ich przywileje zapisane w traktatach z Rzymem.

Wziąłem głęboki oddech.

- Ilu jest z nim ludzi, Dawusie?

- W westybulu tylko dwóch. Reszta czeka na ulicy.

Spojrzałem na skrawki pergaminu leżące wciąż na stoliku.

- Numeriusz! - przypomniałem sobie. - Gdzie się podziały jego buty, na Hades? Kiedy Pompejusz znajdzie go bosego...

- Uspokój się, teściu. Buty są znów na jego nogach. Jak myślisz, co ja robiłem w ogrodzie przez całe popołudnie? Ubrałem Numeriusza, włożyłem mu pierścień na palec i sakiewkę za pas. Zwłoki wyglądają tak samo jak zaraz po ich odkryciu.

- A co ze sztyletem?

- Włożyłem kluczyk z powrotem do skrytki i wsunąłem nóż do pochwy.

- A garota na jego szyi?

- Jest na miejscu. - Dawus skinał ponuro głową.

Znów zerknąłem na stół.

- Wszystko zatem jest, jak było... z wyjątkiem tych pergaminów. Zamierzałem włożyć je z powrotem do skrytki, zanim ktokolwiek przybyłby po zwłoki. Jeśli Pompejusz odkryje ich brak...

Dawus zmarszczył czoło.

- Może gdybyśmy nie dopuścili, aby Wielki zobaczył Numeriusza...

- Ukryć trupa? Nie sądzę, aby to było dobre wyjście, Dawusie. Pompejusz musi wiedzieć, że Numeriusz tu przyszedł. Dlatego właśnie sam się tu zjawia. Jeśli teraz, naprędce, spróbujemy gdzieś upchnąć zwłoki, a on je znajdzie, jak to będzie wtedy wyglądało?

Diana dotknęła mego ramienia.

- Jeśli się obawiasz, tato, że Pompejusz może cię nakryć z tymi dokumentami, dlaczego ich po prostu nie spalić? W palenisku jest ogień, zajęłoby to zaledwie chwilę.

Nie mogłem oderwać wzroku od małych skrawków pergaminu.

- Tak, możemy je zniszczyć - odrzekłem. - Albo włożyć na miejsce, gdyby był na to czas. W takim razie nie dowiemy się już nigdy, co zawierają. Być może jest w nich coś więcej o twoich braciach albo o kimś innym z naszych bliskich...

- Schowamy je zatem, żeby później dokończyć ich odszyfrowania?

- A jeśli Pompejusz zdecyduje się przeszukać dom i je znajdzie? Gordianus, ten „chytry pragmatyk” o wątpliwej lojalności, przyłapany z trupem jednego z krewnych Wielkiego w ogrodzie i z jego tajnymi dokumentami...

Diana wzięła się pod boki. Ogień w jej oczach przypomniawszy mi jej matkę.

- Pompejusz nie ma prawa wpaść tutaj i przeszukiwać domu obywatela!

- Jesteś tego pewna, córko? Dziesięć dni temu senat uchwalił stan wyjątkowy i nadał konsulowi nadzwyczajne uprawnienia. Ostatni raz coś podobnego zdarzyło się, kiedy konsulem był Cyncero, który oskarżył Katylinę o knucie spisku. Byłaś wtedy za młoda, żeby to pamiętać...

- Wiem, co oznacza *senatus consultum ultimum*, tato - przerwała mi. - Czytałam obwieszczenia na Forum. Konsulowie i prokonsulowie są upoważnieni do użycia wszelkich niezbędnych środków dla obrony państwa.

- Wszelkich niezbędnych środków - powtórzyłem. - I ty myślisz, że Pompejusz zawahałby się przed splądrowaniem tego domu? Rzym jest praktycznie pod rządami dyktatury wojskowej. Już samo to, że on się ośmielił wkroczyć w mury miejskie ze zbrojnym oddziałem, oznacza, że normalne prawa nie funkcjonują i że zdarzyć się może dosłownie wszystko.

Te słowa zachwiały pewnością Diany. Opuściła ręce i spytała:

- Co w takim razie zrobić z tymi dokumentami?

Patrzyłem na nie niepewny, nie mogąc się zdecydować.

Udało mi się przestraszyć samego siebie jeszcze bardziej niż córkę. Tymczasem głosy z głębi domu stały się donośniejsze; obejrzałem się i ujrzałem Pompejusza w towarzystwie dwóch ochroniarzy, wynurzającego się z drzwi na otwartą przestrzeń ogrodu. Cała trójka miała miny wyrażające ponurą determinację. Czekałem za długo i sytuacja wymknęła mi się spod kontroli. Patrzyłem przez okno gabinetu, jak skręcają ostro w lewo, potem w prawo, zbliżając się kolumnowym portykiem. W pewnej chwili Pompejusz zerknął w lewo i zatrzymał się tak raptownie, że jeden z jego ludzi wpadł mu na plecy. Po jego minie zorientowałem się, co zobaczył. Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem, ale widok zasłaniał mi posąg Minerwy. Dostrzegłem tylko jedną stopę martwego Numeriusza, a na niej but, z którego wyjęliśmy ukryte dokumenty. Przeniósłem wzrok na niespodziewanego gościa. W okamgnieniu surową dotąd twarz wykrzywił grymas rozpacz. Krzyknął coś i rzucił się biegiem ku zwłokom. Jego dwaj ochroniarze dobyli mieczy, zaniepokojeni.

Bez jednego słowa z mojej strony Diana szybkim ruchem zgarnęła skrawki pergaminu z zaszyfrowanymi notatkami wraz z tabliczką ze swoim tłumaczeniem, podeszła do paleniska i wrzuciła je w płomień. Ja czy Dawus już tego zrobić nie mogliśmy. Pompejusz lub któryś z jego ludzi mógłby nas zauważyć i później sobie to przypomnieć; któż jednak zwróciłby uwagę na córkę pana domu doglądającą ognia? Odetchnąłem głęboko. Już po dokumentach. Jakiegokolwiek kryły tajemnice, nikt ich już nie odszyfruje...

Zza posągu dobiegł mnie kolejny okrzyk żalu. Ludzie Wielkiego szybko obeszlą ogród, szturchając mieczami co gęstsze krzewy i bacznie spoglądając na dach, tak samo jak to przedtem robił Dawus. Jeden z nich próbował potem odciągnąć Pompejusza od ciała Numeriusza do

bezpiecznego westybulu, ale Wielki odpędził go machnięciem ręki. W chwilę później kolejni zbrojni wysypali się do ogrodu, zwabieni krzykiem swego pana.

- Diano! Dawusie! Pod ścianę! - zawołałem. - Dawusie, wyciągnij swój sztylet i rzuć go na ziemię! Zrób to szybko, bo gdy któryś z nich zobaczy, że go dobywasz, mogą cię zaatakować.

Nóż mojego zięcia znalazł się u jego stóp, a dłonie płasko przyciśnięte do ściany, zanim jeszcze skończyłem mówić. W następnej chwili w gabinecie znaleźli się trzech gladiatorzy z wyciągniętymi mieczami, ogarniając cały pokój czujnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu. Z ogrodu dobiegło wołanie Pompejusza:

- Gordianusie!!!

Odchrząknąłem i wyprostowałem ramiona. Odwróciłem się do paleniska i udając, że grzeję sobie dłonie, sprawdziłem, czy na pewno wszystkie kawałki pergaminu zamieniły się w popiół, po czym ruszyłem ku drzwiom. Spojrzałem najbliższemu z gladiatorów prosto w oczy. Miał na sobie pełny rynsztunek bojowy, włącznie z zasłaniającym większą część twarzy hełmem.

- Odsuńcie się! - zażądałem. - To mnie woła Wielki.

Gladiator patrzył na mnie przez długą chwilę, wreszcie burknął coś pod nosem. Jego towarzysze rozstąpili się, robiąc mi przejście, ale takie, że ledwo się między nimi przecisnąłem. Jeden z nich celowo zionął mi w twarz oddechem przesyconym odorem przetrawionego czosnku. Gladiatorzy jedzą go całymi główkami, twierdząc, że daje im siłę. Drugi nie omieszkał przycisnąć do mego ramienia płazu swego miecza, kiedy przechodziłem, zmuszając mnie do otarcia się o zimną stal. Zorientowałem się, że nie są to regularni żołnierze, ale prywatna straż Pompejusza. Niektórzy niewolnicy lubią wykorzystywać sytuację, kiedy okoliczności stawiają obywatela w niedogodnym położeniu. Nie uśmiechała mi się perspektywa pozostawienia Diany i Dawusa sam na sam z tą trójką. Wzięłem oddech i ruszyłem na środek ogrodu.

Na odgłos moich kroków Pompejusz obejrzał się przez ramię. Jego pełna, okrągła twarz była stworzona do śmiechu albo rzucania ironicznych spojrzeń; wyrażając żalobę, jego rysy wydawały się zniekształcone. Ledwo go poznałem w tym stanie. Rozluźnił uścisk, jakim obejmował ciało zmarłego. Popatrzył przez chwilę na jego twarz, po czym znów podniósł oczy na mnie.

- Co tu się stało, Gordianusie? Kto to zrobił?

- Sądziłem, że to ty możesz znać na to odpowiedź, Wielki.

- Nie mów do mnie zagadkami, Poszukiwaczu! - warknął, puszczając zwłoki i wstając.

- Sam widzisz, co się stało, Wielki. Uduszono go tu, w moim ogrodzie. Ma jeszcze garotę na szyi. Wybierałem się właśnie do twojej willi, żeby osobiście zanieść ci tę smutną wieść...

- Kto to zrobił? - przerwał mi.

- Nikt w moim domu niczego nie widział ani nie słyszał. Zostawiłem Numeriusza samego na chwilę i poszedłem po coś do gabinetu. Kiedy wróciłem...

Pompejusz zacisnął pięści i potrząsnął głową.

- A zatem on był pierwszy - powiedział. - Pierwszy trup. Ile ich jeszcze będzie? Przeklęty Cezar! - Wbił we mnie pałające spojrzenie. - A ty nie masz żadnego wytłumaczenia, Poszukiwaczu? Jak mogło do tego dojść tutaj, w samym środku twojego domu, bez niczyjej wiedzy? Mam może uwierzyć, że Cezar zesłał z nieba harpie, by zabijały jego wrogów?

Popatrzyłem mu w oczy, przetykając z trudem ślinę.

- Wprowadziłeś uzbrojonych ludzi do mego domu, Pompejuszu - powiedziałem.

- Co?

- Muszę cię prosić, Wielki, abyś przede wszystkim odesłał swoją eskortę na ulicę. Tu nie czai się żaden zabójca.

- Jak możesz mieć taką pewność, skoro nawet nie widziałeś mordercy Numeriusza?

- Przynajmniej wycofaj ich z gabinetu. Nie ma powodu, by pilnowali mojej córki i zięcia. Proszę cię, Wielki. Tak, doszło tu do zbrodni, ale mimo to chciałbym, abyś uszanował dom obywatela.

Pompejusz obrzucił mnie takim spojrzeniem, że przez długą, straszną chwilę spodziewałem się najgorszego. W ogrodzie było co najmniej dziesięciu jego gladiatorów, a w całym domu być może więcej. Ile czasu zajęłoby im spustoszenie go i zabicie wszystkich domowników? Och, oczywiście nie zrobiliby tego... zginąłbym tylko ja i Dawus. Rzeczy wartościowe i niewolników skonfiskowano by, a Bethesda i Diana... Nie mogłem się zmusić do dokończenia tej myśli. Wytrzymałem jego spojrzenie bez mrugnięcia.

Za młodu Pompejusz był wyjątkowo przystojny, ludzie nazywali go drugim Aleksandrem: był równie genialny, równie piękny, urodzony wódz, któremu sprzyjają bogowie. Z wiekiem stracił na urodzie, jego szlachetne rysy rozmyły się w narastającej pulchności. Niektórzy mawiają, że wraz z pięknem zniknął i geniusz; jego brak zdolności przewidywania i odmowa kompromisu doprowadziły do obecnego kryzysu i oto Cezar wypowiedział posłuszeństwo senatowi i maszeruje na Rzym, Pompejusz zaś reaguje na to niezdecydowaniem i niepewnością. Rzec by można, że jest przyparty do muru; w tej jednak chwili był w moim domu, oszalały z rozpacz, otoczony silną eskortą wyszkolonych zabijaków. Patrzyłem nań, zachowując pozory spokoju - jakoś mi się udawało nie zadrzeć. W końcu napięcie minęło, obaj odetchnęliśmy głośno.

- Masz tupet, Gordianusie.

- Mam słuszość, Wielki. Jestem obywatelem. To jest mój dom.

- A to jest mój krewny. - Pompejusz spuścił oczy, a po chwili zacisnął zęby i spojrzał na stojącego w drzwiach gabinetu gladiatora. - Hej, ty tam! Każ swoim ludziom stamtąd wyjść. Wszyscy z powrotem do ogrodu!

- Ale, panie, tam jest mężczyzna ze sztyletem pod nogami!

- I z ładniutką dziewczuszką w ramionach! - dodał czyjś szyderyczy głos z gabinetu.

- Wy durnie! Numeriusz nie zginął od sztyletu! To chyba jasne. Wychodzić mi stamtąd i zostawić rodzinę Gordianusa w spokoju.

Pompejusz westchnął. Przemknęło mi przez myśl, że uniknęliśmy

najgorszego.

- Dzięki, Pompejuszu.

Zrobił minę, jakby był niezadowolony z siebie za okazaną powściągliwość.

- Możesz okazać mi wdzięczność poczęstunkiem - powiedział.

- Naturalnie! Diano, poszukaj Mopsusa! - zawołałem. - Niech przyniesie wina.

Popatrzyła na Dawusa, potem na mnie i zniknęła w głębi domu. Zrozumiałem, o co jej chodzi.

- Ty też, Dawusie - powiedziałem. - Odejdź do domu.

- Ale, teściu, czy nie chcesz, abym został i wyjaśnił...

- Nie - burknąłem, zgrzytnąwszy w duchu zębami. - Chcę, żebyś poszedł z Dianą i zajął się Bethesdą i małym Aulusem.

- Jeśli on coś wie, to musi zostać! - rzucił Pompejusz.

Obrzucił Dawusa bystrym spojrzeniem.

- Wyglądasz znajomo. Ach, tak, teraz sobie przypominam. Ty jesteś jednym z ludzi, których wypożyczyłem Gordianusowi do strzeżenia domu, kiedy wyjechał na moje zlecenie z Rzymu. Tylko ty strzegłeś jego córki odrobinę za dobrze. Obdarłbym cię za to ze skóry, a potem ściał. Ale Gordianus chciał ciebie, więc mu cię odstąpiłem i oto jesteś. Co wiesz o tej sprawie?

Patrzyłem, jak krew odpływa Dawusowi z twarzy. Pompejusz zwrócił się do niego tak, jakby mówił do niewolnika, a on z wieloletniego przyzwyczajenia zareagował służalczo. Spuścił oczy i odrzekł:

- Jest tak, jak mój teść mówi, panie. Nie było krzyku ani nawet jęku. Nikt nie słyszał kroków i w ogóle niczego. Zabójca wszedł i wyszedł bezszelestnie. O zbrodni dowiedziałem się dopiero, kiedy przybiegłem do ogrodu na krzyk teścia.

Pompejusz przeniósł wzrok na mnie.

- Jak go znalazłeś?

- Jak mówiłem, zostawiłem go tu samego, a sam na chwilę wszedłem do gabinetu...

- Tylko na chwilę?

Wzruszyłem ramionami i spojrzałem na zwłoki.

- Co on tu robił? W jakim celu cię odwiedził?

Uniosłem brwi.

- Myślałem, że właśnie od ciebie się tego dowiem, Wielki. Czy nie ty go do mnie przysłałeś?

- Posłałem go do miasta z kilkoma wiadomościami, ale nie dla ciebie.

- Dlaczego więc tu przyszedłeś, jeśli nie po to, by go odszukać?

- No, gdzie to wino? - Pompejusz się skrzywił.

Jak na zawołanie zjawili się obaj chłopcy, Androkles z kubkami, a Mopsus z miedzianą karafką. Rzucając ukradkowe spojrzenia na trupa, narobili bałaganu przy nalewaniu. Wypiłem pierwszy kubek z Pompejuszem, ale drugi wychylił już sam, przełykając wino jednym haustem jak lekarstwo. Otarł usta, oddał kubek Androklesowi i odprawił chłopców skinieniem dłoni. Natychmiast pobiegli z powrotem do domu.

- Skoro musisz wiedzieć, przychodzę tu wprost od Cycerona - powiedział.

- Numeriusz zaniósł mu dzisiaj wiadomość ode mnie. Dowiedziałem się tam, że następnym jego przystankiem był twój dom. Bynajmniej nie spodziewałem się go jeszcze u ciebie zastać, pomyślałem tylko, że możesz wiedzieć, dokąd się udał. A czego chciał od ciebie, Poszukiwaczu?

Pokręciłem głową.

- Cokolwiek to było, nigdy się już tego nie dowiemy.

- A jak, na Hades, ktoś mógł się dostać do tego ogrodu i z niego wydostać? Myślisz, że mógł wejść przez dach i tą samą drogą wyjść? To chyba niemożliwe. Dach jest za wysoki, a kolumny zbyt cofnięte w głąb portyku, aby się po nich wspiąć. Nawet małpa nie dałaby rady!

- Za to mogli tego dokonać dwaj mężczyźni - rzekł Dawus. - Jeden podsadził drugiego, a ten go potem wciągnął.

- Dawus ma rację - poparłem go. - Jeden człowiek również dałby sobie radę, dysponując odpowiednio długą liną.

Grymas na twarzy Pompejusza jeszcze się pogłębił.

- Ale kto to był? I skąd wiedzieli, że go tu znajdą?

- Jestem pewien, Wielki, że kiedy tylko przeprowadzisz śledztwo...

- Nie mam na to czasu. Dziś wyjeżdżam z Rzymu.

- Wyjeżdżasz?

- Ruszam na południe jeszcze przed brzaskiem. Każdy, kto ma w głowie odrobinę rozumu czy też resztkę lojalności wobec senatu, zrobi to samo. Czy to możliwe, żebyś nie słyszał ostatnich doniesień? Wychylasz czasem nos z tego twojego gabinetu?

- Ostatnio tak rzadko, jak się tylko da.

Rzucił mi gniewne spojrzenie, w którym można by się dopatrzeć błysku zazdrości.

- Wiesz chyba, że sześć dni temu Cezar przekroczył Rubikon i wkroczył ze swymi legionami do Italii, zajmując Ariminum. Od tamtej pory wziął Pisaurum i Ankone, Marka Antoniusza zaś wysłał, aby zdobył Arretium. Idzie jak burza! Teraz zaś donoszą mi, że obaj maszerują na Rzym, biorąc nas jak w kleszcze. Miasto jest bezbronne. Najbliższy lojalny legion stacjonuje w Kapui. Jeśli pogłoski są prawdziwe, Cezar może tu stanąć w parę dni, a może i godzin.

- Pogłoski, powiadasz. Może właśnie to nic więcej?

Pompejusz popatrzył na mnie podejrzliwie.

- A cóż ty możesz o tym wiedzieć, zamknięty w swoim ogrodzie? Twój syn jest z Cezarem, nieprawdaż? Ten chłopak, który był kiedyś niewolnikiem Krassusa i ponoć walczył pod sztandarem Katyliny. Podobno śpi z Cezarem w jednym namiocie i pomaga mu pisać te nadęte, samochwalcze pamiętniki. Jakie kontakty z nim utrzymujesz, Gordianusie?

- Mój syn Meto jest panem własnego losu, Pompejuszu.

- Jest człowiekiem Cezara! A ty, Poszukiwaczu, czym jesteś człowiekiem?

- Wiele lat i wielu Rzymian trzeba było, żeby zdobyć Galię, Wielki. Niejeden obywatel ma krewnego, który służył w legionach Cezara. Niekoniecznie zaraz wszyscy musimy z tego powodu być jego zwolennikami. Spójrz choćby na Cynceron. Jego brat Kwintus jest jednym z dowódców u Cezara, a i jego protegowany Marek Celiusz zbiegł pod

sztandary Gajusza Juliusza. A przecież nikomu nie przyjdzie do głowy nazwać Cyncerona stronnikiem Cezara! - Wstrzymałem się od przypomnienia, że i sam Pompejusz był żonaty z córką swego obecnego wroga i że dopiero po śmierci Julii rozdzwięk między nimi stał się nie do naprawienia. - Wielki, służyłem ci chyba wystarczająco lojalnie, kiedy zleciłeś mi śledztwo w sprawie morderstwa Klodiusza?

- Tak, bo ci płaciłem, a wtedy nie było potrzeby wybierać między mną i Cezarem. To nie lojalność! Lojalność cechuje niewolników i żołnierzy, przychodzi z chłostą, bitwami i przelaną krwią. Tylko takie więzi naprawdę łączą ludzi. Cyncero nazwał cię najuczciwszym człowiekiem w Rzymie. Nic dziwnego, że nikt ci nie ufa!

Pompejusz odwrócił się ode mnie z niesmakiem i uklęknął obok martwego krewnego. Przyjrzał mu się dokładniej niż za pierwszym razem, kiedy był jeszcze pod wpływem szoku.

- Jego sakiewka jest na miejscu i są w niej pieniądze, nie chodziło więc o rabunek - zauważył. - Sztylet też tkwi w pochwie. Nie miał nawet czasu go dobyć. Musiało być tak, jak mówiłeś: zabójca nadszedł bezgłośnie i zaskoczył go od tyłu. Numeriusz nawet nie zobaczył twarzy tego, kto odebrał mu życie!

Prawdę powiedziawszy, w owej chwili Numeriusz nawet nie miał przy sobie sztyletu. Dawus wziął go od niego u wejścia, ale przypiął mu go do pasa, kiedy zakończyliśmy oględziny zwłok. Nie mogłem jednak tego powiedzieć Pompejuszowi. Miał rację, nie dowierzając mi. Dotknął teraz twarzy zabitego samymi opuszkami palców i zacisnął zęby, walcząc z powracającym żalem.

- Ktoś musiał go śledzić, kiedy opuścił willę Cyncerona. Kto wie, może szedł za nim już od wyjścia z mojego domu tego ranka, czekając sposobnej chwili. Ale kto? Ktoś z obozu Cezara? A może to któryś z moich własnych ludzi? Jeśli w moim otoczeniu jest zdrajca...

Pompejusz podniósł gniewny wzrok na górującą nad nami statwę Minerwy. Bogini mądrości była przedstawiona w ryzostunku bojowym, gotowa do wojny: w jednym ręku dzierżyła ustawioną pionowo włócznię, w drugim tarczę, na głowie miała grzebieniasty hełm. Na jej ramieniu przycupnęła sowa, a u stóp leżał zwinięty wąż. Podczas rozruchów po śmierci Klodiusza została strącona z cokółu i przełamała się na dwie części; wydałem majątek na naprawę i odmalowanie brązowego posągu. Barwy były teraz znów tak żywe, że bogini zdawała się oddychać. Patrzyła niby prosto na nas, a jednak jej oczy pozostały chłodne, jakby nie zwróciła uwagi na tragedię, która rozegrała się u jej stóp.

- Ty! - Pompejusz wstał i groził bogini pięścią. - Jak mogłaś pozwolić, by coś takiego stało się tuż pod twoim nosem? Cezar utrzymuje, że jego przodkinią jest Wenus, ale ty powinnaś stać po mojej stronie!

Stojący wokół gladiatorzy poruszyli się niespokojnie na to bluźnierstwo ich pana.

- A ciebie obarczam zadaniem znalezienia człowieka, który to zrobił! - Pompejusz zwrócił się do mnie. - Wymierzę mu sprawiedliwość.

Pokręciłem głową, starając się unikać dzikiego wzroku mego gościa.

- Nie, Wielki. Nie mogę - odparłem.



- Jak to? Przecież nieraz zajmowałeś się takimi rzeczami.

- Bardzo rzadko od twojego ostatniego zlecenia. Już nie mam na to siły. Obiecałem sobie kiedyś, że wycofam się z życia publicznego, kiedy skończę sześćdziesiąt lat. Mam teraz sześćdziesiąt jeden.

- Chyba mnie nie zrozumiałeś, Poszukiwaczu. Ja cię nie proszę o wykrycie mordercy Numeriusza. Nie wynajmuję twoich usług. Ja ci to nakazuję!

- Jakim prawem?

- Prawem nadanym mi przez *senatus consultum*.

- Ale prawo Rzymu mówi...

- Nie ty będziesz mnie uczył prawa, Poszukiwaczu! Dekret upoważnia mnie do podejmowania wszelkich działań dla obrony państwa. Morderstwo mojego krewnego, działającego jako mój agent, jest zbrodnią przeciw Rzymowi. Wykrycie zabójcy jest sprawą wagi państwowej. Dekret pozwala mi żądać od ciebie pomocy, nawet wbrew twojej woli!

- Zapewniam cię, Wielki, że gdybym miał siły, a mój umysł był tak bystry jak kiedyś...

- Jeśli potrzebujesz pomocnika, żeby cię prowadził jak ślepego Terezjasza, wezwij twojego drugiego syna. Jest przecież w mieście?

- Nie mogę wciągać w to Ekona - zaprotestowałem. - On ma własną rodzinę, którą musi się opiekować.

- Twoja wola. Pracuj zatem sam.

- Ależ, Wielki...

- Ani słowa więcej, Poszukiwaczu. - Patrzył na mnie zimno, po czym przeniósł wzrok na Dawusa. - Ty tam! Wyglądasz mi na zdrowego mężczyznę.

- Nie chorowałem ani dnia, panie - odrzekł ostrożnie Dawus.

- I nie jesteś tchórzem.

- Na pewno nie!

- To dobrze. Jestem też uprawniony do formowania nowych oddziałów. Ty, Dawusie, będziesz moim pierwszym rekrutem. Zbierz swoje rzeczy. Wyjeżdżasz dziś ze mną z Rzymu.

Dawusowi z wrażenia opadła szczeka. Diana, która przysłuchiwała się rozmowie z daleka, podbiegła i stanęła u jego boku.

- To niesłuszne, Wielki - powiedziałem, siłąc się na spokój. - Dawus jest teraz obywatelem. Nie możesz go zmusić...

- Jest obywatelem, ale też wyzwolencem. Wyzwolenicy mają zobowiązania wobec dawnych panów. Dałem słowo, że wystawię oddział z własnych ludzi, i Dawus powinien się w nim znaleźć.

- Ale on już nie jest związany z tobą. Dałeś mi go jako zapłatę za moje usługi i to ja go wyzwoliłem.

- Ach, ale on wciąż ma wobec mnie pewne zobowiązania.

- Prawo tak nie mówi.

- Owszem, mówi! Jeśli uważasz inaczej, radzę ci zajrzeć do umowy, którą podpisałeś, kiedy ci go przekazywałem. Zwróć uwagę zwłaszcza na klauzulę odnoszącą się do poprzedniego właściciela i możliwe przyszłe obowiązki na wypadek zagrożenia wojennego. Rutynowo zamieszczam taki passus za każdym razem, kiedy sprzedaję lub daruję niewolnika; w przeciwnym

wypadku moi ludzie mogliby zostać użyci przeciwko mnie zamiast dla mnie. A teraz mamy zagrożenie wojenne i Dawus musi podjąć służbę wojskową w miejscu i czasie wybranym przeze mnie. I co, dalej uważasz, że możesz mnie uczyć prawa?

- Czy on ma rację, tato? - Diana ścisnęła męża za rękę.

Popatrzyłem na otaczających nas gladiatorów. Nie miało wielkiego znaczenia, czy Pompejusz ma rację, czy nie.

- Wielki, w mieście wkrótce może zapanować chaos. Zięć jest mi potrzebny do ochrony domu.

- Nie wykazał się zbyt na tym polu! - Pompejusz spojrział na ciało Numeriusza i głos mu zadrżał. - Ale nie pozbawię cię ochrony twoich kobiet i niewolników. Zostawię ci gladiatora w zamian za Dawusa. Hej, ty! - krzyknął do jednego ze swych ludzi, tego, który wionął na mnie czosnkiem w gabinecie. Był jeszcze większy od Dawusa i byłby odrażająco brzydki nawet bez szkaradnej blizny na policzku i złamanego nosa. - Nazywasz się Cykatriks\*, prawda?

- Tak jest, Wielki.

- Zostaniesz tutaj i będziesz pilnował dla mnie tego domu.

- Tak jest, Wielki. - Cykatriks obrzucił mnie wzgardliwym spojrzeniem.

- Gnejuszu Pompejuszu, proszę, nie czyn tego - szepnąłem.

- Taka jest moja wola, Gordianusie.

Spojrzałem na zdumione twarze Diany i Dawusa. Poczulem się, jakby na piersiach legł mi wielki kamień.

- Zginął twój krewny, Pompejuszu. To, że zdarzyło się to w moim domu, napawa mnie wstydem. Ale jak sam powiedziałaś, on jest tylko pierwszą ofiarą. Śmierć może spotkać tysiące ludzi. Cóż znaczy jedno morderstwo, kiedy wszelkie prawa są zawieszane?

- Ciągłe zadajesz pytania, Poszukiwaczu, a ja żądam odpowiedzi. Wykryj, kto zabił Numeriusza, a potem zobaczymy, jak będzie z powrotem twojego zięcia do domu.

Wraz z odchodzącym dniem z mojego ogrodu odeszli też ludzie Pompejusza, zabierając ze sobą Dawusa i ciało Numeriusza. Wielki zostawił mi narzędzie zbrodni w nadziei, że może być pomocne w śledztwie. Z trudem zmusiłem się do dotknięcia garoty.

Diana zalewała się łzami. Z domu wynurzyła się Bethesda, rzucając mi oskarżycielskie spojrzenie. Za nią pojawili się Mopsus i Androkles, trzymający za ręce małego Aulusa. Na widok paskudnego olbrzyma, którego Pompejusz zostawił w zamian za Dawusa, mój wnuk wybuchnął płaczem, wyrwał się obu chłopcom i spiesznie podreptał z powrotem do domu.



---

\* Łac, *cicatrix* - blizna



## ROZDZIAŁ 4

Do domu Cyclerona miałem niedaleko; stał przy tej samej ulicy, biegnącej samą krawędzią Palatynu. Jednak nawet na tak krótką drogę normalnie zabrałbym ze sobą Dawusa do ochrony, zwłaszcza po zmroku. Tej nocy szczególnie mi go brakowało. Wszędzie wokół czułem niepokój, jaki ogarnął miasto, które przypominało śpiącego człowieka przeżywającego senny koszmar. Z doliny u stóp wzgórza, gdzie leżało Forum, dochodził szmer wielu kroków. Otwarte place pełne były migotliwych pochodni, z tej odległości wyglądających jak fruujące bezładnie świetliki. Co tyłu ludzi mogło robić o tej porze w miejscu publicznym? Być może składają ofiary w świątyniach, pomyślałem, modląc się o pokój... szykują się do pospiesznej ucieczki... bębnią w drzwi swoich bankierów lub wykupują w sklepach resztki żywności i opału? Kiedy wyszedłem zza rogu, otworzył się przede mną widok na Kapitol. Na szczycie wzgórza przed świątynią Jowisza jaśniały płomienie rozpalonych w wielkich żelaznych koszach ognisk ostrzegających ludność, że nadciąga wroga armia.

Przed wejściem do willi Cyclerona stali dwaj strażnicy, na których nadejście siwego gościa bez choćby jednego niewolnika nie wywarło najmniejszego wrażenia. Moje stosunki z wielkim oratorem były, mówiąc ogólnie, napięte. Zażyczyłem więc sobie widzenia z jego osobistym sekretarzem, z którym zawsze byłem na bardziej przyjaznej stopie. Młodszy z wartowników poskrobał się w brodę.

- Tiro? Nigdy o takim nie słyszałem. Ale zaraz, czekaj... czy to nie ten, który zmarł, kiedy nasz pan wracał z Cylicji?

Jego kolega dostrzegł moje zaniepokojenie i roześmiał się.

- Nie zwracaj uwagi na tego durnia, obywatelu. Jest tu dopiero od paru miesięcy i na oczy nie widział Tirona, który żyje, choć jest za słaby na podróż.

- Nie rozumiem - powiedziałem. - To w końcu Tiro jest w domu czy go tu nie ma?

- Nie ma go.

- A gdzie jest?

Starszy wartownik zamyślił się.

- Jakżeż się to miejsce nazywa? To w Grecji, gdzieś nad morzem...

- Które z greckich miast nie leży nad morzem? - rzuciłem niecierpliwie.

- Zaczyna się na P...

- Pireus?

- Nie, to nie to...

- Może Patras?

- O, właśnie! Byłem przy panu, kiedy piastował godność namiestnika Cylicji, i Tiro był tam także. Zeszłego lata ruszyliśmy z powrotem do Rzymu. Pan wybrał łatwą, powolną drogę. Gdzieś w listopadzie Tiro zachorował i musiał zostać w Patras w towarzystwie jednego z niewolników. Pan zaś pociągnął dalej i w tym miesiącu dotarliśmy na miejsce, akurat na

jego urodziny.

- Znaczy, Cyclerona?

- Tak jest. To trzy dni przed nonami\* styczniowymi. Skończył pięćdziesiąt siedem lat. Tyle, ile Pompejusz, jak mówią.

- A co z Tironem?

- Pisują często do siebie z panem, ale wieści są zawsze takie same. Niby mu się nie pogarsza, ale i nie polepsza. Wciąż nie może ruszać w drogę powrotną.

- Nic o tym nie wiedziałem. To złe wieści.

- Dla Tirona? Nie sądzę. Dobrze mu tam teraz. W Patras nie brak spokoju i ciszy, to niezłe miejsce na rekonwalescencję. Ja sam nie chciałbym być teraz w Rzymie, gdybym nie miał zdrowych nóg i nie mógł w razie czego wziąć ich za pas.

- Coś w tym jest - westchnąłem.

- Chciałbyś się może widzieć z kimś innym z domowników, obywatelu?

- Nie bardzo, ale powiedz swemu panu, że Gordianus Poszukiwacz prosi o posłuchanie.

Mogłoby się wydawać, że wszelkie wcześniejsze nasze niesnaski Cycero puścił w niepamięć. Czekałem w westybulu ledwie przez chwilę, zanim wyszedł mnie przywitać. Przyjąłem jego uścisk niechętnie, zaskoczony jego serdecznością. Przyszło mi na myśl, że może jest podchmielony, ale nie wyczuwałem w jego oddechu zapachu wina. Kiedy odstał o krok, przyjrzałem mu się bacznie. Spodziewałem się ujrzeć jedno z jego mniej przyjemnych wcieleń: zadufanego nuworysza, zadowolonego z siebie przyjaciela najpotężniejszych person Rzymu, małostkowo mściwego i pamiętliwego adwersarza, lub też świętoszkowatego arbitra rzymskich cnót. Zobaczyłem zaś przed sobą tylko człowieka z obwisłymi policzkami, mocno przerzedzonymi włosami i wodnistymi oczami, który wyglądał, jakby dopiero co otrzymał najgorszą wiadomość w swoim życiu.

Gestem dał mi znak, abym szedł za nim. Nastrój w willi był odzwierciedleniem atmosfery panującej w całym mieście: panika ledwo trzymana na wodzy i gorączkowa krzątanina niewolników. Cycero zaprowadził mnie do swego gabinetu, ale i tam było jak w ulu. Służba pakowała cały księgozbiór do skrzyń.

- Nie, tu nie da się rozmawiać - rzekł przeprasząco. - Chodźmy dalej, za ogrodem jest mały pokoik, tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Pokoik okazał się komnatą urządzoną z wyjątkowym smakiem. Podłogę przykrywał miękki grecki dywan, pośrodku zaś stał trójnożny kosz z płonącymi bierwionami, oświetlający ściany ozdobione malowidłami o motywach bukolicznych: pasterze drzemiący wśród trzód, satyrowie wyglądający zza przydrożnych świątynek.

- Nigdy przedtem nie byłem w tym pokoju - zauważyłem.

- Nie? To jedno z pierwszych pomieszczeń, które Terencja udekorowała,

---

\* W rzymskim kalendarzu dni miesiąca liczone od jednego z trzech szczególnych dni: kalendy były pierwszym dniem, nony piątym (w marcu, maju, lipcu i październiku - siódmym), idy trzynastym (w marcu, maju, lipcu i październiku - piętnastym).

gdy wróciliśmy z wygnania...może pamiętasz, zawdzięczałem je Klodiuszowi... i odbudowałem spaloną przez jego bandę willę. - Cyncero uśmiechnął się smętnie. - Teraz Klodiusz obrócił się w proch, a ja wciąż trwam... jak i ty, Gordianusie. Ale po co? Aby ujrzeć, jak dochodzi do tego wszystkiego... - Zaczął nerwowo chodzić wokół paleniska, rzucającego na ściany jego drżący cień. Raptem przystanął i spojrzał na mnie pytająco. - Czy to możliwe, że od naszego pierwszego spotkania upłynęło trzydzieści lat?

- Nawet trzydzieści jeden. - Kiwnąłem głową.

- Proces Sekstusa Roscjusza. Ależ my byliśmy wówczas młodzi! I odważni, jak to zwykle bywa z młodymi, gdy jeszcze nie mają pojęcia o życiu. Ja, nikomu nie znany Marek Tulliusz Cyncero, wystąpiłem w sądzie przeciwko dyktatorowi Sulli... i wyszedłem z tego zwycięsko! Dziś się zastanawiam, jak mogłem być tak szalony. Ale to nie było szaleństwo. Dostrzegłem okropne zło i odkryłem sposób jego naprawienia. Widziałem niebezpieczeństwo, a jednak parłem naprzód, bo byłem młody i sądziłem, że mogę zmienić świat. Teraz zaś... nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek mógłbym zebrać się na taką odwagę. Obawiam się, że jestem za stary, Gordianusie. Za wiele w życiu widziałem i wycierpiałem.

W moich wspomnieniach na ów temat motywy, jakimi kierował się Cyncero, nie były aż tak czyste, jak je teraz malował; raczej zabarwione wyrachowaną ambicją. Czy był odważny? Z pewnością wtedy ryzykował... i wygrał sławę, zaszczyty i bogactwo. To prawda, że Fortuna nie zawsze się doń uśmiechała. Trafiały mu się porażki i upokorzenia, zwłaszcza w ostatnich latach, ale sam zadał innym o wiele więcej cierpień. Z jego rozkazu, kiedy był konsulem, stracono grupę ludzi bez wyroku sądu, w imię obrony państwa. Czy ktokolwiek może zajść w polityce tak wysoko jak Cyncero i zachować czyste ręce? Chyba nie. Najbardziej mnie u niego denerwował upór, z jakim przedstawiał się jako nieskalany wzór cnót i wcielenie rozumu. Nie była to tylko poza; on naprawdę tak siebie postrzegał. Jego nieprzemijająca tendencja do samousprawiedliwiania często wprawiała mnie w złość; teraz jednak, w mrocznych czasach, jakie nastąpiły dla Rzymu, kiedy wybór zawęził się do dwóch wodzów, Cyncero przestał mi się wydawać takim złym facetem.

- Możesz w to uwierzyć? - ciągnął. - Że historia się powtarza, że musimy raz jeszcze przeżywać to samo szaleństwo? Nasze życie zaczęło się od wojny domowej i wygląda na to, że tak samo się skończy. Przemija pokolenie i ludzie zapominają. Ale czy naprawdę można zapomnieć, jak było za Sulli, podczas jego wojny z przeciwnikami? Sam Rzym obleżony i zdobyty! Groza, jaka potem nastąpiła, kiedy ogłosił się dyktatorem! Ty pamiętasz, Gordianusie. Byłeś tu wtedy i widziałeś głowy na zakrwawionych tykach. Porządni, szanowani ludzie ścigani i mordowani przez łowców nagród, ich majątek skonfiskowany i za grosze oddany zausznikom Sulli, ich rodziny odarte z dziedzictwa i godności! Sulla pozbył się swych wrogów... oczyścił państwo, jak zwykł mawiać... wprowadził kilka reform, a potem wycofał się i oddał władzę senatowi. Od owego dnia aż po dzisiejszy spędziłem każdą kolejną godzinę, robiąc wszystko, aby oddalić możliwość drugiej takiej katastrofy. I na cóż się to zdało? Republika

wali się nam na głowy. Czyż to było nie do uniknięcia? Nie mogliśmy temu zapobiec?

Zaschło mi w ustach. Marzyłem o łyku wina.

- Pompejusz i Cezar mogą się jeszcze pogodzić - powiedziałem ochryple.

- Nie! - Cyncero potrząsnął głową i zaczął żywo gestykulować. - Cezar może zapewniać o dobrych intencjach i udawać gotowość do rozmów, ale to tylko pozory, aby potem mógł powiedzieć: „Uczyliem, co było w mojej mocy, żeby utrzymać pokój”. Z chwilą, kiedy przekroczył Rubikon, wszelkie nadzieje na pokojowe rozwiązanie kryzysu rozwiały się na zawsze. Na przeciwległym brzegu był legalnie mianowanym prokonsulem dowodzącym rzymskimi legionami. Kiedy przeszedł przez most, prowadząc na ziemię italską zbrojne oddziały, stał się wyjętym spod prawa agresorem. Teraz nie ma już innej możliwości, jak tylko przeciwstawić mu swoje wojska.

- Ktoś mógłby powiedzieć, że nadzieja na pokój rozwiała się już parę dni wcześniej, zanim Cezar pomyślał o Rubikonie - odparłem, wolno i starannie wymawiając słowa. - W dniu, kiedy senat uchwalił stan wyjątkowy i wydalili z miasta jego przyjaciela, Marka Antoniusza. Było to równoznaczne z ogłoszeniem Cezara wrogiem państwa. Zrobiłeś to samo z Katyliną, kiedy byłeś konsulem. Wiemy zaś, jak skończył Katylina. Czyż można winić Cezara, że poderwał swe legiony i wykonał pierwszy ruch?

Cyncero spojrzał na mnie spode łba. Dawny antagonizm między nami zaczynał się budzić z uspienia.

- Mówisz jak prawdziwy zwolennik Cezara, Gordianusie. Czy to tę stronę wybrałeś?

Podszedłem do paleniska, by ogrzać dłonie. Czas już pomówić o czymś innym, pomyślałem.

- Przykro mi z powodu choroby Tirona - powiedziałem. - Zdaje się, że wciąż przebywa w Grecji? Miałeś od niego jakieś wieści ostatnio? Lepiej mu już?

Zmiana tematu zbiła go z tropu.

- Tironowi? Skąd... Ależ oczywiście, wy dwaj zawsze byliście przyjaciółmi, nawet gdy stosunki między nami ochłodziły. Owszem, myślę, że wraca do zdrowia.

- Na co chorował?

- Na powracającą gorączkę, złe trawienie, ogólną słabość. Nie mógł opuścić łóżka, a cóż dopiero mówić o podróżowaniu.

- To przykre wieści. Musi ci go bardzo brakować, zwłaszcza w tych okolicznościach.

- Nie ma na świecie nikogo, komu ufałbym tak jak Tironowi.

Po tych słowach Cyncerona zapadła cisza, którą sam w końcu przerwał.

- Czy to chęć usłyszenia czegoś o nim sprowadza cię dziś do mnie, Gordianusie?

- Nie.

- A więc co? Przecież to nie troska o twego starego przyjaciela i protektora Cyncerona wyciągnęła cię z domu w taką noc samego, nawet bez twojego masywnego zięcia do ochrony.

- Tak, przyszedłem bez zięcia - powiedziałem cicho, przypominając sobie

wyraz twarzy Diany, kiedy ludzie Wielkiego wyprowadzali Dawusa z domu.  
- Zdaje się, że odwiedził cię dziś Pompejusz? A wcześniej jego krewniak, Numeriusz.

- Ach, ci przekłęci strażnicy! - Cycero skrzywił się gniewnie. - Za długie mają języki.

- To nie od nich wiem o tym, lecz od samego Pompejusza. Po wizycie u ciebie zaszedł do mnie. Numeriusz zrobił to samo: był najpierw u ciebie, a potem u mnie.

- I co z tego?

- Numeriusz już nie opuścił mojego domu. Został zamordowany w moim ogrodzie.

Cycero wyglądał, jakby zobaczył upiora. Jego reakcja wydała mi się wręcz przesadna; musiałem sobie przypomnieć, że mam do czynienia z zawodowym oratorem, którego mimika musi trafiać nawet do najbardziej oddalonego widza na zatłoczonym placu, nawykł zatem do bardzo ekspresyjnego wyrażania uczuć.

- Ależ to straszne! Zamordowany? W jaki sposób?

- Został uduszony.

- Przez kogo?

- Tego właśnie chciałby się dowiedzieć Pompejusz.

Cycero odchylił głowę i uniósł brwi.

- Rozumiem. Starego psa znów więc puszczono za tropem.

- I pierwszym miejscem, do którego on wie, jest twój dom.

- Jeśli sądzisz, że istnieje jakikolwiek związek między wizytą Numeriusza u mnie a... tym, co mu się przydarzyło potem, to jest to absurd.

- Niemniej byłeś jedną z ostatnich osób, z którymi rozmawiał, i być może ostatnią... oprócz mnie... która widziała go żywego. Dobrze go znałeś?

- Numeriusza? Dość dobrze.

- Z twojego tonu wnioskuję, że nie darzyłeś go sympatią.

Cycero wzruszył ramionami. Znów miałem wrażenie, że jego gest jest nader teatralny. Co on naprawdę myśli?

- Numeriusz dał się lubić. Większość ludzi nazwałaby go czarującym młodzieńcem. Był oczkiem w głowie Pompejusza.

- Po co zaszedł dziś do ciebie?

- Przyniósł mi od niego wiadomość. Brzmiała ona dosłownie tak: „Wielki opuszcza Rzym i udaje się na południe. Każdy prawdziwy zwolennik republiki uczyni to samo”.

- Wygląda to niemal na groźbę - powiedziałem. - Coś w rodzaju ultimatum.

Cycero popatrzył na mnie podejrzliwie i nie odpowiedział.

- I zaraz potem wyszedł? - spytałem.

- Nie od razu. Trochę... rozmawialiśmy, o tym, co dzieje się w mieście i podobnych sprawach. Pompejusz nie wezwał wszystkich swoich sojuszników do natychmiastowego wyjazdu. Konsulowie i część urzędników zostają jako szkieletowy rząd, aby zapobiec ostatecznemu rozprzężeniu. Skarbiec jednak będzie zamknięty, bankierzy uciekną, wszystko stanie w miejscu... - Pokręcił głową. - Tak sobie rozmawialiśmy, a potem Numeriusz odszedł.



- Był sam czy z kimś?

- Przyszedł do mnie i wyszedł sam.

- To dziwne, że tak wędrował po całym mieście w sprawach Pompejusza i nie miał z sobą choćby jednego ochroniarza - zauważyłem.

- Ty sam tak właśnie zrobiłeś, Gordianusie, i to po zmroku. Przypuszczam, że Numeriusz chciał się poruszać jak najszybciej i najsprawniej. Na pewno musiał odwiedzić wielu senatorów w całym mieście.

- Pewnie tak było - zgodziłem się. - Nie padły więc między wami żadne ostre słowa?

Cycero wbił we mnie gniewne spojrzenie.

- Może i podniosłem głos. Ci przekłęci strażnicy! Powiedzieli ci, że krzyczałem?

- Nie. A robiłeś to aż tak donośnie? O co wam poszło?

Przełknął ślinę, aż grdyka mu podskoczyła.

- A niby jak miałem się czuć, kiedy Numeriusz polecił mi opuścić miasto jeszcze przed świtem? Nie było mnie w Rzymie półtora roku, siedziałem jako namiestnik w beznadziejnej prowincji, a kiedy wreszcie wróciłem, ledwo złapałem oddech, znów każą mi się pakować i zmykać jak zając. Może podniosłem głos i trochę pokrzyczałem... Co z tego?

- Teraz też podnosisz głos, Cynceronie.

Przycisnął dłoń do piersi i parę razy głęboko odetchnął. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak zdenerwowanego; zaniepokoiło mnie to. Mimo wszystkich wad Pompejusz i Cycero, geniusz wojskowy i geniusz polityczny, reprezentowali modelowe rzymskie cechy: pewność siebie i samodyscyplinę. Obu nieobce były porażki, ale w ostatecznym rozrachunku zawsze triumfowali. Teraz jednak coś było inaczej i obaj, zdaje się, dobrze to wyczuwali. Byli ode mnie młodszy o kilka lat, ale mimo to czułem się jak dziecko, które widzi panikę rodziców. Jeśli oni stracili kontrolę, to rzeczywiście chaos musi być całkowity.

- Pompejusz robi błąd, uciekając - rzekł już spokojniej Cycero. - Jeśli Cezarowi pozwoli się wkroczyć do miasta bez oporu, włamie się do skarbcza i roztrwoni bogactwo naszych przodków, by przekupić uliczne bandy. Zwola wszystkich senatorów, którzy jeszcze pozostali... dłużników, dysydentów, podżegaczy... i będzie twierdził, że to legalna władza. Wtedy to Pompejusz i ci, którzy z nim uciekli, zostaną wyjęci spod prawa.

- Powiedziałeś to Pompejuszowi?

- Tak. Wiesz, co on na to? „Sulla mógł to zrobić, mogę i ja”. Wszystko zawsze sprowadza się do Sulli!

- Nie rozumiem.

- Sulla porzucił Rzym na pastwę swych wrogów, a potem go odbił. Pompejusz był jednym z jego wodzów. Teraz, trzydzieści lat później, jest przekonany, że może zrobić to samo, jeśli zajdzie potrzeba. Wyobrażasz sobie obleżone miasto? Zaraza, głód, pożary wymykające się spod kontroli... a potem groza podboju. - Zapatrzył się w buzujący w palenisku ogień, usiłując się uspokoić. - Już od dłuższego czasu Pompejusz jest zdecydowany odegrać rolę Sulli. Kiedy tylko pokona Cezara, powtórzy wszystkie jego działania: ogłosi się dyktatorem i przeprowadzi w senacie czystkę.

Sporządzi listę wrogów, zaczną się konfiskaty ich majątków, na Forum staną tyki z ich głowami...

- Ale z pewnością nie twoją, Cyceronie?

Próbowałem lekceważyć jego obawy, ale spojrzenie, jakie mi rzucił, było okropne.

- A niby dlaczego nie? - spytał. - Jeśli jutro będę jeszcze w Rzymie, Pompejusz nazwie mnie swym wrogiem.

- Jedź więc za nim.

- I zrobię z siebie wroga Cezara. A jeśli to on zwycięży? Już nigdy nie mógłbym wrócić. Raz zostałem wygnany z Rzymu, ale to się nie powtórzy! - Okrzyknął palenisko i stanął naprzeciw mnie. Oczy rozblęskły mu odbitym ogniem, którego migotliwe płomienie zmieniły jego twarz w ponurą maskę ze światła i cienia. - Wszyscy musimy zająć stanowisko, Gordianusie. Koniec ze sporami, koniec ze zwlekaniem. Albo jedna strona, albo druga. Ale do czego to doprowadzi? Ktokolwiek wygra, zostaniemy z tyranem na karku. To mi dopiero wybór! Ścięty, kto stanie po niewłaściwej stronie, niewolnik, kto po właściwej!

- Mówisz, jakbyś jeszcze się wahał, czy pójść za Pompejuszem, czy za Cezarem.

- Jeszcze godzina... - Cycero spuścił wzrok. - Powtarzam sobie, że jeszcze tylko godzina, a rzucę kości i zdam się na radę Fortuny.

Patrzył w podłogę, splótłszy ręce za plecami, ze zmarszczonym czołem i grymasem na ustach. Podniósł oczy, kiedy od drzwi dobiegł nas szmer. Do pokoju weszła niewolnica i szepnęła mu coś do ucha.

- Żona mnie wzywa, Gordianusie. Biedna Terencja! Czy mam ją tu zostawić, by pilnowała domu, czy zabrać ze sobą? A co z moją córką? Kiedy siedziałem w Cylicji, Tullia wyszła za tego utracjusza Dolabelle. Młody głupiec tkwi obiema nogami w obozie Cezara i będzie robił wszystko, by i ją tam przeciągnąć. A ona na dobitkę jest w ciąży. W jakimże świecie przyjdzie się narodzić mojemu wnukowi! A syn? Marek kończy w tym roku szesnaście lat. Kiedy przyjdzie czas, by włożył męską togę, czy będziemy w Rzymie na tej ceremonii? Na Herkulesa, nie wiem, czy chociaż w Italii! - zakrzyknął, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Niewolnica pospieszyła za nim, a ja zostałem sam. Wziąłem głęboki oddech. Podszedłem do paleniska, by się ogrzać, przyglądając się ściennym malowidłom. Zafascynowała mnie twarz jednego z pasterzy, przypominała mi Belbona, mojego dawnego ochroniarza, który zginął z ręki rabusiów podczas kłodiańskich zamieszek. Podniosłem oczy na sufit, gdzie czarny krąg sadzy na przemian jaśniał i ciemniał w niespokojnym blasku płomieni. Po chwili przeniósłem uwagę na dywan, przesuwając dużym palcem nogi wzdłuż geometrycznego wzoru. Samotny i zapomniany w obcym domu poczułem, jak ogarnia mnie dziwna niemoc, nie dająca mi wyjść. Była to pierwsza spokojna chwila, jakiej zaznałem przez cały dzień, i nie chciałem jej stracić. Być opuszczonym i zapomnianym przez świat, zupełnie, prawdziwie sam, bez obaw i zobowiązań... Oddałem się przelotnej fantazji, wyobrażając sobie taki stan, delektowałem się nią, zanurzałem w nią niczym w ciemną, mroczną, kojącą wodę. Rozważałem w myślach dylemat Cycerona. Pompejusz i Cezar nie tylko państwo rozdierali na pół, ale i

rodziny. Niełatwo podzielić Rzym na dwie wyraźne frakcje. To miasto stanowi beznadziejną plątaninę więzów krwi, na którą nakładają się i z nią przeplatają koneksje polityczne, matrymonialne, przetykane kwestiami honorowymi i stosunkami dłużnymi. Jak rozciąć taką misterną sieć, nie niszcząc jej przy tym zupełnie? Ile domów rzymskich było tej nocy lustrzanym odbiciem domu Cyncerona, z domownikami miotającymi się w niezdecydowaniu? Nie mogąc ujrzeć przyszłości, który z mężów może być pewien swego wyboru? Wszystko sprowadzało się do jednego: człowiek może mieć na przykład córkę, która wybrała męża wbrew ojcowskiemu rozsądkowi, a on, intruz z zewnątrz, może mieć powiązania - jak Dolabella z Cezarem albo Dawus z Pompejuszem - które w końcu mogą się okazać zgubne dla całej rodziny. Moja Diana i Tullia Cyncerona; my je spłodziliśmy, a teraz straciliśmy nad nimi kontrolę, przekonaliśmy się, jacy byliśmy próżni, sądząc, że jesteśmy zdolni planować własną przyszłość. W końcu zmusiłem się do opuszczenia przytulnego pokoju. Zdążając ku wyjściu, minąłem kilku spieszących się gdzieś niewolników, ale żaden nie zwrócił na mnie uwagi, tylko odźwierny w westybulu podniósł sztabę i otworzył przede mną drzwi.

Na ulicy panował większy ruch niż przedtem. W obie strony ciągnęły sznury wózków i lektyk, samotnych posłańców i niewolników z pochodniami. Palatyn był domem wielu z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Rzymie, którzy mieli najwięcej do stracenia... albo do zyskania... gdyby doszło do wojny domowej. Decyzja Pompejusza, by opuścić miasto, była dla tej dzielnicy jak kij wsadzony w mrowisko.

Przed drzwiami Cyncerona wciąż pełnili straż ci sami dwaj niewolnicy. Przesunęli się nieco na stronę, gdzie pień dużej morwy zasłaniał ich trochę przed przechodniami. Przeszło mi przez myśl, aby poprosić jednego z nich o odprowadzenie mnie do domu - tej dość często świadczonej uprzejmości Cyncero na pewno by mi nie odmówił - ale się rozmyśliłem. Niechcący co prawda, ale i tak już ściągnąłem na nich kłopoty, kierując na nich podejrzenia ich pana. Skoro jednak mieli tak długie języki, jak zdawał się myśleć Cyncero, byłoby głupotą nie spróbować ich za nie pociągnąć.

- Szalona noc... - zagadnąłem, przystając przy nich.

- I na ulicy, i w domu - podchwycił zaraz jeden.

- W domu?

- Czyste wariactwo, panie. I to przez cały dzień. Cieszę się, że wypadła mi ta warta, choć jest zimno.

- Zdaje się, że doszło do jakiejś kłótni?

- Hmm... - Niewolnik się zawahał.

- Wasz pan sam mi o niej powiedział.

To rozwiąło jego wątpliwości.

- Najwięcej krzyczał on sam, panie.

- To było podczas wizyty tego Numeriusza, krewniaka Pompejusza?

- Tak jest.

- A on często tu wcześniej zachodził?

- Parę razy, odkąd pan wrócił do Rzymu. - Niewolnik wzruszył ramionami.

- No, to musiała być niezła awantura, skoro aż tutaj było ich słychać.

Strażnik pochylił głowę i zniżył głos.

- Zabawna rzecz, panie, jak dźwięki z ogrodu jakoś przenoszą się ponad dachem i lądują tu, przed frontowymi drzwiami. Mówią, że taka akustyka czy jakoś tam. To miejsce pod morwą jest jak ostatni rząd w teatrze Pompejusza. Jest się za daleko, żeby widzieć scenę, ale za to słycać każde słóweczko!

- Każde?

- No, może co drugie.

- Na przykład...?

Starszy niewolnik, który do tej pory ze mną rozmawiał, zmarszczył brwi, jakby się zorientował, że chcę od nich wyciągnąć informacje, ale za to młodszy się rozochocił i przejął pałeczkę.

- Takie jak „zdrajca” - powiedział. - I „tajemnica”, i „kłamca”... „twój dług u Cezara”... i „co ja powiem Pompejuszowi?”

- Czy mówił to Cycero, czy Numeriusz?

- Trudno powiedzieć, obaj się przekrzykiwali. Powiedziałbym jednak, że głos pana lepiej dochodził, pewnie przez jego praktykę.

Biedny Cycero... zdradzony przez własne mistrzostwo oratorskie.

- Ale kto co mówił? Kto użył słowa „zdrajca”? Kto jest winien pieniądze...

Starszy strażnik postąpił o krok naprzód, szorstko odsuwając młodszego łokciem.

- Wystarczy tych pytań.

- Byłem tylko ciekawy. - Uśmiechnąłem się.

- Jeśli chcesz się, panie, dowiedzieć więcej, zapytaj naszego pana. Mam cię znów zaanonsować?

- Nie, zabrałem już Cycleronowi zbyt wiele cennego czasu.

- A zatem...

Jego sztywna broda otarła mi się o policzek, kiedy bezceremonialnie pchnął mnie dalej na ulicę.

- Jeszcze tylko ostatnie pytanie - poprosiłem. - Numeriusz przyszedł tu sam i sam odszedł. Tak mi powiedział wasz pan. Ale czy tak było naprawdę? Nie zauważyliście, by ktoś się tu kręcił, kiedy on rozmawiał z Cycleronem? Albo by ktoś się do niego przyłączył, kiedy stąd wychodził... a może zaczął go śledzić?

Strażnik nie odezwał się ani słowem. Jego towarzysz stanął przy nim i obaj naparli na mnie, tak że omal nie wpadłem pod koła załadowanego wózka, pchanego przez dwóch niespokojnych niewolników. Wózek skręcił ostro, ledwie mijając niesioną przez tragarzy lektykę, która przechyliła się gwałtownie, niemal wyrzucając swojego pasażera, tłustego, łysego kupca obwieszzonego chyba wszystkimi posiadanymi klejnotami i błyskotkami. Zapewne uciekał z miasta i nie chciał zostawić niczego, co przedstawia choćby skromną wartość.

Ten drobny karambol odwrócił ode mnie uwagę niewolników Cyclerona. Cofnęli się i patrzyli przez chwilę na zamieszanie, po czym znów ruszyli w moją stronę. Nie cofnąłem się i zmierzyłem ich wzrokiem. Sytuacja nagle wydała mi się komiczna, jak pantomima w teatrze. Emanująca ze strażników groźba była tylko na pokaz. Byli jedynie przerośniętymi chłopcami w

porównaniu z brutalem, którego ulokował w mym domu Pompejusz. Odetchnąłem głęboko i uśmiechnąłem się, co zbiło ich z tropu. Na odchodnym zobaczyłem jeszcze, jak starszy z nich trzepnął młodszego w kark, burcząc: „Ty paplo!”

Jego towarzysz skulił się lekko i nic nie odpowiedział.

Droga biegnąca krawędzią Palatynu jest szersza od większości rzymskich ulic. Dwie lektyki mogą się na niej swobodnie minąć, zostawiając jeszcze po obu stronach dość miejsca dla pieszych. Taki tłok jest tu oczywiście rzadkością; droga jest jedną z mniej uczęszczanych, prowadzi między rzędami dużych willi, wysoko nad przepelnionym Forum Romanum i pobliskimi rynkami. Tej jednak nocy rojno tu było od ludzi i pojazdów; ciemności rozpraszał blask chyba setek pochodni. W ich świetle widziałem same nieszczęśliwe twarze: oszołomionych obywateli w popłochu opuszczających miasto, zmęczonych niewolników dźwigających ciężkie ładunki, zdeterminowanych posłańców przebijających się przez tłum. Kilkakrotnie miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Kiedy jednak odwracałem się, by to sprawdzić, zamieszanie na ulicy uniemożliwiło mi orientację. No tak, powiedziałem sobie, już nie ten wzrok i słuch. Byłem szalony, decydując się na wyjście z domu w taką noc bez ochrony.

Dotarłem do swoich drzwi i raz jeszcze rozejrzałem się dookoła. Coś zwróciło moją uwagę na jednego z przechodniów; jego sylwetka i chód wydały mi się znajome, jak to czasem bywa, gdy kątem oka lub z oddali zauważymy starego przyjaciela. Mężczyzna zawrócił, zanim zdążyłem mu się dobrze przyjrzeć, i szybkim krokiem ruszył w kierunku, z którego właśnie przyszedłem, znikając natychmiast w tłumie.

Mógłbym przysiąc na Minerwę, że człowiekiem, którego przed chwilą widziałem, był sekretarz Cyclerona, Tiro, ponoć wciąż przebywający w Grecji i zbyt chory, aby wstawać z łóżka.





## ROZDZIAŁ 5

Miałem niespokojną, bezsenną... i zimną noc. Zabrakło mi ciepła Bethesdy, która położyła się spać w pokoju Diany. Podejrzywałem, że jej wyprowadzka z małżeńskiego łóża miała tyleż wspólnego z chęcią pocieszenia naszej córki, co z zamysłem ukarania mnie: skoro Diana musi się obejść bez towarzystwa małżonka (w domyśle - przeze mnie), mogę i ja. Wstawałem kilka razy, by skorzystać z toalety i przejść się po domu. Z pokoju Diany długo w noc dobiegał szmer ich cichej rozmowy, a czasem szloch.

Nazajutrz rano, jeszcze zanim się ubrałem i zjadłem śniadanie, a nawet zanim dopadło mnie pierwsze tego dnia ganiące spojrzenie Bethesdy, która nie wyszła jeszcze od Diany, przed drzwiami stanął czyjś niewolnik z listem. Mopsus wbiegł do mojej sypialni bez pukania i wręczył mi woskową tabliczkę. Przetarłem oczy i przeczytałem:

*Jeśli jesteś jeszcze w Rzymie i ten list do ciebie dotarł, błagam, abyś niezwłocznie do mnie przyszedł. Posłaniec wskaże ci drogę. Nie znamy się; jestem Mecja, matka Numeriusza Pompejusza. Proszę, przyjdź jak najszybciej.*

Niewolnik rzeczywiście czekał przed domem. Wyszedłem do ogrodu, jeszcze w nocnej koszuli, i zacząłem chodzić tam i z powrotem u stóp posągu Minerwy, co chwila zerkając na nią ukradkiem. Bywały dni, że „odpowiadała” mi spojrzeniem, ale nie dziś. W końcu co dziewicza bogini może wiedzieć o matczynej żalobie? Brzuch miałem pusty, ale nie czułem apetytu. Zadrżałem z zimna i otuliłem się szczelniej wełnianą koszulą; w pewnym wieku krew człowiekowi zaczyna rzednąć, aż w końcu jest jak letnia woda. Wróciłem wreszcie do sypialni. Zdecydowałem, że dla okazania szacunku zmarłemu i jego matce nałożę najlepszą togę. W ten sposób zademonstruję również każdemu, kogo napotkam, że przynajmniej Gordianus zajmuje się swoimi sprawami spokojnie jak zawsze.

Otworzyłem skrzynię, z której wionął na mnie zapach cedrowych wiórów mający odstraszać mole. Nie ma chyba nic żałośniejszego niż toga nadgryziona przez te żarłoczne owady. Moja była jeszcze nietknięta od ostatniego farbowania: biała jak jagnię, równiutko złożona i luźno przewiązana sznurkiem. Wezwałem Mopsusa i Androklesa, by pomogli mi się ubrać. Zazwyczaj to Bethesda asystowała mi przy nakładaniu togi, w czym nabrała takiej wprawy, że ten skomplikowany proces przebiegał bezproblemowo. Obaj chłopcy pomagali mi już kilkakrotnie, ale wciąż mieli o tym zaledwie mgliste pojęcie. Słuchając moich instrukcji, zarzucili mi prostokątną płachtę wełnianej tkaniny na ramiona, owinęli ją pierś i usiłowali udrapować. Wyglądało to tak, jakby w sypialni było nas czworo: ja, dwaj mali niewolnicy i bardzo krnąbrna toga, zawzięcie starająca się nas pokonać. Gdy tylko udało się ułożyć kolejną fałdę, inna się wymykała z pozycji. Chłopcy zaczęli się niecierpliwić i docinać sobie nawzajem. Zamknąłem oczy, napominając się, by zachować spokój i nie podnosić

głosu.

W końcu byłem gotowy. Zmierzając do wyjścia, natknąłem się na małżonkę wychodzącą z pokoju Diany. Obrzuciła mnie od stóp do głów chłodnym spojrzeniem, jakbym nie miał prawa przyodziewać się tak elegancko, kiedy życie mojej córki legło w gruzach. Jej rozpuszczone włosy wisiały w splątanych kosmykach; najpewniej nie spała tej nocy lepiej ode mnie. Mimo to dla mnie wyglądała w tej chwili pięknie. Czas jeszcze nie zdołał zgasić blasku jej ciemnych oczu. Być może Bethesda czytała w moich myślach, gdyż przystanęła, aby musnąć mi wargami policzek w przelotnym pocałunku i szepnąć do ucha: „Uważaj na siebie!”

W westybulu spotkałem Cykatriksa. Olbrzym stał oparty plecami o drzwi frontowe, leniwie drapiąc się po szkaradnej bliźnie na twarzy. Popatrzył na mnie impertynencko, po czym odsunął się na bok, by mnie przepuścić. Odchrząknąłem.

- Nikogo nie wpuszczaj pod moją nieobecność - poleciłem mu. - Możesz przyjmować rozkazy wyłącznie od mojej żony i córki. Rozumiesz?

Kiwnął powoli głową.

- Rozumiem, że mam pilnować tego domu dla mojego pana, Wielkiego. - Uśmiechnął się do mnie, a mnie ciarki przeszły po plecach.

Kiedy wyszedłem na ulicę, gdzie czekał na mnie posłaniec Mecji, wyszeptalem krótką modlitwę do Minerwy, błagając o opiekę nad moją rodziną.

- Dokąd idziemy? - spytałem niewolnika, wysokiego i postawnego mężczyznę.

- O, tam. - Wskazał palcem gdzieś za Forum, w stronę Eskwilhiu.

Podejrzywałem, że jest nieco ograniczony. Moźni ludzie często wolą wybierać na posłańców co głupszych niewolników, którzy nie są zdolni nauczyć się czytać, jako że tylko takim można ufać, iż tego nie zrobią.

Ulica na krawędzi wzgórza była dzisiaj tak samo zatłoczona jak poprzedniego dnia. Przedarliśmy się na drugą stronę, lawirując między wózkami i lektykami, po czym skierowaliśmy się ku Pochylni, by jak najszybciej dostać się na Forum. I ta droga była jednak przepelniona; ludzie szli ściśnięci ramię przy ramieniu i nie było mowy, by jakkolwiek pojazd mógł się tędy przedostać. Zejście było powolne i uciążliwe. Tłum zepchnął nas pod skalną ścianę, zasłaniając widok na Forum. Ludzie tłoczyli się, potracali, deptali sobie po nogach, słychać było okrzyki bólu i obelgi. Dochodziło nawet do bójek.

Kiedy zeszliśmy do podnóża Palatynu, tłok zgęstniał tak, że przywiódł mi na myśl stado owiec pędzonych ciasnym przejściem. Pochylnia zwięzła się tutaj jeszcze bardziej i skręcała ostro w prawo, pomiędzy masywny mur domu westalek i świątynię Kastora i Polluksa. Ścisk zaczynał się robić niebezpieczny. Gdzieś z tyłu usłyszałem przenikliwy krzyk kobiety. Panika jak gwałtowna fala przyływu ogarnęła tłum, który nagle rzucił się przed siebie w opętańczym pędzie. Ścisnąłem rękę posłańca. Obejrzał się przez ramię, wyszczerzył zęby w głupim uśmiechu i pociągnął mnie naprzód, niemal unosząc w powietrze. Wokół nas kłębiło się morze twarzy. Ludzie krzywili się z bólu, krzyczeli, jęczeli. W oczach niektórych widać było dziki



strach, inni patrzyli tępo przed siebie, jakby nie rozumieli, co się z nimi dzieje. Ze wszystkich stron byłem popychany, potrącany, uderzany łokciami i wymachującymi rękami. Czułem się bezsilny jak kamyk w lawinie.

I nagle dróżka wpadła na otwartą przestrzeń Forum. Niewolnik pociągnął mnie za sobą za róg budynku. Potykając się, weszliśmy na stopnie schodów świątyni Kastora i Polluksa. Usiadłem i otwartymi ustami łapczywie chwytalem powietrze.

- Mogli nas zdeptać na śmierć - zauważył niewolnik.

Tym oczywistym stwierdzeniem przypomniał mi Dawusa. Patrzyliśmy, jak ludzie wylewają się z wąskiego przejścia na plac, oszołomieni i wstrząśnięci, wielu ze łzami w oczach. W końcu nurt tej ludzkiej rzeki zwolnił i opadł, a ci, którzy wyłaniali się zza rogu na końcu, wydawali się zupełnie nieświadomi, że przed ich nadejściem działo się cokolwiek niezwykłego.

Gdy tylko udało mi się wyrównać oddech, ruszyliśmy w dalszą drogę. Nad Forum unosiła się aura nierealności, jakby kontynuacja koszmaru na Pochylni. Miałem wrażenie, że mijamy serię scen teatralnych ustawionych przez jakiegoś obłąkanego reżysera. Ludzie wbiegali i wybiegali ze świątyń, machając świecami wotywnymi i wzywając opieki bogów. Zbite w gromadki rodziny żegnały się ze sobą, trzymając się za ręce i płacząc, niektórzy nawet klękali, by ucałować ziemię, a wysiadający na murach mali ulicznicy rzucali w nich kamieniami i wulgarnymi uwagami. Gniewny tłum zebrany przed bankami i kantorami również obrzucał kamieniami zamknięte na głucho drzwi. Przygnębione kobiety kręciły się między opustoszałymi straganami, wymiecionymi do czysta przez spekulantów i tych, którzy wcześniej gromadzili zapasy żywności. Najdziwniejsze jednak było to, że ludzie zdawali się niemal nie zauważać nawzajem. Każdy był jakby zamknięty w klatce swej osobistej tragedii, dla której panika innych stanowiła jedynie tło.

Nie wszyscy jednak opuszczali Rzym. Do miasta ciągnęły całe karawany uchodźców ze wsi. Jedna z plotek głosiła, że Cezar jest nie dalej niż o godzinę marszu od rogatek, prowadząc armię dzikich Galów, którym obiecał pełne prawa; za jednego zabitego Rzymianina jeden Gal miał się stać obywatelem, aż cała męska populacja zostanie zastąpiona przez oddanych Cezarowi barbarzyńców.

Wśród tego ogólnego rozgardiaszu mój wzrok nagle przykuło pojawienie się oficjalnego pochodu urzędników miejskich odzianych w senatorskie togi z purpurowymi pasami - były to zresztą jedyne poza moim formalne stroje, jakie zauważyłem tego dnia. Cały orszak sunął przez Forum niezwykle szybkim krokiem, poprzedzany przez dwunastu liktorów niosących na ramieniu fasces - ceremonialne wiązki różeg, zwanych też liktorskimi. Dwunastu liktorów oznaczało, że jest to orszak konsularny; i rzeczywiście, wśród senatorów dostrzegłem dwóch od niedawna piastujących tę godność konsulów, Lentulusa i Marcellusa. Mieli ponuro zaciśnięte szczęki, ale przy tym rozbiegane oczy; wyglądali jak króliki gotowe pierzchnąć do najbliższej nory na pierwszy głośniejszy dźwięk.

- Ciekawe, o co tu chodzi? - zastanawiałem się na głos.

- Wyszli ze świątyni Larów - odpowiedział posłaniec Mecji. - Widziałem,

jak tam wchodzi, kiedy szedłem do ciebie, panie. Mówią, że odbywała się tam specjalna ceremonia. Oddania się w opiekę czy jakoś tam. Błagali bóstwa domowe, by czuwały nad miastem, kiedy konsulowie wyjadą.

- Tylko jeden z nich może opuścić Rzym - poprawiłem go, pamiętając, że nie jest zbyt bystry. - Jeden może się udać na przykład w pole na czele armii, ale drugi pozostaje, by sprawować rządy.

- Może i tak, ale tym razem wyjeżdżają obaj, panie.

Spojrzałem jeszcze raz na Lentulusa i Marcellusa i wiedziałem już, że chłop ma rację. Byli konsulami krócej niż miesiąc, ale to może być ich ostatnie oficjalne przejście przez Forum; stąd też te zaciśnięte szczęki, strach w oczach i nietypowa szybkość przemarszu. Konsulowie porzucają Rzym! Państwo zostawia na pastwę losu swój lud! Za parę godzin... tyle, ile trzeba obu dostojnikom na dotarcie do domów i dołączenie do szalonego exodusu... miasto zostanie bez rządu.

Dom Mecji stał w dzielnicy Carinae, w dolnej części zboczy Eskwilinu, gdzie sporo nieruchomości pozostawało przez całe pokolenia w rękach rodu Pompejuszów. Prywatna posesja samego Wielkiego też znajdowała się w tej okolicy. Stojący przy bocznej uliczce dom Mecji - nie tak okazały - był świeżo pomalowany w jasne odcienie żółci i błękitu, i tylko czarny wieniec wiszący na żółtych drzwiach stanowił rzucający się w oczy dysonans. Niewolnik zapukał stopą, jak nakazuje dobry obyczaj. Ktoś przyjrzał się nam przez wizjer, a potem drzwi się otworzyły. Przekraczając próg, zebrałem się w sobie, wiedząc, jaki czeka mnie widok. Tuż za westybulę, oświetlone wpadającym z atrium światłem dziennym, leżały na marach zwłoki Numeriusza, skierowane stopami ku drzwiom. Zapach świeżo ściętych zielonych gałęzi mieszał się z odurzającą wonią kadzidła tłącego się w stojącym obok żelaznym koszu. Szarość poranka nadawała bieli todze Numeriusza i odcień kości słoniowej jego woskowej cerze.

Zmusiłem się, by podejść bliżej i przyjrzeć się jego twarzy. Ktoś zrobił kawał dobrej roboty, usuwając z niej ów straszny grymas. Balsamiści czasami łamią trupowi szczękę lub wypychają policzki, by uzyskać pożądaną efekt. Nie wiem, do jakich sposobów się uciekli tym razem, ale Numeriusz zdawał się niemal uśmiechać, jak gdyby śnił jakiś przyjemny sen. Jego togę udrapowano tak, by zasłonić sine znaki na szyi. Ja jednak ujrzałem go w pamięci takiego, jakiego go znalazłem, i musiałem zacisnąć szczęki.

- Czy to tak przykry widok?

Podniosłem wzrok. Przed sobą ujrzałem rzymską matronę w czerni. Włosy miała rozpuszczone, a twarz bez makijażu, ale miękkie światło wpadające przez okno w dachu było dla niej łaskawe. Przez chwilę myślałem, że może to siostra Numeriusza, ale po dokładniejszym przyjrzeniu zorientowałem się, że to matka.

- Myślę, że wygląda raczej pogodnie - odrzekłem.

Skinęła głową.

- Ale wyraz twojej twarzy... Chyba sobie przypomniałeś, jak wyglądał, kiedy go znalazłeś martwego. Ja zobaczyłam go, oczywiście, znacznie później... kiedy Pompejusz dopilnował, żeby nadawał się do oglądania. To

było uprzejme z jego strony, tak zadbać o uczucia matki, kiedy ma tyle ważniejszych spraw na głowie. Czy on tak okropnie wyglądał?

Przez chwilę zastanawiałem się, jak ułożyć odpowiedź.

- Twój syn... - zacząłem i urwałem. Pokręciłem głową. - Im jestem starszy, tym więcej mam do czynienia ze śmiercią, ale tym trudniej mi przychodzi na nią patrzeć.

- A w nadchodzących dniach będziemy jej widzieć wiele - dodała. - Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Chyba wiesz, o co mi chodzi? Czy on wyglądał, jakby... dużo cierpiał? Jakby ostatecznie jego myśli wypełniała groza tego, co się z nim dzieje?

Skóra ścierpła mi na karku. Jak tu odpowiedzieć na takie pytanie? By uniknąć jej wzroku, spojrzałem na Numeriusza. Czemu ona nie chce się zadowolić tym, jak wygląda teraz, i takim go zapamiętać, z zamkniętymi oczami i pogodnym wyrazem twarzy?

- Widziałam siniaki na jego szyi - rzekła cicho. - I jego dłonie... Nie mogli ich do końca rozprostować. Wyobrażam go sobie z tą rzeczą zaciśniętą na gardle, jak usiłuje palcami rozluźnić jej śmiertelny chwyt. Wyobrażam sobie, co musiał czuć, jakie myśli gonily mu po głowie. Staram się o tym nie myśleć, ale nie mogę tego opanować.

Patrzyła na mnie bez jednego mrugnięcia. Oczy miała czerwone od płaczu, ale nie było w nich łez, a głos miała spokojny. Stała wyprostowana, ze splecionymi na podołku rękami.

- Nie musisz się obawiać, że padnę z płaczem na podłogę. Nie mam zwyczaju drzeć sobie włosów z głowy, zwłaszcza przed obcymi. - Uśmiechnęła się gorzko. - Wszyscy mężczyźni tego domu uciekli, poza niewolnikami. Zostawili mnie samej pochowanie Numeriusza.

- A twój mąż?

- Umarł dwa lata temu. Mówiąc o mężczyznach domu, mam na myśli dwóch młodszych braci Numeriusza i jego wuja Mecjusza. Mój brat wprowadził się, by prowadzić dom, kiedy zostałam wdową. Teraz wszyscy trzej uciekli z Pompejuszem, a ja zostałam z tym sama. Wiedzą, że dam sobie radę. Widzieli, jaka byłam silna przy śmierci męża i przez wszystkie dni od tamtej pory. Przed niczym się nie wzdragam i nie uchylam, i z tego jestem znana. Jestem wzorem rzymskiej matrony. Widzisz więc, że skoro pytam, jaki był koniec mojego syna... a pytam dlatego, że stało się to w twoim domu, w twojej obecności, któż więc inny miałby mi to powiedzieć?... nie możesz unikać odpowiedzi w obawie, że się rozplaczę i będziesz musiał znosić moją histerię. Musisz mi odpowiedzieć jak mężczyźnie.

Mówiąc to, stopniowo przysuwała się do mnie i teraz stanęliśmy twarzą w twarz. Syn odziedziczył po niej urodę. Rozpuszczone włosy spływały po obu stronach jej twarzy ciemnymi, lśniąco-ciemnymi pasmami; czarna suknia podkreślała kremową karnację jej szyi i delikatny róż policzków. Zielone oczy wpatrywały się we mnie z niepokojącą intensywnością. Nie dałoby się o niej myśleć jak o mężczyźnie...

- Na pewno Wielki powiedział ci wszystko, co trzeba - odparłem. - To jego obowiązek jako kuzyna chłopaka i twojego krewniaka...

- Pompejusz powiedział mi to, co trzeba... według niego. Dowiedziałam

się, że Numeriusza uduszono, że musiał zostać zaskoczony od tyłu, kiedy osłabił czujność, bez szansy obrony. Według Pompejusza oznacza to, że śmierć była szybka i... nie tak strasznie bolesna.

Może i nie, pomyślałem. Czy Mecja naprawdę oczekuje ode mnie potwierdzenia jej najgorszych obaw? Mam jej powiedzieć, że człowiek duszony garotą, nie mogąc się wyswobodzić, może jeszcze walczyć z nieuniknionym stosunkowo długo, dla niego pewnie jak wieczność? Naprawdę chce rozważać, o czym Numeriusz mógł myśleć i co czuć w tych ostatnich, naznaczonych paniką chwilach życia?

- Pompejusz powiedział ci... prawdę.

- Ale bez żadnych szczegółów - odparła. - Kiedy nalegałam... wiesz chyba, jaki on jest. Kiedy Wielki nie ma już nic do powiedzenia, nic nie zostanie powiedziane. Ale ty tam byłeś, ty znalazłeś mojego syna. Ty zobaczyłeś...

- Zobaczyłem młodego człowieka leżącego w moim ogrodzie u stóp posągu Minerwy.

- I narzędzie zbrodni.

Pokręciłem energicznie głową.

- Nie naciskaj, Mecjo.

- Powiedz mi, proszę!

Westchnąłem.

- To była garota. Prosty przyrząd, który nie służy do niczego innego poza zabijaniem.

- Pompejusz mówił, że zostawił ją tobie, bo może ci się przydać w śledztwie. Nawet sobie nie wyobrażam, jak takie coś wygląda.

- To kij długości mojego przedramienia, ale nie tak gruby, z otworami wywierconymi na obu końcach. Trochę dłuższy kawałek mocnego sznura przewleka się przez te otwory i zawiązuje supeł, aby się nie wysunął z powrotem.

- Jak to działa?

- Proszę, Mecjo...

- Mów!

- Zarzucasz sznur człowiekowi na szyję, po czym zaciskasz go przez kręcenie kijkiem.

- Pompejusz mówił, że morderca zostawił to na nim.

- Są sposoby na umocowanie kija sznurem tak, by ofiara nie mogła go zdjąć.

Kobieta dotknęła kremowej skóry na własnej szyi.

- Widziałam ślady. - Tym razem jej oczy błyszczały od łez. - Teraz rozumiem. Kiedy go znalazłeś z tą garotą na szyi, jak wyglądała jego twarz?

Spuściłem oczy.

- Tak samo jak teraz.

- Ale nie chcesz mi spojrzeć w oczy, kiedy to mówisz. A mógłbyś popatrzeć na mojego syna?

Usiłowałem zmusić się do zerknięcia na Numeriusza, ale nie mogłem.

- Musiał wyglądać strasznie, skoro zrobiło to takie wrażenie na mężczyźnie z twoim doświadczeniem.

- Tak, niełatwo było na niego patrzeć.

Zamknęła oczy. Rzęsy jej zwilgotniały, zamrugła więc kilkakrotnie, aż się pozbyła łez.

- Dziękuję ci. Musiałam się dowiedzieć, jak umarł. Teraz mogę przejść do pytania: dlaczego? I z czyjej ręki? Pompejusz mówi, że zarabiasz na życie, odpowiadając na takie pytania.

- Tak było.

- Powiedział też, że nam pomożesz.

- Nie dał mi wyboru - odrzekłem.

Uniosła brwi. No tak, ona nie zadowoli się niepełną odpowiedzią, pomyślałem.

- Czyż Wielki nie powiedział ci, że zmusił mnie do przyjęcia tego obowiązku?

- Nie. Nigdy nie pytam go o metody, jakimi się posługuje. Więc jak, pomożesz nam?

Pomyślałem o Dawusie i Dianie oraz o Cykatriksie „pilnującym” mojego domu.

- Zrobię, co muszę, żeby zadowolić Pompejusza - odrzekłem.

Mecja skinęła głową.

- Jest jeszcze coś... - Zawahała się. - Coś, o czym nie mogłam powiedzieć Pompejuszowi.

- Jakaś tajemnica? Wszystko, co powiesz, może trafić do jego ucha. Nie mogę obiecać, że nie.

- Jeśli coś miałyby się wydać, Numeriusz i tak już poniósł konsekwencje.

- Mecja wzruszyła niepewnie ramionami. - Nie wiem nawet, czy to coś ważnego. Ot, matczyne podejrzenia...

- Co masz na myśli?

- Między Numeriuszem i Pompejuszem nie było tak dobrze, jak by się mogło wydawać.

- Twój syn był jednym z faworytów Wielkiego, prawda?

- Tak, Pompejusz bardzo go lubił, a on odpłacał mu lojalnością. Ale w ostatnich miesiącach... - Mecja sama poruszyła ten temat, ale najwyraźniej niechętnie o tym mówiła. - Ostatnio... w miarę jak sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, a debaty w senacie coraz ostrzejsze... kiedy stało się jasne, że może dojść do wojny i to wkrótce... Zaczęłam myśleć, że Numeriusz może nie być tak lojalny wobec Pompejusza, jak wszyscy sądziliśmy.

- Cóż wywołało te wątpliwości?

- On był w coś zamieszany. Trzymał to w tajemnicy. Były też pieniądze...

- Tajemnice i pieniądze. Chcesz powiedzieć, że był szpiegiem?

- Szpiegiem albo czymś gorszym.

Teraz to ona nie mogła patrzeć mi w oczy ani też na mary, na których spoczywało ciało jej syna.

- Co to znaczy? - spytałem łagodnie.

- Znalazłam w jego pokoju szkatułkę pełną złotych monet, tak ciężką, że nie mogłam jej unieść. Nie jesteśmy i nigdy nie byliśmy bogaci, pomimo naszych koligacji z Pompejuszem. Nie mogłam się domyślić, skąd u Numeriusza tyle pieniędzy.

- Kiedy to było?

- Jakiś miesiąc temu. Pamiętam, że tego dnia jeden z trybunów... pies

łańcuchowy Cezara, Marek Antoniusz... wygłosił w senacie tę okropną mowę przeciw Pompejuszowi, ośmieszając całą jego karierę, domagając się amnestii dla wszystkich przestępców politycznych wygnanych z miasta wskutek jego reform. Mówił, że „każdy uczciwy, a wygnany Rzymianin musi wrócić i odzyskać swój majątek, choćby kosztem wojny!” Widzisz? Nawet kobieta może nadążać za polityką.

- I to lepiej od wielu mężczyzn, jestem pewien - przytaknąłem. - Ale co z tym złotem?

- Tamtego wieczoru zapytałam syna, skąd je ma. Zaskoczyłam go tym, był bardzo zmieszany. Nie chciał odpowiedzieć, a gdy nalegałam, potraktował mnie... ostro. To wtedy się zorientowałam, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Nigdy się nie kłóciliśmy, byliśmy sobie bardzo bliscy. A po śmierci męża... Numeriusz przypominał mi go najbardziej spośród moich synów. To, że miał przede mną tajemnice, bardzo mnie zabolowało i zaniepokoiło. W mieście wrzało, a on skądś zdobywał pieniądze i odmawiał wyjaśnień, zachowując się jak winny, kiedy go o to zagadnęłam...

- Winny?

- Powiedział, że Pompejusz nie może się o tym złocie dowiedzieć. Widzisz więc, że to nie od niego je dostawał. Od kogo zatem? I dlaczego miało to być ukrywane przed Pompejuszem? Powiedziałam mu, że mi się to nie podoba. Zarzuciłam mu, że wplątał się w coś niebezpiecznego.

- I co on na to?

- Powiedział, żebym się nie martwiła, że wie, co robi. Zupełnie zaślepiony! Każdy mężczyzna ze strony jego ojca jest taki sam. Jeszcze nie spotkałam Pompejusza, który by się nie uważał za niezniszczalnego.

- Przychodziło ci do głowy, czym on się może zajmować?

- Nic konkretnego. Wiedziałałam, że Magnus uczynił go zaufanym kurierem. Dlaczego nie miałby mu ufać? Bywał u nas często, patrzył, jak Numeriusz z chłopca zmienia się w mężczyznę. Zawsze wyróżniał go wśród innych krewnych z tego pokolenia. Teraz jednak wszystko jest pokrecone, świat stanął na głowie. Młodzież nie ma pojęcia, co to znaczy być Rzymianinem. Każdy widzi tylko czubek swego nosa, nawet rodzinę spychając na dalszy plan. Z prowincji napływa tyle pieniędzy, korumpując wszystko i wszystkich. Młodzi są zagubieni...

Mecja uciekała w uogólnienia; łatwiej było jej mówić o problemach Rzymu niż o własnych. Skinąłem głową, zachęcając ją do kontynuowania:

- Mówiąc, że Numeriusz był zaufanym kurierem Pompejusza, masz na myśli, że Wielki powierzał mu tajne informacje.

- Tak. - Zagryzła wargę, a jej oczy znów zaszyły łzami. - Tajne informacje mają swoją wartość, prawda? Ludzie są gotowi płacić za nie złotem.

- Możliwe - odrzekłem ostrożnie. - Powiedziałaś, że znalazłaś szkatułkę pełną złota. A nie natrafiłaś na inne szkatułki z niespodziankami?

- Jakimi niespodziankami?

- Jeśli Numeriusz był w posiadaniu cennych sekretów... dokumentów... to musiał je gdzieś trzymać.

- Nie, znalazłam tylko złoto.

- A potem też sprawdzałaś? To znaczy, po... - Zerknąłem w stronę mar.

- Całą wczorajszą noc nie spałam. Przeszukiwałam dom pod pozorem

pomocy bratu i młodszemu synowi w pakowaniu rzeczy. Jeśli w domu kryły się niespodzianki, jak to nazwałś, wolałam znaleźć je sama, zanim zrobi to mój brat czy Pompejusz... albo zabójca mego syna. - Westchnęła ze znużeniem. - Uważasz to za pewne, co? Według ciebie Numeriusz był szpiegiem. To cię nawet nie szokuje.

- Jak powiedziałaś, żyjemy w świecie wywróconym do góry nogami. Ludzie stają się zdolni do... wszystkiego. Nawet dobrzy ludzie.

- Mój syn był szpiegiem. No, powiedziałam to w końcu głośno... po raz pierwszy. Przyszło mi to łatwiej, niż się obawiałam. Ale powiedzcie resztę... nazwać go...

- Zdrajcą? Może nim nie był. Może szpiegował dla Pompejusza, a nie przeciw niemu.

- Dlaczego więc się upierał, aby nic mu nie mówić o złocie? Nie, jestem pewna, że robił coś za plecami Pompejusza.

- I myślisz, że z tego powodu zginął?

- A z jakiego? Nie miał osobistych wrogów.

- Chyba że miał przed tobą jeszcze inne tajemnice.

Wbiła we mnie tak intensywne spojrzenie, że aż dreszcz przebiegł mi po grzbiecie. Miałem wrażenie, że w atrium nagle powiał mroźny wiatr. Światło wpadające przez dachowe okno jakby jeszcze przyblakło, zmieniając się w niepewny, miękki poblask nie rzucający nawet cieni. Numeriusz, bezkrwisty i biało odziany, przypominał posąg z kości słoniowej.





## ROZDZIAŁ 6

Kiedy wracałem od Mecji, atmosfera na Forum była jeszcze bardziej gorączkowa, ludzie mocniej zdenerwowani, a plotki coraz niewiarygodniejsze. Przed świątynią Westy jakiś starzec złapał mnie za ramię.

- Słyszałeś już? - zakrzyknął. - Cezar jest już u bramy Kollińskiej!

- To dziwne - odparłem. - Przed chwilą jakiś sprzedawca ryb powiedział mi, że właśnie podchodzi pod Kapeńską, po przeciwnej stronie miasta, na czele armii Galów i niesie na tyce głowę Pompejusza.

Starzec zatrząsał się ze zgrozy.

- A więc jesteśmy otoczeni! Wspomóż nas, Jowiszu!

Pobiegłem gdzieś, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Chciałem go tylko uspokoić tym żartem, on zaś uwierzył w obie plotki i ruszył głosić złowrogą nowinę, że los Rzymu jest już przesądzony. Poszedłem w swoją stronę. Znowu nie miałem z sobą nikogo. Mecja zaoferowała mi swego posłańca dla ochrony, ale odmówiłem. Mogłem skorzystać z jego towarzystwa w drodze do jej domu, ale z powrotem to już inna sprawa. Jej brat i synowie byli nieobecni, do ochrony pozostali jej tylko niewolnicy. Któż może wiedzieć, w co obróci się praworządne dotychczas miasto za parę godzin, zwłaszcza jeżeli pogłoski o nadsięgnięciu Cezara okażą się prawdziwe?

Spod świątyni Westy widać było już Pochylnię, niewielką uliczkę wspinającą się wprost pod strome zbocze Palatynu, najkrótszą drogę ze wzgórza na Forum. Teraz była zatłoczona, ale nie zablokowana. Ludzie szli nią w obu kierunkach. Mimo to serce zabiło mi mocniej, kiedy wszedłem w wąskie przejście między świątynią Kastora i Polluksa a domem westalek. Nie widziałem żadnych śladów po porannej panice, dopóki nie skręciłem w lewo na Pochylnię. Wzdrygnąłem się, ujrawszy krew na bruku, rozmazaną setkami stóp. Przypomniała mi się krzycząca kobieta; a więc ktoś jednak został wtedy stratowany przez tłum. Przyspieszyłem kroku i ruszyłem pod górę.

Miejscami pochylnia przypomina tunel, tak gęsto splecione są nad nią gałęzie rosnących po obu stronach drzew. Właśnie w jednym z takich zarośniętych przejść po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni wydawało mi się, że widzę przed sobą Tirona. Nie widziałem twarzy mężczyzny, jedynie tył jego głowy. Wspinaczka musiała go rozgrzać, ścierał bowiem w marszu ciemną opończę, odsłaniając zieloną tunikę. Coś w jego ruchach pobudziło moją pamięć; ogarnęło mnie to niepokojące, silne, a zarazem ulotne uczucie, jakiego czasami doznajemy, mówiące nam, że przeżywamy coś, czego już raz doświadczyliśmy. Może kiedyś, trzydzieści lat temu, szedłem tędy z Tironem i widziałem, jak w identyczny sposób zrzuca z ramion płaszcz? A może to tylko wyobraźnia płata mi figle? Zestarzałem się, powiedziałem sobie, brak ci tchu i plamy skaczą ci przed oczami, kiedy wpatrujesz się w czyjeś plecy w cieniu wielkiego drzewa w pochmurny dzień. Złudzenie, że



widzę starego przyjaciela, który oficjalnie jest setki mil stąd za morzem, nie jest warte nawet zastanowienia. Gdybym jednak zobaczył twarz tego człowieka, przynajmniej mógłbym się przekonać, czy się mylę...

Przyspieszyłem kroku. Droga stała się bardziej stroma i przed oczami tańczyło mi jeszcze więcej plamek. Inni przechodnie zasłaniali mi widok. Straciłem owego mężczyznę z oczu i już myślałem, że go więcej nie zobaczę, ale wkrótce znów mignęła mi w przedzie zielona tunika.

- Tironie! - zawołałem.

Czy on naprawdę przystanął na moment, przechylił głowę, a potem znów pospieszył przed siebie, czy tylko mi się zdawało?

- Tiro!

Tym razem człowiek w zielonej tunice z pewnością nie przystanął. Raczej ruszył pod górę jeszcze szybciej. Dotarł do szczytu znacznie wcześniej niż ja. Zanim ostatecznie zniknął mi z oczu, miałem wrażenie, że skręca w prawo - w kierunku domu Cycerona.

Doczłapałem w końcu na górę i przysiadłem ciężko na pniu wiekowej morwy, zwalonej na początku zimy przez szczególnie gwałtowną burzę. Majestatyczne drzewo rosło tu wiele lat, na długo przed moim zamieszkaniem na Palatynie. Z mojego ogrodu widziałem nad dachem jego wierzchołek. Teraz gałęzie obcięto na opał, ale sam pień pozostawiono właśnie jako wygodne siedzisko dla odpoczynku po męczącej drodze z Forum. Biedna stara morwo, pomyślałem, niewiele już z ciebie pożytku, ale na coś jednak się przydajesz. Zaśmiałybym się, gdybym mógł złapać oddech. Pompejusz oczekuje ode mnie wyśledzenia mordercy, a ja nie nadaję się nawet do śledzenia przechodnia na Pochylni.

Chmurny Cykatriks niechętnie wpuścił mnie do mojego własnego domu.

- Masz gościa - oznajmił beczelnym tonem, wionąc mi w twarz czosnkiem.

W ogrodzie zastałem Bethesdę i Dianę z Aulusem w towarzystwie Ekona.

- Tato! - powitał mnie okrzykiem i uściskiem, od którego niewątpliwie mogą zostać siniaki. - Słyszałem właśnie, co się stało z Dawusem. Oby Hades pochłonął Pompejusza!

- Nie tak głośno. Jego człowiek jest tylko o kilka kroków stąd.

- Tak, widziałem go u wejścia. Mama i Diana też mi to wyjaśniły. Łajdak z tego Pompejusza.

- Mówże ciszej.

Eko jednak chyba specjalnie podniósł głos, żeby Cykatriks go słyszał.

- To absurdalne, żeby obywatel musiał we własnym domu szeptać za każdym razem, kiedy wymienia imię tak zwanego Wielkiego!

Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz widziałem mego zrównoważonego zazwyczaj syna w takim wojowniczym nastroju. Obecny kryzys wszystkich prowokował do niecodziennych reakcji.

- Nie zabrałeś z sobą Menenii i bliźniaków? - spytałem.

- Przez tę tłuszcę na Forum? Nie, zostały bezpieczne w domu.

- Jak one to wszystko znoszą?

- Tytus i Tytania są już wystarczająco bystrzy, by wiedzieć, że dzieje się coś złego. Nie da się wiele ukryć przed dwójką jedenastolatków. Ale

naprawdę nie rozumieją, o co chodzi ani co się może stać.

- Nie jestem pewien, czy ktokolwiek to rozumie, nawet Cezar i Pompejusz. A ich mama?

- Pogodna jak powierzchnia jeziora Alba, mimo że i wśród Meneniuszów jedni są za Pompejuszem, inni za Cezarem, reszta stara się znaleźć jakąś norę i przeczekać wszystko w ukryciu. Ale nie martw się o nas, tato. Po rozruchach klodian poświęciłem wiele wysiłku i pieniędzy, żeby umocnić naszą starą rodową siedzibę. Jest teraz jak forteca, tyle tam sztab na drzwiach i szpikulców wokół dachu. Ale słyszę, że i tobie przydałoby się jakieś zabezpieczenie dachu przed wspinaczami? - Popatrzył w górę, omiatając spojrzeniem obwód dachu. - Zła wiadomość o tym krewniaku Pompejusza. No i ten oburzający postępek Wielkiego... wykorzystać tę tragedię, aby zmusić cię do współpracy i wręcz porwać Dawusa...

- Co się stało, to się nie odstanie - mruknąłem.

Eko skinął głową.

- Po prostu jeszcze jedna zagadka do rozwiązania, co? Zawsze mi powtarzałeś, że nie ma czegoś takiego jak duży problem, tylko wiele drobnych problemików przeplecionych jak węzły na linie. Wystarczy zacząć od jednego końca, a dojdzie się do drugiego. Niezła zasada, kiedy cały świat się wali. Od czego więc zaczynamy?

- Ty zaczniesz od powrotu do Menenii i dzieci. Szykuje się niebezpieczna noc.

- Ale co z naszym problemem?

- Usatysfakcjonowanie Pompejusza i odzyskanie Dawusa nie jest naszym problemem, Ekonie, tylko moim. Ja odpowiadam za to, co się stało, i ja sam znajdę z tego wyjście.

- Tato, nie wygłupiaj się - odezwała się Diana. - Eko będzie ci potrzebny do...

- Nie. Nie dam mu się w to wplątać. Jak dotąd ani Pompejusz, ani Cezar nie mają żadnych roszczeń do Ekona. Utrzymajmy ten stan.

Eko potrząsnął głową i zaczął coś mówić, ale powstrzymałem go, unosząc dłoń.

- Nie, Ekonie. Masz własną rodzinę i własne problemy. Kto wie, co nas czeka w nadchodzących dniach i miesiącach? Najlepiej będzie, jeśli pozostaniesz niezależny, dopóki się da. Na dłuższą metę może to uratować nas wszystkich.

Widziałem, że nie przekonało ich to, ale nawet w tak niekonwencjonalnej rodzinie jak nasza, tak obojętnej na „tradycyjne rzymskie wartości”, jak to ujął nieboszczyk Numeriusz w swym zaszyfrowanym raporcie, są chwile, w których wola *pater familias* nie podlega dyskusji. Ja sam nie widziałem się w roli surowego ojca na modłę Katona Starszego, ale jeśli okoliczności mnie do tego zmuszają, potrafię całkiem udatnie go zagrać. Eko i Diana posłusznie zamilkli.

Pozostała dwójka jednak nie była pod wrażeniem. Mały Aulus, zupełnie nie zwracający na mnie uwagi, potknął się o własną nogę i upadł z płaczem. Bethesda zaś założyła ręce na piersi i spojrzała na mnie krzywo.

- A co z dzisiejszą nocą? - spytała. - Jeśli miasto jest tak niebezpieczne, jak mówisz, to co mamy zrobić? Bez Dawusa nie mamy ani jednego

ochroniarza w domu, nie licząc tego potwora, którego zostawił Pompejusz.

- Wątpię, by ktokolwiek zdołał się prześliznąć obok Cykatriksa niezauważony, kochanie.

- Chyba że przez dach, kochanie - odparowała z ironią.

- Hmm... Może Mopsus i Androkles mogliby przynajmniej stanąć na warcie - powiedziałem z powątpiewaniem.

- Mogę ci przysłać jednego z moich ludzi - zaoferował Eko. - Mógłbyś postawić go tu, w ogrodzie, albo na dachu.

- Byłbym ci za to wdzięczny. - Odłożyłem na bok „przebranie” rzymskiego ojca z taką ulgą, jakbym zsunął ze stóp niewygodne buty.

- A jeśli sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót? - Bethesda wciąż miała wątpliwości.

- Może przeniesiemy się wszyscy do domu Ekona na Eskwilinie, ponieważ jest łatwiejszy do obrony. Ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Te pogłoski o Cezarze mogą się mijać z prawdą. Równie dobrze mógł się już wycofać z powrotem za Rubikon.

- Ale gdy tyle domów jest opuszczonych, czy nie może dojść do grabieży? - spytała Diana, robiąc miny do Aulusa, by go jakoś zająć.

- Niekoniecznie. Bogaci właściciele zostawili w willach zarządców i gladiatorów, by chronili ich własność. Kilku niedoszłych rabusiów wiszących na gałęziach ulicznych drzew powinno wystarczyć do odstraszania innych.

Bethesda uniosła dumnie głowę, mówiąc:

- Rzym nie jest teraz lepszy od Aleksandrii z moich dziecięcych lat. Ba! Jest jeszcze gorszy. Rozruchy, zabójstwa, rewolty, jedno po drugim i końca nie widać!

- To się pewnie skończy dopiero wtedy, kiedy albo Pompejusz, albo Cezar umrze - rzekł Eko. Tym razem zniżył głos bez upominania.

- Obawiam się, że wtedy się dopiero zacznie - powiedziałem. - Jeżeli Cyncero ma rację, to nieuniknione, że któryś z nich zostanie dyktatorem i to nie na rok czy dwa, jak to zrobił Sulla, ale dożywotnio. Rzymianie może zapomnieli, jak kierować republiką, ale z całą pewnością nie mogą pamiętać, jak wygląda życie pod władzą króla. Koniec obecnego kryzysu może oznaczać początek nowego, o wiele gorszego.

- W jakich czasach przyjdzie Aulusowi dorastać... - Diana westchnęła.

Przypomniałem sobie, że Cyncero wyraził tę samą obawę względem własnego, jeszcze nie narodzonego wnuka. Diana odwróciła się od synka, chowając przed nim nagle płynące łzy, ale Aulusa nie tak łatwo oszukać. Na jego buzi pojawił się wyraz niepewności, szybko ustępując płaczliwemu grymasowi, a po chwili do cichego szlochu matki dołączyło jego żałosne zawodzenie. Bethesda podbiegła do nich i przytuliła oboje, nie omieszkawszy rzucić mi ostrego spojrzenia.

Patrzyliśmy na to z Ekonem w poczuciu bezsilności. I cóż po tak opiewanej władzy *pater familias*, skoro nie potrafi nawet powstrzymać kobiety od płaczu?





## ROZDZIAŁ 7

Jak się okazało, Cezar nie podszedł pod mury Rzymu ani tego dnia, ani w ciągu kilku następnych. Resztką stycznia upłynęła niepostrzeżenie; każdy świt przynosił nowe plotki i panikę, każdy zmierzch roztopiał się w nocy bez oddziałów Cezara u bram. Z południa nadeszły wieści, że Pompejusz połączył się z lojalnymi legionami w Kapui, wyznaczył Cyclerona do zorganizowania obrony wzdłuż wybrzeży Kampanii i codziennie konsultował się z konsulami i grupą senatorów, którzy uciekli z miasta wraz z nim.

W Rzymie głównym tematem przez kilka dni była należąca do Cezara słynna szkoła gladiatorów w Kapui, znana z okrucieństwa swych wychowanków. Najpierw usłyszałem, że pięć tysięcy gladiatorów, którym ich pan przyobiecał wolność, wyrwało się z jej murów, zmasakrowało wojska Pompejusza i teraz maszeruje na Rzym, aby dołączyć do Cezara. Potem gruchnęła wieść, że Pompejusz uprzedził ten ruch swego przeciwnika, sam uwolnił gladiatorów i wcielił ich do swej armii, co prawda wbrew gwałtownym sprzeciwom swych doradców, którzy argumentowali, że takie masowe wyzwolenie niewolników w czasie kryzysu może się stać niebezpiecznym precedensem. Ostatnia plotka, jaka się rozeszła po mieście, mniej interesująca, za to najbardziej prawdopodobna, mówiła, że szkołę rozwiązano, a szkolonych niewolników po prostu z ostrożności rozesłano do różnych nowych panów.

Bethesda codziennie domagała się ode mnie meldunku o moich poczynaniach w celu wyrwania Dawusa spod władzy Pompejusza. Wyjaśniłem jej, że przeprowadzenie porządnego dochodzenia w sprawie tego zabójstwa jest praktycznie niemożliwe. Stronnicy i Pompejusza, i Cezara wyjechali z Rzymu, aby dołączyć do swych przywódców. Każdy, kto mógł mieć wystarczający powód do zabicia Numeriusza albo znał sprawcę, był teraz w jednym z obozów, daleko od miasta. Moje tłumaczenie jej nie przekonało.

- Pompejusz nie odda Dawusa, dopóki nie odnajdziesz zabójcy jego krewniaka. Jeśli tobie brak energii, mężu, dlaczego nie poprosisz o to Ekona?

- Zdaje się, żono, że twoim zadaniem jest dopilnować, aby dom był ogrzany, a wszyscy domownicy nakarmieni, z czego, jak dotąd, wywiązujesz się doskonale, mimo braków na rynku i oburzająco wysokich cen produktów. Czy te obowiązki to za mało, byś miała zajęcie i trzymała się z dala od moich spraw?

Chłód pierwszych dni lutego jakby wkradł się między nas i w domu zrobiło się niemal równie zimno jak na dworze. Kryzys zaś rozwijał się w najlepsze.

Mimo oskarżeń Bethesdy nie byłem zupełnie bezczynny. Gdyby Rzym porównać do tonącego okrętu, z którego pasażerowie, załoga i kapitan

uciekli, można by rzec, że szczury tym razem pozostały na pokładzie. Szczury zaś mają zwykle bystre oczy i uszy. Odwołałem się do dawnych znajomych i zapuściłem macki w miejskie niziny: między drobnych złodziejasków, handlarzy truciznami, stręczycieli i karczmarzy, szukając informacji na temat podejrzanych interesów Numeriusza. Te kilka okrucich wiedzy, jakie udało mi się zgromadzić (najczęściej po prostu je kupowałem; ceny tego towaru były tak samo absurdalnie rozdęte jak każdego innego w Rzymie), były oderwane, z drugiej ręki, w większości niepewne i bezużyteczne. Powtarzano mi to, co już wiedziałem, mianowicie, że Numeriusz spędzał większość czasu, wypełniając zlecenia Pompejusza, dlatego często widywano go na Forum i na progach senatorów i zamożnych kupców. Miał szerokie kontakty wśród wpływowych obywateli. Przynajmniej czasami jednak ulubiony kuzyn Wielkiego odwiedzał też o wiele uboższe dzielnice; kilku informatorów twierdziło, że widywali Numeriusza wchodzącego lub wychodzącego z pewnego szczególnie podejrzanego lokalu w dzielnicy obskurnych magazynów między Forum a rzeką. Znałem to miejsce z poprzednich dochodzeń: nie miało żadnego szyldu, ale bywalcy mówili o nim „Tawerna rozpusty”.

Już dawno tam nie zachodziłem; ostatni raz spędziłem tam wieczór dwa lata temu i to w towarzystwie Tirona, topiącego w winie frustrację po procesie Milona. Gdy tego mroźnego popołudnia próbowałem odszukać tawernę, nieomal zabłądziłem w otaczającym ją labiryncie wąskich uliczek. Kiedy trafiłem wreszcie na właściwą, bez problemu odnalazłem wejście do lokalu: drogę wskazywał stojący na postumencie marmurowy fallus, a nad drzwiami wisiała smętnie dymiąca lampa o tym samym kształcie. Zastukałem; otworzyło się małe okienko, a po chwili drzwi się otworzyły, odsłaniając mięsistego eunucha w obszernej białej tunice, ostentacyjnie demonstrującego szklaną biżuterię. Na palcach lśniła mu tęczą różnobarwnych pierścieni, szyję okalał sznur fałszywych topazów, ametystów i szmaragdów, a pod uszami dyndały równie zdobne kolczyki. Z długiego, słabo oświetlonego pomieszczenia za jego plecami niósł się ciepły zapach zagrzybionego drewna, smolistego dymu i kwaśnego wina. Moim nieprzystosowanym do ciemności oczom tawerna jawiła się czarna jak jaskinia.

- Obywatelu! - Eunuch powitał mnie zębatym uśmiechem. - Czy ja cię znam?

- Wątpię. Ty nie wyglądasz znajomo. Zdaje się, że tawerna zmieniła właściciela?

- Tak jest! A ty bywałeś tu wcześniej?

- Raz czy dwa.

- O, przekonasz się, że teraz jest tu znacznie lepiej. Wejdz, proszę!

Wszedłem więc, a on natychmiast zatrzasnął za mną drzwi.

- Zabawne... śmierdzi tu tak samo jak przedtem - zauważyłem, marszcząc nos. - Ten sam gryzący dym, to same podłe wino plamiące podłogę.

Uśmiech eunucha zwiął. Tymczasem zdążyłem się już przyzwyczaić do panującego wewnątrz półmroku. O parę kroków za gospodarzem opierała się o ścianę znudzona rudowłosa dziewczyna. Nie była mi obca; Ipsytylla była stałym elementem w „Tawernie rozpusty” już przed sześciu laty, kiedy

po raz pierwszy tu trafiłem, przywiedziony przez pijanego poetę Katullusa. W pomarańczowym blasku lampy wciąż wyglądała stosunkowo młodo i świeżo, co było żywym dowodem na fatalne oświetlenie lokalu.

- Nawet dziewczyny są te same! - dodałem.

Eunuch wzruszył ramionami.

- Liczba przyjemności, jakich możemy zaznać w tym życiu, obywatelu, jest ograniczona. Ale daję słowo, że za to znajdziesz je tu wszystkie... za pieniądze oczywiście.

- Najbardziej potrzebuję informacji. Znajdę je tu także... za pieniądze?

Odpowiedział mi wymownym uniesieniem brwi.

Opuściłem tawernę, nie zaznawszy ani jednej ze zwykłych dostępnych przyjemności, za to z kilkoma intrygującymi nowinami. Numeriusz Pompejusz rzeczywiście był tu częstym gościem. Eunuch znał go z widzenia, słyszał też o jego śmierci. Jak mi powiedział, Numeriusz zawsze przychodził i wychodził sam, zawsze siadywał w tym samym kącie. Czasami spotykał się z kimś, ale kto to był i o czym rozmawiali, tego mi powiedzieć nie mógł. Z zasady nigdy nie podsłuchuje gości, towarzysze Numeriusza zaś byli tu obcy, nigdy też nie zjawiali się drugi raz... z wyjątkiem jednego.

- Tak, pamiętam - mówił. - Pewnego dnia Numeriusz siedział przy stole z tym Soskarydesem.

- Soskarydesem?

- Dziwne imię, co? Chyba greckie. Z Aleksandrii. Śniady, brodaty kurdupel. Zachodzi do nas od paru miesięcy. To filozof, podobno nawet sławny, jeśli wierzyć temu, co sam o sobie mówi. Może go znasz, obywatelu?

- Na pewno nie.

- Numeriusz go znał. Tego dnia długo siedzieli razem, pili i dyskutowali.

- Kiedy to było?

- Zaraz, niech pomyślę... No, tuż przed ucieczką Pompejusza z miasta, czyli pewnie z dzień lub dwa, zanim Numeriusza zamordowali.

Kiwnąłem głową, powtarzając z cicha imię Soskarydesa. Byłem pewien, że nigdy dotąd o nim nie słyszałem. Filozof... śniady, brodaty kurdupel...

Eunuch, gładzący czule dość już pękatą sakiewkę, aż się palił do pomocy.

- Jak mówiłem, ten Soskarydes często tu bywa - rzekł. - Kiedy się zjawi, czy mam mu powiedzieć, że go szukałeś, obywatelu?

Pokręciłem głową.

- Ja? Mnie tu nigdy nie było - powiedziałem, podając mu jeszcze jedną monetę, aby na pewno zrozumiał.

Po mojej wizycie w „Tawernie rozpusty” nastął kilkudniowy okres burzliwej pogody, tak paskudnej, że nikt nie wychylał nosa na ulicę, nawet Forum było puste. Spędziłem te dni w swoim gabinecie, czytając dzieła filozoficzne. W rzadkich chwilach, kiedy się przejaśniało, spacerowałem po ogrodzie z głową zadartą ku nieodgadnionemu obliczu mojej brązowej Minerwy. Bogini była jedynym świadkiem śmierci Numeriusza, słyszała jego ostatnie słowa, widziała twarz mordercy.

- Co mam teraz zrobić? - pytałem ją.

Nie dawała znaku, że słyszy, co mówię.

Burza minęła. Dwa dni po idach lutowych wybrałem się na Forum po najświeższe plotki. Na naleganie Bethesdy zabrałem ze sobą Mopsusa i Androklesa, aby dać im sposobność wyładowania energii nagromadzonej przez kilka dni przymusowego siedzenia w domu. Kiedy szliśmy w dół Pochylnią, zbiegali daleko przede mną i wracali, robiąc sobie z tego świetną zabawę. Zmęczyłem się samym patrzeniem na nich.

Pojawiające się przedtem codziennie plotki o rychłym zajęciu Rzymu przez Cezara ustały. Wiarygodne źródła podawały, że przebywa on teraz na północnym wschodzie, gdzieś na wybrzeżu Adriatyku. Poddała mu się cała prowincja Picenum. Mówiono, że ludność miast, przez które przejeżdżał, witała go entuzjastycznie, zanosząc doń modły jak do boga. Cezar pozostawił w co ważniejszych strategicznie miejscowościach swoje garnizony, a sam ciągnął na południe, gdzie Pompejusz i lojaliści zajęli Apulię, ale ich siły były rozdwojone. Lucjusz Domicjusz Ahenobarbus, który na mocy uchwały senatu miał z początkiem roku zastąpić Cezara na stanowisku namiestnika Galii, okupował leżące w centralnej części Italii, zaledwie o siedemdziesiąt pięć mil od Rzymu, miasto Korfinium, z trzydziestoma kohortami, łącznie liczącymi osiemnaście tysięcy żołnierzy. Pompejusz tymczasem przesunął się dalej na południe. Między obu wodzami trwało coś w rodzaju przeciągania liny; Domicjusz chciał, żeby Pompejusz dołączył do niego w Korfinium, ten zaś domagał się od niego opuszczenia miasta i wzmocnienia jego własnych sił.

Gdyby Domicjusz wygrał, czy decydująca bitwa między Cezarem a połączoną armią lojalistów rozegrałaby się pod Korfinium? A może raczej stronnicy Pompejusza wycofali by się, porzucając miasto? Gdyby tak się stało, wystarczy rzut oka na mapę, żeby sobie wyobrazić, jak legiony Cezara nieubłaganie spychają Pompejusza na południe aż po obcas „italskiego buta”, do portu Brundyzjum. Krążyły nawet plotki, że Wielki już koncentruje tam okręty, od początku wołał bowiem uciec za Adriatyk, do Dyrrachium, niż stawić czoło rywalowi.

Dziwnie się czułem, słuchając takich dywagacji strategicznych w wykonaniu prostych obywateli w kolejce po nadpsute oliwki i czerstwy chleb. Omawianie bitew i ruchów wojsk w dalekich prowincjach nie było niczym wyjątkowym, ale nigdy nie dotyczyło to ziem italskich, nigdy też nie ważył się los samego Rzymu.

Zaczęło znowu mżyć. Stwierdziłem, że mam już dosyć Forum. Ruszyłem ku Pochylni, a Mopsus i Androkles znowu radośnie biegali wokół mnie. W połowie zбочa, pod koroną rozłożystej morwy, która jak parasol osłoniła mnie przed dokuczliwą mżawką, przypadkiem spojrzałem w górę. Czyżbym tracił zmysły, czy też znowu powtarzał się ów dziwny incydent? Przed sobą ujrzałem znajomą sylwetkę, ale tym razem mężczyzna w zielonej tunice narzucał na ramiona opończę, zamiast ją zdejmować.

- Chłopcy! - zawołałem. - Widzicie tego samotnego gościa przed nami?

Obaj jednocześnie kiwnęli głowami.

- Pójdziecie za nim, ale nie za blisko! Nie chcę, aby się zorientował, że go śledzicie. Poradzicie sobie?

- Ja tak - zapewnił Mopsus, stukając się kciukiem w pierś.

- Ja też! - spiesznie dorzucił Androkles.

- To dobrze. Kiedy dotrze do swego celu, jeden z was znajdzie sobie kryjówkę, żeby go obserwować, a drugi przybiegnie mnie zawiadomić. A teraz zmykajcie!

Ruszyli żwawo. Kiedy zbliżyli się do śledzonego mężczyzny, rozdzielili się i poszli obiema stronami uliczki, niczym dwa szakale polujące w zespole. Cała trójka kolejno dotarła na szczyt i zniknęła mi z oczu. Oparłem się pragnieniu przyspieszenia kroku i szedłem swoim tempem, gwizdząc pod nosem zabawną egipską melodię, jedną z tych, które Bethesda zwykła nucić, kiedy jeszcze była moją niewolnicą, a nie żoną, i nie miała nikogo do pomocy przy pracach domowych. Ech, szczęśliwe dni, mruknąłem do siebie. Wtedy właśnie pierwszy raz spotkałem Tirona.

Dowlokłem się w końcu do wylotu Pochylni. Pień zwałonej morwy był schowany przed deszczem, usiadłem więc na nim, by zaczekać. Jeśli się nie myliłem, człowiek w ciemnej opończy nie szedł daleko i wkrótce któryś z chłopaków powinien przybiec z wieściami. Czekałem jednak dłużej, niż się spodziewałem. W końcu zacząłem się zastanawiać, czy mimo wszystko mi się to nie przywidziało i czy nie wysłałem malców na próżno.

Mżawka ustała. Podniosłem się i ruszyłem w kierunku willi Cyclerona. Przyszło mi na myśl, że jeśli mężczyzna nie jest tym, za kogo go wziąłem, być może wystawiłem chłopców na niebezpieczeństwo. Kryzys wszystkim nadszarpnął nerwy i nawet szacowny obywatel może zareagować w nieprzewidziany sposób, odkrywając, że jest śledzony przez dwójkę nieznanymi małych niewolników.

Poszedłem krawędzią wzgórza niemal pod dom Cyclerona i zatrzymałem się na pustej uliczce. Wokół nie było żywego ducha. A zatem byłem w błędzie, pomyślałem... i w tej samej chwili usłyszałem syknięcie gdzieś z przeciwnej strony ulicy, z kępy cedrów i cyprysów.

- Panie! Tutaj!

Zerknąłem w niskie zarośla między drzewami.

- Nie widzę was.

- Pewnie, że nie. Pan kazał się ukryć - odpowiedział głos Mopsusa.

- Mówił, że to ja mam się ukryć! - zaprotestował Androkles.

- Nie, ja, a ty miałeś biec z wiadomością.

- Nie, to ty miałeś biec, a ja zostać na czatach!

- Chłopcy! - przerwałem tę wymianę zdań. - Wychodźcie mi stamtąd obydwaj.

Z krzaków wychyliły się dwie głowy z gałązkami i jeżynami w zmierzwionych włosach.

- Prawda, panie, że to ja miałem obserwować, a Androkles wrócić do ciebie z wiadomością? - spytał Mopsus.

Westchnąłem ciężko.

- Meto zawsze powtarza, że jedną z cech wielkiego wodza jest to, że nigdy nie wydaje dwuznacznych rozkazów. Najwyraźniej nie jestem Cezarem, A wy dwaj jesteście gorsi od Pompejusza i Ahenobarbusa, wyklócając się w ten sposób, zamiast robić co trzeba.

- Słyszałeś? - Mopsus zwrócił się do młodszego brata. - Pan porównał



ciebie do Czerwonobrodego, a mnie do Wielkiego!

- Nieprawda! To ja jestem Pompejusz, a ty Domicjusz!

- Chłopcy, dosyć tego! Mówcie, gdzie poszedł ten gość i co widzieliście.

- Szliśmy za nim aż tutaj, do domu pana Cyncerona - pospieszył z odpowiedzią Androkles, pragnąc uprzedzić brata.

- I wszedł do środka?

- Niezupełnie...

- Oni spuścili z dachu drabinę i on po niej wszedł na dach, a potem drabinę wciągnęli z powrotem - wyjaśnił Mopsus.

Skinąłem głową.

- Dobrze się spisaliście. Lepiej w każdym razie od Pompejusza i Domicjusza. A teraz zmykajcie do domu.

- Jak to, panie? Mamy cię tu zostawić samego? A może ten człowiek jest strasznie niebezpieczny? Może to złodziej albo morderca?

- Myślę, że nie. - Uśmiechnąłem się na myśl o łagodnym molu książkowym Tironie w roli zabójcy.

Kiedy malcy odeszli, zastukałem do drzwi. Nikt nie otwierał, cofnąłem się więc na środek ulicy i spojrzałem na dach, ale i tam nie było znaków życia. Załomotałem więc znowu, aż w końcu otworzyło się małe okienko w drzwiach i wyjrzało przez nie czyjeś brązowe oko.

- Nikogo nie ma! - wychrypiął męski głos.

- Ty jesteś - odparłem.

- Ja się nie liczę. Pana nie ma. Dom jest zamknięty.

- Nie szkodzi. Mam interes do kogoś, kto jest w środku.

Okno zniknęło i pojawiło się znowu po długiej chwili.

- Kto...

- Nazywani się Gordianus. Cyncero mnie zna. Byłem u niego w nocy przed jego wyjazdem.

- Wiemy, kim jesteś. Z kim chcesz się widzieć?

- Z człowiekiem, który tu przybył krótko przede mną. Tym, którego wpuściliście po drabinie przez dach.

- Nie ma tu nikogo takiego.

- Więc może był to duch?

- Być może.

- Dosyć tych żartów. Powiedzcie Tironowi, że muszę się z nim widzieć.

- Tironowi? Ależ sekretarz pana jest w Grecji. Za słaby na podróż do...

- Znam tę śpiewkę! Wiem, że on tu jest. Powiedz mu, że Gordianus chce z nim rozmawiać.

Okno znów zniknęło i nie było go bardzo długo. Wspiąłem się na palce i usiłowałem zajrzeć do środka przez okienko, ale zobaczyłem tylko cienie. Po chwili coś się wśród nich poruszyło. Odsunąłem się, a do okienka wróciło znajome brązowe oko.

- Nie, tu nie ma żadnego Tirona.

Załomotałem w drzwi. Okno mrugnęło zaskoczone i zniknęło znowu.

- Tironie! - krzyknąłem na cały głos. - Wpuść mnie! Będę tu stał i wykrzykiwał twoje imię tak długo, aż każdy pozostały w Rzymie nieszczęśnik się dowie, że wróciłeś! Tiro! Tiro!

Z okienka dobiegło mnie syknięcie.

- Dobrze już, dobrze! Przestań krzyczeć!  
- No to otwieraj drzwi.  
- Nie mogę.  
- Co takiego? Tiro!!!  
- Cicho! Nie mogę otworzyć drzwi.  
- Dlaczego?  
- Są zabarykadowane od środka.  
- Zabarykadowane?  
- Zabite deskami i obłożone workami z piaskiem. Muszę czołgać się tunelem, żeby dotrzeć do tego okienka. Odsuń się dalej na ulicę.

Cofnąłem się zgodnie z poleceniem i spojrzałem w górę. Po chwili na dachu pojawiło się dwóch mężczyzn, w których rozpoznałem strażników pilnujących drzwi podczas mojej ostatniej wizyty u Cyclerona. Wspólnymi siłami opuścili na bruk długą drewnianą drabinę.

- Tylko mi nie mówcie, że żona Cyclerona i jego ciężarna córka wspinają się po tym za każdym razem, kiedy przyjdzie im do głowy wychodzić z domu - powiedziałem, podejrzliwie przyglądając się cienkim szczeblom. Niemal namacalnie poczułem kruchość swoich kości.

- Jasne, że nie - odpowiedział starszy niewolnik. To on właśnie rozmawiał ze mną przez drzwi. - Pani i Tullia wyjechały wiele dni temu. Jakiś czas przebywały u przyjaciela pana, Attyka, a potem pojechały dołączyć do pana w willi w Formiach, na wybrzeżu. W domu nie ma teraz nikogo prócz kilku niewolników do pilnowania.

- Nikogo więcej? - spytałem.

- Jeszcze tylko ja.

Człowiek, który to powiedział, wysunął się z cienia i stanął między dwoma niewolnikami, biorąc się pod boki i mierząc mnie spojrzeniem. Miał na sobie zieloną tunikę i ciemną opończę. Zrozumiałem nagle, że od początku się myliłem albo też celowo wprowadzono mnie w błąd. Mężczyzna był wzrostu Tirona i był do niego z grubsza podobny, ale musiał być od niego młodszy. Skórę miał ciemną jak u Egipcjanina, włosy rudawe bez śladu siwizny, sylwetkę młodzieńczo szczupłą, twarz zaś okoloną wąską i krótką bródką, jaką Tiro miał w pogardzie od czasu, kiedy Katylina wylansował tę modę.

- Nie wiem, co to za gra z waszej strony, ale mam zamiar się przekonać - powiedziałem, kładąc stopę na pierwszym szczeblu.

- Nie, nie wchodź tutaj! - powstrzymał mnie nieznajomy. - To ja zejść do ciebie.

Cofnąłem się, kiedy zaczął schodzić. Jego ruchy na chybotliwej drabinie zdradziły go; nie był ani w przybliżeniu tak młody, jak mi się wydawał z daleka. Zanim stanął na ziemi i odwrócił się do mnie twarzą, nieznajomy zmienił się w Tirona - ze sztucznie przyciemnioną cerą i henną na włosach, chudszy i z nieprawdopodobnym kształtem zarostu, ale jednak Tirona.

- Cóż za cudowne wyleczenie! - powitałem go ironicznie. - Jak ci się udało tak błyskawicznie dotrzeć tu z Grecji, na Pegazie?

Uciszył mnie, przykładając palec do ust. Drabina za nami już zniknęła, podobnie jak obaj niewolnicy.

- Nie możemy tutaj rozmawiać - rzekł Tiro. - Ale znam spokojne miejsce,

gdzie gospodarz nigdy nie podsłuchuje...





## ROZDZIAŁ 8

Po drugiej stronie ulicy na wprost willi Cycerona, wśród zarośli, w których znalazłem Mopsusa i Androklesa, Tiro odciągnął gałąź pokrytą czerwonymi owocami i zrobił krok, jak mi się zdawało, w pustą przestrzeń.

- Uważaj, żeby gałąź cię nie uderzyła - ostrzegł mnie. - I ostrożnie na zboczu, jest bardziej strome, niż się wydaje.

To chyba niemożliwe, pomyślałem, patrząc w dół z urwiska. Ścieżka wijąca się między powykręcanymi drzewkami i ciernistymi krzakami porastającymi zachodnie zbocze Palatynu wcale nie była ścieżką, zaledwie serią oczyszczonych z korzeni i trawy mikroskopijnych stopni, na których z trudem można było postawić stopę. Pod nami widniała dzielnica stłoczonych magazynów kupieckich.

- Dokąd mnie prowadzisz, Tironie? Jeśli mamy zejść na Forum, czemu nie wybrałeś Pochylni?

- Za duże tam ryzyko rozpoznania przez kogoś.

- Przecież nie unikasz tamtej drogi. Sam cię na niej widziałem, i to dwa razy.

- Och, ale ja się nie boję, że ktoś mnie pozna. Chodzi o ciebie. Ktoś potem zacząłby się zastanawiać: kim był ten śniady facet z bródką, którego dziś widziałem z Gordianusem Poszukiwaczem?

- Czemu więc nie chciałeś rozmawiać w zaciszu Cyceronowej willi?

- Na przykład z powodu strażników. Słyszą zazwyczaj to, czego nie powinni, a potem powtarzają, komu nie powinni.

Trudno temu zaprzeczyć, pomyślałem.

- No i... - Tiro się zawahał, jakby się zastanawiał, gdzie teraz stąpnąć. - Szczerze mówiąc, Cycero nie życzy sobie, aby ludzie przychodzili do jego domu pod jego nieobecność.

- Myślisz, że mógłbym coś zwędzić?

- Tego nie powiedziałem, Gordianusie. Ale to jego dom i nie zamierzam łamać jego poleceń.

Luźny kamień obsunął mi się pod stopą i potoczył w dół. Schwyciłem gałąź mijanego akurat cyprysa, aby złapać równowagę. Przystawałem często dla oddechu i starannego przyjrzenia się podłożu. W końcu dotarliśmy do podnóża Palatynu, gdzie stromizna ścieżki złagodniała, a my znaleźliśmy się między stertami śmieci usypanymi na tyłach magazynów. Tiro prowadził mnie bez wahania labiryntem cuchnących uliczek, jakby znał ten teren jak własną kieszeń. Po jakimś czasie za kolejnym rogiem ujrzałem znajomy znak: marmurowego fallusa na postumencie.

- Chyba nie idziemy do „Tawerny rozpusty”? - zdziwiłem się.

- Wpadliśmy tu na siebie po procesie Milona - odparł Tiro. - Pamiętasz? Wtedy widzieliśmy się ostatni raz... dwa lata temu.

- Pamiętam kaca - odpowiedziałem, ale w wyobraźni odtwarzałem scenę z mojej niedawnej wizyty w tym przybytku i podany przez gospodarza opis śniadego, brodatego cudzoziemca...

Tiro się roześmiał.

- Leczyłeś kaca już podczas naszego pierwszego spotkania w życiu! Pamiętasz?

- Pamiętam młodego i bystrookiego niewolnika, który przybył do mego domu na Eskwilinie, pytając, czy zechcę pomóc jego ambitnemu młodemu panu w obronie człowieka oskarżonego o ojcobójstwo.

- Zgadza się, ale zanim zdołałem otworzyć usta, zademonstrowałeś mi lekarstwo na kaca.

- Doprawdy? Jakże?

- Głębokie skupienie myśli, aby przepłukać mózg świeżą krwią. Efekt był niesamowity.

- Wtedy dopiero wchodziłeś w wiek męski, Tironie. Łatwo było ci zaimponować.

- Ale i tak dałeś popis. Wydedukowałeś, kto i dlaczego mnie przysłał, zanim jeszcze bąknąłem choć słowo.

- Poważnie? Szkoda, że mój umysł już nie jest taki bystry. Nie umiem na przykład sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego prawa ręka Cyserona wałęsa się po Rzymie incognito?

- Nie straciłeś na bystrości, Gordianusie, stałeś się tylko bardziej przebiegły. - Tiro rzucił mi czujne spojrzenie. - Mógłbyś sam do tego dojść, gdybyś chciał, ale ty wolisz to wyciągnąć ode mnie.

Falliczna lampa nad drzwiami tawerny płonęła słabym płomieniem, ginącym w szarości pochmurnego popołudnia.

- Marnotrawstwo oliwy - zauważyłem. - Przy obecnych brakach na rynku...

- Słowa takie jak „braki” nie mają znaczenia w „Tawernie rozpusty” - odparł Tiro, stukając w drzwi. - Bywałeś tu od naszego ostatniego spotkania?

- Może raz... - Wzruszyłem ramionami.

- Lokal zmienił właściciela. Ale reszta pozostała bez zmian: te same dziewczki, szczególne aromaty, podłe wino... chociaż smak się wydatnie poprawia po drugim kubku.

Najpierw otworzyło się okienko, a potem drzwi.

- Soscarydesie! - Eunuch niemal piszczał, ściskając rękę Tirona. Mnie na razie jakby nie zauważył. - Mój ulubiony klient, a zarazem ulubiony filozof!

- Nie przeczytałeś ani słowa z moich prac, ty kundlu. Sam mi to powiedziałeś za pierwszym razem, kiedy przyszedłem do twojej budy - przyganił mu Tiro.

- Ale nadal mam taki zamiar - upierał się eunuch. - Złożyłem nawet zamówienie u księgarza na Forum. Naprawdę! No, w każdym razie chciałem złożyć. Ten cymbał twierdził, że nigdy nie słyszał o Soscarydesie Aleksandryjczyku. Niemal mnie wyśmiał, idiota! A teraz wszyscy księgarze pozamykali sklepy i dali nogę z miasta. Będę zmuszony pozostać w mroku niewiedzy, jeśli chodzi o twoje mądrości.

- Czasami niewiedza jest największą mądrością - zażartował Tiro.

- O, to pewnie jedna z twoich słynnych sentencji? Lubię gościć filozofów. Są czystszy niż poeci i spokojniejsi od polityków. Czy twój przyjaciel też jest słynnym filozofem? - spytał gospodarz, wskazując na mnie. Dopiero teraz

mnie poznał i mina mu zrzędła.

- Jest takim samym filozofem jak ja - odrzekł Tiro. - Ba, nawet słynniejszym! Dlatego właśnie tu przychodzimy, szukając spokoju i ciszy.

Eunuch przez chwilę nie mógł dojść do siebie, ale szybko odzyskał kontenans i zachowywał się tak, jakby mnie widział po raz pierwszy w życiu.

- Czy wystarczy wam kąt w głównej sali? Prywatne pokoje są pozajmowane przez graczy.

- Weźmiemy tę ławę w rogu. - Tiro wskazał zakamarek tak ciemny, że mogłem się tylko domyślać istnienia tam kąta, a cóż mówić o ławie. - I dwa kubki wina. Twojego najlepszego, ma się rozumieć.

Ruszył w tamtą stronę, nie czekając na odpowiedź. Poszedłem za nim.

- Nie wiedziałem, że w tym lokalu serwują więcej niż jeden gatunek trunku - powiedziałem.

- Oczywiście. Za najlepszy płaci się nieco więcej.

- I co się za to dostaje?

- To samo wino, ale nalewane przez sitko. W ten sposób unika się niemiłych niespodzianek płynących w kubku.

Jęknąłem, wpadłszy na coś miękkiego, co odwzajemniło mi się podobnym odgłosem. Wymamrotałem przeprosiny w stronę majaczącej w mroku sylwetki i brnąłem dalej, z ulgą siadając w końcu na wybranej przez Tirona ławie, która wbudowana była w ścienną wnękę. Oparłem się plecami o ścianę i spojrzałem przed siebie, czekając, aż oczy przywykną do ciemności. Przyniesiono nam wino; było tak podłe, jak pamiętałem. W tawernie panował, zdawało mi się, nadzwyczajny tłok jak na tę porę - słońce jeszcze nawet nie zaszło. No tak, skoro normalne życie miasta zamarło, czyż jest lepszy sposób na spędzenie ponurego popołudnia od zafundowania sobie odrobiny najprostszycy przyjemności? W ogólnym szumie słycać było śmiechy i grzechot kości.

- Kości zostały rzucone! - krzyknął jeden z graczy, wzbudzając salwę pijackiego rechotu.

Zrozumienie w czym dowcip, zajęło mi trochę czasu. Ponoć Cezar wypowiedział te same słowa do swych ludzi, przekraczając Rubikon.

- Uwiecznili go nawet w nazwie rzutu - powiedział Tiro, kiedy o tym napomknąłem.

- Rzutu?

- Kośćmi. Jak wiesz, rzut Wenus jest najwyższą kombinacją, bijącą wszystkie pozostałe. Teraz nazywają go rzutem Cezara, a nawet wykrzykują na szczęście „Gajusz Juliusz!”, zanim rzucają. Chyba nie musi to oznaczać, że trzymają jego stronę, są tylko przesadni. Cezar nazywa się półbogiem i potomkiem Wenus... stąd i ta zmiana na „rzut Cezara”.

- Który bije wszystkie inne - dodałem. - A czy jest też „rzut Pompejusza”?

Tiro parsknął wzgardliwie.

- Chyba ten, po którym kości spadają ze stołu.

- Czyżby jego położenie było aż tak złe?

- Wiesz, co mówi Cycero? Kiedy Pompejusz nie miał racji, wszystko mu się udawało. Teraz, kiedy ją ma, zawodzi na całej linii. Cezar ich wszystkich zaskoczył. Nawet jego stronnicy nie wierzyli, że ośmieli się wkroczyć do

Italii ze swymi legionami. Widziałeś, jaką to wzbudziło panikę. A Pompejusz gnał na czele tego owczego pędu! Od tamtej pory usilnie stara się odzyskać panowanie nad sytuacją. Każdego dnia rano jest pełen wojowniczego ducha, a pod wieczór strach go ogarnia i nakazuje cofnięcie się dalej na południe.

- Jak na kogoś od listopada przykutego do łóżka w Grecji jesteś nadzwyczaj dobrze poinformowany - zauważyłem z przekąsem.

Uśmiechnął się.

- Tiro nadal leży złożony chorobą w Patras i tak to jeszcze trochę potrwa. Rozmawiasz z Soskarydesem, aleksandryjskim filozofem wyrzuconym z pracy i dryfującym na fali kryzysu.

- A jaki cel przyświeca tej wyszukanej szaradzie?

- Wymyśliliśmy ją wraz z Cynceronem, wracając z Cylicji. Na każdym popasie dostawaliśmy z Rzymu coraz gorsze wieści. Cezar kpi z praw, odmawia złożenia dowództwa w Galii, żąda dopuszczenia go do kampanii wyborczej na konsula bez wymogu powrotu do Rzymu. Pompejusz też się okopywał coraz mocniej na swej pozycji, odmawiał nowych ustępstw wobec Cezara, siedział nadąsany w swej willi za miastem i kurczowo się trzymał własnych legionów w Hiszpanii. A senat... nasz żałosny, zagubiony, tchórzliwy, chciwy zbiór tak zwanych najlepszych ludzi Rzymu... pograżał się w jadowitych debatach graniczących z rękoczynami. Nie trzeba być Kassandra, by widzieć, że sytuacja zmierza prostą drogą do powszechnego kryzysu. Cyncero uznał za rozsądne, abym zjawił się w Rzymie przed nim. Nie było nikogo innego, komu mógłby powierzyć wysyłanie dokładnych raportów.

- Ale dlaczego w przebraniu?

- Żeby móc zbierać informacje, nie zwracając niczyjej uwagi na Cyncerona. Przebranie nie jest skomplikowane. Broda, ufarbowane włosy, ot i wszystko.

- Jesteś jednak także szczuplejszy niż przedtem, prawie tak chudy jak przy naszym pierwszym spotkaniu. To zmieniło twoje rysy.

- Tak się złożyło, że naprawdę zachorowałem w podróży, na samym początku, i sporo straciłem na wadze. Zdecydowałem, że lepiej będzie pozostać przy tej figurze, aby dopełnić przebrania. Nie dla mnie ciastka sezamowe z miodem! Każda z tych zmian to niewielki kamuflaż, ale ich połączony efekt jest zadowalający. Nikt mnie z daleka nie poznaje, a jeśli nawet, to uznają, że im się przywidziało, Cyncero bowiem roztrąbił wszem i wobec, że jego ukochany Tiro leży obłożnie chory w dalekiej Grecji. Ludzie chętniej wierzą w to, co wiedzą, niż w to, co widzą. Poza tobą, Gordianusie. Powinienem przewidzieć, że ty właśnie mnie rozszyfrujesz.

- I przez cały czas od powrotu byłeś w mieście?

- Na Herkulesa, nie! Zjeździłem całą Italię. Odwiedzałem garnizony Cezara, śledziłem ruchy Antoniusza, sprawdzałem sytuację Domicjusza w Korfinium, woziłem listy między Cynceronem i Pompejuszem...

- Stałeś się tajnym agentem Cyncerona.

Tiro wzruszył ramionami.

- Ćwiczyłem do tej roli już w Cylicji. Nikt nie chciał rozmawiać z Tironem, sekretarzem namiestnika. Za to Soskarydes z Aleksandrii miał

wszędzie przyjaciół.

Popatrzyłem nań znad kubka.

- A czemu mi to wszystko mówisz?

- Skoro już zobaczyłeś mnie w Rzymie i nabrałeś pewności, że to naprawdę ja, prędzej czy później sam byś do tego doszedł. Tylko mógłbyś wtedy dojść do jakichś błędnych wniosków.

- Mogłeś mi się dzisiaj nie pokazać.

- Podczas gdy ty wywrzaskiwałeś moje imię na cały Palatyn i nasłałeś na mnie swoje dwa psiaki, żeby śledziły każdy mój krok? Nie, Gordianusie, wiem, jaki potrafisz być uparty. Jak pies, który nie może sobie przypomnieć, gdzie zakopał kość. Lepiej było pokazać ci to miejsce od razu, niż pozwolić, abys kopał dziury w całym Rzymie. Dziury są niebezpieczne, zwłaszcza dla niewinnych ludzi. Błędne wnioski też.

Nasz gospodarz przyniósł nam następną kolejkę. Drugi kubek istotnie smakował trochę lepiej. Moje oczy już się przystosowały do marnego światła. W pomarańczowej mgłę z dymiących lamp zacząłem rozróżniać twarze, choć tylko w zarysach. Hałas nie pozwalał nikomu niepowołanemu dosłyszeć naszych słów. Po chwili coś sobie przypominałem.

- Strażnicy powiedzieli mi, że Cyncero ciągle do ciebie pisze do Grecji.

- Bo pisze. Nasz gospodarz w Patras, który rzekomo opiekuje się mną w chorobie, jest wtajemniczony w naszą grę. Gdy tylko otrzyma jakiś list, natychmiast wysyła odpowiedź z moim fałszywym podpisem.

- Więc listy Cyncerona są puste?

- Bynajmniej! Są pełne plotek, cytatów ze sztuk, życzeń powrotu do zdrowia. On zawsze pisze w dwóch egzemplarzach. Nie ma w tym nic dziwnego, tylko że on je oba wysyła. Jeden normalną pocztą do Patras, aby utrzymać pozory, drugi w tajemnicy przez własnego posłańca do mnie, gdziekolwiek bym się znajdował.

- Ale skoro są identyczne, dostajesz od niego zaledwie ploteczki i wyrazy troski o twoje zdrowie.

- Na pozór tak. Tak jest bezpieczniej.

Uśmiechnął się i jakby nad czymś się zastanawiał, po czym wyciągnął zza tuniki miszek. Wyjął z niego złożony kawałek pergaminu, przywołał jedną ze służebnych i kazał podać lampę. Przeczytałem ów list w jej filującym świetle. Datowany był na pierwszy dzień miesiąca, czyli piętnaście dni temu.

*Pisane w Formiach, w kalendy lutowe*

*Marek Tulliusz Cyncero do Marka Tulliusza Tirona.*

*Nadal bardzo się niepokoję stanem Twojego zdrowia. Wiadomość, że Twoja choroba nie jest niebezpieczna, trochę mnie pocieszyła, ale jej uporczywość mnie martwi. Brak mi mojego zdolnego sekretarza, ale jeszcze bardziej cięży mi nieobecność tak bliskiej osoby. Choć jednak tęsknię za Tobą, upominam Cię, abys nie ruszał się z miejsca, dopóki w pełni nie odzyskasz sił, zwłaszcza podczas tej ostrej zimy. Nawet w przytulnych domach trudno uciec przed zimnem, a cóż dopiero mówić o znoszeniu morskich wichrów i wilgoci. Jak mówi Eurypides, „Zimno jest dla delikatnej skóry najgorszym wrogiem”.*

*Cezar nadal udaje, że negocjuje z Pompejuszem, jednocześnie bawi się w*



*agresora. Zupełnie jak Hannibal wysyłający dyplomatów przed słoniami! Teraz obiecuje, że odda Galię Domicjuszowi i przybędzie do Rzymu, by osobiście kandydować na konsula, jak tego wymaga prawo... ale tylko wtedy, gdy Pompejusz rozpuści do domów wojska lojalistów, które ostatnio powołano pod broń w Italii, i niezwłocznie wyjedzie do Hiszpanii. Cezar nie wspomina za to nic o oddaniu miast, które obsadził garnizonami po przekroczeniu Rubikonu.*

*Nasza nadzieja w tym, że Galowie wcieleni do jego legionów mogą go opuścić, jako że nie brak im powodów, by go nienawidzić za cierpienia, jakie im zadał podczas podboju Galii. Na północy miałby wówczas buntowniczą prowincję, na zachodzie sześć legionów Pompejusza w Hiszpanii, a na wschodzie prowincje dawno przez tego ostatniego podbite, gdzie wciąż bardzo szanują imię Wielkiego. Gdyby tylko centrum mogło trzymać się dość długo, by zapobiec splądrowaniu Rzymu przez Cezara!*

*Terencja pyta, czy nosisz ten żółty szal, który ci dała przed naszym odjazdem z Cylicji. Uczyń wszystko, by się chronić przed chłodem!*

Podniosłem wzrok znad listu.

- Jego nadzieja, że Galowie opuszczą Cezara, wydaje mi się płonna. Mój syn Meto mówi, że trzymają się go z zapalem neofitów. Poza tym list sprawia zupełnie normalne wrażenie.

- Sam widzisz...

- Co masz na myśli?

- To, że słowa mogą mieć więcej niż jedno znaczenie.

Zmarszczyłem brwi i przyjrzałem się tekstowi jeszcze raz.

- Chcesz powiedzieć, że to jakiś szyfr?

To przecież Tiro wymyślił metodę szybkiego zapisu, zwaną odtąd Tironową stenografią, używaną za konsulatu Cyncerona do protokołowania debat w senacie. List był jednak napisany normalnym pismem i nie wyglądał na zaszyfrowany. Tiro się uśmiechnął, widząc moje wysiłki.

- Wszyscy wiemy, co oznacza słowo, na przykład, „niebieski” - powiedział. - Ale gdybyśmy się z góry umówili, że „niebieski” oznacza legion, a „czerwony” kohortę, a potem napisałbyś mi coś o niebieskim szalu, wówczas tylko my dwaj wiedzielibyśmy, o co naprawdę chodzi.

- Rozumiem. A kiedy Cyncero cytuje Eurypidesa...

- Może to znaczyć coś zupełnie innego, niż gdyby użył fragmentu z Enniusza. Sama treść cytatu jest bez znaczenia. Wzmianka o morskiej podróży może informować o przeziębieniu Pompejusza. Pod zwrotem „przytulny dom” można rozumieć na przykład konkretnego senatora, którego trzeba obserwować. Nawet słonie Hannibala mogą mieć tajne znaczenie.

- Tworzycie z Cyncerem niezły zespół. - Pokręciłem z podziwem głową.

- Po cóż miecze, kiedy słowa są bronią.

- Jesteśmy razem od bardzo dawna, Gordianusie. Pomagałem Cynceronowi pisać każdą z mów, które kiedykolwiek wygłosił. Przepisywałem jego traktaty, redagowałem komentarze. Często wiem, co powie, zanim on sam na to wpadnie. Stworzenie naszego niewidzialnego języka nie było dla nas trudne. Każdy teraz może przeczytać słowa, ale ukrytą w nich treść widzimy

tylko my dwaj.

Zapatrzyłem się w mroczny przeciwległy róg sali.

- Ciekawe, czy Meto i Cezar też są tak sobie bliscy - mruknąłem.

Tiro jakby nie zauważył mojego smętnego tonu.

- Niewykluczone. Wielcy ludzie, jak Cyncero, a nawet Cezar, jak sądzę, potrzebują dodatkowych głów, by pomieścić swój intelekt.

- Wolność cię nie zmieniła, Tironie. Wciąż nie doceniasz siebie i przeceniasz swego byłego pana.

- Kto wie?

Kiedy składał list i chował go z powrotem do mieszka, doznałem nagłego olśnienia.

- To Cyncero, prawda?

- O co ci chodzi, Gordianusie?

- To Cyncero napisał ten poufny raport dla Pompejusza. O mnie i mojej rodzinie.

- Jaki raport? - Tiro się zawahał.

- Wiesz, o czym mówię.

- Wiem?

- Tironie, możesz się chować za słowami, ale nie za swoją twarzą, w każdym razie nie przede mną. Widzę, że wiesz, co mam na myśli.

- Może...

- Wszystko by się zgadzało. Jeśli Pompejusz potrzebował informacji o różnych ludziach w Rzymie i to szybko, a przy tym z zaufanego źródła... ktoś lepiej by się do tego nadawał od Cyncerona, który widzi upiory w każdym kącie od czasu, kiedy wywęszył tak zwany spiszek Katyliny. Moje akta musiał trzymać od lat! Ta uwaga o moim nieposzanowaniu „rzymskich wartości”, przytyk na temat mojego „zwyczaju adoptowania niewolników”... o tak, to Cyncero patrzący na mnie z góry, jak zwykle. A ktoś lepiej zamieniłby jego raport w zaszyfrowany tekst niż ty sam, Tironie? Jego zaufany sekretarz, wynalazca stenografii, druga połowa jego mózgu? Byłeś w mieście tamtego dnia, prawda? Wtedy, kiedy zginął Numeriusz. Wpadłeś mi przelotnie w oko, kiedy wyszedłem od Cyncerona. Czy to była jego ostatnia przysługa dla Wielkiego... odebranie tajnej listy lojalnych?

Tiro rzucił mi bystre spojrzenie.

- Jeżeli taki raport w ogóle istniał... to kopia, którą Cyncero dał Numeriuszowi, zaginęła. Pompejusz nigdy jej nie odnalazł, chociaż porozcinał wszystkie szwy w ubraniu zabitego i rozdarł je na skrawki. Doszedł do wniosku, że ktokolwiek zamordował Numeriusza, musiał też zabrać ten raport. Jak to się stało, Gordianusie, że ty o nim wiesz?

- Przeczytałem go. Przynajmniej część dotyczącą mnie. Znalazłem go przy zwłokach w schowku w podeszwie buta.

- W bucie! - Tiro się roześmiał. - To coś nowego. Ale co z nim zrobiłeś? Masz go jeszcze?

- Spaliłem go.

- Powiedziałeś, że odczytałeś tylko to, co dotyczyło ciebie. I spaliłeś resztę, nie czytając? Szyfr nie był aż tak skomplikowany.

- Pompejusz przyszedł do mnie niespodziewanie. Nie miałem już czasu, by podłożyć raport z powrotem do schowka w bucie. Gdyby zaś znalazł go w

moim gabinecie...

- Rozumiem. No cóż, zagadka rozwiązana. Zastanawialiśmy się z Cynceronem, do kogo te notatki trafiły.

- Pisząc do niego o naszym spotkaniu... co niewątpliwie uczynisz... będziesz musiał pewnie wspomnieć o „rózowym świetle”, czy co tam wymyśliliście na przekazanie wiadomości, że „tajny raport poszedł z dymem”.

- Użyję pewnego cytatu z Sofoklesa. Jak myślisz, czy Numeriusz zginął, bo ktoś wiedział o przenoszonych przez „liście lojalnych” Cyncerona, jak to nazwał?

Zawahałem się.

- Mogły istnieć inne powody, aby ktoś pragnął jego śmierci.

- Mianowicie?

- Jego matka chyba jest zdania, że Numeriusz wiódł podwójne życie. Może był czyimś szpiegiem.

- Dla kogoś innego niż Pompejusz? - Tiro zmarszczył brwi.

- Tak. Wstydziła się takiej ewentualności, ale mimo to podzieliła się ze mną podejrzeniami. Biedaczka desperacko chce poznać prawdę o śmierci syna.

- Miałem okazję poznać Mecję. - Tiro skinął głową. - Nadzwyczajna kobieta. Wynajęła cię, abyś przeprowadził dochodzenie?

- Nie ona, lecz Pompejusz. A raczej rozkazał mi je przeprowadzić.

- Rozkazał? Przecież nie jest... na razie... dyktatorem.

- Niemniej potrafi użyć przekonujących argumentów. Siłą wcielił mego zięcia do swej armii, wbrew jego woli, ale zgodnie z prawem. Wyraził się jasno: nie zwolni Dawusa, dopóki nie odkryję tożsamości mordercy jego krewnego. Moja córka rozpacza, bo Dawus może wylądować w Grecji, w Hiszpanii czy nawet w Egipcie. A kiedy Pompejusz straci cierpliwość... - Pokręciłem głową. - Wodzowie wyznaczają nielubianych podwładnych do niebezpiecznych zadań. Dawus jest na jego łasce i niełasce.

Tiro patrzył w zamyśleniu na swój kubek, przesuwając palcem po wyszczerbionym brzegu.

- Byłeś ze mną szczerzy, Gordianusie.

- I ty ze mną, Tironie.

- Nigdy nie byliśmy sobie wrogami.

- Mam nadzieję, że nigdy nimi nie zostaniemy.

- Powierzę ci sekret, Gordianusie, choć pewnie nie powinienem. - Tiro ściszył głos tak, że musiałem dobrze wyczuć słuch, by wyciągnąć jego słowa z ogólnego gwaru, śmiechu i grzechotu gości na stolikach do gry. - Spotkałem się z Numeriuszem zaledwie kilka dni przed jego śmiercią. Mieliśmy przekazać sobie wiadomości, ja od Cyncerona, on od Pompejusza. Spotkanie odbyło się tutaj, w „Tawernie rozpusty”, a nawet na tej samej ławie. Nazwał to „swoim kątem”. Miałem wrażenie, że załatwiał sporo interesów tu, gdzie teraz siedzisz.

Zadrzałem na myśl o tym, że lemur zabitego może dzielić ze mną ławę.

- Jakich interesów?

- O ile mi wiadomo, Numeriusz był lojalny wobec Pompejusza - odrzekł Tiro z wahaniem. - Nigdy nie miałem podstaw, by sądzić inaczej. Ale

ostatnim razem, kiedy się spotkaliśmy, twierdził, że wie o pewnych interesujących rzeczach. Niebezpiecznych.

- Mów dalej, Tironie. Zamieniłem się w słuch.

- Numeriusz pił więcej, niż powinien, co rozwiązało mu język. Był bardzo podekscytowany.

- Czym?

- Pewnymi zdobytymi przez siebie dokumentami. „Siedzę na czymś wprost niewiarygodnym”, powiedział, uśmiechając się chytrze. „To coś tak wielkiego, że może mnie zabić, jeśli piśniesz komukolwiek choć słówko”.

- Co to było, Tironie?

- Podobno dotyczyło planu zabicia Cezara.

- Uknutego przez Pompejusza? - Udało mi się ponuro zaśmiać.

- Nie! Chodziło o spisek w samym obozie Cezara, w który zamieszani są ludzie z jego najbliższego otoczenia. Skąd Numeriusz mógł o nim wiedzieć i jakie dokumenty wpadły mu w ręce, nie mam pojęcia. Powtarzam tylko jego własne słowa.

- A kiedy to rzekome zabójstwo miałoby nastąpić?

- Zaraz po przekroczeniu przez Cezara Rubikonu, w chwili, kiedy najechał zbrojnie ojczyznę i ujawnił swoje prawdziwe oblicze. Z niewiadomych powodów plan spełził na niczym. Ale Numeriusz uważał, że jeszcze może do tego dojść.

- Pobożne życzenia - prychnąłem wzgardliwie.

- Być może. On jednak twierdził, że ma dowody na piśmie. - Tiro nachylił się bliżej ku mnie. - Ty o tym nic nie wiesz, co, Gordianusie?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Mówiłeś, że znalazłeś raport Cyncerona w bucie Numeriusza. Co jeszcze tam było? Bądź ze mną szczerzy, Gordianusie! Ja się przed tobą otworzyłem. Wziąłem głęboki oddech.

- Znalazłem pięć kawałków pergaminu, ni mniej, ni więcej. Wszystkie tego samego gatunku i koloru, zapisane tą samą ręką i tym samym szyfrem.

- To musiał być raport Cyncerona. - Tiro skinął głową. - I nic poza tym tam nie było?

- Nic.

Tiro wyprostował się, a po chwili uniósł swój kubek i zawołał o wino.

- I porządny kielich, nie z wyszczerbionym brzegiem! - dodał tonem na tyle ostrym, że z twarzy eunucha zniknął przyklejony zazwyczaj do niej uśmiešek.

Nagle zrozumiałem, dlaczego tak szczerze dzielił się ze mną informacjami. Liczył na to, że odwzajemnię mu się tym samym, a konkretnie - dokumentami o spisku. Wyraźnie go rozczarowałem. Zaczekaliśmy na wino, po czym wypiliśmy je w milczeniu. Po przeciwnej stronie sali jeden z graczy zakrzyknął: „Gajusz Juliusz!” i rzucił kości. Po chwili doszedł nas jego radosny wrzask.

- Rzut Cezara! Rzut Cezara bije wszystko!

Mężczyzna zgarnął ze stołu wygraną i odtńczył taniec zwycięstwa.

- Nie umie elegancko wygrać - zauważyłem.

- Ciekawe, czy Cezar umie - mruknął Tiro w odpowiedzi.

- Twoja rozmowa z Numeriuszem... to znaczy ta, w której powiedział ci o

spisku przeciw Cezarowi... odbyła się na parę dni przed jego śmiercią?

- Tak.

- Ale kiedy zginął, niósł tylko dokumenty od Cyncerona. Czy przypadkiem... - Muszę dalej pytać bardzo ostrożnie, pomyślałem. - Czy nie doszło wtedy do jakiejś... sprzeczki między nimi obydwoma? Tuż przed wyjściem Numeriusza do mnie?

- Sprzeczki?

- Krzyków, dość głośnych, by je słyszano na ulicy.

- Ci przekłęci strażnicy! To oni ci powiedzieli?

- Nie chciałbym ściągnąć na nich kłopotów.

Tiro wzruszył ramionami.

- Tamtego dnia istotnie Cyncero mógł podnieść głos na Numeriusza.

- Podnieść głos? On przecież wrzeszczał, jeśli wierzyć niewolnikom. Coś o długu wobec Cezara. Czy to Numeriusz był tym dłużnikiem, czy... Cyncero?

Wyraz twarzy Tirona powiedział mi, że trafiłem w delikatny punkt.

- Masa ludzi ma długi u Cezara. To w niczym nie umniejsza ich lojalności wobec Pompejusza albo senatu.

Skinąłem głową na znak zgody.

- Oczywiście. Tylko że... ze słów matki Numeriusza wynikało, iż mógł on kogoś szantażować.

Tiro poruszył się niespokojnie.

- Myślę, że dość mam tego podłego wina. Po jakimś czasie staje się ono znowu gorsze, nie lepsze. A ten puchar ma więcej szczerb niż poprzedni!

- Byłeś wtedy w Rzymie, Tironie... w dniu śmierci Numeriusza. Czy przypadkiem go... nie śledziłeś, kiedy wyszedł od Cyncerona?

- Nie podoba mi się twój ton, Gordianusie.

Czyżby pomyślał, że podejrzewam go o morderstwo?

- Pomyślałem tylko, że jeśli tak było, to może zauważyłeś coś szczególnego. Kogoś innego, kto go śledził... Kogoś, komu mógłby przekazać dokumenty przed pójściem do mnie...

Tiro spojrział mi prosto w oczy.

- Tak, śledziłem Numeriusza. Cyncero był ciekaw, dokąd się uda. Poszedłem więc za nim aż do twego domu. Czekałem tak długo na jego ponowne pojawienie się, że w końcu uznałem, że jakoś mi się wymknął. Skąd mogłem wiedzieć, że on już leży tam martwy? Nie widziałem, by komukolwiek przekazywał jakieś dokumenty. Uprzedzę twoje następne pytanie i powiem, że nie widziałem również nikogo wspinającego się na twój dach. Co prawda nie mogłem obserwować wszystkich czterech ścian naraz, prawda?

Skwitowałem to uśmiechem, a Tiro ciągnął dalej:

- I niech ci nawet nie przyjdzie do głowy pytać, czy aby to nie ja sam się tam wspiałem. - Usiłowałem nadać swojemu głosowi lekki ton. - Widziałeś, jak ostrożnie musiałem schodzić po tej chwiejnej drabinie z dachu Cyncerona!

- Widziałem. Mimo to jakoś ją pokonujesz... - Ja również uczyniłem wysiłek, by powiedzieć to z humorem.

Przeprosiłem Tirona i udałem się do toalety mieszczącej się za tylnym wejściem w małej przybudówce po drugiej stronie zaułka. W wyłożonej

płytkami podłódze było tam kilka dziur, ale klienci „Tawerny rozpusty” są kiepskimi strzelcami i wszędzie zalegały kałuże cuchnącej uryny. Zdaje się zresztą, że akurat tędy przebiega Cloaca Maxima, centralny kanał odprowadzający ścieki do Tybru.

Kiedy wróciłem do naszego kąta, Tirona już tam nie było. Usiadłem i zamówiłem jeszcze jeden kubek, nie kwapiłem się bowiem do powrotu do domu. Ta rozmowa dała mi więcej, niż się spodziewałem. Gdzie są dokumenty, którymi Numeriusz się przechwalał na parę dni przed śmiercią? Kto jeszcze o nich wiedział? Jak ten biedak, czułem, że wpada mi w ręce coś ogromnego, choć jeszcze nie mogłem tego uchwycić.





## ROZDZIAŁ 9

Koniec lutego przyniósł zgryzotę stronnikom Pompejusza i napełnił radością obóz Cezara. Rozgrzany nieprzerwanym ciągiem zwycięstw Gajusz Juliusz parł na południe i obiegnął Korfinium. Uwięziony w mieście Domicjusz Ahenobarbus wysyłał rozpaczliwe listy do Pompejusza, prosząc go o wsparcie, na co Wielki odpowiedział krótko, że nie ma zamiaru iść z odsieczą, ponieważ Domicjusz w ogóle nie powinien tam się znajdować. Ahenobarbus ukrył treść listu przed swoimi podwładnymi i ogłosił, że Pompejusz nadciąga, ale jego zdenerwowanie go zdradziło. Za jego plecami niżsi dowódcy postanowili poddać miasto Cezarowi bez walki.

Wieloletnia uraza, jaką Domicjusz żywił wobec Cezara, miała charakter osobisty. Jego dziadek i ojciec rozpoczęli kolonizację południowej Galii, podbijając plemiona Allobrogów i Arwernów, budując drogi, zakładając rzymskie osady na wybrzeżu, a przy okazji gromadząc wielki rodzinny majątek. Nic więc dziwnego, że ich ród zaczął uważać ten region za swoje królestwo, którego spadkobiercą miał być Domicjusz. Cezara traktowali jak parweniusza, który wykorzystał ich osiągnięcia jako odskocznię do swych własnych podbojów. Kiedy przed sześcioma laty Domicjusz po raz pierwszy starał się o namiestnictwo południowej Galii, Cezar udaremnił jego zamiar i utrzymał swoje panowanie nad regionem. Teraz jednak jego czas upłynął. Prawo obligowało go do oddania Galii Domicjuszowi jako swemu następcy. Odpowiedzią Cezara było przekroczenie ze swą armią Rubikonu. Ahenobarbus miał wiele powodów, by go nienawidzić, i równie dużo, by się go bać. Zdradzony i zrozpaczony perspektywą haniebnego śmierci z rąk swego wroga, albo jeszcze bardziej haniebnego - z rąk własnych ludzi, Domicjusz poprosił swego lekarza o podanie mu trucizny. Ledwo jednak ją połknął, gruchnęła wieść, że Cezar traktuje wszystkich jeńców, nawet najzagorzalszych nieprzyjaciół, łaskawie i z szacunkiem. Domicjusz zawodził, rwał włosy z głowy i przeklinał sam siebie za pochopną decyzję, dopóki lekarz, który znał swego pana lepiej niż on sam, nie wyjawiał mu, że zażyty specyfik nie jest trucizną, tylko nieszkodliwym środkiem usypiającym. Uspokojony Ahenobarbus poddał się Cezarowi i zachował głowę.

W Rzymie stronnicy Gajusza Juliusza rozwiesili na Forum kopie jego proklamacji ogłoszonej po wkroczeniu do Korfinium:

*Nie wyruszyłem z mojej prowincji z zamiarem wyrządzenia komukolwiek krzywdy. Chcę tylko chronić samego siebie przed oszczerstwami moich wrogów, przywrócić należną pozycję tym trybunom ludowym, których skazano na wygnanie za oddanie mojej sprawie. Chcę przywrócić sobie i ludowi rzymskiemu niezależność i wyrwać go spod dominacji niewielkiej kliki.*

Ci z bogatych i wpływowych ludzi, którzy dotąd siedzieli okrakiem na

barykadzie, łaskawość Cezara przyjęli z rosnącym sercem. Niektórzy zaczęli z wolna powracać do Rzymu. Cezar zaś na czele armii wzmocnionej przez oddziały Ahenobarbusa i świeże posiłki z Galii pociągnął dalej na południe. Pompejusz zarządził odwrót i rozkazał wszystkim lojalnym siłom skupić się w Brundyzjum, na obcasie italskiego „buta”.

- Dawus tam zginie - powiedziała Diana. - Umrze w Brundyzjum, złapany w pułapkę wraz z resztą ludzi Pompejusza. Cezar zdepcze ich wszystkich.

- Jak dotąd Cezar okazywał pokonanym łaskę - odparłem. - Wziął Korfinium bez przelewania krwi.

- Teraz jednak będzie inaczej. To sprawa z Pompejuszem, a on nigdy się nie podda Cezarowi.

- Być może będzie wolał uciec, niż walczyć.

- Przez morze? Ale Dawus nie umie pływać!

- Sądzę, że wykorzystaliby raczej okręty. - Starąłem się powstrzymać uśmiech.

- Przecież wiem! Mam na myśli pogodę. Nikt nie wyrusza w morze o tej porze roku, jeśli nie musi. To jest zbyt niebezpieczne, zwłaszcza podróż na drugą stronę Adriatyku. Sztormy, wraki... ciągle widzę przed oczami Dawusa ucepionego kawałka drewna, fale przelewające mu się nad głową, błyskawice...

Przekleństwo nadmiernie wybujałej wyobraźni Diana odziedziczyła po matce.

- Dawus jest sprytniejszy, niż myślisz - powiedziałem. - Potrafi dawać sobie radę.

- Nieprawda! On jest słodki jak miód w chłodny poranek i równie powolny. Dobrze o tym wiesz, tato. A jeśli Pompejusz się nie przestraszy i będzie bitwa, ludzie Cezara staną naprzeciw ludzi Pompejusza? Dawus nie będzie rozsądny i nie ucieknie. Będzie się czuł zobowiązany zostać i walczyć wraz z innymi żołnierzami. Z mężczyznami tak jest, prawda? Towarzysze i lojalność do ostatniej kropli krwi?

Nie miałem na to odpowiedzi. Sam brałem raz udział w bitwie, walcząc u boku Katyliny pod Pistorią. Wiedziałem, że Diana ma rację.

- Meto mówi, że ran się nawet nie czuje. Walczy się tylko i walczy, aż już dłużej nie można. - Diana spojrzała na mnie z nagłą zgrozą w oczach. - Tato, Dawus i Meto mogą się znaleźć po przeciwnych stronach w tej bitwie. Jeden może zabić drugiego!

No, teraz już moja córka przesadza z tą wyobraźnią, pomyślałem. Wstałem z krzesła, przeszedłem przez gabinet i położyłem jej ręce na ramionach. Przyłgnęła do mnie mocno, a ja objąłem ją i tuliłem do siebie.

- Dawus był szkolony na ochroniarza, nie żołnierza - przypomniałem. - Wiesz o tym, Dianio. Pompejusz właśnie do tego celu go wykorzysta, do ochrony osobistej. Będzie trzymał Dawusa przy sobie dzień i noc. No powiedz mi, gdzie on mógłby być bezpieczniejszy? Pompejusz nie jest głupcem. Przypomnij sobie, jak ostrożnie postępował do tej pory, jak cofał się o dwa kroki na każdy krok Cezara do przodu. Dawus jest pewnie bardziej bezpieczny u jego boku niż tutaj, w Rzymie.

- Ale jeśli dojdzie do bitwy, a Pompejusz sam poprowadzi swoich ludzi do



ataku? Cezar tak robi, Meto mi o tym mówił. Wtedy los Dawusa będzie przesądzony. Jest tak, jak mówisz: on został wyszkolony na ochroniarza. Raczej poświęć własne życie, niż dopuść, by coś się stało Pompejuszowi. Nawet nie pomyśli, tylko rzuci się na pierwszy miecz wymierzony w pierś jego wodza!

- Diano, Diano, musisz przestać tak myśleć! - Westchnąłem ciężko. - Posłuchaj mnie. Zamknij oczy i wyobraź sobie Dawusa. Co on może robić w tej właśnie chwili? Ja ci powiem: stoi na baczność przed namiotem Pompejusza, znudzony śmiertelnie, z trudem powstrzymując ziewanie. Widzisz go? Ja widzę. Widzę nawet muchę latającą mu koło głowy. Jak ziewnie, mucha może mu wlecieć w rozdziawione usta!

- Och, tato! - Diana pociągnęła nosem i zaśmiała się.

Przytuliłem ją mocniej.

- Jak myślisz, o czym on teraz myśli? - spytałem.

Znow się roześmiała.

- Pewnie o tym, co będzie na obiad!

- Nie. On myśli o tobie, Diano. O tobie i o małym Aulusie.

Diana westchnęła i rozluźniła się nieco. Pogratulowałem sobie w duchu skutecznego pocieszenia jej, ale przedwcześnie, jak się zaraz okazało. W następnej chwili zadrzała i zalała się łzami, wyrrywając się z mojego uścisku.

- Co znowu, córeczko?

- Och, tato, nie mogę tego znieść. Dawus jest tak daleko stąd, taki samotny! Musi mu być bardzo źle i nic nie może na to poradzić. Tato, musisz mi przyrzec, że go uwolnisz. Musisz zrobić wszystko, aby do nas wrócił!

- Ale, Diano...

- Musisz znaleźć mordercę krewnego Pompejusza i donieść mu o tym, i zmusić do oddania Dawusa!

Pokręciłem głową.

- Cóрко, nie wiesz, czego ode mnie żadasz.

Rzuciła mi spojrzenie, w którym wyczytałem zdziwienie, rozczarowanie i rozpacz. Ujrzałem w jej oczach coś, czego nigdy przedtem u niej nie widziałem. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że jej ukochany ojciec, który dotąd zawsze był dla niej ucieczką i opoką, może po prostu być już za stary, by dbać o bezpieczeństwo rodziny. Pragnąłem gorąco zapewnić ją, że tak nie jest, że daleka jest od prawdy, ale język miałem jak z ołowiu.

Ten dzień, kalendy marcowe, chyba był mi przeznaczony na spotkania ze zrozpaczonymi młodymi kobietami. Ledwie Diana zdążyła opuścić mój gabinet, kiedy wbiegł tam Mopsus. Poirytowany pomyślałem, że i on, i jego brat nigdy chyba nie chodzą, czy to w domu, czy poza nim. Znali tylko dwa stany: albo leżeli i odpoczywali, albo gonili na oślep jak dwa psy.

- Panie, masz gościa.

- Czy ten gość ma jakieś imię?

- To kobieta, panie.

- Jak mniemam, kobiety również miewają imiona.

Zmarszczył czoło. Domyśliłem się, że w biegu od westybulu do mego gabinetu zdążył zapomnieć, jak gość się przedstawił. Ludzie są jak zwierzęta Ezopa, pomyślałem, nigdy nie zmieniają swej natury. Dawus zawsze będzie

ochroniarzem, Meto żołnierzem i pisarzem, a Mopsus, wychowany na stajennego, nigdy nie będzie porządnym odźwiernym.

- Cóż to za kobieta? - spytałem. - Niskiego czy wysokiego stanu?

Chłopak zastanowił się chwilę.

- Ma eskortę. Poza tym trudno powiedzieć. Po ubraniach nie można poznać, cała jest w czerni.

Czyżby to Mecja przybywała pytać mnie o postępy w moim śledztwie? Nie uśmiechało mi się znów z nią spotykać... chyba że znalazła w domu jakieś nowe dowody działalności Numeriusza... może nawet te dokumenty o spisku na życie Cezara?

- Stara czy młoda?

Mopsus znów musiał pomyśleć, zanim odpowiedział.

- Młoda, panie. Może taka jak Diana.

A zatem to nie Mecja. Ale ten żałobny strój? Tym razem to ja zmarszczyłem czoło. Numeriusz nie był żonaty, nie miał też siostry. A może...

- Wprowadź ją - poleciłem.

- A jej ochrona?

- Niech czeka na ulicy, ma się rozumieć.

Mopsus wyszczerzył zęby w wesołym uśmiechu.

- Jest ich trzech, panie, ale założę się, że nawet we trójkę nie daliby rady Przeciętej Twarzy!

Obaj malcy ostatnio polubili Cykatriksa, a co dziwniejsze, szkaradny olbrzym zdawał się odwzajemniać to uczucie. Często słyszałem ich śmiech w westybulu albo przed drzwiami frontowymi, ostry basowy rechot gladiatora w jaskrawym zestawieniu z piskliwym chłopięcym śmieszkiem. Nie mogłem się wyzbyć podejrzeń wobec niego i najchętniej bym go odprawił, ale już się go tak nie bałem jak na początku. Jako strażnik spisywał się doskonale, a wobec Bethesdy i Diany zachowywał się z posępną poprawnością. Wyraźnie wolałby być przy Wielkim i uważał się za zbyt dobrego na służbę w domu takiego szarego obywatela jak ja. Ustalił się między nami pewien nacechowany wzajemną niechęcią system porozumiewania się: ja wydawałem suche, lakoniczne polecenia, on krzywił się i burczał pod nosem, ale spełniał je posłusznie.

Mopsus puścił się biegiem z powrotem do westybulu. Wyszedłem z gabinetu do ogrodu, uważając go za stosowniejsze miejsce na przyjmowanie młodych dam. Jak na pierwszy dzień marca pogoda była przyjemna, wiatr słaby i zaledwie kilka wysoko zawieszonych pasm pierzastych chmur przecinało zimny błękit nieba. Po chwili pojawiła się nieznajoma. Nie miała na sobie stoli, odpowiedniej dla mężatki, ale panieńską długą czarną tunikę, nakrytą ciężką czarną opończą w niemal tym samym odcieniu co jej kruczę włosy, upięte grzebieniami i szpilkami w wysoki kok, nieco zbyt dojrzałe wyglądający przy jej dziewczęcej twarzy. Zbyt ciężko też pachniały jej perfumy, w których wyczułem woń jaśminu i nardu. Mopsus ocenił jej wiek na zbliżony do Diany, ale według mnie musiała być młodsza, miała nie więcej niż siedemnaście, może osiemnaście lat. Jej cera i dłonie były białe jak pierś synogarlicy. Popatrzyła na mnie podejrzliwie spod ciemnych brwi.

- Ty jesteś Gordianus?

- Ja. A ty kim jesteś?
- Nazywam się Emilia. Jestem córką Tytusa Emiliusza. Spojrzałem znacząco na drzwi, którymi weszła do ogrodu.
- Gdzie twoja przyzwoitka? - spytałem.
- Emilia spieszyła się i spuściła oczy.
- Przyszłam tu sama.
- Dziewczyna w twoim wieku i twojego stanu chodzi sobie po Rzymie bez towarzyszek?
- Mam ze sobą ochronę.
- Mimo to... Czy twój ojciec wie, że tu jesteś?
- Mój ojciec wyjechał z Pompejuszem.
- Oczywiście. A matka?
- Wróciłyśmy do miasta dopiero przed paroma dniami. Pojechałyśmy do naszej willi na wybrzeżu, ale mama mówi, że teraz chyba bezpieczniej jest w Rzymie. Jest zajęta zakupami. Miałam iść z nią, ale powiedziałam, że źle się czuję i muszę zostać w domu.
- I zamiast tak zrobić, przyszłaś do mnie.
- Tak.
- A nie czujesz się źle? Wyglądasz blado.
- Nie odpowiedziała, rozglądając się nerwowo po ogrodzie, dopóki nie zatrzymała wzroku na posągu za moimi plecami. Widok bogini jakby dodał jej sił. Kiedy przemówiła, patrzyła nie na mnie, ale na twarz Minerwy. Chyba nie miała do tej pory wielu sposobności do rozmów z dorosłymi mężczyznami.
- Przychodzę prosto od Mecji. To ona mi o tobie powiedziała.
- Co mianowicie?
- Że prowadzisz dochodzenie w sprawie... - Głos jakby jej uwiązł w gardle. Znowu spuściła oczy. - Czy to właśnie tutaj...?
- Westchnąłem.
- Jeśli masz na myśli śmierć Numeriusza Pompejusza, to tak, stało się to w tym ogrodzie.
- Zadrżała i nerwowo ścisnęła fałdy opończy przy szyi.
- Był twoim krewnym?
- Nie.
- Ale nosisz po nim żałobę.
- Zagryzła wargę, krwistoczerwoną na tle bladości policzków.
- On był... my oboje... mieliśmy się pobrać.
- Nic o tym nie wiedziałem. - Pokręciłem głową ze zdziwieniem.
- Nikt nie wiedział.
- Nie rozumiem...
- Nikt o tym nie wiedział. Pompejusz planował dla niego małżeństwo z kimś innym, ale Numeriusz wybrał mnie.
- Jej gest - dłoń odruchowo położona na brzuchu - wszystko mi powiedział.
- Teraz rozumiem.
- Naprawdę? - Na jej twarzy odmalował się niepokój pomieszany z dumą.
- Mecja też się domyśliła. Czy to takie oczywiste?
- Nic jeszcze nie widać, jeśli o to ci chodzi - uspokoilem ją.
- Tutaj nie. - Zerknęła w dół i znowu dotknęła brzucha. - Ale muszę mieć to

wypisane na twarzy. I czemu nie? Powinnam być wdową po nim. Dziecko powinno się urodzić z jego nazwiskiem. Ale teraz...

- Dlaczego tu przyszłaś, Emilio? Zobaczyć miejsce, gdzie zginął?

- Nie! - Skrzywiła się. - Nie chcę o tym myśleć.

- Co więc tutaj robisz? Czego ode mnie chcesz? - Nasze oczy spotkały się na mgnienie, po czym przeniosła spojrzenie na Minerwę, usiłując zebrać myśli i znaleźć odpowiednie słowa. Uniosłem dłoń. - Nieważne. Sam już wiem. Chcesz tego samego co wszyscy: Pompejusz, Mecja, nawet Diana... - Pokręciłem głową. - Dlaczego po tobie od razu to poznałem, a z moją własną córką... trzeba było niemal uderzenia pioruna, żebym się domyślił. A ludzie myślą, że z Gordianusa taki mądrała, widzi to, na co inni są ślepi!

Emilia popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Od dawna o tym wiesz? - spytałem.

- O dziecku? Wiedziałam już przed wyjazdem z Rzymu. Nie miałam pewności, ale wiedziałam. Od tamtej pory księżyc był w pełni i na nowiu, i znów w pełni, więc już nie ma wątpliwości. Czuję je w sobie! Wiem, że na to jeszcze za wcześnie, ale przysięgam, że czasami je czuję.

- Dziecko Numeriusza... - szepnąłem.

Jak Emilia wyobrażała sobie, że czuje w sobie nowe życie, tak mnie się zdawało, że nagle poczułem czyjaś obecność, jakże odmienną. Cóż mogło silniej przyciągnąć na miejsce zbrodni lemura zamordowanego człowieka niż jego nie narodzone dziecko? Odwróciłem się i wzdrygnąłem, niemal pewny, że dostrzegłem jakiś ruchomy cień za statua Minerwy. Oczywiście była to tylko gra światła.

- Czy on o tym wiedział? Powiedziałaś Numeriuszowi?

Kiwnęła głową.

- Ostatnim razem, kiedy się spotkaliśmy. Na dzień przed jego śmiercią. Mieliśmy miejsce, gdzie mogliśmy się w sekrecie widywać. Tam... - Znów spuściła oczy. - Potem mu powiedziałam. Bałam się, że będzie zły, ale nie był. Był szczęśliwy! Jeszcze nigdy nie widziałam go tak szczęśliwym. Powiedział: „Teraz Pompejusz będzie musiał zrezygnować ze swych planów co do mnie i pozwolić nam się pobrać. Powiem mu dziś wieczorem”. Nazajutrz miał znów się ze mną spotkać i opowiedzieć o reakcji Pompejusza, ale już nie przyszedł. - Zagryzła wargę. - To było tego dnia, kiedy wszyscy myśleli, że nadciąga Cezar, i Pompejusz zdecydował się opuścić Rzym. Mój ojciec postanowił wysłać nas do willi i całą noc spędziliśmy na opętańczym pakowaniu rzeczy. Nie spałam ani chwili. - Odetchnęła, podniosła oczy i spojrzała hardo w oblicze bogini. - Następnego ranka siedzieliśmy już na wozie i zdążaliśmy w kolumnie innych wozów ku bramie Kapeńskiej. Dosiadła się do nas przyjaciółka mamy. Rozmawiały o tym, czy Cezar naprawdę jest blisko, kto staje po czyjej stronie... i nagle... dla niej była to tylko kolejna ploteczka... powiedziała: „Słyszałaś? Wczoraj zamordowano Numeriusza Pompejusza! Został uduszony”. Powiedziała to tak szybko i przeszła do następnej plotki, że pomyślałam: „Zdawało mi się”. Wiedziałam jednak, że to prawda. Poczułam się, jakbym miała w piersi ostry kamień. Chyba zemdlałam. Kiedy się ocknęłam, byliśmy już na Via Appia. Przez chwilę myślałam, że to tylko sen, ale kamień wciąż tam tkwił... Czułam ból przy każdym oddechu.

- Kto jeszcze wie o twojej ciąży?

- Ukrywałam to przed mamą, dopóki się dało. Domyślała się, że coś jest nie w porządku, ale sądziła, że tylko boję się o ojca i denerwuję całą sytuacją. Kiedy jednak ruszyliśmy z powrotem do Rzymu, już nie mogłam się kryć. Mama nie gniewała się tak bardzo, jak myślałam.

- A więc twój ojciec jeszcze nie wie?

Spuściła głowę.

- Mama mówi, że on się nigdy nie może o tym dowiedzieć.

- Jak to możliwe? Nawet jeśli Pompejusz opuści Italię i zabierze ze sobą twojego ojca, może tu wrócić przed twoim rozwiązaniem. A kiedy urodzisz dziecko, ktoś się wygada. Zawsze tak jest. Nie możesz oczekiwać... - Zamilkłam, dotarł do mnie bowiem sens jej słów.

- Dziś rano powiedziałam o wszystkim Mecji. O mnie i Numeriuszu, o dziecku. Płakałyśmy obie. Ona mówi, że nie wolno mi pozbyć się ciąży. Że to wszystko, co pozostało po jej synu. Ale wybór nie należy do niej ani do mnie. Mama każe mi to zrobić.

W ustach czułam zupełną suchość.

- Według prawa to nie matka, ale twój ojciec ma władzę nad tobą i dzieckiem, które nosisz.

- Gdyby o tym wiedział, zabiłby mnie! Postąpiłby zgodnie z prawem i właściwie, prawda?

- Z pewnością by tego nie uczynił! A jeśli nie będzie go cały rok? Wróci i zastanie ciebie z dzieckiem...

- I tak może się go pozbyć. Może porzucić je na wzgórzach za miastem, aby zmarło z głodu albo żeby zjadły je wilki. Mnie zaś umieściłby gdzieś daleko, jak się chowa pęknięte naczynie. - Przełknęła głośno ślinę. - Nie, mama ma rację. Gdyby ojciec tu był, nakazałby mi pozbyć się ciąży, dopóki jest to możliwe. Mogliby jeszcze znaleźć dla mnie męża, nie rozumiesz? Mama mówi, że i tak nie byłoby właściwe wprowadzenie dziecka bez ojca w taki świat... - Zaczęła szlochać.

Powściągnąłem impuls, by ją przygarnąć do siebie. Przycisnąłem rękę wyprostowaną do boków i zacisnąłem pięści. Obejrzałem się przez ramię; miałem wrażenie, że Minerwa przygląda mi się z ironicznym uśmiechem.

- Emilio, dlaczego do mnie przyszedłeś?

- Nie wiem... Mecja mówiła, że ty ostatni widziałeś go żywego... i że wszystko teraz zależy od ciebie.

- Ale ja nie mogę nic dla ciebie zrobić, dziewczyno.

- Możesz się przynajmniej dowiedzieć, kto go zamordował... kto zabił moje dziecko. - Spostrzegła zdumienie na mojej twarzy. - Nie rozumiesz? Gdyby Numeriusza nie zabito, znalazłby sposób, aby mnie poślubić. Jestem tego pewna. Mogłabym urodzić nasze dziecko! Wtedy, nawet jeśli mi go zabrano, gdyby zginął w bitwie czy zaginął na morzu, zostałoby mi chociaż ono, noszące jego imię. Ale teraz... dziecka nie będzie. Rozumiesz? Ktokolwiek zabił Numeriusza, równie dobrze mógłby wbić mi nóż w łono!

Jej rozpacz znalazła ujście w nagłym przejmującym krzyku, który poniósł się aż do drzwi frontowych. Usłyszałem stamtąd łomot i szamotaninę, a po chwili do ogrodu wpadli jeden po drugim jej trzej ochroniarze z wyciągniętymi mieczami. Tuż za nimi wbiegł Cykatriks, rycząc wściekle i

wymachując własnym mieczem. Blizna na jego twarzy była czerwona, jakby dopiero co otrzymał tę ranę. Okrzyknął eskortę dziewczyny i stanął obok mnie, przyjmując postawę obronną, gotów do skoku. Tamci zbliżali nas, mierząc nas groźnymi spojrzeniami.

Emilia obróciła się na pięcie, oszołomiona zamieszaniem, i zorientowała się, co zaszło. Powstrzymała szloch i uniesieniem ręki przywołała do porządku swoich niewolników. Cofnęli się i otoczyli ją ciasnym kręgiem. Jeden z nich porozmawiał z nią szeptem, potem wymienił kilka zdań ze swymi towarzyszami. Groźba przelewu krwi wisiała w powietrzu jak ostry, duszący zapach. Dziewczyna postąpiła ku mnie ze spuszczoną głową. Niewolnicy nie odstępowali jej na krok, wpatrując się w nas z czujnością.

- Wybacz mi - szepnęła. - Nie chciałam...

Skinąłem głową.

- Pójdę już. Nie wiem, dlaczego tu w ogóle przyszłam. Miałam nadzieję, że może ty... Nie wiem.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Ostatni z ochroniarzy szedł tyłem, nie spuszczać z nas oczu.

- Zaczekaj!

Zatrzymała się i obejrzała przez ramię. Podeszedłem bliżej (za blisko dla Cykatriksa, który położył mi rękę na ramieniu i pociągnął w tył).

- Emilio, mówiłaś coś o waszym tajnym miejscu schadzek.

Jej twarz, już pokryta rumieńcem, zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Tak.

- Czy należało ono do Numeriusza?

- Było własnością jego rodziny. Oni mają wiele posiadłości w dzielnicy Carinae.

- Gdzie jest to miejsce?

Podeszła do mnie, gestem nakazując niewolnikom pozostanie z tyłu. Ja dałem taki sam znak Cykatriksowi.

- To kamienica czynszowa - powiedziała cicho. - Paskudne, cuchnące miejsce. Ale na najwyższym piętrze było wolne mieszkanie. Z okna widać tam kawałek Kapitolu... - Zapatrzyła się w przestrzeń, a w jej oczach zalśniły na nowo łzy.

- I wiedzieliście o nim tylko wy dwoje?

- Nie wiem. Myślę, że Numeriusz odziedziczył tę kamienicę po ojcu, ale jego wuj Mecjusz miał coś do powiedzenia w kwestii zarządzania nią.

- Ale ten pokój... To było tajne miejsce Numeriusza?

- Tak. Trzymał tam trochę rzeczy. Lampę, jakieś ubrania, kilka wierszy, które mu dałam...

- Wiersze?

- Grecka poezja miłosna. Przepisałam je dla niego. Czytywaliśmy je sobie nawzajem...

Skinąłem głową.

- A zatem mógł tam trzymać także... inne tajne rzeczy?

- Nie wiem. Dlaczego pytasz?

- Mogą tam być jakieś dokumenty.

- Nie sądzę. - Potrząsnęła głową. - Nie ma tam szafy na zwoje, ani chociaż komody z szufladami. Moje wiersze musiał trzymać pod łóżkiem.

- Mimo to muszę zobaczyć to mieszkanie.

Zagryzła wargę, a potem wolno pokręciła głową.

- Proszę cię, Emilio. To może być bardzo ważne. Mogę znaleźć tam dokumenty, przez które zginął Numeriusz.

Spojrzała na Minerwę, a potem na mnie. Zdecydowała się.

- Budynek stoi na rogu ulicy Wikliniarzy i małej alejki odchodzącej od niej na północ. Pomalowany jest na czerwono, ale wierzchnia warstwa zaczyna się łuszczyć i przebija spod niej stara, żółta. Pokój jest na czwartym piętrze w południowo-zachodnim rogu. Drzwi mają zamek, a klucz jest pod luźną deską podłogową z głęboką rysą, trzy kroki w głąb korytarza.

- Znajdę go. - Skinąłem głową.

Dotknęła mego ramienia.

- Jeśli tam trafisz, znajdziesz te wiersze. Byłabym wdzięczna, gdybyś...

- Oczywiście. Znajdę sposób, by ci je zwrócić.

Pokręciła głową.

- Nie, nie mogę trzymać ich w domu. Nie zniósłabym jednak myśli, że kto inny mógłby je czytać. Spal je.

Odwróciła się i dołączyła do czekających w pogotowiu ochroniarzy. Odprowadziłem ich do drzwi. Kiedy dochodziliśmy do westybulu, nie wiadomo skąd pojawił się mały Aulus i ruszył przez atrium ze śmiechem i klaskaniem w dłonie, tuż przed Emilią. Mopsus i Androkles wpadli za nim, by go złapać. Dziewczyna zadrżała i wybiegła z płaczem na ulicę, pozostawiając w tyle zaskoczonych niewolników.

Tej nocy przewracałem się z boku na bok na łóżku, aż w końcu Bethesda odwróciła się ku mnie z retorycznym pytaniem:

- Nie możesz spać?

Poświata księżycy wydobywała z mroku srebrne błyski w jej rozpuszczonych włosach, ale oczy pozostawały w cieniu.

- Myślę o dziewczynie, która mnie dziś odwiedziła.

Historię Emilii opowiedziałem jej przy kolacji.

- Tak, to bardzo smutne - przytaknęła Bethesda.

- Właśnie. Zastanawiałem się... Nie bardzo wiem, jak to się robi.

- Co takiego?

- Jak można się pozbyć ciąży.

Bethesda westchnęła w ciemności.

- To jedna z rzeczy, które mężczyźni nie obchodzą. Jest kilka sposobów. Czasem wystarczy wierzbowa różga...

- Różga?

- Odarta z kory. Musi być cienka i giętka, żeby dosięgnąć do macicy. Dziewczyna może też przyjąć truciznę.

- Truciznę?

- Coś na tyle mocnego, żeby zabić płód i spowodować jego wyrzucenie z ciała. Robi się silny napar z korzeni, ziół i grzybów. Ruta, psianka, sporysz...

- Ale czy to nie zabije także i matki?

- Bywa i tak. Widziałam ją, kiedy od nas wychodziła. Wyglądała na słabowitą...

Bethesda westchnęła ciężko i odwróciła się na drugi bok. Leżałem na

wznak, patrząc w sufit. Emilia uważała, że morderca Numeriusza jest odpowiedzialny również za śmierć jej nie narodzonego dziecka. Jeśli ona umrze podczas aborcji, czy obciążą go wówczas trzy zbrodnie? Czy ludzie w rodzaju Cezara kiedykolwiek zastanawiają się nad takim ciągiem odpowiedzialności? Zabicie mężczyzny na polu bitwy Cezar uznaje za akt honorowy. Ale co z wdową i sierotami po nim, rzuconymi na pastwę głodu, co z pogrążonymi w rozpacz rodzicami, z kochanką popełniającą samobójstwo z desperacji? Czy oni myślą o całych wsiach, ginących z głodu i chorób po przetoczeniu się przez nie wojennej maszyny? Ile takich ciągów cierpienia i śmierci zaczęło się na każdym polu bitwy w Galii? Ile ofiar straci Italia, jeśli Cezar przekroczy Rubikon?

Sen tej nocy nie chciał do mnie przyjść.







## ROZDZIAŁ 10

Następnego dnia wziąłem ze sobą obu chłopaków i udałem się do Carinae. Nie pamiętałem, gdzie mieści się ulica Wikliniarzy, ale oni wiedzieli. Na prawo, powiedział Mopsus. Nie, na lewo, sprostował Androkles. Podczas gdy oni się sprzeczali, ja zapytałem o drogę przechodzącego niewolnika z ładunkiem nowych koszyków; pokazał ulicę na wprost nas. Ruszyłem w tamtą stronę i niemal zniknąłem za rogiem, zanim chłopcy się zorientowali i pobiegli za mną.

Wąska i kręta uliczka pełna była sklepów z otwartymi drzwiami i wystawionym na sprzedaż towarem. Koszyki były wszędzie, nawet na ustawionych na ulicy trójnożnych stołach, wisiały też na krzyżujących się nad nami sznurach przeciągniętych między budynkami. Wiele było miejscowego wyrobu, ale najlepsze i najdroższe pochodziły z Egiptu, wyplecione z nilowej trzciny, z farbowanymi włóknami tworzącymi misterne wzory i obrazki. Popełniłem błąd, zatrzymując się, by obejrzeć dziwny egzemplarz ozdobiony szlakiem z koni rzecznych z Nilu. Właściciel sklepu spadł na mnie jak jastrząb na jagnię.

- Nazywają je hipopotamami - wyjaśnił nieproszony.

- Wiem. Mieszkałem przez jakiś czas w Egipcie za młodych lat.

- No, to przyda ci się ten kosz na pamiątkę. Zrobiony akurat dla ciebie!

Uśmiechnąłem się, pokręciłem głową i pospieszyłem naprzód. Człowiek podążał za mną, wymachując koszem i natrętnie namawiając do kupna. Kiedy stanowczo odmówiłem targu, cisnął kosz na ziemię i zaklął szpetnie. Ciężkie czasy nie ominęły i ulicy Wikliniarzy.

Odnalezienie opisanej przez Emilię kamienicy o podniszczonej czerwono-żółtej elewacji nie było trudne. Wyglądała na zapuszczoną; tynk był popękany, z okien zwisały krzywo zepsute okiennice. Z któregoś z mieszkań dochodził zapach gotowanej kapusty, gdzie indziej płakało dziecko, co natychmiast przywiodło mi na myśl Emilię. Niektórzy właściciele kamienic trzymają niewolnika przy wejściu, żeby nie dopuszczał złodziei i rozrabiaków, ale tu nikogo nie było na posterunku. Stwierdziłem, że nie ma nawet zamka w drzwiach wejściowych. No cóż, trudno sobie wyobrazić, by mieszkał tu ktokolwiek godny zainteresowania włamywacza, pomyślałem.

- Mopsusie, stań po drugiej stronie ulicy, kiedy ja z Androklesem wejdziemy do środka - powiedziałem. - Postaraj się nie wyglądać na zbiegłego niewolnika o złych zamiarach.

- Będę dobrze czatował, panie - zapewnił gorliwie chłopiec. - Jak wejdzie za tobą ktoś wyglądający na niebezpiecznego, pobiegnę na górę i cię uprzedzę!

- Nie, Mopsusie. - Pokręciłem głową. - W tym domu musi mieszkać sporo niebezpiecznie wyglądających mężczyzn, kobiet zresztą też. Cała dzielnica jest niebezpieczna. Ale mieszkańcy muszą wchodzić i wychodzić z domu. Jak odróżnisz od nich kogoś, kto nie powinien się tu znaleźć?

Mopsus podrapał się niepewnie w łepetynę.

- A jeśli nawet naprawdę jakiś zabójca wejdzie za mną, jak się obok niego przemkniesz, żeby mnie ostrzec?

Mopsus zmarszczył czoło, a jego młodszy brat zakrył usta, tłumiąc śmiech z jego konsternacji. Położyłem obu ręce na ramionach i poprowadziłem na drugą stronę ulicy.

- Mopsusie, masz stać dokładnie w tym miejscu. Widzisz to narożne okno na czwartym piętrze? To z nienaruszonymi okiennicami? Chcę, abyś je pilnie obserwował. Za chwilę, jeśli wszystko pójdzie dobrze, otworzę je i pomacham ci. Nie odpowiadaj mi machaniem, ale patrz na okno bez przerwy. Gdyby coś się stało, zobaczysz w nim znów mnie albo Androklesa. Jeśli krzykniemy o pomoc, masz biec natychmiast do Ekona i mu wszystko powiedzieć. Trafisz stąd do jego domu? Musisz tylko wejść prosto na zbocze Eskwilinu.

Mopsus skinął z powagą głową, pod wrażeniem znaczenia swej misji.

- To dobrze. Nie spuszczaaj z oka tego okna!

Weszliśmy z Androklesem do kamienicy. Wąski korytarz był pusty i cichy, jeśli nie liczyć płaczu niemowlęcia. Mieszkańcy, jak większość Rzymian, przemierzali zapewne rynki w poszukiwaniu artykułów pierwszej potrzeby, o które z każdym dniem było trudniej. Na końcu korytarza znajdowały się schody. Ruszyliśmy obaj na górę.

- Wejdziemy do sekretnego pokoju, Androklesie - powiedziałem - gdzie nie mamy prawa przebywać. Będiesz mi potrzebny jako czujka na zewnątrz.

Odpowiedział mi takim samym poważnym skinieniem głowy.

- I być może czeka cię jeszcze ważniejsze zadanie.

- Jakie, panie?

- Będę czegoś szukał. To może być dobrze ukryte i trudne do wydostania. Para drobnych, zwinnych rąk może mi się bardzo przydać.

- Moje są mniejsze niż Mopsusa! - Z dumą zademonstrował, jakie są małe.

- To nie ulega wątpliwości - zapewniłem go.

Minęliśmy podest trzeciego piętra. Płacz dziecka przycichł, za to zapach kapusty przybrał na intensywności, mieszając się teraz z innymi woniami: cebuli, perfum, oliwy do lamp i moczu. Co córka Tytusa Emiliusza musiała myśleć o takim miejscu? Na ostatnim piętrze korytarz też był pusty i ciemny. Gestem nakazałem Androklesowi, by zachowywał się jak najciszej. Odszukałem luźną deskę według wskazówek Emilii. W małym schowku pod nią leżał klucz. Nie był to jeden z tych masywnych kluczy z ząbkami, które wkłada się w zamek i przekręca, ale cienki pręt z brązu, wygięty w pozornie przypadkowy kształt, jakby przejechał po nim wóz. Na końcu miał mały haczyk.

Zdobycie takiego klucza to dopiero połowa sukcesu. Nietypowy kształt pozwala na wsunięcie go w równie nietypowy otwór zamka, a haczyk musi trafić w odpowiednie oko, do którego pasuje. Jeżeli użytkownik nie miał wcześniej do czynienia z tym akurat zamkiem, otwarcie go może pochłonąć sporo czasu wypełnionego bezskutecznymi próbami. Wstawiłem deskę na miejsce i podszedłem do drzwi. Zamek stanowiła brązowa puszcza przymocowana do drzwi od wewnątrz. W tym zaniedbanym,

niezabezpieczonym budynku taki skomplikowany mechanizm wręcz rzucał się w oczy. Wsunąłem klucz w dziurkę, przekręcając to w lewo, to w prawo i próbując sobie wyobrazić kształt i umiejscowienie oka, w które musi trafić haczyk. U góry czy na dole? Głęboko czy płytko? Szarpnięcie czy obrót? Próbowałem różnych ruchów, a w końcu wyjąłem klucz i spróbowałem jeszcze raz, znowu bezskutecznie. Tracąc cierpliwość, wysunąłem go i włożyłem znowu. Tym razem musiałem trafić w inny wylot, bo klucz wsunął się w innym kierunku. Haczyk o coś zaczepił. Wstrzymałem oddech, obróciłem lekko klucz i pociągnąłem do siebie. Z zamka dobiegło ciche szcęknięcie i drzwi się otworzyły. Za plecami usłyszałem, jak Androkles oddycha głośno z ulgą. Obejrzałem się i wskazałem ruchem głowy schody.

- Stań na czatach na podeście - szepnąłem. - Jeśli ktoś będzie szedł na górę, podejdź po cichu i daj mi znać. Dasz sobie radę?

Skinał głową i na palcach ruszył ku schodom. Wszedłem do pokoju i przymknąłem za sobą drzwi. Wnętrze było jeszcze ciemniejsze niż korytarz. Niemal po omacku dotarłem do okna w południowo-zachodnim rogu i stwierdziłem, że jest zasłonięte ciężkimi, zimowymi kotarami o jakości zapewne niespotykanej w tej okolicy. Rozsunąłem je i otworzyłem okiennice. Rzeczywiście, jak mówiła Emilia, widać stąd było świątynię na Kapitolu. Mopsus stał naprzeciw mnie na ulicy opierając się plecami o ścianę z założonymi rękami, bezmyślnie grzebiąc piętą w ziemi. Na odgłos otwierania okna spojrział w górę. Pomachałem mu. Rozłożył ręce i już chciał machnąć mi w odpowiedzi, ale w porę się powstrzymał. Rozejrzał się w obie strony, prostując się i usiłując przybrać groźny wygląd. Pokręciłem głową. Gdybym kazał mu celowo grać rolę niewolnika zdecydowanego coś zbroić, nie mógłby dać lepszego przedstawienia. Odwróciłem się i ogarnąłem pokój badawczym spojrzeniem. Mebli było tu niewiele: tylko niskie łóżko i mały kufer pod ścianą. Być może naprawdę było to wyłącznie gniazdko zakochanych; ich potrzeby w tej mierze są na ogół niezbyt wygórowane. Na kufrze stała lampa, naczynie z oliwą i małe, okrągłe lustro. Zajrzałem do zbiorniczka lampy, przelałem kilkakrotnie oliwę do naczynia i z powrotem, aż się upewniłem, że nic w nich nie schowano. Lustro było wykonane z litego srebra i nie miało ukrytych schowków. Spojrzałem na swoje odbicie; ujrzałem brodatego mężczyznę z porytym zmarszczkami czołem, ale o bystrym spojrzeniu, jeszcze nie całkiem siwego i wyglądającego młodo jak na swoje lata - oznaki boskiej łaskawości. Uzmysłowiwszy sobie, że patrzę w zwierciadło Emilii, poczułem się nieswojo i odłożyłem je na miejsce.

Kufer nie był zamknięty. Znalazłem w nim kilka części ubrania: męską przepaskę biodrową i tunikę oraz opończę, jaką mogą nosić także kobiety. Było tam też zapasowe prześcieradło, a na samym dnie mały sztylet. Jednym słowem, nic szczególnego. Pamiętając jednak o schowku w butach Numeriusza, dokładnie obejrzałem każdy przedmiot. Upewniwszy się, że w sztylcie nie ma nic podobnego, użyłem go do rozprucia szwów ubrań. Miałem z sobą własny nóż do tego celu, ale stwierdziłem, że sztylet jest ostrzejszy. Jednak i w ubraniach nie znalazłem niczego. Zabrałem się do oględzin samego kufra. Rozmontowałem zawiasy i rozciąłem skórzane poszycie, po czym odwróciłem go do góry dnem i opukałem dokładnie, nasłuchując głuchego odgłosu świadczącego o pustej przestrzeni. Wkrótce

się przekonałem, że kufer też nie kryje żadnych tajemnic. Spojrzałem na łóżko. Był to mebel dobrej roboty, podobnie jak zasłony nie pasujący do otoczenia, wykonany w całości z hebanu, z misternie rzeźbionymi nogami. Od ściany dzieliła je boczna hebanowa deska inkrustowana kością słoniową. Na pewno z tamtej strony kładła się Emilia, Numeriusz zaś z brzegu, jak to jest w męskim zwyczaju. Tłumaczyłem kiedyś Bethesdzie, że powodem tego jest chęć chronienia kobiety podczas jej snu; roześmiała się i odparła, że mężczyźni wolą spać z brzegu, bo częściej muszą nocą wstawać do toalety. Tak czy owak, nie sądziłem, aby młodzi kochankowie zbyt często spali w tym łóżku. Musieli się spotykać za dnia, bo było mało prawdopodobne, żeby Emilia mogła zmylić rodzicielską czujność po zmroku. To łóżko służyło miłości, nie spoczynkowi. Tu zostało poczęte ich dziecko. Gruby materac przykryty był płóciennym prześcieradłem, niedbale wetkniętym w ramę łóżka w czterech rogach. Na wierzchu leżała wełniana kapa, a na niej rozrzucone było kilka poduszek. Oboje młodzi przywykli, że ich łóżka ścielą niewolnicy i sami albo nie umieli, albo nie chcieli tego robić. Raczej nie spędzali tutaj czasu na sprzątaniu czy spaniu.

Ściągnąłem z łóżka kapę i rozciąłem szwy, w środku niczego jednak nie znalazłem. Podniosłem prześcieradło. Było zbyt cienkie, by cokolwiek pod nim ukrywać. Podsunąłem je sobie pod nos i poczułem zapach jaśminu i nardu, woń rozgrzanych ciał. Przez mgnienie oka wyobraziłem sobie owiniętą w nie Emilię, jej kształty widoczne pod delikatną tkaniną, ich dwoje obok siebie na łóżku. Musiałem potrząsnąć mocno głową, aby pozbyć się tego widoku.

Najbardziej prawdopodobnym miejscem mogącym posłużyć za schowek pozostał więc materac lub poduszki. Kiedy wyjąłem go z ramy łóżka na podłogę, zobaczyłem pod spodem kilka kawałków pergaminu leżących na rozpiętych taśmach, to były spisane ręką Emilii greckie poezje miłosne, nie uśmiechało mi się ich odczytywanie. Jak jednak mogłem się o tym przekonać, nie sprawdzając, co zawierają? Spojrzałem na pierwszy tekst. Charakter pisma był wyszukany, ale wyraźnie dziecinny. Treść jednak taka nie była.

*Kiedy patrzę na ciebie, jakby tracę mowę.  
Język mnie nie słucha, pod skórą drży płomień.  
Nic nie widzę, w uszach dziwny szum, zlewam się potem.  
Drżenie przejmuję całe moje ciało.  
Jestem zieleńsza od trawy. Czuję się bliska śmierci.  
A jednak wszystko to znieść mogę, gdy patrzę na ciebie...*

Safona, oczywiście. Któż zakochana nastolatka może się oprzeć poetce z Lesbos? Zmusiłem się do przeczytania wszystkich pozostałych wierszy, choć ich słowa paliły mi policzki żywym rumieńcem. Kiedy skończyłem, zająłem się badaniem wszystkich pergaminów po obu stronach. Podeszedłem do okna i podnosiłem je kolejno do światła, szukając oznak zastosowania soku cytrynowego zamiast atramentu czy perforacji mogącej stanowić szyfr, ale nic podobnego nie rzuciło mi się w oczy. Wiersze miłosne były tylko wierszami, cytatami z Safony i mego dawnego przyjaciela Katullusa przepisanyymi przez rozmarzoną dziewczynę dla zabicia czasu między jedną

schadzką a drugą. Byłyby dowodami obciążającymi, ale tylko w oczach jej rodziców.

Kątem oka widziałem stojącego na rogu ulicy Mopsusa. Pomachał mi ręką. Zgromiłem go wzrokiem, kręcąc głową z wyrzutem i odwróciłem się. Wyraźnie mu zabroniłem machania do mnie, które mogło tylko zwrócić na nas czyjaś uwagę. Kiedy jednak zignorowałem jego sygnał, Mopsus zaczął jeszcze bardziej gorączkowo wymachiwać ręką. Postanowiłem dobrze go wyłajać po zakończeniu zadania. Odsunąłem się od okna.

Pod łóżkiem zauważyłem szeroką i płytką misę. Przeniosłem ją na środek pokoju, uklęknałem i wrzuciłem do niej pergaminy z wierszami. Sięgnąłem pod tunikę po krzesiwo i hubkę, które zabrałem specjalnie w tym celu, i tak mocno skoncentrowałem się na rozniecaniu ognia, że nie dosłyszałem kroków Androklesa na korytarzu. Aż podskoczyłem, kiedy nagle drzwi się otworzyły i chłopiec wsunął przez nie głowę.

- Panie, jakiś mężczyzna wchodzi tu na górę!

Nagle zrozumiałem, dlaczego Mopsus machał tak energicznie.

- Właż więc tutaj! - syknąłem do Androklesa.

Malec wśliznął się do pokoju i odwrócił, by zamknąć drzwi. Spóźnił się, coś je zablokowało. Pchnął mocniej, ale bez skutku. W szparze między drzwiami i framugą tkwiła męska stopa. Androkles pisnął z przerażenia.

Na krawędzi drzwi pojawiły się czyjeś palce. Chłopiec całym ciężarem starał się zapobiec wtargnięciu obcego, ale nie miał szans wobec dorosłego mężczyzny. Drzwi otwierały się nieubłaganie. Rzuciłem krzesiwo na podłogę i wyciągnąłem sztylet. Zerwałem się na nogi i napiąłem mięśnie w oczekiwaniu ataku, a serce biło mi jak oszałałe.

- Panie, nie mogę go zatrzymać! - krzyknął Androkles.

Drzwi uchylały się wolno, ale nieprzerwanie, aż wreszcie snop słonecznego światła z okna padł na śniadą twarz... mojego starego przyjaciela Tirona.





## ROZDZIAŁ 11

- Niezły stąd widok na Kapitol - zauważył Tiro, stanąwszy przed oknem.  
- Zastanawiam się, ile też czynszu można brać za takie mieszkanie na wolnym rynku?

Poklepał zaskoczonego Androklesa po głowie i z wolna obszedł pomieszczenie. Widziałem, że natychmiast rzucił mu się w oczy opróżniony i rozbebeszony kufer oraz rzucony na podłogę materac z poduszkami.

- Co tu robisz, Tironie?

Zamiast odpowiedzieć, sekretarz Cycerona spojrział w dół i zapytał:

- Ten chłopak na ulicy, gapiący się na mnie, jakbym był Gorgoną, należy do ciebie?

Podszedłem do okna i pomachałem Mopsusowi, dając mu znak, że wszystko jest w porządku. Uśmiechnął się z wyraźną ulgą i na migi zaproponował, że wejdzie na górę, na co tym samym językiem odpowiedziałem przecząco i zasygnalizowałem, że ma dalej pełnić wartę.

- Androklesie, wracaj na schody i czuwaj - powiedziałem. - Może tym razem uda się nam uniknąć takiego zaskoczenia.

- Ale, panie, czyż to nie ten zabójca, którego kazalesz nam wtedy śledzić? Tiro uniósł brwi, słysząc takie dictum.

- Nigdy im czegoś takiego nie mówiłem - pospieszyłem z zapewnieniem. - Chłopaki mają więcej wyobraźni niż zdrowego rozsądku. No, zmykaj, Androklesie.

- Ale, panie...

- Będę najzupełniej bezpieczny. Przynajmniej tak myślę. - Tym razem to ja spojrziałem na Tirona z uniesionymi pytająco brwiami. Kiedy wreszcie malec zniknął za drzwiami, powtórzyłem pytanie. - Co tu robisz, Tironie?

- Chyba to samo co ty. - Tiro znacząco postukał się po nosie. - Nos mnie tu przyprowadził.

- Śledziłeś mnie, chcesz powiedzieć.

- Możliwe.

- Czyżby łażenie za mną za każdym razem, kiedy wychylę nos z domu, weszło ci już w krew?

- Nie bardziej niż tobie łażenie za mną.

- Dlaczego więc robisz to akurat dzisiaj?

- Bo wczoraj złożyła ci wizytę młodziutka kochanka Numeriusza.

- Skąd wiesz, że byli kochankami?

- Wiem mnóstwo różnych rzeczy.

- A skąd wiesz, że była u mnie? Obserwowałeś mój dom czy ją?

- Gordianusie, nie oczekuj, że będę cię informował o wszystkich moich czynnościach. Ja też tego od ciebie nie oczekuję. Ale gdybyśmy podzielili się informacjami na temat Numeriusza, obaj byśmy na tym skorzystali.

- Szukasz dokumentów, o których ci opowiedział, prawda?

- A ty nie? Skoro zaś szukamy tego samego, dlaczego nie mielibyśmy sobie nawzajem pomóc?

Nie odpowiedziałem. Tiro przeszedł na środek pokoju i przyklęknął przy misie z wierszami Emilii. Krzesiwo wciąż leżało tam, gdzie je upuściłem.

- Zamierzałeś to spalić, zanim się zjawiłem - stwierdził. - Co to jest?

- Nic, co by mogło cię zainteresować.

- Skąd taka pewność?

Westchnąłem.

- To wiersze miłosne przepisane przez zakochaną smarkulę. Emilia powiedziała mi, że tu je znajduję. Prosiła mnie, żebym je spalił. Nie widzę powodu, by tego nie zrobić.

- Ale one mogą być czymś więcej, niż się wydaje.

- To nie ich szukamy, Tironie.

- Skąd wiesz?

- Wiem!

- Ale pozwolisz mi je zabrać? Co ci szkodzi? Sam je spalę po dokładnym zbadaniu. Nikt inny ich nie zobaczy.

- Nie, Tironie!

Patrzyliśmy na siebie długą chwilę; żaden z nas nie chciał pierwszy odwrócić wzroku. W końcu Tiro podniósł się i odszedł na bok.

- Niech ci będzie, Gordianusie. Widzę, że nie dasz się przekonać. Jakiego rodzaju zobowiązania masz wobec tej dziewczyny?

Nie odezwałem się, klęknąłem tylko przy misie i zacząłem krzesać ogień. Iskra padła na suchy kawałek pergaminu, który natychmiast zajął się ogniem. Płomyk z początku był malutki, ale po chwili nabral siły i ruszył brzegami arkusza. Patrzyłem, jak ogień trawi słowa: „...pod skórą drży płomień. Nic nie widzę...” Zerknąłem w górę na oświetloną jego nikłym blaskiem śniadą twarz Tirona.

- Nie ma nic bardziej fascynującego od ognia, nie sądzisz? - zapytał, uśmiechając się lekko. - Bucha płomień, a potem zostaje tylko skurczony, poskręcany płat sadzy, który rozpada się w nicość za lada dotknięciem. Skąd przyszedł płomień? Dokąd odszedł pergamin? Nikt tego nie wie. Teraz jest tak, jakby ta dziewczyna nigdy nie skopiowała tych wierszy, a jej kochanek nigdy nie słyszał, jak mu je czyta. Numeriusz mógł równie dobrze w ogóle nie istnieć.

- Ale istniał i Emilia go kochała.

Coś z Numeriusza nadal istnieje w jej łonie, pomyślałem, przynajmniej na razie. Wkrótce i dziecko obróci się w popiół.

- Kochała go? - Tiro prychnął wzgardliwie. - Być może. Ale czy on kochał ją?

- Był zdecydowany ją poślubić - odrzekłem. - Wbrew woli Pompejusza. Emilia była tego pewna.

- Tak? Bez wątpienia wyobrażała sobie mnóstwo rzeczy, leżąc z nim w tym łóżku po godzinie kochania się, patrząc przez okno na dachy kapitollińskich świątyń. Bez wątpienia on karmił ją najróżniejszymi kłamstewkami, mówił jej wszystko, co chciała słyszeć, byle tylko nadal przychodziła na spotkania.

- Życie spędzone u boku Cyclerona uczyniło cię nudnym moralistą, Tironie.

- Nonsens! Kiedy widzę takie urocze gniazdko i wyobrażę sobie w nim

taką młodziutką i delikatną dziewczynę, nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, jakim człowiekiem był nasz Numeriusz. Uosobienie cech swego pokolenia: samolubny, wyzuty z moralności, zdecydowany brać co popadnie bez oglądania się na konsekwencje. Gdyby nie jego pokrewieństwo z Pompejuszem, byłby idealnym kandydatem na człowieka Cezara.

Popatrzyłem na niego z uwagą.

- Mówisz o nim jak o człowieku, który wart był śmierci.

Tiro zrobił kwaśną minę.

- Nie rób sobie ze mnie żartów, Gordianusie. I nawet w żartach nie oskarżaj mnie o morderstwo.

- Nie oskarżam cię o nic.

- Chcę tylko powiedzieć, że gdyby Numeriusz naprawdę ją kochał, postąpiłby honorowo i ożeniłby się z nią, z błogosławieństwem Wielkiego czy bez, zamiast traktować ją jak kochankę i sprowadzać do tej nędznej nory.

- Tironie, czyżbyś zapomniał o romansie, który prowadziłeś za plecami Cycerona, kiedy się poznaliśmy? Byłeś wtedy niewolnikiem, a dziewczyna córką klienta twego pana. Konsekwencje mogły być straszliwe dla was obojga, nie wspominając o losie dziecka, które mogło przyjść na świat.

- To niesprawiedliwe, Gordianusie! Byłem młody i głupi...

- A Numeriusz nie był?

Tiro spojrział na popiół w misie.

- Każdy mężczyzna lubi wspominać grzechy młodości - powiedziałem. - Ale żaden nie lubi, by mu je przypominać.

- Enniusz - rzekł Tiro, rozpoznając cytaty. Udało mu się blado uśmiechnąć.

- Masz rację. Nie jesteśmy tu po to, by sądzić Numeriusza, ale by odkryć jego tajemnice. Będziemy pracować razem, Gordianusie, czy nie?

- Mamy dwa noże - odpowiedziałem, pokazując mu własny i podając sztylet znaleziony w kufrze.

- Ja też mam swój - rzekł Tiro. - Ale ten jest ostrzejszy.

Zaczęliśmy rozcinać materac i poduszki. Okazało się, że wypełnione są nie zwyczajnym sianem, ale łabędzim puchem zmieszany z suszonymi ziołami, których zapach delikatnie przesycił cały pokój. Przypomniałem sobie, jak wcześniej się zastanawiałem, jakie jest jego źródło. Numeriusz nie zamierzał rezygnować z wszystkich przejawów luksusu. Za każdym cięciem z poduszek wypadały kłęby pierza i wkrótce cały pokój był nim zasypany. Drobne piórka szybowały w powietrzu jak płatki śniegu. Absurdalność sytuacji rozśmieszyła nas; panujące między nami napięcie z wolna się rozładowało. Być może byłoby inaczej, gdybyśmy znaleźli szukane dokumenty, ale w miarę jak przesiewaliśmy kolejne porcje puchu, stawało się jasne, że niczego w poduszkach nie ukryto.

- Szukałem we wszystkich miejscach, które przyszły mi na myśl - powiedziałem. - Może ty spróbujesz jeszcze raz, zaczynając od kufra. Niewykluczone, że zauważysz coś, co uszło mojej uwagi.

Tiro zabrał się do dzieła, uważnie badając każdy przedmiot włącznie z nogami łóżka, szukając ukrytych schowków. Wspólnie opukaliśmy każdą deskę w podłodze, miejsce przy miejscu zbadaliśmy powierzchnię tynku i



przyjrzelismy się dobrze sufitowi. Bez skutku.

- Jeśli w ogóle istnieją jakieś dokumenty na temat spisku przeciw Cezarowi, to na pewno nie ma ich tutaj - rzekł Tiro, zdmuchnąwszy puszek z górnej wargi.

- Nie było ich także w domu Numeriusza. Jego matka powiedziała mi, że dokładnie przeszukała wszystkie kąty, spodziewając się znaleźć właśnie coś takiego.

- A przecież Numeriusz wyraźnie mi mówił, że „ma w ręku coś ogromnego”, coś tak niebezpiecznego, że może go to zabić.

- I tak się też stało - mruknąłem.

Tiro przeszedł się po pokoju, wznecając erupcję łabędziego puchu z podłogi.

- Tak więc ani ja nie znalazłem, czego szukam, ani ty nie jesteś bliższy odkrycia, kto zamordował Numeriusza, i uwolnienia twego zięcia z rąk Pompejusza. Słuchaj, Gordianusie... jutro wyjeżdżam z Rzymu. Jedź ze mną.

Uniosłem brwi ze zdziwieniem.

- Dlaczego nie? - nalegał. - Mam dość samotnych podróży.

- Na pewno zabierzesz ze sobą ochroniarza.

- Tak, jednego z tych idiotów z willi Cycerona.

- Ten starszy nie jest taki głupi - sprostowałem. - W każdym razie mądrzejszy od młodszego.

- Masz na myśli Forteksa?

- Jeśli tak się nazywa...

- Forteks nie jest najlepszym towarzyszem podróży. Ciekawsze rozmowy mógłbym prowadzić z moim koniem. Za to z tobą jechałoby mi się doskonale, Gordianusie.

- Namawiasz mnie do wyjazdu, bo chcesz, żebym bawił cię rozmową? Ktoś musi zajmować się moim domem i rodziną, Tironie.

- Masz u drzwi tego Pompejuszowego cyklopa, prawda? I twój syn Eko mógłby wpadać co jakiś czas.

- Być może. Nadal jednak nie widzę powodu, by opuszczać Rzym.

Tiro popatrzył na mnie z grobową powagą.

- Chcesz odzyskać zięcia. Nie zostało ci wiele czasu. Pompejusz wycofał się do Brundyzjum i ma morze za plecami - Cezar maszeruje na niego. To już kwestia dni, Gordianusie. Jeśli zamierzasz sprowadzić Dawusa do domu...

- Rozumiem. A ty, Tironie? Dlaczego wyjeżdżasz z miasta?

- Dostałem dziś wiadomość od Cycerona. Chce, żebym wstąpił po drodze do jego willi w Formiach i zabrał kilka listów do Pompejusza.

- To Cycero wciąż przebywa na wybrzeżu?

- Tak.

- Ale przecież Pompejusz nakazał wszystkim lojalnym senatorom udać się do Brundyzjum!

- Zgadza się. Tylko... - Tiro zawahał się i umilkł.

- Nie mów mi, że Cycero jeszcze się nie zdecydował! Czy on czeka z opowiedzeniem się po którejś ze stron, aż wojna się skończy?

- To nie jest tak, Gordianusie. Ująłeś to niewłaściwie. Cycero widzi siebie

jako... jak by to powiedzieć... kogoś predysponowanego do odegrania szczególnej roli. Któż o takim znaczeniu jak on może jeszcze swobodnie porozumiewać się z obiema stronami konfliktu?

- Cyncero jest w kontakcie z Cezarem?

- Nigdy go nie zaprzestał. Pompejusz o tym wie; Cyncero nie oszukuje go. Teraz, kiedy kryzys wchodzi w nową fazę, może się stać pośrednikiem i mediatorem. W tym celu musi utrzymywać delikatną równowagę...

- Nonsens! - przerwałem mu. - Cyncero po prostu nie ma odwagi stanąć u boku Pompejusza. Gardzi Cezarem, ale obawia się jego zwycięstwa, więc cichaczem łąsi się do obu stron. To najgorszy rodzaj tchórzostwa!

Tiro skrzywił się i pospieszył z ripostą.

- I kto teraz jest nudnym moralistą, Gordianusie? Wszyscy znaleźliśmy się w sytuacji, w której nie chcieliśmy się znaleźć. Każdy człowiek musi sterować swoim własnym kursem. Szczęśliwy, kto wyjdzie z tego cało, a tylko wybrańcy bogów unikną odrobiny brudu na sumieniu.

Na to już nie znalazłem odpowiedzi.

- No więc jak, Gordianusie? Pojedziesz ze mną do Brundyzjum czy nie?

Po drodze do domu kupiłem dla Bethesdy egipski koszyk w hipopotamy. Musiałem coś mieć, żeby osłodzić jej trochę wiadomość o moim niespodziewanym wyjeździe z Rzymu. Jak się okazało, mądrze wybrałem prezent, wyroby z nilowej trzciny bowiem można cisnąć przez cały pokój, a mimo to nie poniosą żadnego uszczerbku. W odróżnieniu od swej matki Diana przyjęła nowinę z entuzjazmem. Wszystko, co mogło w efekcie przyspieszyć powrót Dawusa do domu, było dla niej wspaniałym pomysłem. Jednak tej nocy, kiedy pakowałem do sakwy niezbędne w podróży rzeczy, przyszła do mego pokoju. Nie patrząc na mnie, powiedziała:

- Postępujesz bardzo odważnie, tato, wyruszając w taką podróż. W kraju musi być bardzo niebezpiecznie.

- Pewnie nie bardziej niż w mieście.

Patrzyła, jak składam tunikę. Szło mi to tak kiepsko, że poczuła się w obowiązku mnie wyręczyć.

- Tato, ja wiem, że robisz to dla mnie. Mimo że... to znaczy, ty nigdy nie byłeś... zadowolony... z mojego małżeństwa. A mimo to chcesz teraz... - Widziałem, że z trudem powstrzymuje łzy. - Boję się, że już nigdy nie zobaczę żadnego z was! - Złożona już tunika rozwinęła się jej w rękach. Objąłem ją, a ona sięgnęła dłonią do mych palców na jej ramieniu. - Nie wiem, co się ze mną dzieje, tato. Odkąd Dawusa zabrali...

- Wszyscy mamy nerwy poszarpane jak opończa żebraka, córeczko. O co chcesz się założyć, że Cyncero wybucha płaczem dwa razy dziennie?

Uśmiechnęła się.

- Cyncero tak, ale Cezar na pewno nie płacze.

- Może i nie. Ale Pompejusz? Wyobraź sobie taką scenę: Dawus ziewa na warcie przed namiotem, a w środku Pompejusz łka jak dziecko i rwie włosy z głowy.

- Scena jak z Plauta.

- Właśnie. Czasami dobrze jest pomyśleć o życiu jak o komedii w teatrze, jak je muszą widzieć bogowie.

- Bogowie potrafią być okrutni.

- I to często - przytaknałem.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu. Czułem, jak spływa na mnie dziwny spokój, kiedy tak trwałem z Dianą w objęciach.

- Tato, ale jak dasz sobie radę z odebraniem Dawusa Pompejuszowi? - spytała cicho. - Skoro nie odkryłeś zabójcy Numeriusza, on może go nigdy nie wypuścić.

- Nie martw się. Mam plan.

- Plan? Mogę go poznać?

- Nie, Diano.

Wysunęła się z moich ramion i cofnęła o krok.

- Dlaczego, tato? Zawsze mi o wszystkim mówiłeś.

- Nie musisz tego wiedzieć, córko.

Zacisnęła usta.

- No to mi nie mów. Nie wiem, czy wierzyć, że w ogóle masz jakikolwiek pomysł.

Ująłem jej dłoń i pocałowałem w czoło.

- Och, zapewniam cię, Diano, że mam.

I rzeczywiście miałem swój plan. Sęk w tym, że wprowadzenie go w życie mogło oznaczać, że nie wrócę z Brundyzjum żywy.





## CZEŚĆ DRUGA

# MARS



## ROZDZIAŁ 12

**W** Rzymie trudno było o konie. Najlepsze zostały zabrane przez tych, którzy uciekli z miasta z pierwszą falą paniki, albo zasekwestrowane przez armię Pompejusza. Tiro obiecał, że będzie na mnie czekał przed świtem następnego dnia przy bramie Kapeńskiej ze świeżymi wierzchowcami, ale cóż mogło jeszcze zostać w stajniach? W swoich wizjach siedziałem na garbatej szkapie z opuchniętymi stawami i włosiem na grzbiecie wytartym do gołej skóry, ale okazało się, że nie doceniałem przedsiębiorczości sekretarza Cycerona. Zostałem go na umówionym miejscu z Forteksem; siedzieli w siodłach, a tuż obok stał trzeci koń, leniwie skubiący trawę pomiędzy dwoma omszałymi przydrożnymi grobowcami. Na pierwszy rzut oka widać było, że wszystkie zwierzęta są w dobrej formie. Wyruszyliśmy, nie zwlekając. Słońce dopiero dawało znać o zamiarze pojawienia się nad niskimi wzgórzami na wschodzie, podkreślając ich linię grubą złotą wstęgą. W dolinach, niczym oderwane strzępy długiego welonu nocy, czały się jeszcze resztki mroku. W takim niepewnym świetle odcinek drogi ciągnący się jak okiem sięgnąć między rzędami grobów przesycony był aurą niesamowitości.

Prowadząca na południe Via Appia jest równa jak stół, wyłożona wielobocznymi kamieniami dopasowanymi do siebie tak ściśle, że nie dałoby się wcisnąć między nie ziarnka piasku. Jest coś krzepiącego w niewzruszonej trwałości rzymskich dróg. Meto opowiadał mi kiedyś o wypadzie zwiadowczym w dzikie galijskie lasy. Spomiędzy poskręcanych korzeni obcy bogowie zdają się tam spozierać na przechodnia, wśród cieni kręcą się lemury, niewidzialne stwory przemykają po gnijących opadłych liściach. I nagle tam, gdzie się tego nigdy nie spodziewał, Meto trafił na zbudowaną z inicjatywy Cezara drogę: lśniąca wstęgą kamienia, przecinającą lasy i wpuszczającą w ich mroczne ostępy słoneczne światło i świeży podmuch.

Via Appia nie wiedzie przez dzikie chaszczce, lecz przez kilka mil od miasta ciągną się wzdłuż niej groby obywateli Rzymu. Jedne są wielkie i o wyszukanej formie, jak miniatury świątyń, inne są zaledwie prostymi znakami, pionowymi stelami z kilkoma słowami wyciętymi w kamieniu; niektóre zadbane, świeżo wyszorowane i otoczone kwiatami i wypielęgnowanymi krzewami, inne zapomniane - kolumny na nich

przekrzywione, a cokoły splekane, zarośnięte chwastami. Podróż tym gościńcem nawet w biały dzień nastraja wędrowca melancholijnie. W nieśmiałym świetle przedświt, kiedy niespokojne duchy zdają się czaić w czarnych plamach cienia, kamienna równia pod naszymi stopami stawała się czymś więcej niż tylko świadectwem rzymskiego porządku i inżynieryjnego geniuszu - nabierała charakteru drogi, po której żyjący mogą przemierzać miasto umarłych. W każdym stuknięciu końskiego kopyta o gładki bruk brzmiała uspokajająca nuta, niczym zapewnienie, że my tędy tylko przejeżdżamy.

Minęliśmy grobowiec Publiusza Klodiusza, wzniesiony między grobami jego przodków. Moja ostatnia wyprawa na Via Appia miała na celu przeprowadzenie dochodzenia w sprawie jego śmierci. Klodiusz był ulubieńcem i nadzieją rzymskiego plebsu. Jego morderstwo wywołało w Rzymie rozruchy na niespotykaną skalę; rozwścieczony tłum z pochodniami zamienił budynek senatu w jego stos pogrzebowy. Desperacko szukając sposobu przywrócenia porządku publicznego, senat zwrócił się do Pompejusza. Wielki wykorzystał nadane mu nadzwyczajne uprawnienia do wprowadzenia reform prawa, których rezultatem było oskarżenie i wygnanie wielu możnych obywateli; teraz w Cezarze upatrywali oni swą jedyną nadzieję na powrót do Rzymu. Klasa rządząca uległa nieodwracalnemu podziałowi, pospólstwo zaś nigdy jeszcze nie było z nią w tak wielkim rozdźwięku. Patrząc z perspektywy czasu na te wydarzenia, zastanawiałem się teraz, czy zabójstwo Klodiusza na Via Appia mogło być prawdziwym początkiem wojny domowej, pierwszą otwartą potyczką, a on sam jej pierwszą ofiarą?

Grobowiec Publiusza Klodiusza był prosty, jak przystało na patrycjusza o radykalnych zapatrywaniach. Na nie ozdobionym niczym cokole wznosiła się trzymetrowa marmurowa stela rzeźbiona w snopy zboża na pamiątkę przeforsowanej przez niego ustawy o bezpłatnym rozdawnictwie żywności dla plebsu. Słońce zdążyło już wzejść ponad odległe wzgórza. Jego coraz jaśniejsze światło ukazało mi masę skromnych wotów, jakimi zarzucony był grobowiec: wypalone świece i kadzidełka, bukiety pachnących ziół i wczesnych wiosennych kwiatów. Spostrzegłem jednak również coś, co wyglądem i zapachem podejrzanie przypominało ludzkie ekskrementy, a także namazany tą samą substancją napis: „Klodiusz pieprzył swoją siostrę”. Tiro zmarszczył nos, a Forteks zaśmiał się rubasznie.

Szybko minęliśmy grób. Nieco dalej widniała cmentarna działka rodu Pompejuszów. Grobowiec ojca Pompejusza był wyszukaną, choć niezbyt gustowną budowlą. Na frontonie w obramowaniu z pozłoty, świecącej czerwono w promieniach porannego słońca, tłoczyli się wszyscy bogowie Olimpu, malowani żywymi barwami. Grób wyglądał, jakby niedawno został odnowiony, ale ostatnio musiano go zaniedbywać; odkąd Pompejusz ze swymi domownikami uciekli na południe, fundamenty zarosły chwastami. Poza tym wszystko wydawało się w idealnym porządku, dopóki nie zauważyłem rzuconych na dach z brązu placków końskiego łajna, o które nietrudno na gościńcu. Do południa w taki ładny, słoneczny dzień podróźni będą mogli wyczuć grobowiec ojca Pompejusza Magnusa, zanim go ujrzą. Forteks znowu parsknął urywanym śmiechem.

- To oburzające! - mruknął Tiro. - Za mojej młodości ludzie walczyli o władzę tak samo zacięcie jak dzisiaj, ale nikt by się nie posunął do zbezczeszczenia grobu, nawet podczas wojny. Co bogowie muszą o nas myśleć? Zaslugujemy na wszystkie plagi, jakimi nas dręczą. Hej, ty! Wejdz na górę i sprzątnij to!

- Kto, ja? - spytał Forteks.

- Tak. Bierz się do roboty!

Niewolnik skrzywił się, ale zsiadł z konia, mamrocząc pod nosem, i zaczął się rozglądać za czymś, co mogłoby mu posłużyć za szufłę. Kiedy czekaliśmy, aż skończy pracę, pozwoliłem koniowi podreptać z wolna wzdłuż krawędzi drogi w poszukiwaniu soczystszej trawy pośród grobowców Pompejuszy. Przymknąłem oczy, ciesząc się ciepłem słonecznych promieni i spokojnymi, swobodnymi ruchami zwierzęcia pod mną. Z tyłu dochodziły mnie odgłosy wspinaczki po marmurze, potem szuranie po metalowym dachu i miękkie pacnięcia zrzucanego w trawę łajna. Musiałem się chyba zdrzemnąć, bo straciłem poczucie czasu. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem przed sobą grób Numeriusza Pompejusza.

Była to prosta stela w rodzaju tych, jakie można kupić gotowe od kamieniarzy, z wyrzeźbioną końską głową jako symbolem odejścia. Stała nieco na uboczu, dalej od drogi, za rzędem bardziej rzucających się w oczy miejsc pochówku. W porównaniu z nimi wydawała się mała i bez znaczenia. Jadąc gościńcem, nigdy bym jej nie zauważył. Przedziwnym zrzędzeniem koń doniósł mnie wprost pod nią; pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem po otwarciu powiek, były świeżo wyryte w kamieniu słowa, ściśnięte na małej płycie o wysokości pięciu linii, przeznaczonej na inskrypcje:

*NUMERIUSZ POMPEJUSZ  
DAR BOGÓW  
KTÓRZY ZAZDROŚNIE GO NAM ODEBRALI  
PO DWUDZIESTU TRZECH LATACH  
POŚRÓD ŻYJĄCYCH*

To musiały być słowa jego matki. Nie mogąc obwinić nikogo z ludzi za śmierć syna, obciążyła winą bogów. Poczułem nagle ukłucie wstydu. Spojrzałem na ziemię. To, że mój wierzchowiec zawędrował akurat w to miejsce, nie było niczym nadnaturalnym; u stóp steli ktoś - Mecja, oczywiście - zasadził kwiaty, które jeszcze nawet nie zaczęły pączkować. Koniowi najwyraźniej odpowiadał smak młodych listków i do tej pory zdążył oskubać prawie wszystkie łądygi. Ściągnąłem wodze i ofuknąłem go. W tej samej chwili kątem oka spostrzegłem jakiś ruch. Zza pobliskiego pomnika wychynęła jakaś postać. Serce podeszło mi do gardła. Cienie rozproszyły się wraz z nadejściem świtu, ale coś niesamowitego wciąż zdawało się czaić między grobowcami. Przez głowę przemknęła mi przewrotna myśl, że wszystko do siebie pasuje: lemur Numeriusza wyłania się z Podziemia, żeby stanąć przede mną akurat w chwili, kiedy ptaki zaczynają śpiewać i cały świat budzi się do życia.

Jednak obszarpana postać, która wyłoniła się zza pomnika, bynajmniej nie była lemurzem. Tak jak i trzy inne, które szybko do niej dołączyły. W ciasnej przestrzeni między grobami z trudem zawróciłem konia.

- Tironie, bandyci! - krzyknąłem, by go ostrzec.

Pewne odcinki Via Appia cieszą się zdecydowanie złą sławą. Szczególnie niebezpieczna jest okolica wokół pomnika Basiliusa, stojącego daleko poza murami Rzymu i stanowiącego niejako znak graniczny między miastem i wsią. Ja sam zostałem tam kiedyś zaatakowany i porwany. Teraz jednak nie ujechalśmy ani połowy drogi do niego; nigdy przedtem nie słyszałem, aby bandyci grasowali tak blisko bramy Kapeńskiej. Jak zdesperowani muszą być ci ludzie... i jak wielkie jest już bezprawie w Rzymie, skoro ośmielają się napadać na podróżnych niemal w zasięgu krzyku od miasta! Sami jesteśmy sobie winni. Tiro w żadnym wypadku nie powinien posyłać naszego jedynego ochroniarza z idiotycznym zadaniem szufłowania końskiego łajna, a ja nie powinienem drzemać na jawie i pozwalać koniowi na samodzielne wałęsanie się po drodze. Złoczyńcy zorientowali się, że nie zachowujemy czujności, i zdecydowali się na atak.

Gorączkowo usiłowałem manewrować wierzchowcem w stronę drogi. Zaledwie przed chwilą skarciłem go za spustoszenie, jakie siał na rabatce Mecji, teraz więc stanął jak wryty, zupełnie zdezorientowany. Czyjaś ręka schwyciła mnie za kostkę. Wyrywając się, niemal straciłem równowagę. Zachwiałem się i byłbym spadł z siodła, uderzyłem się też boleśnie głową o pobliską stelę. Znów poczułem na stopie czyjś chwyt. Odwróciłem się i ujrzałem brzydką twarz ze szczerbatym uzębieniem, widocznym w rozwartych ustach. Kiedy człowiek jest gotów zadać śmierć drugiemu człowiekowi, jego oczy nabierają pewnego charakterystycznego wyrazu; takie właśnie spojrzenie miał ów napastnik.

W tej samej sekundzie stwardniały na słońcu kawałek końskiego nawozu uderzył go w sam środek czoła. Mężczyzna jęknął i zwolnił uchwyt. Mój koń, odzyskując w końcu kontenans, ruszył klusem, klucząc między grobami, i wydostał się na gościniec. Tiro właśnie zawracał konia, w rękę dzierżąc długi sztylet. Forteks wydał bojowy okrzyk, zeskoczył z dachu i jednym płynnym ruchem znalazł się w siodle. Jeden z bandytów zaszedł go od tyłu, ale zaskoczony koń wierzgnął, trafiając go celnym kopnięciem w pierś. Bandyta przeleciał kilka stóp w powietrzu niczym rzucona szmaciana lalka, uderzył głową w ścianę grobowca i spadł bezwładnie u jej stóp.

Ruszyli na nas z obu stron drogi. Było ich przynajmniej dziesięciu. W jednej chwili mogliby opaść nas jak rój szerszeni, ściągnąć z koni i pokonać; wydawało się jednak, że nie mają żadnego przywódcy, a widok jednego z kompanów leżącego jak kłoda najwyraźniej odebrał im cały zapal. My zaś jak jeden mąż zawróciliśmy konie i pognaliśmy przed siebie wśród ogłuszającego staccato kopyt na gładkim bruku. Kilku bandytów pobiegło za nami, jednemu udało się nawet złapać Tirona za nogę. Błysnęła stal, na twarz prysnęły mi krople krwi, a uszy przewiercił przeraźliwy krzyk, raptownie cichnący w tyle. Odwróciłem się; ranny mężczyzna trzymał się za ramię, kilku innych wciąż biegło za nami. Jedyłą ich bronią były kamienie. Jeden, celnie ciśnięty, trafił konia Forteksa w zad. Zwierzę rzuciło się w bok i zarżało, ale ani na chwilę nie zwolniło biegu. Jeden po drugim bandyci dawali za wygraną. Patrzyłem przez ramię, jak ich sylwetki maleją i rozplývają się w dali, tak jak wcześniej brama Kapeńska i grobowce Klodiusza i starszego Pompejusza. Stela Numeriusza zginęła wśród

dziesiątek podobnych obelisków.

Jadący ze mną ramię w ramię Forteks nagle roześmiał się i zakrzyknął radośnie. W chwilę później i Tiro błysnął zębami w szerokim uśmiechu i zawtórował mu. Nie rozumiałem, co ich tak cieszy. Zdarzenie sprzed paru minut można było potraktować jak omen, i to bardzo zły. Oto już na pierwszych stajach naszej wielodniowej podróży pozwoliliśmy sobie na uśpienie czujności i o mało nie straciliśmy życia. Bogowie zawiedli mnie przed grób Numeriusza i tam pchnęli na nas zgraję desperatów. Był to ponury epizod, zakończony rozlaniem krwi i śmiercią człowieka. Ich dobry humor jednak okazał się zaraźliwy. Nie minęła minuta, a już i ja się śmiałem i darłem wniebogłoso wraz z nimi. Był piękny ranek, zaczynał się nowy dzień, słońce zalewało pola swoim blaskiem, a my nie tylko żyliśmy, ale i zostawialiśmy za sobą Rzym, pogrążoną w żałobie matkę Numeriusza i jego ciężarną kochankę, moją zapłakaną córkę i gderającą żonę, ponurych sklepikarzy i codzienną panikę na Forum. Szczęśliwcy! Otrząsnęliśmy się z posępnej i zimnej atmosfery miasta i gnaliśmy galopem w przyszłość, smagani przenikliwym, ale orzeźwiającym wiatrem.

Wiedziałem, że takie uczucie wolności nie może trwać długo. Nigdy tak nie bywa. Wiedziałem też jednak, że może ostatni już raz smakuję takiego rozradowania. Ścisnąłem konia nogami, ponaglając go do jeszcze szybszego biegu. Wysforowałem się przed Tirona i Forteksa, aż w końcu miałem złudzenie, że jestem na drodze zupełnie sam: samotny jeździec, niezwyknięty i niepowstrzymany, żeglarz mknący ze sztormową falą, potężną, ale nie wrogą. Odrzuciłem głowę do tyłu i krzychałem ku niebu jakby z samej głębi duszy.

Minawszy pomnik znaczący grób Basiliusa, zwolniliśmy tempo, aby dać koniom wytchnienie. W miarę jak równina zaczynała się z wolna pięć w górę, zbliżaliśmy się do wsi Bovillae i wkrótce znaleźliśmy się na wysokości miejsca, gdzie zamordowano Klodiusza. Teren stał się pagórkowaty, a Via Appia nie była już taka prosta jak na pierwszym odcinku za miastem. Przejechaliśmy obok wylotu drogi prowadzącej do willi Klodiusza na stoku góry Alba, bardziej przypominającej fortecę niż wiejską posiadłość patrycjusza, która już nigdy nie zostanie ukończona. Tam właśnie po raz pierwszy zobaczyłem Mopsusa i Androklesa.

W miasteczku Arycja udało się nam wymienić wierzchowce na świeże w miejscowej stajni, Tiro bowiem był zaopatrzony w oficjalny dokument, paszport kuriera podpisany osobiście przez Pompejusza i sygnowany jego pieczęcią. Pergamin upoważniał okaziciela do bezpłatnej wymiany koni na mocy *senatus ultimum consultum*, dekretu o stanie wyjątkowym. Tiro wyklócał się z właścicielem stajni o kondycję oferowanych przezeń zwierząt. Tymczasem poczułem, jak w brzuchu mi burczy, i rozejrzawszy się, spostrzegłem po drugiej stronie ulicy tawernę. Idąc ku niej, spojrzałem w stronę odległych wzgórz i zobaczyłem fragment willi senatora Sekstusa Tediusza, gdzie odkryto przede mną tajemnicę śmierci Klodiusza. Zasiadłszy do posiłku złożonego z czerstwego chleba i duszonej baraniny, nawiązałem rozmowę z właścicielem tego przybytku. Zapytałem, co ostatnio porabia stary senator.



- Wyjechał walczyć u boku Pompejusza - wyjaśnił karczmarz.  
- Chyba się mylisz? Sekstus Tediusz jest za stary i słaby. Przecież to kaleka!

- O nie, obywatelu, nie ma pomyłki! - Karczmarz się roześmiał. - Zostawił willę pod opieką swej córki, starej panny, i ruszył wojować. Wiem to z całą pewnością, ponieważ zanim wyjechał, zwołał wszystkich na forum i wygłosił długą mowę, w której tłumaczył, że wszyscy powinniśmy zrobić to samo, a każdy, kto by pozostał, okryje się hańbą. My, zwykli rolnicy, a tu prawie pora zasiewu! Co on sobie myśli, kto niby karmi tych wszystkich żołnierzy? Zwariowany staruch! - Mężczyzna pokręcił głową i zniżył głos. - Może wszystko będzie inaczej, kiedy Cezar zacznie rządzić. Jak myślisz, obywatelu?

Za Albą droga prowadziła w dół. Kiedy zaczęło zmierzchać, Tiro skręcił z gościńca w stronę osady handlowej na skraju Bagien Pontyńskich. Sądziłem, że zamierza szukać noclegu; paszport kurierski oprócz koni zapewniał także zakwaterowanie i posiłki. Minęliśmy jednak kilka zajazdów i zatrzymaliśmy się dopiero tam, gdzie droga kończyła się nad brzegiem szerokiego kanału. Stłoczyło się tam kilkanaście budynków, w tym magazyny, stajnie i tawerna. Zobaczyłem też drewniany pomost dla barki kanałowej. Tiro wyjaśnił, że ów kanał wraz z towarzyszącą mu podwyższoną dróżką prowadzi na drugą stronę bagien. Zacumowana barka była czymś w rodzaju długiej i płaskiej tratwy, okolonej wysoką do pasa barierką i ciągniętej przez zaprzęg mułów, dla których właśnie zbudowano przybrzeżną dróżkę.

- Na końcu barki jest zagroda dla zwierząt, możemy więc zabrać konie ze sobą - powiedział Tiro. - Zapłacimy za przejazd, rozłożymy się na pokładzie, a barka wyruszy o zmierzchu. Będziemy mogli spokojnie zjeść wieczerzę i się wyspać w czasie podróży, a rano znajdziemy się już w Tarracynie, wypoczęci i gotowi do dalszej jazdy ku Formiom. To najbardziej cywilizowany sposób podróżowania na świecie.

Brzmiało to całkiem rozsądnie, okazało się jednak, że nie obędzie się bez kilku ciemniejszych stron, o których Tiro nie wspomniał, jak astronomiczna cena chleba i wina w każdej napotkanej tawernie (żywność sprzedawana na barce była jeszcze droższa, a jej cena podwoiła się, gdy tylko odbiliśmy od pomostu), dokuczliwy tłok (sprzedawca biletów wciąż dostarczał nowych pasażerów, aż wreszcie sternik odpędził paru ostatnich, burcząc, że zatopią mu statek), nieudolność poganiacza mułów (który zabrał się do zaprzęgnięcia po wejściu na pokład ostatniego podróżnego i zajęło mu to bitą godzinę), niemożliwość zjedzenia czegokolwiek wśród odbierającej apetyt mieszanki wyziewów bagienno-podwórzowych (zagroda dla zwierząt znajdowała się na rufie barki, a wiatr wiał właśnie z tamtej strony), niewidoczne, ale dokuczliwe insekty (komary w nosie, muszki w uszach), fatalne warunki do spania (ciasnota pozwalała tylko na wyciągnięcie się na pokładzie łokieć w łokieć z sąsiadami niczym trupy złożone w jedno miejsce po bitwie, z tą różnicą, że zabici nie chrapią, nie puszczają bąków ani nie zawodzą pijackich pieśni przez całą noc). Dopełnieniem tego zbioru niewygód była czysta złośliwość barkarzy, których zdawało się setnie bawić wyrwanie nas z płytkiego snu gwałtownymi szarpnięciami na skutek uderzeń o brzeg, a

najzabawniej było, kiedy udało im się porządnie zaklinować barkę na zakręcie kanału, co oznaczało godzinę rumoru, łomotu i krzyków o najczarniejszej godzinie nocy. Udało mi się przespać może z godzinę. Kiedy następnego ranka dobiliśmy do przystani, zwlokłem się na brzeg z wszystkimi innymi, by wziąć krótką kąpiel w źródle bijącym w pobliskim gaju poświęconym nimfie Feronii, opiekuńczej boginie wyzwolenców. Chłodna woda orzeźwiła mnie na tyle, bym był gotów do dalszej drogi.

W Tarracynie wróciliśmy na Via Appia. Siedzenie i uda miałem obolałe od wczorajszej jazdy; to samo musiał odczuwać Forteks, widziałem bowiem, jak krzywi się i posykuje. Może zresztą ćwiczył tylko groźne miny na wypadek, gdybyśmy znowu natknęli się na bandytów? Tiro natomiast, który nawykł do trudów podróży, był w wyśmienitym nastroju. Za kilka godzin miał się spotkać z Cyceronem.

Do Formiów przybyliśmy po południu. Nie chcąc, by jego przybycie zostało zauważone, Tiro ominął miasto i główną drogę do willi swego mistrza, wybierając szlak wiodący przez las. Droga wkrótce zwęziła się do rozmiarów ścieżki, ścieżka zamieniła się w wydeptany w leśnej trawie dukt, który w końcu ledwo majaczył między zaroślami jeżyn i dzikiej róży. Zaczęło się ściemniać i las wypełnił się cieniem. Obawiałem się, że zabłądzimy, ale Tiro dobrze znał drogę. Słońce właśnie niknęło za horyzontem, kiedy wynurzyliśmy się z lasu i znaleźliśmy w przylegającej do niego winnicy. Między rzędami krzewów winorośli widać było elegancką willę o białych ścianach i czerwonym dachu.

Przy tylnej ścianie znajdował się niewielki, zadaszony ganek, na którym siedział mężczyzna w długiej białej tunice ze zwojem pergaminu na kolanach. Odwrócony do nas bokiem, z uniesioną dłonią wydawał służącemu instrukcje, gdzie ma powiesić lampę, aby móc kontynuować lekturę. Niewolnik spostrzegł nas, krzyknął coś i wskazał nas ręką. Mężczyzna odwrócił się raptownie i zerwał z krzesła. Pergamin spadł mu pod stopy i rozwinął się. Nigdy jeszcze nie widziałem takiej paniki na niczyjej twarzy, jak również tak całkowitej zmiany, kiedy mężczyzna rozpoznał niespodziewanych gości. Rozjaśnił się i zaśmiał, po czym ruszył nam na spotkanie, zostawiając podniesienie zwoju słudze. Dotarliśmy do miejsca schronienia Cycerona.





## ROZDZIAŁ 13

Po koszmarze nocy spędzonej na barce prosta izba w willi Cyclerona wydawała się szczytem luksusu. Podejrzałem, że nasz gospodarz z rodziną, gdyby nie nasza obecność, zjedliby tylko jakiś symboliczny posiłek, ale w tej sytuacji służba pospiesznie przygotowała oficjalną kolację. Rozsiadliśmy się na sofach w obszernym pokoju wychodzącym na centralnie położony ogród; Cycero wyznaczył mi honorowe miejsce po swojej lewicy. Jego żona, Terencja, musiała być w kwaśnym humorze i prawie się nie odzywała, jeśli nie liczyć krótkich rozkazów wydawanych dziewczkom służebnym. Młody Marek, który dopiero miał skończyć szesnaście lat, spędził większość dnia na polowaniu w towarzystwie zarządcy i pochłaniał nakładane mu potrawy z wilczym apetytem. Lata narastającego rozdźwięku między mną a Cycleronem nałożyły się na jego okres dorastania i z trudem rozpoznałbym chłopaka, nie wiedząc, kim jest. Tullia dotrzymywała kroku młodszemu bratu, aż ojciec zażartował z niej, mówiąc, że je za dwoje. Jej ciąża zaczynała już być widoczna i dla Cyclerona najwyraźniej stanowiła powód do dumy. Wnuk to wnuk, zdawała się mówić jego mina, nawet jeśli małżeństwo córki zostało zawarte za jego plecami, a zięć jest rozpustnym utracjuszem, a na dodatek zagorzałym zwolennikiem Cezara. Za każdym razem, kiedy mój wzrok padał na dziewczynę, jej promieniejącą twarz i łagodnie rysującą się wypukłość brzucha, nie mogłem nie myśleć o Emilii.

Jedzenie było niewyszukane, ale lepsze od wszystkiego, co od dłuższego czasu jadałem w Rzymie, gdzie trudno było zdobyć świeże mięso i przyprawy. Młody Marek ustrzelił tego dnia dwa króliki i one właśnie stanowiły główne danie.

Podano także szparagi gotowane w słodkim winie z rodzynków i zupę z ciecierzycy, przyprawioną suto czarnym pieprzem i koperkiem. Konwersacja utrzymana była w równie prostej formie i dotyczyła głównie naszej podróży. Marka szczególnie zainteresował napad na nas i domagał się jak najbardziej szczegółowej relacji. Tiro opisał potyczkę, nie szczędząc pochwał Forteksowi.

- On uratował Gordianusowi życie, nie ma dwóch zdań.

- To prawda - przytaknąłem. - Jeden z tych nędzników już miał ściągnąć mnie z siodła, kiedy Forteks trafił go twardą grudą nawozu z dachu grobowca, z co najmniej trzydziestu stóp. Bandyta dostał prosto między oczy!

Marek zaśmiał się i klasnął w ręce, Cycero jednak tylko wzruszył ramionami.

- Niewolnik nie zrobił nic ponad swoją powinność - powiedział. - Kiedy go kupowałem, zapewniano mnie, że ma doskonały refleks i potrafi celnie rzucać. Zrobiłem dobry zakup.

Po bezsennej nocy na barce i długiej jeździe byłem wyczerpany. Gdy tylko podano na deser anyżowe ciastka z rodzynkami, przeprosiłem

gospodarza i udałem się do swego pokoju. Niewolnik, który mnie tam zaprowadził, pomógł mi też się rozebrać i nałożyć nocną tunikę. Rzuciłem się na łóżko i zasnąłem niemal natychmiast. Jak to się jednak często zdarza w podróży, mój sen nie był twardy. Po jakimś czasie obudziłem się nagle; czułem, że muszę iść do toalety, nie miałem jednak pojęcia, która może być godzina. W pokoju panowała nieprzenikniona ciemność, uznałem więc, że musiałem przespać kilka godzin. Kiedy jednak otworzyłem drzwi w nadziei na to, że poświata księżycyca pomoże mi lokalizować nocnik, zobaczyłem światło padające z wejścia do pokoju położonego po drugiej stronie ogrodu i usłyszałem szmer rozmowy. Ktoś zatem jeszcze nie spał. Znalazłem naczynie pod łóżkiem i ulżyłem sobie, po czym wróciłem do łóżka, ale senność mnie opuściła. Po chwili znów wstałem i otworzyłem drzwi. Światło naprzeciwko wciąż się paliło, doszedł mnie też czyjś cichy śmiech. Wyszedłem na zewnątrz, trzymając się w cieniu pod portykiem, i zerknąłem na oświetlony pokój po drugiej stronie. Musiał to być gabinet Cycerona; w migotliwym świetle z paleniska widać było szafę z przegródkami na zwoje pergaminu. Głosy dobiegające stamtąd należały do Cycerona i Tirona, którzy najwyraźniej zagadali się do tej późnej pory i być może opróżnili wspólnie flaszkę wina. Przez całe życie pozostawali panem i niewolnikiem, politykiem i jego sekretarzem, a teraz intrygantem i jego szpiegiem. Bez wątplenia mieli wiele spraw do omówienia... Noc była bezwietrzna i wytrenowany głos Cycerona niósł się w rześkim powietrzu niczym dźwięk gongu. W pewnej chwili wyraźnie usłyszałem swoje imię. Tiro coś odpowiedział, ale jego gorzej było słyhać i nie zrozumiałem słów. Obaj się roześmieli, a potem zapadła cisza. Wyobraziłem sobie, jak pociągają wino z kubków. Kiedy Cycero przemówił znowu, jego ton był zupełnie poważny.

- Myślisz, że on wie, kto zabił Numeriusza?

Nadstawiłem ucha, ale dobiegło mnie tylko niewyraźne mruknięcie Tirona.

- Musi jednak coś wiedzieć - upierał się Cycero. - Po co inaczej ciągnąłby się z tobą aż do Brundyjzjum, żeby się spotkać z Pompejuszem?

- Ach, ale czy on naprawdę jedzie do Brundyjzjum? - spytał Tiro. - Gdzieś po drodze stąd jest...

- Cezar, a z nim syn Gordianusa, Meto. Rozumiem, co masz na myśli. Co też on knuje?

- A czy to ma znaczenie? - W głosie Tirona wyraźnie słyhać było wzruszenie ramionami.

- Nie lubię niespodzianek, Tironie. W ostatnim roku miałem ich aż za dużo. Małżeństwo Tullii z Dolabellą, przekroczenie Rubikonu przez Cezara, teraz ta paskudna sprawa z Numeriuszem. Nie życzę sobie nieprzyjemnych wstrząsów, a zwłaszcza ze strony Gordianusa. Wybadaj, co on wie, Tironie.

- Być może nic.

- Gordianus zawsze wie więcej, niż daje po sobie poznać. Jestem pewien, że coś przed tobą ukrywa.

Usłyszałem czyjeś kroki i cofnąłem się głębiej w cień. Przez ogród przeszedł niewolnik niosący coś w obu rękach i zniknął w gabinecie.

- Świetnie, mamy dodatkowe lampy! - zakrzyknął gospodarz. - Zapal swoją, Tironie, a ja swoją. Z każdym upływającym rokiem moje oczy są

coraz słabsze... No, teraz możemy czytać. Zerknij na ten ostatni list od Pompejusza. Nie ma w nim nic prócz przewlekłego wyrzekania na Domicjusza Ahenobarbusa za utratę Korfinium...

Wylewający się teraz z gabinetu zdwojony blask rozproszył cienie na tyle, że kolumnada portyku przestała być pewnym schronieniem. Wycofałem się do swego pokoju, aby nie spostrzegł mnie niewolnik, który lada chwila mógł wracać do swojej kwatery. Położyłem się i zamknąłem oczy; chciałem odczekać chwilę i wrócić do podsłuchiwania, ale kiedy się obudziłem, było już południe. Pierwszą rzeczą, jaką zarejestrowała moja świadomość, był zapach pieczonej wieprzowiny.

Godzinę wcześniej do willi Cycerona przybył jeszcze jeden gość wraz z dość licznym orszakiem i gospodarz nakazał zabić świnie, aby wszystkich nakarmić. Spryskawszy twarz wodą, ubrałem się i odszukałem miejsce za domem, gdzie duża grupa mężczyzn popijała wino, podając z rąk do rąk skórzany bukłak i kontemplując apetyczny widok wolno obracanego na rożnie mięsiwa. Wyglądali na zbieraninę wyzwolenców i niewolników. Ich namioty, rozbite na tyłach willi, były mocno sfatygowane i pełne łąt, a ustawiona w kozły broń i tarcze najprzeróżniejszego typu na pierwszy rzut oka oceniłem jako kiepskiej jakości. Na niewielkim placu przy winnicy kilku z nich grało w trygon. Rej wodził tam młody Marek, roześmiany i rozochocony. Sport i łowiectwo były ostatnimi zainteresowaniami, jakich oczekiwałem od syna Cycerona. Ciekawe, pomyślałem, czy jego ojcu odpowiada bratanie się młodzieńca z ludźmi tak niskiego stanu?

Odnalazłem Tirona i zapytałem, cóż to za persona godna Cyceronowej gościnności przybywa z tak podłą eskortą. Zanim jednak zdążył mi odpowiedzieć, sam zobaczyłem owego gościa, wychodzącego z małej łaźni, połączonej krytym przejściem z głównym budynkiem. Poza owiniętym wokół talii dużym ręcznikiem nie miał na sobie żadnego ubrania. Rumiana twarz i grube ramiona były czerwone od gorąca, a miedzianoruda broda i włosy na piersi połyskiwały kropelkami wody. Po chwili mężczyzna zniknął we wnętrzu willi.

- Ależ to chyba nie... - zacząłem.

- Lucjusz Domicjusz Ahenobarbus we własnej osobie. - Tiro skinął głową.

- Przecież Cezar wziął go do niewoli w Korfinium!

- Wziął, ale nie mógł go w niej utrzymać. Tak w każdym razie twierdzi Domicjusz. - Tiro zniżył głos. - Według mnie Cezar po prostu puścił go na znak łaski. On jednak ma swoją wersję wydarzeń i to w kilku wariantach. Cycero mówi, że w ciągu godziny od swojego przyjazdu zdążył opowiedzieć trzy różne historie na temat swej ucieczki. Jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciwko wygłoszeniu kolejnej, jeśli masz ochotę posłuchać. Nie pytaj tylko o jego nieudolną próbę samobójstwa. Może zalać się łzami.

Spojrzałem na Tirona z ukosa, nie mając pewności, czy żartuje, czy mówi poważnie.

- No i pod żadnym pozorem nie wyjaw mu, że tu jestem - dokończył.

- Czyżby Domicjusz nie był dopuszczony do sekretu twojego powrotu do Italii?

- Nie, i na razie zamierzamy ten stan utrzymać.

- Dlaczego więc nie ruszymy w dalszą drogę i nie usuniemy się z widoku?  
Wypocząłem setnie i chętnie wyjadę.

Tiro uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Po rozmowie z Domicjuszem Cycero może mieć dla mnie instrukcje. Jutro ruszymy dalej. Odpocznij sobie jeszcze, Gordianusie, póki to możliwe. Droga do Brundyzjum może się okazać męcząca.

Nieco później Cycero i Domicjusz wybrali się na niespieszną przejażdżkę po posiadłości, aby porozmawiać z dala od ciekawskich uszu. Tiro jakby się pod ziemię zapadł, a młody Marek Tulliusz spędził popołudnie na grze w trygon. Reszta dnia minęła mi dość przyjemnie w gabinecie gospodarza. Cycero polecił służbie udostępnić mi bibliotekę, ale też musiał ich ostrzec, że mogę próbować myszkować w dokumentach, ponieważ ani na chwilę nie pozostawiono mnie tam samego; zawsze któryś z niewolników siedział za stołem i skrobał coś na woskowej tabliczce albo przeglądał księgi rachunkowe, łypiąc na mnie okiem z wyraźną czujnością. Nie bez racji... Istotnie wolałbym rzucić okiem na korespondencję Cycerona, ale zamiast tego zająłem się lekturą pierwszego tomu *Wojny galijskiej*\*. Egzemplarz nosił osobistą dedykację autora:

*M. Tulliuszowi Cyceronowi,  
który wyraził aprobatę dla prozy autora,  
Jeśli nie dla jego polityki  
G. Juliusz Cezar*

Tej nocy, kiedy eskorta Domicjusza ucztowała pod gołym niebem, śpiewając pieśni wojskowe, znów zostałem zaproszony na wytworną kolację, choć tym razem pozbawiono mnie honorowego miejsca na rzecz Miedzianobrodego, Tiro zaś ani na chwilę się nie pokazał. Delektowaliśmy się najlepszymi kawałkami pieczonej wieprzowiny, podanej z rozmarynowym sosem, do czego kucharz przygotował szparagi marynowane w ziołach i oliwie oraz smażone marchewki Posypane kminkiem i polane sosem rybnym, który według zapewnień Cycerona został dopiero co wykopany po dziesięcioletniej fermentacji w glinianym garnku zagrzebanym pod polepą piwnicy.

Nastrój Domicjusza był zmienny jak kometa. W jednej chwili był gadatliwy i rozbawiony, a w następnej zapadał w ponure milczenie. Zachowanie typowe u ludzi, którzy przeżyli serię raptownie po sobie następujących wstrząsów i odmian losu. Odważnie odłączył się od Pompejusza, by stawić opór Cezarowi w Korfinium, ale został zdradzony przez własnych ludzi. Zebrał się na odwagę, by odebrać sobie życie, chcąc uniknąć hańbiącej śmierci z rąk wroga, ale już po zażyciu trucizny dowiedział się o intencjach Cezara ułaskawienia pokonanych. Uderzył w płacz w obliczu nieuchronnej, a niepotrzebnej śmierci, a potem przekonał się, że zamiast trutki lekarz podał mu lek na uspokojenie nerwów. Schwytany przez Cezara, został równie raptownie uwolniony - prawda o tym była bowiem oczywista, choćby Domicjusz bez końca opowiadał coś

---

\* Juliusz Cezar, *Commentarii de bello Gallico*

innego.

- Ledwom uszedł z życiem! - powiedział mi zadowolony, że ma nowego słuchacza. - Och, Cezar udawał, że pozwala mi odejść, ale od samego początku planował zasadzkę na mnie.

- Dlaczego miałyby się uciekać do takich skrytych działań? - spytałem.

- Żeby oszczędzić sobie kłopotów związanych z egzekucją jego legalnego następcy na stanowisku namiestnika Galii! Mógłby twierdzić, że straż wzięły nas za dezertów i zabiły mnie przez pomyłkę albo temu podobne bzdury. Dał mi najpierw wybór. Powiada, możesz się do mnie przyłączyć, Lucjuszu. Kto wie, może nawet wysłałbym cię do Galii. Przy twoich rodzinnych koligacjach byłbyś tam nieoceniony. Tak jakby ta decyzja należała do niego! Jak gdyby senat wcale nie mianował mnie namiestnikiem! Jak gdyby Galia była jego prywatnym królestwem, a nie własnością senatu i ludu rzymskiego, którą według prawa mogą rządzić tak, jak im się podoba!

Cycero już to oczywiście słyszał wcześniej. Domicjusz wyczuł, że jego zainteresowanie spada, kierował więc swe słowa przede wszystkim do mnie i do młodego Marka, kobiet nie zaszczycając nawet spojrzeniem.

- Powiedziałem draniowi: „Nie! Nigdy nie będę ci służył w żadnym charakterze!” On na to tym swoim wyniosłym tonem: „Dobrze więc, biegnij do Pompejusza, skoro musisz. Pozwolę ci nawet zabrać eskortę, ale nie regularnych żołnierzy, bo ci są mi potrzebni. Wybierz sobie kilkunastu spomiędzy wyzwolenców i niewolników, którzy usługiwali ci tu, w Korfinium. Jeśli chodzi o broń, będą się musieli zadowolić czymkolwiek. Najlepszy oręż i pancerze przydadzą się dla moich żołnierzy”. Jego żołnierzy! Przecież miał na myśli ukradzione mi kohorty, ludzi, których ja zwerbowałem, wyszkoliłem i wyposażylem za własne pieniądze! Znalazłem więc kilku odważnych, którzy zechcieli mi towarzyszyć. Tamtej nocy ledwo uniknęliśmy zwiadowców Cezara, których musiał wysłać za nami w pościg. Ukryliśmy się w przydrożnych chaszczach. Minęli nas tak blisko, że słyszałem ich oddechy.

- Dlaczego z nimi nie walczyliście? - zapytał podekscytowany Marek.

- Mielibyśmy dać mu satysfakcję, że wmanewrował mnie w bój, którego nie mogłem wygrać? Nie, nie dałem się zwieść. On tak zawsze postępował względem swych przeciwników w senacie. Udawał, że pragnie kompromisu, negocjował drobne szczegóły, aż im oczy zachodziły mgłą, a potem... - pochwycił leżący na tacy nóż i wbił go w wieprzową pieczeń - nożem ich w plecy!

Cycero odgryził czubek szparaga i kiwnął głową.

- Zgadza się. Nie spotkałem nikogo, kto byłby lepszy w politycznych matactwach od Cezara.

Domicjusz zamilkł, pogrążając się w kolejnym przyływie posepnego humoru. Widziałem, jak porusza ustami, jakby zaangażowany w jakąś wewnętrzną sprzeczkę, i zastanawiałem się, co rozpamiętuje: decyzję zamknięcia się w Kornium, zdradę podkomendnych, nieudolne samobójstwo?

- Ale skoro opuściłeś obóz Cezara, żeby dołączyć do Pompejusza, to co tutaj robisz? - spytał niewinnie Marek. - Pociągnąłeś w niewłaściwym

kierunku.

Kątem oka dostrzegłem, jak Cyncero krzywi się boleśnie na te słowa swego syna.

- Dołączyć do Pompejusza? A czemu miałbym to zrobić? - odparł Domicjusz. - Nie mając ludzi pod komendą, na co mógłbym się tam przydać? Pompejusz sam może się troszczyć o siebie.

- Czy on zamierza wydać Cezarowi bitwę w Brundyzjum? - spytał Marek.  
- A może ujdzie za Adriatyk?

Domicjusz zaśmiał się gorzko.

- Nie ma w Italii człowieka, który nie chciałby znać odpowiedzi na to pytanie, mój chłopcze. Obawiam się, że Wielki nie ma zwyczaju wtajemniczać mojej skromnej osoby w swoje tajne plany strategiczne. Ale wkrótce wszyscy się tego dowiemy. Cezar prze naprzód z taką szybkością, że w parę dni znajdzie się pod Brundyzjum. Wtedy Pompejusz się przekona, z kim ma do czynienia... i to beze mnie do pomocy! Głupiec, powinien dołączyć do mnie w Korfinium. To było odpowiednie miejsce, by się bronić!

Cyncero poruszył się z zakłopotaniem.

- Wszystkich nas dziwiła ta niechęć Pompejusza do...

- On chce się udać na wschód oczywiście - przerwał mu raptownie Domicjusz. - Musiał to planować od samego początku. No, to niech tam jedzie. Jak mu się uda zwabić Cezara w pułapkę gdzieś w Grecji czy Azji, to bardzo dobrze. Jeśli o mnie chodzi, to zamierzam wyruszyć do Galii i wypełnić nałożony przez senat obowiązek. Zostałem mianowany namiestnikiem Galii i zostanę nim.

- Jeśli pojedziesz lądem, czy drogi nie zastąpią ci oddziały wierne Cezarowi?

- Chcę popłynąć bezpośrednio do Massilii, jeśli uda mi się znaleźć statki do wynajęcia. Massylczycy są inni od reszty Galów. Massilię założyli setki lat temu greccy koloniści. Ich potomkowie to wspaniali ludzie, a nie barbarzyńcy jak ich sąsiedzi.

- Czy jednak będziesz tam mile widziany? - spytałem.

- Oczywiście! Oni zawarli układ z senatem, nie z Cezarem - Massylczycy dobrze go znają! Musieli się z nim znosić przez te wszystkie lata podczas jego nielegalnej kadencji namiestnika. Wiedzą z pierwszej ręki, kim jest Cezar: wymuskany pozer, pompatyczny i próżny, wychwalający sam siebie pod niebiosa za każdym razem, kiedy udało mu się podbić kolejne plemię półgłówek i bezzębnych staruchów!

Odchrząknąłem i powiedziałem:

- Tak się składa, że czytałem dzisiaj jego pamiętniki z wojen w Galii. Nie możesz zaprzeczyć, że jest on...

- Czym? Tak zwanym geniuszem militarnym? Owszem, mogę i zaprzeczam! Ta książczyzna to czyste brednie. Od początku do końca nie ma w niej nic poza przyprawiającą o mdłości autoreklamą. To propaganda upozowana na historię. Pisze o sobie w trzeciej osobie... jakże to nieznośnie pretensjonalne!... ale czy kiedykolwiek czytałeś książkę równie przesyconą próżnością? Ani słowa tam o wielkich mężach, którzy działali przed nim, zakładali osady w południowej Galii i zbudowali drogi, którymi tam dotarł! Ani jednego ukłonu w stronę tych senatorów, którzy wbrew zdrowemu



rozsądkowi głosowali za rozszerzeniem jego dowództwa! Myślałby kto, że Gajusz Juliusz wygrał całą prowincję w kości od Wercyngetoryksa! Posłuchaj mnie, człowieku: każdy kompetentny rzymski dowódca, mając do dyspozycji te same środki i pełnomocnictwa, jakimi senat obdarzył Cezara, umiałby dokonać tego samego i to zapewne w krótszym czasie.

Tego było za wiele nawet dla Cyncerona.

- Myślę, Lucjuszu, że powinniśmy oddać Cezarowi, co mu się należy - rzekł. - Przynajmniej w sprawach wojskowych...

Domicjusz prychnął kpiąco.

- Proszę cię, Marku Tulliuszu... chyba nie spodziewasz się, że będę polegał na twojej ocenie spraw wojskowych?

- A jednak...

Znów odchrząknąłem.

- Właściwie to źle mnie zrozumiałeś, Lucjuszu Domicjuszu - powiedziałem. - Nie chciałem mówić o wojskowym geniuszu Cezara, ale o literackim.

- Ha! I temu zaprzeczę. Jego styl jest nieudolny i amatorski. To proza bez cienia polotu czy kwiecistości, równie łysa jak jej twórca. Podobno dyktuje swoje pamiętniki w drodze, telepiąc się w siodle. Sądząc po efekcie, wierzę w to bez zastrzeżeń!

- Niektórzy uważają powściągliwy styl Cezara raczej za elegancki niż niedopracowany. - Cyncero się uśmiechnął. - Naszemu przyjacielowi Gordianusowi można wybaczyć pewien brak obiektywizmu w tej kwestii. Jeżeli ta proza ma jakiegokolwiek zalety, to z pewnością część zasługi w tej mierze przypada jego synowi.

- Nie rozumiem. - Domicjusz rzucił mi beznamiętne spojrzenie.

- Adoptowany syn Gordianusa, Meto, jest znany ze swych literackich usług dla Cezara - wyjaśnił Cyncero. - Niektórzy mówią, że jest dla niego równie niezastąpiony, jak Tiro był zawsze dla mnie.

W oczach Domicjusza zapaliły się iskierki zrozumienia, a na usta wypłynął skąpy uśmiezek.

- Ach, więc jesteś tym Gordianusem! Tak, teraz rozumiem... - Uśmiezek zamienił się w szyderczy grymas. - Ale, Cynceronie, nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że Tiro kiedykolwiek wykonywał dla ciebie takie usługi, jakie podobno młody Meto świadczy swojemu ukochanemu wodzowi... prywatnie?

Terencja się nachmurzyła, młody Marek zachichotał, a Tullia aż syknęła i spojrzała na mnie ze współczuciem. Nawet Cyncero się zarumienił. Czyżby już wszyscy w Rzymie słyszeli i uwierzyli w te plotki o Cezarze i moim synu? Zanim jednak, zaciskając zęby, zdążyłem wymyślić jakąś odpowiedź na słowa Domicjusza, on już zmienił temat.

- No, dobrze. Przyjmijmy więc, choćby dla samej dyskusji, że Cezar naprawdę jest takim genialnym wodzem, na jakiego sam się kreuje w swoich dziełach, wspomagany przez swego wpatzonego weń maślanymi oczami sekretarza. Cóż w takim razie stanie się z naszym Pompejuszem? Wiecie, ja niemal pragnę, żeby Cezar obiegnął go w Brundyzjum. Niech obedrze Wielkiego z jego cennych legionów i da mu taki sam wybór, jaki dał mnie. Pompejusz musiałby popełnić samobójstwo. Po tych wszystkich błędach nie

ma innego honorowego wyjścia. Co będzie wówczas z nami? - Domicjusz splótł dłonie, opierając na nich rudą brodę. - Senat będzie potrzebował innego bohatera... wybawiciela z zachodu, nie ze wschodu. Odpowiedni człowiek mógłby wezwać legiony Pompejusza z Hiszpanii i poderwać Galów przeciwko ich niedoszłemu królowi. Massilia byłaby idealnym miejscem do zrealizowania takiego planu, nie sądzicie? Tak, poderwać Hiszpanów i Galów, i pomaszerować prosto do Italii. Przekroczyć Rubikon po raz drugi na czele nowej zbrojnej inwazji, nie po to, by unicestwić konstytucję i senat, ale by je odrodzić! Mając odpowiednie środki, odpowiedni człowiek mógłby przegnać tego łajdaka Cezara! - Domicjusz urwał i wpatrzył się gdzieś w dal, pogrążając się w rozmyślaniach.

- A co ja mam zrobić w sprawie swojego triumfu? - odezwał się Cyncero. - Oto jest dylemat!

- Twojego triumfu? - powtórzyłem, nie rozumiejąc tej nagłej zmiany tematu.

- Tak, mojej triumfalnej procesji, należnej mi za sukcesy wojskowe w Cylicji. W normalnej sytuacji senat powinien przegłosować to natychmiast po moim powrocie. Powinienem wjechać do miasta rydwanem przy dźwięku trąb! Jaki sens ma pełnienie funkcji zarządcy prowincji, skoro kadencji nie wieńczy triumfalny powrót do Rzymu? Oczywiście to nie był formalny rok. W związku z kryzysem zdecydowałem się odłożyć mój triumf, ale teraz... Nie mogę wiecznie tej sprawy odkładać. Ale jeżeli Cezar wyprze Pompejusza z Italii i zajmie Rzym? Gdybym wtedy odprawił triumf, mogłoby to zostać odczytane jako poparcie dla jego tyranii. Pewnie w ogóle nie powinienem wracać do Rzymu, w każdym razie nie wtedy, kiedy będzie tam rządził Cezar. Powinienem oficjalnie odmówić zajęcia swego miejsca w senacie...

Cyncero przerwał, by napić się wina, z czego skorzystała Terencja.

- Źle się stało, że zrezygnowałeś z triumfalnego wjazdu, który teraz może się już nigdy nie odbyć. Ale co z dniem togi twojego syna? W tym roku Marek kończy szesnaście lat. Wszystkie najlepsze rody świętują osiągnięcie dojrzałego wieku przez swoich synów podczas liberaliów\*, tuż po idach marcowych. Czy my do tego dnia zdążymy wrócić do Rzymu, żeby świętować dojrzałość Marka?

Po minach ich dzieci zorientowałem się, że musi to być temat nieustających kłótni domowych. Cyncero westchnął ciężko.

- Dobrze wiesz, że to niemożliwe, Terencjo. Do liberaliów pozostało zaledwie dwanaście dni. Dlaczego do tego wracasz? Wiesz, jak gorąco pragnąłem, aby Marek mógł nałożyć togę w Rzymie, z wszystkimi najlepszymi obywatelami jako świadkami. Tak jednak być nie może. Po pierwsze, wszyscy najlepsi obywatele rozpiezchli się na cztery strony świata. Po drugie, nie mogę z honorem wrócić do Rzymu. Jeszcze nie teraz. Gdziekolwiek zresztą wypadnie nam świętować dzień togi Marka, nie zdążymy na liberalia.

- Ale to właśnie jest odpowiedni dzień - upierała się Terencja. - W święto

---

\* Święto ku czci staroitalskiego boga urodzaju Libera, utożsamianego z greckim Dionizosem, obchodzone 17 marca

boga wyzwoliciela kapłani niosą fallusa Dionizosa z pól na ulice miasta, a młodzieńcy w togach idą za nimi w procesji i śpiewają sprośne piosenki. To akt religijny, symbol przemiany chłopca w mężczyznę, odbywany wspólnie z rówieśnikami.

- Nie ma problemu, mam, naprawdę - wtrącił zaczerwieniony Marek, nie podnosząc wzroku znad talerza. - Już na ten temat dyskutowaliśmy. Nie musi się to odbyć w liberalia. Może być każdy inny dzień. I możemy to zrobić w Arpinum, nie w Rzymie. To w końcu nasze miasto rodzinne.

- Miasto rodzinne twojego ojca, Marku - sprostowała chłodno jego matka. - Nie możemy wymagać, aby twoi krewni ze strony Terencjuszków ciągnęli aż do Arpinum, zwłaszcza teraz, kiedy złoczyńcy i dezercerzy grasują na gościńcach. Poza tym tamtejsza willa nie nadaje się do przyjmowania gości. Dach cieknie, kuchnia jest za mała i nie ma wystarczającej liczby łóżek. Przynajmniej tu, w Formiach, udało mi się jakoś zaprowadzić ład i porządek.

- Chyba nie sugerujesz, żeby świętować jego dzień togi tutaj? - obruszył się Cyncero. - W tej okolicy nie mamy żadnej rodziny. Ledwo znam członków miejskiego senatu. Nie, jeśli nie możemy tego zrobić w Rzymie, musi to być w Arpinum.

- Nie rozumiem, dlaczego nie możemy po prostu ruszyć jutro z powrotem do Rzymu. - Tullia westchnęła i spojrzała na matkę, jakby szukała u niej poparcia. - Wszyscy wracają. Twój kuzyn Gajusz już jest w Rzymie, moja przyjaciółka Aurelia z mężem są w drodze. A przyjaciel ojca Attikus w ogóle stamtąd nie wyjeżdżał.

Widząc, że konwersacja przy stole zamienia się w rodzinną sprzeczkę, zdecydowałem się wycofać do swojego pokoju i czekałem tylko na dogodny moment. Zauważyłem, że Domicjusz w ogóle nie zwraca uwagi na to, co się dzieje; trzymał w palcach szparag i wyglądał, jakby go przesłuchiwał. Jakże wydał mi się żaloszny ze swoimi rojeniami o wojennej chwale i chorobliwą zazdrością wobec Cezara! Nie bardziej jednak, pomyślałem, niż Cyncero, jeszcze niedawno wielki orator, dziś smętny maruda, zamartwiający się nie odbytym triumfalnym wjazdem do Rzymu i dniem togi swojego syna. Jak mało ważni, jak śmieszni byli teraz obydwoj! Kiedy jednak leżałem już w łóżku, nie mogąc zasnąć z powodu niezgody pomiędzy moim żołądkiem a sosem rybnym, zastanawiałem się, czy przypadkiem i ja nie żywię równie beznadziejnych złudzeń jak oni. Jakże właściwie stosunki łączą Cezara i Metona? Kiedyś wydawało mi się, że to rozumiem, ale oto okazuje się, że może istnieć czynnik gmatwający je, którego w ogóle nie brałem pod uwagę. W tych żalosznych czasach nie mogę sobie pozwolić na taki błąd. W miarę jak będziemy kontynuować naszą podróż i zbliżać się do obozów Cezara i Pompejusza, coraz bardziej będę musiał na to uważać. Sen w końcu przyszedł, a wraz z nim senne koszmary. Nie było w nich akcji, lecz tylko seria pełnych grozy obrazów. Coś źle zrozumiałem i popełniłem straszliwą pomyłkę. Ktoś był martwy. Cały byłem zalany krwią. Bethesda i Diana owinięte całunami płakały. Ziemia się zatrzęsła, a z nieba gęsto sypały się pioruny. Obudziłem się zlany potem i przyrzekłem sobie już nigdy więcej nie tknąć sosu rybnego.





## ROZDZIAŁ 14

Wyruszyliśmy przed świtem. Byłem zmęczony brakiem snu, a żołądek natarczywie przypominał o swoim istnieniu, ale Tiro miał świetny humor.

- Wygląda na to, że nie próbowałeś wczoraj sosu rybnego - zagadnąłem.

- Czyżby Cycero otworzył nowy słoik? Widocznie chciał zrobić wrażenie na Domicjuszu. Nie, ja zadowolilem się prostą strawą: tylko polewka z prosa i kawałek wieprzowiny z różną.

- Jadłeś z ludźmi Domicjusza?

- Oczywiście. Jak inaczej mógłbym czegokolwiek się od nich dowiedzieć? Udawałem wyzwoleńca służącego w willi.

- Szpiegowałeś Domicjusza? Myślałem, że jest sojusznikiem Cyclerona.

- Nie szpiegowałem go, tylko sobie rozmawiałem z jego służbą. Mieli wiele do powiedzenia o morale wojsk swego pana, sile Cezara, stanie dróg i tak dalej.

- A co z tą rzekomą zasadzką, jaką Cezar kazał urządzić po wypuszczeniu Domicjusza?

- Mówią, że istotnie doszło do incydentu. - Tiro uśmiechnął się. - Tuż za Korfinium wyprzedził ich kurier pocztowy.

- Kurier pocztowy?

- Tak, samotny jeździec. Domicjusz wpadł w panikę i kazał swoim ludziom kryć się w krzakach. Myśleli, że umrze na serce. Cała zasadzka wydarzyła się tylko w jego wyobraźni!

- Tak samo jak ciepłe przyjęcie czekające go w Massilii, jak podejrzewam - mruknąłem.

Twarz Tirona przez chwilę przybrała wyraz Sfinksa.

- Nie zdziwiłbym się zbyt, gdyby Massylczycy powitali go z otwartymi rękami. No, powiedzmy, z wyciągniętymi...

- Co masz na myśli?

Tiro ściągnął lejce i pozwolił Forteksowi wysforować się naprzód.

- Doceniam twoją wczorajszą dyskrecję, Gordianusie. Nie powiedziałeś Domicjuszowi o mojej obecności, nawet kiedy wymienił moje imię.

- Zrobiłem tylko, o co mnie prosiłeś.

- I za to ci dziękuję. Byłbym ci też wdzięczny, gdybyś był równie dyskretny, jeśli chodzi o wizytę Domicjusza u Cyclerona.

- Nasz orator pragnie więc zachować ją w tajemnicy? Dlaczego?

- Ma swoje powody.

- Ma powody! - parsknąłem wzgardliwie. - Cycero nie chce dołączyć do Pompejusza, nie chce, żeby wiadano o udzielonej Domicjuszowi gościnie... czyżby aż tak bardzo bał się urazić Cezara?

- Nie o to chodzi. - Tiro skrzywił się z niesmakiem. - No, dobrze, powiem ci. Domicjusz nie wyjechał z Korfinium z pustymi rękoma.

- Zabrano mu całe wojsko.

- Tak, ale nie jego złoto. Kiedy zjawił się w Korfinium, zdeponował w miejskim skarbcu sześć milionów sesterców. Większość tej sumy stanowią

pieniądze publiczne zabrane z Rzymu na wydatki militarne. Cezar mógł je przejąć dla siebie, ale sądzę, że nie chciał uchodzić za złodzieja. Zwalniając z niewoli Domicjusza, zwrócił mu wszystko co do miedziaka.

Aż mnie zatkało. Potrząsnąłem głową i spytałem:

- Chcesz powiedzieć, że Domicjusz z tą bandą obszarpańców przewozi sześć milionów?

- Elegancko spakowanych w kufry załadowane na wozy. Rozumiesz chyba teraz, dlaczego był tak podejrzliwy wobec Cezara i tak bojaźliwy na drodze.

- Cóż on zamierza zrobić z tak ogromną sumą? Zwrócić do skarbu rzymskiego?

Tiro się roześmiał.

- Wykorzysta je, by udać się do Massilii i zjednać sobie jej mieszkańców, naturalnie. Ale chyba teraz jest jasne, dlaczego Cyncero nie życzy sobie rozpowszechnienia wieści o tej wizycie? Gdyby te pieniądze zniknęły... a kto wie, co się może wydarzyć w nadchodzących dniach?... trop zaś wiódłby do Formiów, ktoś mógłby pomyśleć, że Domicjusz zostawił je Cynceronowi na przechowanie. Czasy są niebezpieczne. Taka plotka ściągnęłaby tutaj zbirów jak miód pszczoły. Całe domostwa wycinano do nogi za znacznie mniejsze łupy niż sześć milionów sesterców, Gordianusie. Cyncero nie wstydzi się gościć Domicjusza i nie boi się o siebie. Musi jednak myśleć o rodzinie. Jestem pewien, że ty to dobrze rozumiesz.

Tego dnia przebyliśmy czterdzieści cztery mile i dotarliśmy do Kapui. Następnego dnia przejechaliśmy trzydzieści trzy mile i stanęliśmy na noc w Beneventum. Po drodze Tiro kilkakrotnie wymieniał konie w różnych stajniach, za każdym razem legitymując się swoim paszportem kuriera z podpisem Pompejusza. Niektórzy właściciele stajni honorowali go bez zastrzeżeń, inni traktowali nas z ledwie skrywaną pogardą i usiłowali wcisnąć byle jakie szkapy; tylko raz natrafiliśmy na zdecydowaną odmowę. Człowiek przyjrzał się dobrze dokumentowi, obrzucił nas zimnym spojrzeniem i kazał się wynosić. Tiro był wściekły.

- Zdajesz sobie sprawę, jaka kara grozi za lekceważenie pisma wystawionego na mocy *senatus consultum*? - krzyknął. - Kara śmierci!

Właściciel przełknął głośno ślinę, ale się nie odezwał. Musieliśmy w końcu się wycofać i poszukać innej stajni.

Po dobrze przespanej nocy w Beneventum Tiro uznał, że powinniśmy zjechać z Via Appia i skorzystać ze starego górskiego szlaku, przecinającego pasmo Apeninów prosto na zachód. Jak wyjaśnił, mieliśmy w ten sposób skrócić sobie drogę. Uparł się też, że musimy wymienić wierzchowce na wóz z zaprzęgiem i niewolnika jako woźnicę. Właściciel stajni w Beneventum skrzywił się, widząc pieczęć Pompejusza na Tironowym paszporcie, i chciał się wykręcić od transakcji, ale Tiro nie był w nastroju do targów, wkrótce więc mieliśmy do dyspozycji wóz kryty płóciennym dachem i starego, bezzębnego koniucha. Trochę mnie ta zamiana dziwiła; uważałem, że nasze zapasy świetnie się mieszczą w sakwach podróżnych, a konno łatwiej i szybciej można by pokonać kręte i strome górskie drogi. Kiedy rankiem ruszaliśmy dalej, przekazałem Tironowi te uwagi, ale on

tylko pokręcił głową i wskazał na ciężkie, szare chmury otulające szczyty gór. Nieco później jego decyzja okazała się słuszna. Po kilku milach wspinaczki na zbocza, zaczął padać deszcz, potem mokry śnieg, a wreszcie grad. Kiedy siedzieliśmy pod dachem, okutani w suche koce, nieszczęsny woźnica dygotał z zimna i kichał, ponaglaając konie do jak najszybszej jazdy. Burza przybierała na sile, aż w końcu zmuszeni byliśmy zatrzymać się i szukać schronienia w niewielkim przydrożnym zajeździe. Spędziliśmy tam noc... i trzy kolejne, pełne narzekań dni, ponieważ pogoda ani trochę nie chciała się poprawić. Jakikolwiek wymówki nie miały sensu, ale mimo to nie mogłem się powstrzymać, by nie powiedzieć Tironowi, że znacznie lepiej byłoby kontynuować podróż wzdłuż Via Appia. On jednak stwierdził tylko, że ta burza złapałaby nas i tam, a tu przynajmniej możemy mówić o szczęściu, skoro udało się nam znaleźć przytulne miejsce na jej przeczekanie. Nudę pomagała nam zabić skromna biblioteczka gospodarza (składająca się z mocno sfatygowanych egzemplarzy trzeciorzędnych greckich sztuk i erotycznej poezji), a także kilka gier planszowych. Po trzech dniach uznałem, że umrę szczęśliwy, jeśli już nigdy nie przeczytam żadnej książki o cudem ocalałych z morskiej katastrofy kochankach. Zazdrościłem Forteksowi i woźnicy, których zupełnie zadowalało przesypianie całej doby w stajni niczym zimujące niedźwiedzie. Od czasu do czasu, kiedy siedzieliśmy z Tironem nad grą „Circus Maximus” albo „Faraonowie na Nilu”, wyczuwałem, że stara się mnie wybadać, wypełniając polecenie Cycerona, aby odkryć moje zamiary i to, co wiem o śmierci Numeriusza Pompejusza. Najsubtelniej, jak umiałem, unikałem takich rozmów i zmieniałem temat.

Burza w końcu się skończyła. Dotarcie do przeciwległych, wschodnich stoków Apeninów zajęło nam cały dzień. Tej nocy spaliśmy w gospodzie wciśniętej między skaliste urwiska a gęsty las sosnowy. Kiedy rano obserwowałem wschód słońca z okna naszej izby na piętrze, dostrzegłem w dali srebrnobłękitną smugę; według Tirona był to już Adriatyk. Dzień wstał pogodny, niebo było bezchmurne. Ruszyliśmy w dalszą drogę ze zdjętym dachem, by cieszyć się słońcem i błękitem po dniach szarugi. Od naszego wyjazdu z Rzymu upłynęło jedenaście dni.

Po jakiejś godzinie natknęliśmy się na wojsko. Przejeżdżaliśmy akurat przez niewielką przełęcz, kiedy usłyszeliśmy niskie dudnienie marszowego bębna, niosące się echem przez fałdy terenu. Tiro polecił woźnicy zatrzymać wóz i zaczęliśmy nasłuchiwać. Wkrótce oprócz bębna dał się słyszeć odgłos kroków i stłumiony brzęk rynsztunku. Zostawiliśmy niewolników przy wozie, a sami wspięliśmy się na pobliską skałkę i spojrzeliśmy w dół. Od strony nadmorskiej równiny maszerowały tysiące żołnierzy. Ich połyskujące w porannym słońcu hełmy zlewały się w jedną migotliwą rzekę, w metalowego węża pełznącego nieubłaganie pod górę, przez granie, przełęcz, wokół stromych skał, wypełniając całą szerokość drogi, jak woda po ulewie wypełnia koryto wyschniętego strumienia.

- To ludzie Cezara czy Pompejusza? - spytałem.

Tiro zmrużył oczy i przysłonił je dłonią.

- Nie jestem pewien. Znam insygnia wszystkich kohort i legionów, ale są

jeszcze za daleko, by coś rozpoznać.

- Wkrótce się zbliżą. Tempo mają ostre. Muszą ich być całe tysiące! Nie widać końca kolumny, musi ciągnąć się przez parę mil. - Obejrzałem się na nasz wóz. - Będziemy chyba musieli zjechać gdzieś na ubocze i przeczekać, aż przejdą. Może to zająć cały dzień.

- Co to może znaczyć? - Tiro pokręcił z niepokojem głową. - Nie wyglądają na pobitą armię, to pewne. Są zbyt zdyscyplinowani i jest ich zbyt wielu. Jeśli to wojsko Pompejusza, to nie mogli dotrzeć do gór, nie napotykając Cezara. To zaś by znaczyło, że Cezar poniósł klęskę. Pompejusz go zmiążdżył, a teraz wraz z senatorami, którzy z nim uszli, wraca do Rzymu. Kryzys zakończony... jeśli to ludzie Pompejusza...

Skinałem głową, zastanawiając się, jak by to się odbiło na losie Dawusa i Metona. Brzęk zbroi, łomot bębna i miarowe, tysięczne kroki z każdą chwilą zdawały się narastać i przybliżać, odbijając się wielokrotnym echem od skał i krzyżując się w rozrzedzonym górskim powietrzu, aż zaczęło mi się wydawać, że dochodzą wprost z pustego nieba jak daleki, nieustający grzmot.

- A jeśli to wojsko Cezara? - spytałem.

- Nie wiem. Być może Cezar nie zdążył dopaść Pompejusza w Brundyzjum i teraz wraca z pustymi rękami? A może udało mu się go zdybać, roznieść jego siły i maszeruje na Rzym? Ale przecież nie mógł mieć dość czasu na oblężenie... To nie ma sensu. To musi być armia Pompejusza... Na jądra Numy! - Tiro nagle urwał i wciągnął głośno powietrze. Używał przekleństw tak rzadko, że popatrzyłem nań ze zdumieniem. Twarz miał koloru popiołu. - Oczywiście! Ani Cezar, ani Pompejusz!

- Tironie, mówisz bez sensu.

- Spójrz na tych jeźdźców w przedniej straży. Widzisz opaskę z polerowanej miedzi na ich hełmach?

Zmrużyłem oczy.

- Nie bardzo...

- Ja jestem pewien. To miedziana opaska. Oficerowie będą mieli miedziane dyski z lwią głową na napierśnikach, Domicjusz jest właścicielem kopalni miedzi. To jego kohorty, ludzie, którzy zdradzili go w Korfinium.

- Ścigają go teraz w związku z nie zapłaconym żołdem?

Tiro nie był w nastroju do żartów.

- Być może zwrócili się przeciw Cezarowi. Ale nie, wówczas maszerowaliby ku Pompejuszowi. - Obejrzał się niespokojnie za siebie. - Na Plutona! Nie ma sposobu, by ukryć wóz. Droga wciśnięta jest między skały i drzewa, a przez całe mile nie mijaliśmy żadnego rozstaju. Powinienem był znów zamienić go na wierzchowce dziś rano. Jadąc konno, mielibyśmy szansę się schować.

- Czy to ma znaczenie? Możemy w końcu być zwykłymi, przypadkowymi podróżnymi.

- Na tej drodze, Gordianusie, nie ma zwykłych, przypadkowych podróżnych.

Wydawał się bliski paniki. Usiłowałem go jakoś uspokoić.

- Schowajmy się zatem między głazami, Tironie. Woźnica może zostać



przy wozie i powiedzieć im, że jedzie samotnie.

- Woźnica powie wszystko, co wie, kiedy tylko szcękną mu przy uchu mieczem.

- Zabierzemy zatem i jego.

- I zostawimy opuszczony wóz? To dopiero wyglądałoby podejrzanie! Z pewnością ruszyliby na poszukiwania i znaleźliby nas w parę chwil. I co wtedy? Czterej mężczyźni kryjący się w lesie, a więc mający coś do ukrycia?

- Masz rację. Nie mamy chyba innego wyboru, jak tylko zostać na wozie. Kiedy przednia straż się zbliży, pomachamy im wesoło, uśmiechniemy się i nawiążemy pogawędkę o ślicznej pogodzie.

Tiro westchnął ciężko.

- Chyba tak trzeba zrobić. Musimy udawać niewiniątka. Ty będziesz panem, ja twoim niewolnikiem. Dlaczego nie miałbyś jechać do obozu Cezara? Masz syna w jego armii.

- Tak, to dobre wytłumaczenie, tym bardziej że w części prawdziwe. Najpierw jednak opuśćmy tę skałę. Jak nas przyłapią na podglądaniu, mogą wziąć nas za szpiegów, nie uważasz?

Tiro uśmiechnął się blado.

- Ruszaj beze mnie. Muszę sobie ulżyć.

- No to już, nie krępuj się.

- Nie, tu nie chodzi o pęcherz. Taki strach przyprawia mnie o rozstrój jelit.

Tiro spiesznie zniknął między drzewami. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na nie kończącą się ludzką rzekę, wlewającą się drogą pod górę, po czym zsunąłem się ze skały i dołączyłem do niewolników. Tiro zjawił się w ostatniej chwili, tuż przed nadjechaniem pierwszego z żołnierzy. Jeździec posuwał się wolno, czujnie rozglądając się po okolicznych gładach i drzewach. Zatrzymał się o kilka kroków od nas. Obrzucił nas podejrzliwym spojrzeniem i zauważył żelazny pierścień na moim palcu.

- Kim jesteś, obywatelu? Co robisz na tej drodze?

- Nazywam się Gordianus. Jadę z Rzymu. Jesteś jednym z ludzi Cezara?

- Ja tu będę zadawał pytania, obywatelu. A ci inni?

- Woźnicę dostałem razem z wozem, wynajętym u karczmarza po drugiej stronie gór. Przeżyliśmy paskudną burzę, powiadam ci. Oby bogowie zesłali wam lepszą pogodę.

- A ci dwaj?

- To też niewolnicy. Tamten jest moim ochroniarzem, jak można się domyślić po jego wyglądzie. Całe szczęście, że go zabrałem! Nie ujechaliśmy nawet mili od miejskich rogatek, kiedy napadli na nas jacyś bandyci. Zabiliby nas, gdyby mogli, jestem pewien. Ale od tamtej pory nie mieliśmy żadnych kłopotów.

- A ten ciemny?

- To filozof, nazywa się Soskarydes.

Zwiadowca mierzył nas nieco wzgardliwym spojrzeniem. Należał widać do tych wojskowych, którzy cywilów zaledwie tolerują.

- Nie odpowiedziałeś mi jeszcze na pytanie, co tutaj robisz.

Zerknąłem na miedzianą opaskę na jego hełmie i odkaslnąłem, by zyskać na czasie. On i jego towarzysze służyli kiedyś pod Domicjuszem, a teraz przysięgli lojalność Cezarowi... jak się domyślaliśmy. A jeśli się mylimy?

Może dawni żołnierze Ahenobarbusa obrócili się przeciwko swemu nowemu wodzowi? Skąd mamy wiedzieć, czy na przykład Cezar nie poległ w boju, a ta armia maszeruje do Rzymu z jego głową na tyczce? Musiałem mu jednak coś powiedzieć. Przypomniałem sobie nagle o graczach z „Tawerny rozpusty”, rzucających kości z okrzykiem „Cezar!” na szczęście, i wziąłem głęboki wdech.

- Mój syn służy Cezarowi, jest w jego sztabie. Ten tu Soskarydes był jego nauczycielem. Możesz mnie nazwać mięczakiem, ale nie mogłem dłużej znieść niepokoju, czekając beczynnie w Rzymie na wiadomości... no i jestem tutaj.

- Szukasz zatem Cezara?

- Tak.

Mężczyzna patrzył na mnie surowo przez długą chwilę, po czym podjął decyzję.

Uśmiechnął się i rzekł:

- Trzymaj się więc tej drogi, obywatelu, a go znajdziesz.

- W Brundyzjum? Takie plotki słyszałem po drodze.

Uśmiechnął się znowu, ale nie odpowiedział. Przyjazne traktowanie cywilów najwyraźniej ma swoje granice, pomyślałem. Po chwili nadjechał drugi żołnierz. Naradzali się przez chwilę na osobności, co chwila zerkając w naszą stronę. Potem nowo przybyły ruszył dalej, a ten, który mnie wypytywał, wrócił i rzekł:

- Możecie się jakoś wygodniej umościć, bo zostanieie tu na dłużej. Za chwilę przemaszeruje tędy sporo żołnierzy.

- Jest ich wielu?

- Przekonasz się! - Żołnierz parsknął śmiechem. - Zostanę tu z wami, dopóki nie nadejdzie czoło kolumny. Po co macie odpowiadać na te same pytania mojemu dowódcy? On już sam zdecyduje, czy wam uciąć głowy! - Wyszczrzył zęby, by dać mi do zrozumienia, że to miał być żart.

Zerknąłem na Forteksa, który prychnął wzgardliwie na znak, że słowa żołnierza nie wywarły na nim wrażenia. Tiro stał spokojnie i wyglądał tak, jak filozof wyglądać powinien, woźnica zaś był nerwowy jak na woźnicę przystało. Z wolna nadciągnęła kolumna wojska; najpierw ujrzałem wyłaniające się z nad grzbietu drogi szpiczaste grzebienie hełmów potem sylwetki noszących je jeźdźców, na końcu ich wspaniałe rumaki. Za jadącymi na czele oficerami maszerowali dobosze; równy rytm werbli wibrował echem między skalnymi ścianami. Oficer w najpiękniej ozdobionym hełmie dał pozostałym znak, by jechali dalej, a sam ruszył w naszą stronę. Z miedzianej tarczy na jego napierśniku ryczał na nas bezgłośnie wspaniała, grzywiasty lew.

- Meldować! - rzucił krótko zwiadowcy.

- To podróżny z Rzymu, dowódco, ze swoimi niewolnikami. Nazywa się Gordianus.

Oficer popatrzył na mnie bystro.

- Gordianus? Dlaczego to imię wydaje mi się znajome?

- On mówi, że ma syna w sztabie Cezara.

- Ach, tak! Gordianus Meto, wyzwoleniec. Spotkałem go w Korfinium. A więc ty jesteś jego ojcem? - zwrócił się do mnie. - Ani trochę nie jesteś do

niego podobny... No, ale to w końcu nic dziwnego. Ja jestem Marek Otacyliusz, dowódca kohorty. Co ty, na Hades, tutaj robisz?

- Chcę się zobaczyć z synem. Czy ma się dobrze?

- Dość dobrze, kiedy go ostatnio widziałem.

- Nie jest zatem z wami? To nie jest armia Cezara?

- Owszem, to jest armia Cezara. Każdy człowiek, którego tu widzisz, zaprzysiął mu wierność. On sam pilnuje interesu na wybrzeżu, a te kohorty wysłał na Sycylię.

Takiej właśnie strategicznej decyzji można było oczekiwać od Cezara: nie wystawiać na próbę lojalności świeżo pozyskanych spod komendy wrogiego wodza oddziałów, rzucając je w pogoń za Pompejuszem, ale odkomenderować je w inny rejon.

- Mój syn jest więc z Cezarem? Gdzie ich szukać?

Otacyliusz się zawahał, po czym skinieniem głowy odprawił zwiadowcę.

- Ruszaj naprzód, ja się tym zajmę.

Żołnierz zasalutował i spiął konia, aby dogonić swoją drużynę straży przedniej. Przez przełęcz przelewały się rzędy zbrojnych sunących miarowym krokiem pod górę; zimowe płaszcze mieli odrzucone na plecy jak peleryny, na piersi każdego lśniła łuskowa zbroja. Oficer uśmiechnął się i rzekł:

- Chyba nie muszę kryć przed wami zamiarów Cezara. On już...

Woźnica nagle zeskoczył z kozła i wymierzywszy w nas oskarżycielsko palec, krzyknął:

- Oni kłamią!

Koń Otacyliusza spłoszył się nagłym ruchem i wierzgnął nerwowo. Zanim nawet oficer zdążył choćby unieść rękę, już z maszerującej kolumny oderwały się dwa rzędy żołnierzy. W oka mgnieniu zostaliśmy otoczeni pierścieniem wymierzonych w nas włóczy. Dowódca opanował wierzchowca i spojrzał na mnie, a potem na bezzębego niewolnika.

- Co się tu dzieje?

- Oni kłamią! - powtórzył woźnica, wskazując na Tirona. - Ten tam coś knuje. Mój pan w Beneventum kazał mi mieć na niego oko. On ma jakiś dokument z pieczęcią Pompejusza Wielkiego.

- Czy to prawda? - Oficer zmierzył mnie chłodnym spojrzeniem.

Poczułem, że włosy jeżą mi się na karku. Otworzyłem usta, gorączkowo zastanawiając się, jak odpowiedzieć. Uprzedził mnie jednak Tiro.

- Panie, czy mogę sam odpowiedzieć? - zapytał mnie.

- Możesz, Soscarydesie.

- To ten nic niewart woźnica jest kłamcą, panie. - Tiro nie podnosił głowy, zwracając się do oficera. - Klócił się ze mną przez całą drogę z Beneventum. Ma mi za złe, że ja siedziałem z moim panem suchy pod dachem, podczas gdy on moknął i marzył na koźle, kiedy jechaliśmy przez góry. Myślę, że przeziębził sobie mózg. Wymierzcie mu, panie, kilka batów a zobaczymy, czy będzie się trzymał swojej bajeczki!

Usta woźnicy ułożyły się w bezzębny okrąg gniewu.

- Nie, nie! To ludzie Pompejusza, panie! Mój pan tak powiedział. Nie chciał dać im wozu, ale musiał z powodu tego dokumentu, który ma przy sobie ten kłamca! Przeszukaj go jeśli mi nie wierzysz!

Oficer wyglądał na zakłopotanego. Łączyła nas osoba Metona... jeżeli rzeczywiście powiedziałem mu prawdę.

- Co masz mi do powiedzenia o tym dokumencie... Gordianusie?

Obejrzałem się na Tirona.

- Na Herkulesa, Soskarydesie, o czym ten niewolnik mówi?

- Nie mam pojęcia, panie. - Tiro patrzył na mnie spokojnie. - Niech mnie ten oficer zrewiduje, jeśli ma ochotę.

- Będę musiał was wszystkich zrewidować - wtrącił Otacyliusz.

Zaczęli od skonfiskowania naszej broni. My z Tironem mieliśmy po sztylcie, a Forteks nosił dwa. Musieliśmy pozostać na wozie, a żołnierze zabrali się do przeszukiwania naszych sakw, w których oczywiście nie znaleźli nic podejrzanego. Potem kazali nam wstać i rozebrać się.

- Przepaski biodrowe też? - spytałem, starając się grać oburzonego takim traktowaniem obywatela.

- Niestety tak. - Otacyliusz skrzywił się i odwrócił głowę, dzięki czemu przyłapał kilku przechodzących żołnierzy na szyderczym śmieszku. - Hej, wy tam! Patrzyć przed siebie i nie gapić się! - warknął ostro.

Stanąłem nago i wyciągnąłem ręce otwartymi dłońmi ku niemu.

- Jak widzisz, dowódco kohorty, nie mam nic do ukrycia. Moi dwaj niewolnicy także.

Otacyliusz miał zawstydzoną minę.

- Oddać im ubrania! - rozkazał, po czym zwrócił się do woźnicy, który skulił się ze strachu: - I co ty na to?

Poczułem się lepiej, osłonięty znów swoją przepaską. Naciągnąłem tunikę i powiedziałem:

- Mam tylko nadzieję, dowódco, że dla zadośćuczynienia za ten incydent wypożyczysz mi kilku ludzi... i odpowiednie utensylia... by odpowiednio ukarać kłamliwego woźnicę.

- Nie! - zajęczał stary niewolnik. - Zwróćcie mnie memu panu w Beneventum! Tylko on ma prawo wymierzać mi karę!

- Bzdura! - przerwałem mu surowo. - Zostałeś mi wynajęty razem z wozem. Dopóki jesteś w mojej służbie, mam pełne prawo cię karcnąć.

- Za wprowadzenie w błąd oficera rzymskiej armii w czasie kryzysu ten niewolnik podlega karze śmierci w myśl prawa wojennego, a jego pan karze grzywny - rzekł lodowatym tonem Otacyliusz.

Poczułem przyływ litości dla przerażonego nie na żarty niewolnika, który teraz sam znalazł się w najeżonym kręgu włóczni. Czemu nie trzymał języka za zębami?

- Nie, panie, czekajcie! - Stary rzucił się ku oficerowi.

Jeden z żołnierzy pchnął go włócznią w ramię, na którym wykwitła jasnoczerwona plama krwi. Niewolnik schwycił się za zranione miejsce i jęcząc, próbował tłumaczyć:

- Ta skała, panie! Ci dwaj wspięli się na nią, zanim nadeszliście, by was szpiegować!

- Ciekawość nie jest występkiem - rzekł Otacyliusz.

- Ale czy nie rozumiesz? To tam musieli ukryć dokument! Zobaczyli was i pozbyli się go albo zniszczyli! Idźcie tam poszukać, musi tam być!

Tiro przewrócił oczami z niesmakiem.

- Ten kłamliwy niewolnik każe wam przeszukać każdą piędź ziemi stąd do Beneventum, jeśli go posłuchasz, panie. Ty kłamliwy głupcze, jeśli przestaniesz łąć i powiesz prawdę, może pan dowódca okaże ci łaskę i pozwoli ci umrzeć szybko i bezboleśnie!

Otacyliusz patrzył na mnie, zaciskając szczęki. Ja trzymałem się roli wzburzonego obywatela i odpowiadałem mu gniewnym spojrzeniem. Uświadomiłem sobie, że nie oddał nam sztyletów, czyli jeszcze nie zdecydował, co z nami począć. W końcu przywołał kolejną dziesiątkę żołnierzy.

- Ruszajcie na to wzgórze i przeszukajcie je dokładnie przynieście mi wszystko, co mogło tam zostać porzucone przez podróżnego: jakąkolwiek sakwę czy miszkę, kawałek pergaminu, nawet najmniejszy czy nadpalony.

Z pewnością niczego nie znajdą, pomyślałem. Tiro był ze mną na skale, nic nie wspominał o swoim paszporcie kuriera, nie widziałem też, by go chował. Jedynym śladem ludzkiej obecności będzie to, co Tiro pozostawił, kiedy poszedł sobie ulżyć...

Zdałem sobie nagle sprawę, że mój towarzysz podróży nie zamarudził tam tak długo tylko z powodu biegunki. Poszedł do lasu właśnie po to, by pozbyć się kompromitującego dokumentu. Pergamin pali się łatwo, można go też podrzeć, a strzępki wgnieść w ziemię, zżuć albo nawet połknąć. Czy jednak Tiro tak postąpił, czy tylko wetknął paszport w jakąś dziurę, chcąc go później odzyskać? Nie patrzyłem w jego stronę w obawie, że wyraz twarzy może mnie zdradzić. Przyglądałem się więc rozbiegającym się po zboczu żołnierzom, aż w końcu nie wytrzymałem i zerknąłem na Tirona. Nasze oczy spotkały się na jedno mgnienie, ale ja wiedziałem już, że nie zniszczył dokumentu. Ogarnął mnie strach, aż na chwilę zaparło mi dech. Może żołnierze zadowolą się przeszukaniem samej tylko skały, pocieszałem się w myślach, ale bez cienia przekonania. Ci ludzie są wyszkoleni w tropieniu śladów, szukaniu oznak czyjegoś przejścia i wykrywaniu tajnych skrytek. Ich dowódca wydał rozkaz przeszukania terenu i przyniesienia wszystkiego, co można znaleźć, i to właśnie zrobią.

Staliśmy z Tironem i Forteksem na wozie i czekaliśmy. Woźnica ścisnął zranione ramię i szlochał cicho. Drogą sunął nieprzerwany ludzki potok. Czulem narastające napięcie, jak na sztuce w teatrze, kiedy nadchodzi odmiana losu bohaterów. Wreszcie wysłany na poszukiwania oddziałek zaczął dziarskim truchtem zbiegać ze zbocza ku drodze. Znaleźli nie jeden, ale kilka przedmiotów. Czy istnieje rzymska droga, która nie byłaby zaśmiecona na poboczach? Przynieśli but, nadgryziony przez jakieś zwierzę o spiczastych zębach, odłamek kości słoniowej, który wyglądał na fragment skrobaczki, jakiej używa się w łaźniach do czyszczenia skóry. Był tam też kawałek tkaniny, być może dziecięca przepaska biodrowa, zabrudzona i wyrzucona, najcenniejszym zaś znaleziskiem okazała się grecka srebrna drachma, poczerniała ze starości.

- Znaleźliśmy też to, dowódco. Był ciasno zrolowany i wciśnięty między kamienie na przeciwległym zboczu wzgórza.

Żołnierz wręczył swemu przełożonemu pergamin. Otacyliusz rozwinął go i zaczął czytać. Mina zmieniła mu się nie do poznania.

- Paszport kuriera - powiedział cicho. - Wydany na mocy *senatus*

*consultum*. Podpisany przez samego Pompejusza i z jego osobistą pieczęcią.  
- Spojrzał na mnie znad dokumentu. - I jak to wytłumaczysz, Gordianusie?  
Jeżeli naprawdę nim jesteś...





## ROZDZIAŁ 15

Żołnierze mijali nas nie kończącym się korowodem ludzkich twarzy: czasem z malującą się na nich pogardą, częściej zwykłą ciekawością, a z rzadka nawet litością. Musieliśmy przedstawiać nędzny widok - czterech mężczyzn z rękami związanymi z tyłu, połączonych sznurem za kostki i prowadzonych w dół skrajem drogi przez jadącego konno samego dowódcę kohorty. Za nami szedł żołnierz, co jakiś czas zagrzewając nas szturchnięciami włócznią do żwawszego ruchu. Ranny woźnica włókł się ostatni w rzędzie, osłabiony i bliski omdlenia. Z trudem utrzymywał narzucone przez dowódcę tempo. Ubita na poboczu brukowanej drogi ścieżka, którą nas prowadzono, była nierówna i biedaczysko co chwila potykał się, szarpiąc sznurem łączącym go z nami. Forteks wpadał na Tirona, a ten na mnie. Żołnierz dźgał wtedy woźnicę ostrzem włóczni, niewolnik krzyczał, maszerujący legionieści wybuchali śmiechem, jakbyśmy odgrywali zabawną pantomimę na ich użytek. Od czasu do czasu Otacyliusz oglądał się na mnie przez ramię z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Trzymał w ręku sznur, którego drugi koniec tworzył pętlę na mej szyi. Pomimo moich wysiłków, by trzymać tempo i nie pozwalać na zbytne napięcie sznura, szybko miałem otartą skórę i zboląły od szarpnięć kręgosłup. Czułem się, jakby za chwilę miała mi odpaść głowa.

Mogliśmy wszyscy zginać w chwili, kiedy Otacyliusz odkrył nasze kłamstwo. Stanowiliśmy nieoczekiwaną anomalię, zakłócenie w przemarszu armii, krótko mówiąc problem, którego należy się pozbyć. Mógł kazać nas zabić na miejscu.

Gdy tylko do jego rąk trafił paszport Tirona, zacząłem się gotować na taką ewentualność. Aby odwrócić myśli od grozy sytuacji, zacząłem snuć w duchu wiązanek złorzeczeń. Dlaczego ten głupi Tiro nie zniszczył pergaminu? Dlaczego uparł się przy tym skrótce, zamiast spokojnie ciągnąć dalej wzdłuż Via Appia? Dlaczego nie zaciągnęliśmy tego drania woźnicy w las przed nadejściem żołnierzy i nie ucieliśmy mu gadatliwego jęzora? Dlaczego nie zostawiliśmy go razem z wozem w zajeździe...Ta lista pytań bez odpowiedzi kręciła się w mojej głowie bez końca podczas naszego bolesnego marszu, którego monotonię przerywało jedynie kolejne szarpnięcie za szyję, kiedy woźnica się potykał, jego jęk po zainkasowaniu ciosu od żołnierza i śmiech z szeregów legionistów, kwitujący te jakże zabawne wydarzenia.

- Kim są ci nędznicy? - spytał któryś.
- To szpiedzy! - odpowiedział mu domyślny kolega.
- Co z nimi zrobią?
- Jak to co? Powieszają głowami w dół i obedną żywcem ze skóry!

To wywołało pisk przerażenia woźnicy, który od razu też niemal się przewrócił i upokarzająca pantomima powtórzyła się znowu, czemu towarzyszyły gromkie śmiechy żołnierzy. Nawet najbardziej niezdarna trupa aleksandryjskich błaznów nie umiałaby zrobić śmieszniejszego

przedstawienia.

A właściwie co Otacyliusz zamierza z nami zrobić? To, że dotąd nas nie zabił, mogło dawać jakąś nadzieję. Ale czy naprawdę? Musiał uznać, że jesteśmy szpiegami. Szpiegdy znają różne sekrety, a te bywają cenne. My w takim razie również jesteśmy cenni. Podejrzywałem jednak, że w odniesieniu do szpiegów rzymscy wojskowi, podobnie jak rzymscy sędziowie w odniesieniu do niewolników, znają tylko jeden wiarygodny sposób wyciągania tajnych wiadomości: przez tortury. Nasze życie zostało oszczędzone, ale w jakim celu? Po co prowadzą nas na nizinę, na tyły armii? Stwierdziłem bardzo szybko, że lepiej w kółko oskarżać Tirona za nasze nieszczęście, niż spekulować na temat najbliższej przyszłości.

- Gordianusie! - Szept Tirona wyrwał mnie z zamyślenia. - Jak już się znajdziemy tam, dokąd nas prowadzą...

- Cisza! - Otacyliusz obejrzał się przez ramię i zgromił nas wzrokiem.

Okrutniejszy człowiek mógłby w tej chwili podkreślić swój rozkaz szarpnięciem za sznur na mojej szyi. Widziałem jednak po jego oczach, że nie pozbył się jeszcze wątpliwości. Jeżeli podałem mu prawdziwą tożsamość, to jestem ojcem zaufanego współpracownika Cezara, człowieka, którego Otacyliusz poznał osobiście. Z drugiej strony okłamałem go w sprawie Tirona, którego paszport wskazuje na nasz bezpośredni związek z Pompejuszem. Jeśli zaś woźnica mówił prawdę, to mój niewolnik Soscarydes jest w istocie rzeczywistym przywódcą naszej malutkiej grupki. Czy więc kłamałem także w sprawie koligacji z Metonem? Otacyliusz stał przed dylematem, a jego żołnierski instynkt nakazywał mu przekazywać dylematy swoim przełożonym.

Przyszło mi na myśl, że mam szansę ująć z głową na karku tylko wtedy, gdy będę stanowczo upierał się przy swojej tożsamości. W tym celu jednak musiałbym zdradzić Tirona. Jak inaczej wytłumaczyć posiadanie przezeń dokumentu wydanego przez Pompejusza? Gdyby jego prawdziwe imię zostało odkryte, zapewne sprowadzono by jakiegoś wyższego dowódcę, aby go zidentyfikował; jako sekretarz Cycerona Tiro był osobą dobrze znaną na Forum. Co mogliby z nim zrobić? Czy uwolniliby go, tak jak Domicjusza, i odesłali bez szwanku do Cycerona? Miałem co do tego poważne wątpliwości. Tiro to nie Domicjusz. Jest obywatelem i domownikiem senatora, ale tylko dlatego że Cycero go wyzwolił. A co mogło czekać byłego niewolnika, przemierzającego kraj jako szpieg pod fałszywym nazwiskiem, który w dodatku bezczelnie okłamał rzymskiego oficera? Nie wierzyłem, że mogą go po prostu puścić wolno.

Takie denerwujące myśli i obawy odwracały przynajmniej moją uwagę od coraz częściej się powtarzających szarpnięć, potknięć i pchnięć z tyłu przy nieodmiennym akompaniamencie śmiechu żołnierzy. Byłem znużony i spragniony, a w głowie mi szumiało, jakby rój pszczół latał mi pod czaszką.

Wlekliśmy się tak po pochyłej ścieżce, aż w końcu dotarliśmy do rozległej łąki górującej nad nadmorską równiną i widniejącym w oddali srebrzystym spłachciem Adriatyku. Tu właśnie maszerująca kolumna musiała obozować minionej nocy. Wciąż jeszcze stał na środku jeden duży namiot. Mijaliśmy akurat miejsce zbiórki, gdzie ostatnia kohorta formowała się do marszu. Na pół zamroczony ze zmęczenia i bólu zastanawiałem się, ilu też właściwie



widziałem żołnierzy przez ostatnie parę godzin. Jeśli kolumnę stanowiła cała armia Domicjusza z Korfinium, to było tam trzydzieści kohort, sześćset ludzi w każdej, a każdy z nich przeszedł obok mnie. Wiedziałem więc teraz dokładnie, jak wygląda przemarsz osiemnastotysięcznej armii. Ilu ludzi Cezar ma w Italii, skoro mógł sobie pozwolić na wyprawienie tak wielu żołnierzy na Sycylię?

Otacyliusz powiodł nas w kierunku namiotu, gdzie grupa kwatremistrzowska zaczynała już wyciągać z ziemi podtrzymujące go kołki. Wszedł z niego młody oficer we wspaniałej zbroi, dzierżąc pod pachą hełm z eleganckim grzebieniem z końskiego włosia. Na piersiach nie miał miedzianego dysku z lwem, nie należał więc do ludzi Domicjusza; mimo to Otacyliusz na jego widok zeskoczył szybko z konia i zasalutował jak przełożonemu.

- Na jądra Numy! - dobiegł mnie szept Tirona.

Popatrzyłem na oficera uważniej. Strach i zmęczenie musiały zaćmić mi wzrok, skoro od razu go nie poznałem; jego dziwnie brutalnej, a przy tym chłopięcej twarzy nie można było pomylić z niczyją inną. Z profilu wyglądał jak zbój: złamany nos, wystający podbródek i krzaczaste brwi jak u zawodowego pięściarza w złym humorze. Widziany z przodu miał pełne policzki, łagodny wykrój ust i oczy, przez które, zdawało się, można zajrzeć w głąb jego duszy. Z każdego innego kierunku przedstawiał przedziwną mieszaninę sprzeczności. Była to twarz, która fascynuje kobiety, a u mężczyzn budzi albo instynktowne zaufanie, albo strach.

Otacyliusz konferował z nim przyciszonym głosem. Usłyszałem swoje imię i mężczyzna spojrzał w moim kierunku, na jego obliczu odmalowało się zdziwienie, a potem szok. Odepchnął Otacyliusza i ruszył ku nam, odrzucając w trawę swój hełm i dobywając miecza. Schwycił mnie za ramię i przytknął ostrze do mej szyi. Zamknąłem oczy i głośno wciągnąłem powietrze. W następnej chwili objął mnie niedźwiedzimi łapskami i przycisnął do swej masywnej piersi. Pętla spadła z mojej szyi, rozcięta jednym ruchem miecza.

- Gordianusie! - zakrzyknął, odsuwając mnie od siebie.

- Marek Antoniusz... - szepnąłem i zemdlałem.

Usłyszałem czyjeś głosy. Stopniowo dotarło do mnie, że leżę gdzieś w zamkniętym pomieszczeniu wypełnionym łagodnym światłem... nie w pokoju, ale w każdym razie pod dachem.

- Obywatel w jego wieku, prowadzony za szyję w forsownym marszu?

- Musiałem związać pojmanych, trybunie. To normalna procedura wobec podejrzanych o wrogie działania lub szpiegostwo.

- Cud, że go nie zabiłeś! Nie byłby to dla ciebie dobry początek w służbie Cezara, dowódco kohorty, zabicie ojca Metona Gordianusa!

- Działąłem tylko zgodnie z instrukcjami, trybunie.

Zdałem sobie sprawę, że znajduję się w wielkim namiocie, i przypomniałem sobie, że widziałem taki na łące i że z niego właśnie wyszedł Marek Antoniusz. Leżałem na twardej pryczy, przykryty cienkim kocem.

- Budzi się.

- No, to masz szczęście! Możesz odejść, Marku Otacyliuszu. Wracaj do

swojej kohorty.

- Ale...

- Twój widok może posłać go wprost do Hadesu! Złożyłeś już raport. Odejdź.

Rozległ się szelest, do namiotu wpadł snop światła, a potem ujrzałem nad sobą zafrasowaną twarz Antoniusza.

- Nic ci nie jest, Gordianusie?

- Jestem spragniony. I głodny. I nogi mnie cholernie bołą.

Antoniusz się roześmiał.

- Mówisz jak każdy żołnierz po solidnym marszu!

Podniosłem się z wysiłkiem do pozycji siedzącej. W głowie mi się zakręciło.

- Zemdlałem?

- Zdarza się. Forsowny marsz, brak wody i jedzenia... a po śladach na twojej szyi widzę, że ten dureń Otacyliusz omal cię nie udusił.

Dotknąłem dłonią szyi. Skóra była obolała i z pewnością posiniaczona, ale nie krwawiła.

- Przez chwilę, tam na przełęczy, już myślałem, że mnie zabije.

- Głupi to on jest, ale nie aż tak. Pomówimy o tym później, kiedy się napijesz i coś przekąsisz. Nie, nie wstawaj. Siadaj na pryczy, a ja każę ci coś przynieść. Jedz jednak szybko. Musimy zwinąć namiot, zamierzam ruszyć dalej nie później niż za godzinę.

- A co ze mną?

- Pojedziesz ze mną, ma się rozumieć.

- Znowu w góry? - jęknąłem.

- Nie, do Brundyjzjum. Cezar mnie tam potrzebuje. Szykujemy ostateczny cios.

Oddział Antoniusza składał się ze stu konnych. Został wysłany przez Cezara, aby odprowadzić wysyłane na Sycylię kohorty aż do stóp Apeninów, a potem miał wrócić do głównych sił. Cezar przydzielił mu tak niewielu żołnierzy, aby umożliwić szybkie przemieszczanie się. Każdy z jeźdźców był weteranem wojen galijskich i Antoniusz przechwalał się, że ta doborowa centuria warta jest całych dwóch kohort.

Zaprosił mnie, bym jechał z nim na czele, niewolnikom zaś pozwolił jechać wozem z bagażami. Forteksa uznał za mojego ochroniarza, Tirona zaś nie poznał nawet z bliska. Zdziwiło mnie to, gdyż trudno było w Rzymie o człowieka, którego by Antoniusz bardziej nienawidził niż Cyncerona. Obawiałem się, że rozpozna jego sekretarza nawet w tym przebraniu, ale przyjął bez zastrzeżeń moje tłumaczenie, że „Soskarydes” jest dawnym nauczycielem Metona. Jak mi kiedyś powiedział Meto, „Antoniusz nie jest głupi, ale można go czytać jak łacinę”. Najwyraźniej uważał, że inni są równie prostolinijni, jak on sam.

Woźnica, biedaczysko, dotarł na łąkę w stanie wyczerpania i z gorączką od rany w ramieniu, niezdolny nie tylko do oskarżania nas, ale nawet do odpowiadania na proste pytania. Został wrzucony na wóz bagażowy razem z Forteksem i Tironem, a ja uznałem za stosowne twierdzić, że gorączka opanowała go już przed spotkaniem z Otacyliuszem.

- Biedak złapał febrę w górach - wyjaśniłem Antoniuszowi, kiedy już ruszyliśmy w drogę. - Myślę, że musiał źle się czuć od samego rana. Wszystkie te bzdury, których naopowiadał dowódcy kohorty, musiały być zwykłymi majakami.

- Ale jednak miał rację co do twojego paszportu kuriera, prawda? - Antoniusz patrzył wprost przed siebie, ukazując mi swój profil boksera.

- Ach, tak. To rzeczywiście trochę kłopotliwa sprawa. Kazałem Soskarydesowi ukryć go w lesie na czas przemarszu wojska. Głupio może postąpiłem, ale sądziłem, że w ten sposób zaoszczędzę sobie kłopotu. Tymczasem przyłapano mnie na kłamstwie. Nie mogę winić dowódcy kohorty, że potraktował mnie... podejrzliwie.

- Ale, na Hades, skąd u ciebie taki dokument, Gordianusie? I to podpisany przez samego Pompejusza!

Uznałem, że lepiej będzie zrobić unik, niż po prostu skłamać.

- Nie wiem, jak inaczej mógłbym liczyć na świeże konie na każdym postoju. Mogłem z tego skorzystać dzięki Cycleronowi. - Nie było to w końcu kłamstwem. - Zatrzymałem się na parę dni w jego willi w Formiach.

- Ten gnojek! - Antoniusz odwrócił się do mnie przodem, ale jego rysy bynajmniej nie straciły przez to groźnego wyrazu. - Wiesz, co by mi wystarczyło jako wynik całego tego zamieszania? Widok głowy Cyclerona na tyczce! Od chwili, kiedy ten bydlak zamordował mojego ojczyma podczas tłumienia tak zwanego spisku Katyliny, nieustannie obrzucał mnie oszczerstwami. Nie rozumiem, dlaczego taki prawy człowiek jak ty może się przyjaźnić z tą kreaturą!

- Nie jesteśmy bynajmniej z Cycleronem przyjaciółmi, trybunie.

- Nie musisz się tłumaczyć. To samo jest z Cezarem. Kłócimy się, ilekroć w rozmowie padnie hasło „Cycero”. On każe mi przestać jazgotać, a ja pytam, po co hoduje takiego skorpiona. „Użyteczny”, odpowiada mi za każdym razem, jak gdyby to był najbardziej ważki argument. „Cycero może się kiedyś przydać”. - Antoniusz się roześmiał. - No, tobie się przydał, skoro dostałeś od niego ten Pompejuszowy pergamin! Ale w rezultacie tylko wpadłeś w tarapaty, co? Masz szczęście, że Marek Otacyliusz przyprowadził cię prosto do mnie, bo inaczej mógłbyś stracić głowę! Ale ty zawsze musiałeś mieć szczęście, skoro udało ci się dożyć twoich lat. Niech mnie, ojciec Metona Gordianusa podejrzany o szpiegostwo na rzecz Pompejusza! Jakim dziwnym miejscem stał się ten świat!

- Pewnie dziwniejszym, niż myślisz - mruknąłem pod nosem.

- No, wszystko to wyjaśnimy w Brundyzjum.

Antoniusz wydawał się zadowolony z zamknięcia tematu, ale jego słowa sprawiły, że znów zacząłem odczuwać zdenerwowanie. Co jeszcze trzeba wyjaśniać, skoro on zaakceptował moje tłumaczenie? Pozostał oczywiście problem woźnicy. Co się stanie, kiedy ustąpi jego gorączka? I co będzie, gdy ktoś rozpozna w Soskarydesie Tirona? Jak wówczas wytłumaczę się ze współudziału w tej maskaradzie? Teraz już nie mogłem go wydać; chyba nie mógłby wpaść w gorsze ręce. Z łatwością mogłem sobie wyobrazić, jak Marek Antoniusz wyładowuje złość na Cyclerona na jego najbardziej zaufanym sekretarzu

- Cóż się tak zafrasowałeś, Gordianusie? - Antoniusz wyciągnął dłoń i

ściskał mnie za udo. - Nie martw się, już wkrótce się zobaczysz z Metonem. Trzy dni jazdy i staniemy w Brundyzjum. Jeśli szczęście nie przestanie nam dopisywać, powinniśmy dotrzeć tam akurat na czas, aby zobaczyć ostatni bój Pompejusza!

Tej nocy rozbiliśmy obóz w płytkiej dolince między niskimi wzgórzami, około pół mili od drogi. Antoniusz nie omieszkał podkreślić walorów obronnych wybranego miejsca.

- Czy istnieje realne zagrożenie atakiem, trybunie? - spytałem. - Po prawej mamy góry, po lewej morze. Za nami leży Korfinium obsadzone przez wojsko Cezara, przed nami zaś Brundyzjum, które otaczają, jak miemam, jego główne siły. Zdaje mi się, że jesteśmy bezpieczni jak pająk na dachu.

- Oczywiście, że tak. To przez lata spędzone w Galii. Nigdy nie zakładam obozu, nie myśląc o tym, że coś niewidzialnego może się czaić gdzieś w pobliżu.

- Czy wobec tego mogę odzyskać mój sztylet, skonfiskowany przez Otacyliusza? Moim niewolnikom też je zabrał.

- Jasne, że tak. Gdy tylko rozbijemy obóz.

Jego ludzie zrzucili broje i zajęli się pracami obozowymi: rozstawiali namioty, kopali latrynę, rozpalali ogień.

Zacząłem się rozglądać za wozem bagażowym; otaczała go grupka żołnierzy, patrzących na coś, co leżało na ziemi.

- Gorączka musiała go zabić.

- To się czasem dzieje piorunem przy takich ranach. Widziałem już silniejszych ludzi i z mniejszym krwawieniem, którzy umarli jeszcze szybciej od niego.

- To w końcu tylko stary niewolnik, a słyszałem, że sprawiał kłopoty.

- O, idzie przyjaciel trybuna. Przepuście go!

Żołnierze rozstąpili się przede mną. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem ciało starego woźnicy złożone obok wozu. Ktoś już skrzyżował mu ręce na piersiach i zamknął powieki.

- Musiał umrzeć już kilka godzin temu - rzekł wyjaśniająco najbliższy z żołnierzy. - Był już martwy, kiedy zabraliśmy się do rozładowywania wozu.

- A gdzie pozostali? - Rozejrzałem się wokoło. - Gdzie dwaj niewolnicy, którzy z nim jechali?

Tiro i Forteks wystąpili naprzód. Żaden nie odezwał się słowem. Po chwili żołnierzy wezwano do innych zajęć i zostaliśmy sami. Przyklęknąłem przy zwłokach. Po śmierci twarz starego była jeszcze bardziej wychudła, policzki zapadły się wokół bezzębnych ust. Nawet nie wiem, jak ma na imię, pomyślałem. Kiedy czegoś od niego chciałem, wołałem po prostu: „Woźnico!” Odwróciłem ciało na bok. Oprócz zadanej włócznią rany w ramieniu miał jeszcze kilka mniejszych ran kłutych, odniesionych podczas marszu, ale wyglądały niegroźnie. Sandały były cienkie, a na piętach widniały liczne otarcia i pęcherze. Sznur poranił mu też skórę nad kostką, miał też chyba siniaki na szyi, choć w szybko gasnącym świetle dnia nie widziałem ich wyraźnie. Odruchowo dotknąłem własnej szyi otartej przez pętlę; niewolnik nie był jednak prowadzony w ten sposób. Spojrzałem na stojących nade mną Tirona i Forteksa.

- Został uduszony, prawda? - spytałem cicho.  
Tiro uniósł brwi.  
- Słyszałeś tych żołnierzy. On zmarł od gorączki wywołanej przez ranę.  
Był stary i słaby, marsz z gór go wykończył. Sam jest sobie winien.  
- Te przebarwienia na szyi...  
- Plamy wątrobowe? - podsunął Tiro.  
Wstałem i spojrzałem mu prosto w oczy.  
- Myślę jednak, że został uduszony. Twoją ręką, Tironie?  
- Oczywiście, że nie. Forteks jest wyszkolony do tego.  
Popatrzyłem na niewolnika, ale on nie podniósł oczu.  
- Musieliśmy to zrobić, Gordianusie - szepnął Tiro - Mógł wydobrzeć i  
znów zacząć mówić.  
Patrzyłem mu w oczy, nie odzywając się.  
- Nie sądź mnie, Gordianusie! W takich czasach człowiek musi  
postępować wbrew własnej naturze. Możesz powiedzieć że nie zrobiłbyś  
tego samego?  
Odwróciłem się i bez słowa ruszyłem w stronę ogniska.





## ROZDZIAŁ 16

Antoniusz ani myślał zastanawiać się nad przyczyną śmierci starego woźnicy. Nawykł do widoku ludzi umierających z powodu na pozór niegroźnych ran i miał na głowie ważniejsze problemy. Na drugi dzień rano żołnierze wrzucili zwłoki do latryny i zakopali ją przed wyruszeniem. Pogrzeb niewolnika nie wymagał żadnych innych ceremonii. Kiedy już siadaliśmy na koń, Antoniusz rzucił mi tylko mimochodem, że powinienem postarać się zawiadomić właściciela woźnicy o tym, co się stało z jego człowiekiem i wozem.

- Jeśli podejrzewasz, że jest on typem skłonny do wytaczania procesów, możesz mu zaoferować jakieś symboliczne odszkodowanie. Niewolnik na pewno nie był wiele wart. A zresztą, skoro gość honorował twój paszport kuriera, technicznie nic mu nie jesteś winien. Niech skarży Pompejusza! - Antoniusz wybuchnął śmiechem, a potem spoważniał i pokręcił głową. - Cywile zawsze ponoszą straty podczas wojen. Spalone domy, zbiegli niewolnicy... W krajach takich jak Galia miejscowi muszą sami naprawiać doznane szkody, ale w Italii będzie inaczej. Niech tylko sytuacja wróci do normy, a nastąpi zalew pozwów sądowych. Oskarżenia o zniszczenia, sprawy o odszkodowania, petycje o zwolnienia z podatków. Sądy będą zablokowane, a i Cezar będzie miał pełne ręce roboty.

- No i adwokaci, jak Cycero - dodałem.

- Jeśli Cycero będzie jeszcze miał ręce - odparł Antoniusz.

Biegająca wzdłuż wybrzeża droga była na ogół prosta i płaska, ale w nie najlepszym stanie. Zimowe wichury uszkodziły niektóre odcinki, wyrywając z bruku kamienie i podmywając podsypkę. Normalnie takie usterki niezwłocznie naprawiłyby brygady niewolników przysłane przez miejscową administrację, ale panujący w regionie chaos na to nie pozwalał. Niedawne przemarsze ogromnej masy ludzi wozów i koni - najpierw armii Pompejusza, potem Cezara - dodatkowo pogorszyły sytuację. Mimo fatalnych warunków przebyliśmy jednak tego dnia czterdzieści mil, utrzymując takie tempo także przez dwa następne dni.

Miałem już wcześniej, przed paroma laty, okazję podróżować z Markiem Antoniuszem; teraz znów się przekonałem, że jest wspaniałym towarzyszem. Był znanym lekkoduchem i zdawał się zawsze dobrze bawić, czy to na polu bitwy w Galii, na szalonym przyjęciu na Palatynie, czy w izbie senatu. Miał mnóstwo pysznych dykteryjek do opowiadania, ale z ochotą słuchał też moich, dopóki dotyczyły rozwiązłych kobiet, matactw politycznych lub procesów o morderstwo, a najlepiej wszystkich trzech tematów naraz. Tirona prawie nie widywałem; jechał wozem bagażowym i starał się nie pokazywać Antoniuszowi.

Trzeciego dnia podróży, dobę po idach marcowych i w przeddzień liberaliów, dotarliśmy w okolice Brundyjzjum. Nasze pojawienie się zostało spostrzeżone przez strażę wystawioną na niskim wzgórzu po wschodniej stronie drogi i wkrótce na spotkanie Antoniuszowi wyjechał jakiś centurion,

zarumieniony z podniecenia.

- Trybunie, przybywasz w samą porę! - zakrzyknął zamiast powitania.

- W samą porę na co?

- Nie wiem dokładnie, ale ludzie na posterunkach po przeciwnej stronie pagórka wiwatują na całe gardło. Coś się dzieje w porcie.

- Prowadź więc! - rzucił Antoniusz.

Zawahałem się, czy mam podążać za nim, niepewny swej roli w bezpośredniej bliskości pola bitwy. Antoniusz obejrzał się jednak przez ramię i krzyknął:

- Czemu tam stoisz, Gordianusie? Jedziemy!

Ruszyliśmy ku szczytowi wzgórza. Ustawiono tam kilka namiotów dla dość licznej oddziału straży tylnej. Roztaczała się stąd rozległa panorama całej okolicy; na północy plażę i drogę widać było na kilka mil w obie strony. Centurion musiał nas widzieć już od paru godzin. Od strony południowej mieliśmy świetny widok na samo miasto, port i morze. Centurion poprowadził nas do najlepszego miejsca, z dumą oznajmiając, że sam Cezar tam stał, kiedy planował oblężenie Brundyzjum.

Opasane murami obronnymi miasto stoi na półwyspie otoczonym półkolistym naturalnym portem, połączonym z Adriatykiem wąską cieśniną. Topografię terenu najłatwiej sobie wyobrazić przez ułożenie prawej dłoni w kształt odwróconej litery C. Przestrzeń zamknięta łukiem utworzonym przez kciuk i palec wskazujący to ów półwysep, oba palce przedstawiają północny i południowy kanał portowy, a nadgarstek będzie cieśniną, przez którą statki muszą przepłynąć na morze. Z naszego punktu obserwacyjnego miasto wyglądało jak skupisko kamienic, magazynów i świątyń, ciasno stłoczonych w obręczy murów. Na wieżach i blankach wyraźnie widać było żołnierzy Pompejusza; ich hełmy i groty włóczni połyskiwały w zachodzącym słońcu. Wzdłuż biegnącej między północnym i południowym kanałem zachodniej ściany miasta, od strony lądu, rozciągał się obóz oblegających. Siły Cezara wydały mi się olbrzymie. Katapulty i balisty stały całymi szeregami, z których tu i ówdzie sterczały sylwety ruchomych wież oblężniczych, jeszcze wyższych niż mury miejskie. Nie dostrzegłem jednak niczego, co mogłoby być powodem poruszenia wśród obserwatorów. Machiny i wieże stały beczynnie, nad miastem nie unosiły się dymy, nie widziałem też oznak walki pod murem.

- Tam! - Antoniusz wskazał poza miasto, w kierunku wejścia do portu.

Od strony otwartego morza podchodziła flotylla dużych okrętów. Kilka z nich osiągnęło już wejście do cieśniny i wyglądało na to, że manewrują tak, aby wpływać do portu pojedynczo, wyciągniętym rzędem. Zdziwiło mnie to, sam bowiem niegdyś wypływałem w morze z Brundyzjum i wiem, że wejście jest dostatecznie głębokie i szerokie, by kilka statków mogło płynąć obok siebie. Te jednak wyraźnie zamierzały posuwać się jeden za drugim, trzymając się jak najbliżej środka cieśniny.

Kiedy pierwszy z okrętów wszedł na tor wodny, zorientowałem się, dlaczego ich kapitanowie wybrali taki wariant podejścia. Widok był tak zaskakujący, że z trudem mogłem uwierzyć własnym oczom.

W najważniejszej części cieśniny zbudowano coś w rodzaju wielkich pirsów, wysuniętych daleko w wodę z obu przylądków, które niemal stykały się na

środku, zamykając wejście do portu; tak w każdym razie wyglądało to z daleka. Na tych falochronach ustawione były w pewnych odstępach niewysokie wieże z machinami bojowymi.

- Na mojego przodka Herkulesa, cóż my tu widzimy? - mruknął Antoniusz, równie zaskoczony jak ja.

Odwrócił się i przebiegł wzrokiem po przyglądających się scenie żołnierzach, po czym zawołał do niskiego brodacza stojącego na skałce i mamroczącego coś pod nosem.

- Witruwiuszu!

Mężczyzna zamrugał jak wyrwany ze snu i spojrzał w naszą stronę.

- Inżynierze Witruwiuszu, do mnie! - powtórzył Antoniusz.

Wezwany zsunął się ze skały i ruszył truchtem ku nam.

- Trybunie, wróciłeś do nas!

- Stwierdzasz fakt, Marku Witruwiuszu. Mniej oczywiste jest to, co obserwujemy tam, w porcie. Co się, na Hades, dzieje?

- Ach... Może wejdziemy gdzieś wyżej, trybunie? - Witruwiusz spojrzał w stronę cieśniny, ale przy jego niskim wzroście czubki drzew trochę przesłaniały mu widok.

Poszliśmy za nim do jego skałki. Wspiął się na nią i stanął z założonymi rękami, spoglądając ku manewrującym okrętom.

- A więc, trybunie, jeśli wolno mi wyjaśnić... - W jego tonie pobrzmiwała nuta pobłażliwej wyższości typowa dla budowniczych, nawet w rozmowie z przełożonymi, jeżeli ci ostatni mają niezbyt wielkie pojęcie o arkanach architektury lub matematyki. - Przed siedmioma dniami przybyliśmy pod Brundyzjum. Cezar od razu otoczył miasto i port. Rozmieszczył większość ze swych sześciu legionów pod murem zachodnim, ale i na przylądkach najwęższej części kanału wejściowego. Nasz wódz miał nadzieję, że złapie w pułapkę nie tylko Pompejusza, ale i obu konsulów oraz przybyłych tu z nim wielu senatorów, chcąc zmusić ich do niezwłocznych pertraktacji i zakończenia kryzysu.

- Ale... - wtrącił Antoniusz, by go ponaglić.

- Ale wieści nie były dobre. Nasi szpiedzy donosili wcześniej, że Pompejusz zgromadził liczną flotę, a my zastaliśmy w porcie tylko parę jednostek. Gdzie więc podziła się ta flota? Niestety okazało się, że zanim tu nadciągnęliśmy, Pompejusz zdążył odesłać konsulów, senatorów i znaczną część swojej armii na drugi brzeg Adriatyku, do bezpiecznego Dyrrachium. Zawsze dążący do pokoju nasz wódz próbował układać się bezpośrednio ze swym rywalem, ale Wielki odpowiedział, że bez obecności konsulów nie może zostać zawarte żadne legalne porozumienie. No i po układach. Szpiedzy z Brundyzjum donosili nam... Wielki traktuje ich z pogardą, więc chętnie garną się do Cezara... donosili, że Pompejusz zatrzymał przy sobie dwadzieścia kohort. Nie po to, by bronić się tu bez końca... jakże mógłby to robić, mając zaledwie dwanaście tysięcy żołnierzy przeciw trzykrotnie silniejszemu przeciwnikowi?... ale na tyle długo, by jego flota dotarła do Dyrrachium, wysadziła pasażerów i wróciła po resztę obrońców. Nasz wódz nie zamierzał pozwolić Pompejuszowi się wymknąć, skoro aż tak daleko zaszedł w pościgu za nim. Zwrócił się zatem do mnie: „Musimy ich zatrzymać Witruwiuszu! Nie można pozwolić, aby jego okręty wpłynęły do



portu, gdy wrócą, a jeśli już im się to uda, wówczas nie damy im znów odpłynąć. Ja jednak nie mam własnej floty, a moi ludzie nie potrafią maszerować po wodzie”. To mi wygląda na problem ściśle inżynierski, Marku Witruwiuszu - powiedział i spytał, czy potrafię zablokować port. Odrzekłem że tak, a on na to: „Uczyń to zatem!” - Witruwiusz zatoczył dłonią krąg w kierunku portu. - Widzicie przed sobą efekt mojej pracy. Zaczęliśmy od zbudowania wielkich falochronów z ziemi i kamienia po obu stronach cieśniny, gdzie woda jest płytka przy brzegach. Niestety, w miarę postępu prac dotarliśmy na głębsze akweny, gdzie już nie dawało się utrzymywać budowli w całości. Wtedy zbudowaliśmy tratwy, po trzydzieści stóp kwadratowych każda, i zakotwiczyliśmy je z czterech rogów, po czym pokryliśmy nasypem ziemnym. Dzięki temu stoją sztywno, mimo, że unoszą się na wodzie. Jeśli dobrze wyteżycie wzrok, zobaczycie przesłony i balustrady chroniące przechodzących po pomostach żołnierzy. Na co czwartej tratwie wznieśliśmy dwupiętrową wieżę do obrony przed atakami z morza. Naszym celem było oczywiście całkowite zamknięcie drogi wodnej do Brundyzjum.

- I to wszystko twoje pomysły? - burknął Antoniusz.

Witruwiusz promieniał z zadowolenia.

- Jeśli wierzyć greckim historykom, król perski Kserkses dokonał czegoś w tym rodzaju, kiedy przekraczał Hellespont i wiódł swe armie z Azji do Europy. Zawsze się zastanawiałem, jak rozwiązał tę sprawę technicznie. Podejrzewam, że musiał wpaść na podobny pomysł z kotwiczeniem tratw jedna za drugą i łączeniem ich w jedną długą pływającą groblę.

Meto często opowiadał mi o wielkich dokonaniach inżynierskich inicjowanych przez Cezara podczas kampanii w Galii. Na jego rozkaz ludzie przerzucali mosty nad rzekami i przepaściami, kopali długie transeje i kanały, drążyli tunele i konstruowali wielkie maszyny bojowe i wieże oblężnicze. Odcięcie całego portu od morza to jednak coś na zupełnie inną skalę.

Antoniusz skinął głową, najwyraźniej pod wrażeniem tego wyczynu.

- A jak Pompejusz zareagował na wasze prace? Nie mów, że patrzył na to biernie z murów miasta, gdy się zorientował w waszych zamiarach.

- Oczywiście, że nie - odparł Witruwiusz. - Kiedy Wielki się ocknął z zadziwienia, zasekwestrował trzy największe statki, jakie znalazł w porcie, i zbudował na nich wieże bojowe wysokie na trzy piętra. Każdego dnia próbowały podejść w rejon prac i zniszczyć już zbudowane tratwy. Udawało im się opóźnić nasze postępy, ale nie zapobiec im. Dzień w dzień obserwowałem walkę między ich wieżami na statkach i naszymi na tratwach, miotającymi na siebie ognie greckie i strzały z balist. To było niezłe widowisko! Woda czerwona od krwi, w powietrzu smugi gryzącego dymu, słupy pary...

- Ale blokada wciąż nie jest ukończona. - Antoniusz zmarszczył brwi. - Kanał pozostał otwarty.

Witruwiusz założył ręce na piersi z nieprzeniknioną miną właściwą wszystkim budowniczym, których praca przeciąga się poza wyznaczony termin.

- Niestety, za mało mieliśmy na to czasu, zwłaszcza przy całym tym

nekaniu przez statki Pompejusza. Ale pomysł jest doskonały. Gdybyśmy mieli jeszcze pięć dni... a choćby ze trzy... - Witruwiusz pokręcił głową. - Ale flota Pompejusza już tu jest. To właśnie jego okręty szykują się do wejścia do portu. A tam, popatrzcie! Widzicie te statki z wieżami? Ruszyły właśnie i zaatakują nasze stanowiska z drugiej strony, żeby odciągnąć uwagę od okrętów!

Słońce zachodziło za odległe pasmo wzgórz, a przed naszymi oczami rozwijała się bitwa morska. Jeden po drugim okręty transportowe wślizgiwały się przez wąską przerwę w blokadzie, atakowane zajadłe przez obsługę wież na falochronach. W powietrzu śmigały miotane katapultami głazy, najczęściej jednak chybiając celu i wzbijając liczne fontanny wody. Niektóre trafiały w maszty lub zadarte stewy dziobowe, darły żagle i cięży olinowanie.

Widziałem, jak pocisk spadł na pokład jednego z okrętów i przebił się przynajmniej do pomieszczenia wioślarzy, ale statek nie zaczął tonąć. Miotano też potężne strzały wyglądające jak wyciosane z całych pni, służące zaś do tego celu balisty przypominały gigantyczne łuki napinane dwiema korbami zamontowanymi na ich końcach. Część strzał podpalano przed wystrzeleniem, leciały wówczas, zakreślając w powietrzu dymne parabole i strzelając czerwonymi iskrami. Te maszyny były wyraźnie celniejsze od katapult i powodowały więcej zniszczeń na wrogich okrętach, ale i one nie zdołały zatopić żadnego z nich.

Tymczasem nadpływające od strony portu statki zaczęły już kontratak na pozycje oblegających. Zасыpywały wieże takimi samymi pociskami, a nawet próbowały podejść do nich i zdobyć je w walce wręcz. Ludzie Cezara odpierali te ataki, ale przez to zmuszeni byli odwrócić uwagę od wpływającej floty. Po groblach nieprzerwanie biegali żołnierze, podtaczając pod wieże nowe głazy i pociski. Łucznicy po obu stronach wysyłali w powietrze gęstwą strzał. Powierzchnia wody zasłana była coraz szerzej wystrzelonymi pociskami i ciałami poległych. Oglądana z dużej odległości bitwa wydawała się totalnym chaosem, jakby jakieś potężne siły dla zabawy podrzucały i mieszały ze sobą wodę, ziemię, ogień i dym. Zarazem jednak widać było, że jest to prowadzone z wielkim pośpiechem, ale planowe działanie zdecydowanych ludzi, wykorzystujących każde przemysłne urządzenie i metodę, jakie potrafili zbudować czy opracować w celu wzajemnej destrukcji. Bitwa toczyła się z fascynującą nieuchronnością zniszczenia. Przyglądałem się jej i z podziwem, i ze strachem, niczym szalejącej burzy z piorunami. Była jak jedna, wielka maszyna o wielu częściach, która raz puszczona w ruch nie mogła zostać zatrzymana przez żadną siłę na ziemi i niebie.

Kiedy słońce zaszło, a powietrze stało się gęste od dymu i trudno było obserwować szczegóły zmagania. Zanosilo się na to, że wszystkie transportowce Pompejusza przedrą się do portu bez większych strat, ale i wieże na falochronach wytrzymały zacięte ataki i trwały niewzruszone na swych pozycjach. W końcu tylko jeden statek pozostał jeszcze poza linią blokady. Zerwał się wiatr i widać było, że kapitan ma trudności z manewrowaniem. Natężenie bitwy zmalało, czułem niemal, jak energia uchodzi z walczących po obu stronach. Katapulty i balisty strzelały rzadziej,

łucznicy też zwolnili tempo ostrzału. Może dlatego, że zaczynało już brakować pocisków i strzał, a może narastający mrok utrudniał celowanie?

I wtedy nastąpił jeden z tych wypadków, które są dowodem na szaleństwo bitwy i zaprzeczeniem wszelkich wizji wojny jako planowej, uporządkowanej operacji. Jeden z atakujących od strony portu statków Pompejusza wyrzucił z katapulty pocisk zapalający nasycony ogniem greckim. Przewożenie łatwopalnych materiałów na pokładzie jest z pewnością bardzo niebezpieczne; od początku bitwy żaden ze statków ani razu nie użył takiego pocisku. Dlaczego kapitan zdecydował się zrobić to teraz? Czy był to tylko nonszalancki gest, chęć zużycia przygotowanego materiału, czy też celowa ostatnia próba zniszczenia tratw? Jakiegokolwiek motywy kierowały dowódcą, efekt na pewno nie był przezeń zamierzony. Ognista kula przeleciała wysoko nad tratwami, śmignęła nad głowami Cezarowych żołnierzy niczym złowieszczą kometa i opadła stromym łukiem prosto na pokład ostatniego wpływającego okrętu Pompejusza.

Dlaczego ogień objął go tak błyskawicznie, skoro inne okręty trafiane takimi pociskami wyrzucanymi przez katapulty na falochronie nawet nie zaczęły płonąć? Być może ogień grecki spadł na jakiś składzik materiałów palnych, albo też wpłynął na to wiejący teraz dość silny wiatr. Pożar rozprzestrzenił się z niesamowitą prędkością, od linii wodnej aż po czubek masztu. Płonące figurki marynarzy skakały z burt do wody; nawet na nasze wzgórze docierały krzyki uwięzionych pod pokładem wioślarzy. Wkrótce jednak zagłuszyły je gromkie wiwaty żołnierzy Cezara, którzy na ten widok jęli wymachiwać rękami, podskakiwać i biegać po falochronach.

Nagle wiwaty urwały się jakby mieczem uciął. Dryfujący bezwładnie z wiatrem płonący wrak nagle zaczął się zbliżać do zakotwiczonych tratw, celując prosto w tę wieżę bojową która musiała być pierwotnym celem strzału z tamtego statku. Jej załoga rzuciła się do ucieczki niczym mrówki z zalewanego mrowiska. W chwilę później wrak uderzył w tratwy. Od wstrząsu złamał się maszt, opadając na falochron; płonący żagiel nakrył uciekających żołnierzy ognistym całunem. Ludzie, którzy do tej pory donosili walczącym na wieżach pociski i strzały, teraz zaczęli podawać z rąk do rąk wiadra z wodą, desperacko usiłując opanować pożar i nie dopuścić do zapalenia się sąsiednich tratw. Atakujące statki Pompejusza mogły teraz wykorzystać zamieszanie i dokończyć dzieła zniszczenia, ale zdażyły już się wycofać ku miastu, eskortując transportowce, którym udało się przeplłynąć przez blokadę.

Ciemność gęstniała z każdą chwilą. Bitwa była skończona.





## ROZDZIAŁ 17

Tej nocy rozbiliśmy namioty i zjedliśmy wieczerzę na wzgórzu obserwacyjnym. Sądziłem, że Antoniuszowi będzie spieszno zameldować się u Cezara, tak jak mnie odszukać Metona, skoro już dotarliśmy do Brundyzjum. Trybun nie należał jednak do ludzi, którzy zrezygnowaliby z kolacji, nawet jeśli miała to być tylko żołnierska kasza, i odmówiliby pucharu wina po trzech dniach forsownej jazdy o samej wodzie.

Centurion znalazł dla nas składane płócienne krzesła. Rozsiedliśmy się nad strawą pod gołym niebem. Wiatr ucichł teraz zupełnie, morze i kanał portowy wygładziły się i przypominały czarne lustro, w którym odbijały się co jaśniejsze z gwiazd. Płomienie na zniszczonym statku wczepionym w linię tratw stopniowo wygasły, za to zza murów Brundyzjum widać było jaśniejącą poświatę, jak gdyby żarzyły się fundamenty budynków. Na wieżach i wzdłuż murów żołnierze kolejno zapalali pochodnie, aż w końcu cała linia fortyfikacji jarzyła się światłem na kształt ognistego węża. Stanowiska armii Cezara też rozjaśniły się niezliczonymi punkcikami ognisk. Daleko na tyłach po zachodniej stronie majaczył mroczny masyw Apeninów, którego grzbiet delikatnie pomalowany był ginącymi resztkami minionego dnia.

- Ależ mieliśmy dzisiaj wspaniałą bitwę! - zauważył Marek Antoniusz.

Zdawał się być w świetnym nastroju pomimo oczywistego sukcesu floty Pompejusza.

- A jutro najpewniej zobaczymy wspaniały szturm - dorzucił Witruwiusz.

Antoniusz zaprosił budowniczego na kolację, aby dokończył nam opisywać niebywałą konstrukcję przegrody na cieśninie. Rozgrzany Witruwiusz zaczął później przedstawiać mi katalog rozmaitych machin i strategii, jakie mogą być zastosowane, kiedy Cezar rzuci swe siły przeciw obrońcom murów Brundyzjum: wielkie drabiny, ruchome wieże oblężnicze, tarany, podkopy pod fundamenty dla osłabienia fortyfikacji, specjalny szyk „żółwia”, jakim żołnierze będą podchodzić pod bramy, osłonięci „skorupą” z tarcz najeżoną włóczniami. Ja zaś byłem myślami przy Dawusie. Gdzie on teraz jest? Czy Pompejusz wciąż trzyma go w swej osobistej ochronie? Miałem taką nadzieję, ale kto wie, dokąd mógł trafić, czy to z kaprysu wodza, czy z prostej potrzeby. Może trzyma straż na murach miasta, jest jedną z tych drobnych figurek, które widać z naszego wzgórza, oświetlone przez pochodnie, okutane szczelnie w płaszcze dla obrony przed nocnym chłodem, nerwowo wyczekujące świtu... albo brał udział w dzisiejszej bitwie morskiej na jednym ze statków atakujących pływającą groblę Witruwiusza. Diana powiedziała, że Dawus nie umie pływać. Cóż, ja sam nie potrafię. Co może być straszniejszego od zamknięcia w kadłubie statku świadomie zmierzającego ku niebezpieczeństwu? Widok rannych w wodzie rozpaczliwie starających się utrzymać na powierzchni przejął mnie większą zgrozą niż cokolwiek innego w dzisiejszej bitwie, nawet płonący jak pochodnia statek. Może i Dawus był wśród nich, bił wodę rękami i wzywał

pomocy?

A co z Metonem? Przed oczyma stanął mi płonący żagiel, walący się na uciekających falochronem żołnierzy. Czy i mój syn mógł tam być? Raczej nie; Cezar zwykł trzymać go przy sobie i pewnie w tej chwili Meto siedzi w namiocie w głównym obozie pod zachodnim murem Brundyzjum, ucztuje ze swym wodzem lub robi staranne notatki, podczas gdy Cezar omawia ze swymi dowódcami strategię na następny dzień, który z nich jest w większym niebezpieczeństwie, Dawus czy Meto? Sądząc po pozorach, każdy chyba powiedziałby, że pierwszy. Ja nie byłem tego taki pewny.

Jeszcze długo po spałaszowaniu swojej miski kaszy Antoniusz kazał sobie napełniać kubek winem. Kiedy już był dobrze wstawiony, uparł się, by Witruwiusz i centurion śpiewali z nim rubaszne wojskowe piosenki. Większość z nich była po prostu wulgarna, ale jedna nawet mnie rozbawiła. Opowiadała o afektowanym i zniewieściałym oficerze, który najchętniej przebywał w domu, przymierzając suknie swej żony, ale kiedy przyszło co do czego, okazał się najdzielniejszym z wojowników. Ot, wojskowy humor, pomyślałem. Ludziom potrzeba szczypty nonsensu popitej winem dla odwrócenia myśli od masakry, której byli świadkami.

Antoniusz wciąż śpiewał z pijackim zapałem, kiedy zdecydowałem się ulotnić i poszedłem do namiotu oficerskiego, gdzie wyznaczono mi miejsce do spania.

Rzuciłem się na posłanie, ale nie mogłem zasnąć, martwiąc się o zięcia i syna i zastanawiając się, co przyniosą najbliższe dni. Kiedy wyjeżdżałem z Rzymu, sądziłem, że mam jakiś plan działania. Teraz, zmęczony drogą i po konfrontacji z rzeczywistą sytuacją, czułem, że cokolwiek mi wtedy świtało w głowie, rozplynęło się w nadmorskim powietrzu jak poranna mgła po wschodzie słońca. Kroczyłem po zupełnie obcym mi terenie, czułem się mały i bez znaczenia, przytłoczony przez potężne siły działające wokół mnie. Nadchodziła decydująca chwila, punkt krytyczny mojej wyprawy, a ja bynajmniej nie czułem się taki odważny, jak sobie roilem.

Zaszeleściła płachta przesłaniająca wejście. Ktoś wśliznął się do namiotu i lawirował niepewnie między pryczami. Usłyszałem szept:

- Gordianus?

Był to głos Tirona. Wstałem, owinałem się kocem i wyprowadziłem go na zewnątrz.

- Co, ty też nie możesz zasnąć? - spytałem. - Czyżby wóz z bagażami nie był wygodny?

- Nie jest - odburknął Tiro. - Drzemimy na zmianę z Forteksem. Nadal nie jestem pewien, czy Antoniusz mnie nie rozpoznał.

- On nawet na ciebie nie spojrział. Nikt nie dostrzega niewolników, chyba że są młodzi i piękni.

- A jednak każdej nocy obawiam się, że ktoś mnie udusi we śnie.

Pomyślałem o bezimiennym dla nas już na zawsze woźnicy, uduszonym w gorączce, ale nic nie powiedziałem.

- Co będzie jutro, Gordianusie?

- Nie wiem. Jeśli będę miał szczęście, zobaczę się z Metonem.

- I z Cezarem?

- Możliwe.

- Zabierz mnie z sobą.  
Zmarszczyłem brwi.

- Myślałem, że wybrałaś się w tę daleką podróż, by się spotkać z Pompejuszem, nie z Cezarem.

- I nie myliłaś się. Opuszczam Italię, Gordianusie. Zamierzam być na okręcie Pompejusza, kiedy wyruszy do Dyrrachium.

- Nic mi o tym nie mówiłaś.

- Nie musiałaś o tym wiedzieć. Ale zanim odjadę, jeśli nadarzy się okazja, miałbym ochotę zajrzeć do namiotu Gajusza Juliusza.

- Aby go zabić?

- Nie żartuj, Gordianusie. Chcę się tylko rozejrzeć. Nigdy nie wiadomo, kiedy może mi się to przydać.

- Chcesz, abym pomagał ci szpiegować Cezara?

- Jesteś mi winien przysługę, Gordianusie. Czy mógłbyś tak szybko dostać się tutaj z Rzymu, gdyby nie ja?

- A czy ty mógłbyś przeżyć ostatnie cztery dni, gdybym dla ciebie nie skłamał? Myślę, że jesteśmy kwita, Tironie.

- Niechże więc to będzie twoja przysługa dla mnie, a ja ci się odwdzięczę. Zamierzasz przecież przedostać się do Brundyzjum i odzyskać zięcia od Pompejusza?

- Jeśli to będzie możliwe, tak.

- Jaki więc masz plan? Jak chcesz to zrobić, mając z jednej strony armię Cezara, z drugiej Pompejusza?

- Nie mam pewności - przyznałem.

- Ja mogę cię tam przeprowadzić. Całego i zdrowego, pójdiesz ze mną i z Forteksem. Ale w zamian za to chcę ci towarzyszyć, kiedy odwiedzisz Metona... i Cezara.

Pokręciłem energicznie głową.

- To niemożliwe. Cezar może cię rozpoznać nawet łatwiej niż Antoniusz. Przecież on bywał i ucztował u Cycerona! Musiał cię widzieć wiele razy i to nie tylko w roli sekretarza stenografującego debaty w senacie.

- Widział mnie, ale nigdy tak naprawdę na mnie nie patrzył. Sam to powiedziałeś: nikt nie dostrzega niewolników.

- Cezar dostrzega wszystko. Ryzykujesz głowę, Tironie.

- Niekoniecznie. Jeśli mnie nawet rozpozna, to co? On wręcz pragnie, żeby ludzie sławili jego łaskawość.

- Łaskawość jest dla wodzów i senatorów, Tironie, nie dla wyzwolenców i szpiegów.

- Mimo to zaryzykuję. Jeśli ktokolwiek zapyta cię o mnie, powiesz, że jestem Soskarydesem, dawnym nauczycielem Metona.

- Tak? A co z samym Metonem? Od niego także oczekujesz kłamstwa?

- Zrób to dla mnie, Gordianusie! Jeśli chcesz się dostać do Brundyzjum, zanim twój zięć albo padnie trupem na murach, albo odpłynie na drugą stronę Adriatyku, wyświadczy mi tę przysługę.

- Prześlę się z tym - odparłem nagle znużony. Ziewnąłem potężnie, a kiedy znów otworzyłem oczy Tirona już nie było.

Wróciłem do namiotu i ległem na pryczy. Tym razem pomimo grozy wydarzeń dnia i moich zmartwień sen nadszedł błyskawicznie. Śniłem nie o

płomieniach i morskiej topieli, nie o górskich drogach i męczących marszach, ale o młodej Emilii, kochance Numeriusza. Widziałem ją z dzieckiem na ręku, uśmiechniętą i szczęśliwą. Poczulem wielką ulgę i chciałem podejść bliżej, żeby się przyjrzeć, ale potknąłem się o coś. Spojrzałem pod nogi i zobaczyłem trupa Numeriusza, który jakimś cudem był jednocześnie ciałem starego woźnicy. Na jego gardle zaciśnięta była garota. Dziecko Emilii gdzieś zniknęło; dziewczyna zadrżała i rozplakała się. Prząd jej sukni na wysokości podbrzusza nasiąknięty był krwią.

Obudziłem się nagle. Wysoko nad sobą zobaczyłem przekrwione oczy Marka Antoniusza.

- Już świta, Gordianusie! Czas, abym zameldował się u Cezara, a dla ciebie pora na spotkanie z synem. Idź do latryny, jeżeli musisz, a potem bierz swoich dwóch niewolników i ruszamy.

Zanim naprawdę wyruszyliśmy do głównego obozu, Antoniusz chciał jeszcze raz popatrzeć na blokadę kanału portowego ze szczytu wzgórza. Niebo nad nami pokrywały chmury, ale horyzont był czysty. Wschodzące słońce świeciło nam w oczy i rozpałiło wodę jaskrawym odbiciem, niełatwo więc było rozróżnić szczegóły, ale wyglądało na to, że spalony wrak usunięto przez noc. Ludzie krzatali się przy naprawie uszkodzeń, trwały też prace przy dalszej budowie przegrody.

- Witruwiusz też tam jest - powiedział Antoniusz. - Mówił mi wczoraj, że ma nadzieję dołożyć po jednej tratwie na obu końcach, by jeszcze bardziej zwięzić przejście. Okręty, którym udało się wpłynąć, będą miały trudniejsze zadanie przy opuszczaniu portu.

Zjechaliśmy potem na równinę. Antoniuszowi towarzyszyła grupa oficerów, ja miałem z sobą Tirona i Forteksa, dla których nawet znalazły się konie.

Obóz Cezara był jak miasto, zapewne ludniejsze od obleganego Brundyzjum, a na pewno bardziej uporządkowane ze swymi licznymi rzędami równiutko ustawionych namiotów. Część żołnierzy ustawiła się w kolejkach po poranne racje żywnościowe. Inni, już nakarmieni i wyekwipowani do bitwy maszerowali, by zająć stanowiska w okopach, na szańcach i przy machinach bojowych. Byłem zadziwiony szybkością, z jaką Cezar mógł przemieszczać tak ogromne siły i tyle sprzętu. Dziesięć dni temu równina pod Brundyzjum była pusta, teraz stała się domem dla trzydziestu sześciu tysięcy ludzi, z których każdy zdawał się wiedzieć dokładnie, gdzie ma w danej chwili być i co robić. Przed trzydziestoma dniami ani jeden z nich nie znajdował się bliżej niż o dwieście mil stąd, a Domicjusz wciąż trzymał Korfinium. Sześćdziesiąt dni wcześniej Cezar dopiero co przekroczył Rubikon. Skala i tempo operacji były oszałamiające. Wezbrała we mnie nagle litość dla Galów, którzy stanęli wobec takiej siły, i omal nie zapłakałem nad losem Pompejusza.

Minęliśmy posterunek wartowniczy, gdzie Antoniusz poręczył za mnie. Kiedy już zbliżaliśmy się do środkowej części obozu, zwolnił i zrównał się ze mną. Zauważyłem, że rzuca czujne spojrzenia na Tirona i Forteksa, jakby zobaczył ich po raz pierwszy.

- Jesteś pewien, Gordianusie, że możesz ręczyć za twoich niewolników?

- Oczywiście! - odparłem niemal bez wahania. - Dlaczego pytasz?  
- Właściwie bez powodu... Tylko że odkąd przekroczyliśmy Rubikon... a nawet jeszcze wcześniej, chodziły plotki o...

- O czym?

- O spisku na życie Cezara. Oczywiście to tylko wymysły.

Zimny dreszcz przebiegł mi przez plecy.

- Czy Cezar traktuje je poważnie?

- Cezar myśli, że jest nieśmiertelny! Ale ludzie są tylko z krwi i kości... - Antoniusz jęknął i jał masować sobie skronie. - Widzisz, chodzi o to, że za każdym razem, kiedy udzielam za ciebie poręczenia, odnosi się to również do twoich niewolników. Ty oczywiście jesteś poza wszelkim podejrzeniem, Gordianusie, to się samo przez się rozumie. Ale oni...

- Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za moją służbę, trybunie - powiedziałem, patrząc wprost przed siebie.

- Oczywiście. - Antoniusz klepnął mnie solidnie w plecy. - Nie chciałem cię urazić.

Ruszył naprzód, by dogonić swoich towarzyszy. Na Forteksa i Tirona już nawet nie spojrział.

Wziąłem głęboki powolny oddech dla uspokojenia nerwów, po czym spojrziałem z ukosa na Tirona. Miałem wrażenie, że nieco za mocno ściska wodze, ale jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Słyszał oczywiście całą rozmowę; Antoniusz ani myślał mówić cicho z ich powodu. Przyszła mi na myśl opowieść Bethesdy o niejakim Danielu w jaskini lwów, którą знаła od swego hebrajskiego ojca. Czy tak właśnie czuł się Tiro, wjeżdżając do obozu Cezara, prowadzony przez trybuna, który chętnie by go widział obdartego ze skóry? A jednak był tu, choć się bał. Zastanawiałem się, czy ja będę umiał znaleźć tyle odwagi w nadchodzącym czasie.

Dotarliśmy do dużego, zdobniejszego od innych namiotu, uszytego z czerwonego płótna haftowanego złotą nicią i udekorowanego proporcami. Przed wejściem czekali w kolejce gońcy na koniach. Kiedy znaleźliśmy się tuż przed nim, ze środka wysunął się żołnierz, rzucił polecenie pierwszemu z nich, który natychmiast odjechał. Jednocześnie przycwałował inny goniec, zeskoczył z siodła i wbiegł do namiotu.

- Poranny zwiad - wyjaśnił mi Antoniusz. - Nadchodzą informacje i meldunki, wychodzą rozkazy. W środku jest jak w ulu.

- Może powinienem zacząć na zewnątrz?

- Nonsens! Uważaj tylko, żeby cię nie stratowali. - Zsiadł z konia i podał mi rękę. - Niewolników zostaw tutaj.

Popatrzyłem na Tirona i wzruszyłem ramionami. Zrobiłem, co do mnie należało. Nie będzie jednak miał okazji obejrzeć sobie namiotu Cezara od środka. Nie doceniłem jednak jego uporów. Tiro zeskoczył na ziemię i zakrzyknął:

- Panie, proszę, pozwól mi iść z tobą!

- Słyszałeś, co powiedział trybun, Soskarydesie.

- Ale, panie, przecież przywiozłeś mnie tutaj specjalnie, aby sprawić niespodziankę Metonowi i zobaczyć jego minę. Jeśli porozmawiasz z nim sam i wypnie ci się, że przyjechałem z tobą, będzie po niespodziance. Im dłużej zaś będziesz zwlekał, tym gorzej, bo dzień zapowiada się



gorączkowy. Jeśli będzie bitwa, to nawet za godzinę może być za późno.

- Nauczyciel ma rację - wtrącił Antoniusz. - Kto szybko działa, działa najlepiej. Kto to powiedział, nauczycielu? - Rzucił Tironowi bystre spojrzenie.

- Eurypides.

- Jesteś pewien? - Antoniusz zmarszczył brwi. - Słyszałem kiedyś, jak Cycero wyrzekł te słowa na posiedzeniu senatu.

Tiro zrobił urażoną minę.

- Nie wątpię w to, panie. Eurypides był jednak pierwszy.

- Powiedziane jak przystało na prawdziwego nauczyciela! - Antoniusz się roześmiał. - Chyba jednak nie jesteś szpiegiem ani zabójcą. Zabierz go z sobą, Gordianusie. Niech Meto ma swoją niespodziankę.

- Tak, panie, proszę! - zawtórował Tiro.

- Mógłbyś też po prostu kazać go wychłostać za bezczelność - podsunął trybun, wcale przy tym nie żartując.

Zgromiłem Tirona wzrokiem i całkiem poważnie zastanowiłem się nad tą sugestią. Widziałem, jak gorączkowo szuka dobrego wyjścia z sytuacji.

- Data! - zakrzyknął nagle, a kiedy zaskoczeni patrzyliśmy nań pytająco, dokończył: - Dziś jest drugi dzień po idach, święto Libera!

Przypomniałem sobie sprzeczkę Cyclerona z żoną o dzień togi ich syna.

- Nie możesz obić niewolnika za śmiałą wypowiedź w święto Libera, panie! To część tradycji tych obchodów. - Tiro wyglądał teraz na wielce z siebie zadowolonego.

- To już liberalia? - jęknął Antoniusz. - Podczas kampanii wojennych zawsze tracę orientację w kalendarzu. My tu polegamy w tej mierze na augurach i kapłanach. No, ja wczoraj uczciłem boga winorośli na swój sposób, jestem też sercem za obnoszeniem po obozie solidnego fallusa i śpiewaniem wesołych piosenek, ale wątpię, abyśmy mieli na to czas. Niewolnik ma jednak rację, Gordianusie, powinienes mu pofolgować. Musimy zabiegać o łaski wszystkich bogów a więc i Dionizosa.

Tiro popatrzył na mnie z wyższością, co skwitowałem chłodną miną.

- No dobrze, Soskarydesie, pójdiesz ze mną. Forteksie, zostań przy koniach - wycedziłem.

W namiocie było rojno i gwarno. Posłańcy wchodzili i wychodzili, licznie zgromadzeni oficerowie prowadzili ożywione konwersacje, co przywodziło mi na myśl brzęczenie pszczoł. Porównanie Antoniusza było rzeczywiście trafne: nie była to szalona atmosfera mrowiska, w które ktoś wetknął kij, ale równomierny i celowy rytm pracy, jak w ulu. Większość obecnych była mniej więcej w jego wieku, czyli około trzydziestki. Kilku z nich rozpoznałem, choć na ogół widywałem ich w senatorskich togach. Zakuci teraz w zbroje wydawali mi się chłopcami o twarzach zarumienionych z podekscytowania. Pomyślałem o starym i niedołężnym senatorze Sekstusie Tediuzju, stojącym u boku Pompejusza; kontrast był niemal porażający.

W oko wpadła mi plama czerwieni. Poprzez tłum spostrzegłem łysą głowę, wyróżniającą się w otaczającym ją morzu czupryn. Otóż i królowa pszczoł! Cezarowi akurat nakładano pozłacany napierśnik, jeszcze bardziej wymyślnie zdobiony niż u Marka Antoniusza. Plamą była jego słynna czerwona peleryna, którą zwykł nosić do bitwy, aby zawsze dobrze widzieli

go i jego żołnierze, i wróg. Nawet w trakcie ubierania się Cezar słuchał jednocześnie trzech gońców. Jego głęboko osadzone oczy patrzyły prosto przed siebie. Od czasu do czasu kiwał głową, bezwiednie przeczesując palcami przerzedzone włosy na skroniach. Jego twarz wyrażała spokój, zdecydowanie i uwagę, a jednocześnie była wyniosła. Na wąskich wargach błąkał się cień uśmiechu.

Byłem od niego starszy o dziesięć lat i z przyzwyczajenia myślałem o nim z perspektywy jego dawnej reputacji w senacie jako arystokratycznego i przy tym radykalnego młodego wicherzyciela. Wicherzycielem był dalej, ale przekroczył już pięćdziesiątkę. Młodym, ambitnym i tryskającym energią oficerom musiał się wydawać ojcem, genialnym człowiekiem czynu, którego wszyscy usiłują naśladować, wodzem prowadzącym ich ku przyszłości. Czym mogą młodzieży zaimponować takie relikty jak Pompejusz czy Domicjusz? Wielkie podboje Pompejusza to już odległa przeszłość, a chwała Ahenobarbusa była z drugiej ręki, odziedziczona po martwym pokoleniu. Cezar zaś był ucieleśnieniem chwili. Ogień w jego oczach rozpałała boska iskierka przeznaczenia.

Rozejrzałem się wokoło. Tiro stał za mną, chłonąc wszystko, co widział, ale Antoniusz gdzieś zniknął. Po chwili spostrzegłem go w drugim końcu namiotu; wymieniał uściski z człowiekiem w prawie identycznej zbroi. Kiedy odsunęli się od siebie, poznałem w nim trybuna Kuriona. Obydwaj przyjaźnili się przez całe życie, a jak niektórzy twierdzą, było to coś więcej niż przyjaźń. Kiedy ich młodzieńcze przywiązanie zaczęło być tematem plotek, Cycero nakłonił ojca Kuriona do ich rozdzielenia, donosząc, że Antoniusz deprawuje mu syna. Od tej pory nie miał on wstępu do domu Kuriona, ale nie na wiele się to zdało... Zdołał wśliznąć się do sypialni chłopaka przez dach. Tak niosła gminna wieść, ale Antoniusz nigdy temu nie zaprzeczył. Teraz obaj byli doświadczonymi żołnierzami, a przed rokiem zostali wybrani na trybunów. Po wybuchu kryzysu uciekli z Rzymu, by dołączyć do Cezara, zanim jeszcze przekroczył Rubikon. Namiot wydawał się wypełniony ludźmi pełnymi energii i pasji, po młodzieńczemu przekonanymi o własnej niezwyciężoności. Czułem się przy nich stary i bardzo niepewny siebie.

Odwróciłem się, szukając wzrokiem wytęsknionej twarzy... i aż podskoczyłem. Przedemną stał Meto z miną wyrażającą absolutną konsternację. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że mój syn bynajmniej nie jest uszczęśliwiony tym spotkaniem.





## ROZDZIAŁ 18

- Tato, co ty tutaj robisz?

Jak większość obecnych, Meto wydawał mi się chłopcem, choć dobiegał już trzydziestki i na skroniach jaśniały mu pierwsze, przedwczesne pasma siwizny. Miał oczy uczonego, ale i ogorzałą twarz weterana niejednej kampanii. Blizna na policzku, pamiątka po jego pierwszej w życiu bitwie, stoczonej w wieku szesnastu lat u boku Katyliny, została niemal zatarta przez wiatry, deszcze i palące słońce Galii. Jak zawsze po dłuższym niewidzeniu szybko obrzuciłem go badawczym spojrzeniem i nie stwierdziwszy nowych blizn ani ubytków złożyłem w duchu dzięki Marsowi. Poczulem taki przyływ uczuć, że nie mogłem się odezwać i tylko wyciągnąłem ku niemu ręce. Przez chwilę się opierał, ale odwzajemnił mój uścisk, zadziwiając mnie przy tym swą siłą. Kiedy się odsunął, zobaczyłem na jego ustach smutny uśmiech.

- Co tu robisz? - powtórzył. - Podróż musiała ci zająć wiele dni, a niebezpieczeństwo...

- Przyjechałem tu po Dawusa - przerwałem mu.

- Po Dawusa?

- Jest z Pompejuszem. W każdym razie mam nadzieję, że jest tutaj, a nie za morzem w Dyrrachium... albo...

- Z Pompejuszem? Nie mów mi, że Dawus uciekł pod sztandary swego dawnego pana! My, byli niewolnicy, stanowczo jesteśmy zbyt sentymentalni. - W jego głosie zabrzmiała gorycz, której nigdy przedtem u niego nie słyszałem.

- Nie. Pompejusz zabrał go siłą.

- Jak to?

- Udowodnił, że ma do tego prawo. Chodziło o jakiś punkt w umowie o przeniesieniu własności i warunkach wyzwolenia Dawusa. I tak nie było sposobu, aby mu się przeciwstawić.

- Ale po co Pompejusz miałby porwać Dawusa?

- Trochę z czystej złośliwości, a trochę, aby mieć nade mną władzę.

Rysy Metona stężały.

- A co z resztą rodziny? Z Ekonem, Bethesdą i Dianą? Jak tam dzieci?

- Zostawiłem wszystkich w dobrym zdrowiu.

- Dzięki niech będą bogom. Czego on od ciebie chce?

Potoczyłem wzrokiem po zatłoczonym namiocie. Dobrze pamiętałem, że tuż za mną stoi Tiro i wyteża słuch, by nie uronić ani słóweczka z naszej rozmowy. Nie mogłem powiedzieć wszystkiego. Ściszyłem głos.

- W przeddzień wyjazdu Pompejusza z Rzymu jego krewniak został zamordowany... w moim domu.

- I on oskarża o to ciebie?

- Nie, nie! Ale obciążył mnie odpowiedzialnością i rozkazał wykryć mordercę. Powiedziałem, że nie mogę tego zrobić, chciałem odmówić. On jednak nie słuchał. Zabrał Dawusa, aby mnie zmusić do wykonania rozkazu.

- Biedna Diana! - szepnął Meto.  
- I dlatego właśnie przybyłem do Brundyzjum. Chcę odzyskać Dawusa, póki to jeszcze możliwe.  
- W jaki sposób?  
- Coś wymyślę. Ale co u ciebie, Metonie? Bardzo się o ciebie martwiłem. Meto nagle cofnął się o krok. Po raz pierwszy zwrócił uwagę na Tirona.  
- Czy ten człowiek jest z tobą, tato?  
- Tak.  
- To jeden z twoich niewolników? Nie znam go.  
- Pozwól, że ci wyjaśnię...  
- Zaraz... - Meto wpatrywał się intensywnie w Tirona. - Na Herkulesa, przecież to...

W tej chwili ktoś klepnął mnie w ramię, aż podskoczyłem. Miałem wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi. Był to Marek Antoniusz.

- O, tutaj są! Ojciec i syn szepczą i spiskują ze sobą!

Zamrugąłem. Obok Antoniusza zobaczyłem plamę złota i purpury, a nad nią pogodne oblicze Juliusza Cezara.

- Witaj, Gordianusie! Kiedy to ostatni raz się widzieliśmy? Chyba w Rawennie, co? Prowadziłeś śledztwo w sprawie zamordowania naszego przyjaciela Publiusza Klodiusza. O ile pamiętam, zlecił ci to Pompejusz.

Cezar zawsze mnie pamiętał, co mnie nieodmiennie dziwiło, ponieważ znał mnie tylko jako ojca Metona i nigdy nie przeprowadziliśmy żadnej ważnej rozmowy. Meto mi mówił, że doskonała pamięć do twarzy i nazwisk jest istotną częścią jego uroku. Cezar potrafi ponoć zamienić kilka słów z szeregowym żołnierzem w ogniu bitwy, a potem, po latach, powitać go imieniem i zapytać o nowinki z jego rodzinnego miasta.

- Witaj, imperatorze\* - odpowiedziałem, pochylając z szacunkiem głowę.

- A ten niewolnik jest dawnym nauczycielem Metona - wtrącił Antoniusz.

Meto uniósł brwi, ale się nie odezwał. Cezar spojrzał ponad moim ramieniem na Tirona. Na jego twarzy nie dostrzegłem żadnej zmiany, a po chwili nasze oczy znów się spotkały. Tym razem on uniósł brwi.

- Mam nadzieję, że już nie pracujesz dla Pompejusza, Gordianusie. Antoniusz powiedział mi, że w podróży posługiwałeś się paszportem kuriera podpisanym przez samego Wielkiego.

W namiocie nagle jakby zrobiło się duszno. Wziąłem głęboki oddech.

- Ten dokument trafił do mnie przez Cyncerona, a nie bezpośrednio od Pompejusza. Mimo pozorów, imperatorze, zapewniam cię, że nie jestem z nim w przyjaznych stosunkach.

Cezar błysnął łobuzerskim uśmiechem.

- To samo mógłbym w tej chwili powiedzieć o moich własnych z nim powiązaniach. Jesteś nieustraszony, Gordianusie, skoro wybrałaś się w taką podróż, i dobry z ciebie ojciec, jeśli zrobiłeś to, aby sprawdzić, co się dzieje z Metonem. Zapewniam cię jednak, że dobrze się nim opiekuję. Jest mi tak drogi, jak tobie. Radzę ci teraz wrócić do obozu na wzgórzu, gdzie spędziłeś ostatnią noc. Będiesz tam bezpieczny i możesz obserwować rozwój

---

\* To słowo, później oznaczające cesarza, pierwotnie używane było na określenie wodza, (od *imperare* - rozkazywać, rządzić)

wydarzeń. Dzisiejszy dzień zapowiada się interesująco. Zwracaj szczególną uwagę na dachy w mieście.

- Na dachy?

- Obywatele Brundyzjum są źli na Pompejusza za to, w jaki sposób ich traktują jego żołnierze. On nigdy nie potrafił utrzymać właściwej dyscypliny. Rezultat zaś jest taki, że mieszkańcy miasta skwapliwie zgodzili się powiadomić nas, kiedy rozpocznie się odwrót. Nadadzą sygnały z dachów. Wtedy właśnie uderzymy. Nie ma trudniejszej operacji od wycofywania się z obleżonego miasta, nawet drogą morską. Chwila, kiedy Pompejusz odwróci się do nas plecami, by umknąć, będzie chwilą jego największej słabości. Jeśli bogowie pozwolą, już mi się nie wyśliznie.

Skinałem głową, czując, jak kropla potu spływa mi po plecach. Niemal fizycznie czułem za sobą obecność Tirona, chłonnącego każde wypowiedane słowo. W swoim entuzjazmie Cezar z własnej woli zdradzał mi swoje sekrety, okazując mi pełne zaufanie, podczas gdy wprowadzony przeze mnie do jego namiotu szpieg stał tak blisko, że mógłby go dotknąć. Poczulem zawrót głowy, jak wtedy, pod koniec marszu w dół stoku Apeninów, kiedy zemdlałem u stóp Antoniusza.

- Dobrze się czujesz, Gordianusie? Odpocznij sobie z dzień czy dwa. Dla mnie jednak nie ma odpoczynku! Sygnał do ataku może nadejść lada moment. Idziemy, Antoniuszu. Metonie, zabierz rylec i tabliczki.

Odchrząknąłem i powiedziałem:

- Może pozwolisz, imperatorze, mojemu synowi zostać ze mną jeszcze przez chwilę. Odbyłem daleką podróż, żeby się z nim spotkać. Nawet nie porozmawialiśmy...

- Nie dzisiaj, Gordianusie. - Cezar uśmiechnął się do Metona i objął go ramieniem, a potem pieszczotliwie pociągnął go za ucho. Zdawało mi się, że chłopak zeszywniał pod jego dotknięciem, ale Cezar jakby tego nie zauważył. - Dzisiaj twój syn należy do mnie, przez każdą godzinę i minutę. Będzie mi okiem i uchem, świadkiem i pamięcią. Musi wszystko widzieć, słyszeć i zapisać. Na rozmowy będzie czas później. Idziemy, Metonie.

Namiot zaczął raptownie pustoszeć, jakby rój wylatywał z ula. Meto podążył za Cezarem, po czym przystanął, obejrzał się przez ramię na Tirona, a później na mnie.

- Tato, co tu się dzieje?

- Chciałem zapytać cię o to samo - odrzekłem.

- Metonie! - upomniał go Antoniusz.

Mój syn rzucił mi jeszcze jedno nieodgadnione spojrzenie i wyszedł za innymi. Zaprzagnąłem przytulić go raz jeszcze, ale było już za późno.

- Spodziewam się, że jesteś z siebie wielce zadowolony - burknąłem do Tirona.

We trójkę z Forteksem już po raz drugi objeżdżaliśmy obóz. Tiro zamienił się we wzrok i słuch, notując w pamięci najdrobniejsze szczegóły. Kiedy wychodziłem z namiotu Cezara, jeden z jego adiutantów wcisnął mi do ręki okrągłą miedzianą płytkę z wizerunkiem Wenus i wyjaśnił, że posłuży mi jako przepustka oznaczająca, iż jestem gościem samego wodza i wolno mi się swobodnie poruszać po wszystkich zakątkach obozu, pod warunkiem że

nie będą nikomu wchodził w drogę. Upoważniała mnie nawet do posiłków w namiocie-jadalni.

Gdyby to ode mnie zależało, spędziłbym w obozie tylko tyle czasu, ile by trzeba na jego opuszczenie. Zależało mi na jak najszybszym przedostaniu się za mury Brundyjzjum. Kiedy Pompejusz zacznie się wycofywać na statki i nastąpi szturm sił Cezara, rozpęta się absolutny chaos i wszelkie nadzieje na odszukanie Dawusa rozpląną się w nicość. Chciałem poznać plan Tirona, ale on upierał się przy pełnym wykorzystaniu gościnności naszego gospodarza.

- Ty podróżowałaś z paszportem Pompejusza, to pozwól mi pokręcić się tu z przepustką Cezara - rzekł ze złośliwym uśmiechem.

- Tironie, musimy jak najrychlej znaleźć się w mieście.

- Pofolguj mi, panie. W końcu to dzisiaj liberalia!

- Najchętniej bym ci pofolgował, sadzając cię na jednym z tych kamiennych fallusów obnoszonych przez kapłanów Dionizosa.

Forteks o mało się nie zachłysnął na ten koncept, Tiro zaś niemal kwiczał ze śmiechu. Był w świetnym nastroju, jakby nieźle sobie podpił. Nic dziwnego: maskarada udała mu się wyśmienicie, prześliznął się bez szwanku przez sieci Antoniusza, dostał się do namiotu Cezara i zeń wydostał, zdobywając cenne informacje z ust samego imperatora, a teraz chłonał wszystkie sekrety jego obozu z liczebnością i dyslokacją oddziałów i machin bojowych na czele.

Chmury od świtu zasnuwające niebo gdzieś się ulotniły, zaczęła się za to bryza lądowa: idealny ranek na żeglowanie. Okręty Pompejusza rzeczywiście w każdej chwili mogą ruszyć w morze. Zapewne trwa teraz ich załadunek, pomyślałem.

- Na co mogą się przydać te wszystkie informacje, które tak pilnie zbierasz, Tironie, skoro spóźnimy się do Brundyjzjum? Pompejusz może odpłynąć bez ciebie... albo też wpaść w pułapkę, jeśli mu ich nie dostarczysz.

- Masz rację, Gordianusie, musimy się pospieszyć. Najpierw jednak muszę uciszyć mój brzuch, który burczy już niemiłosiernie. Kto wie, do jak mizernych porcji muszą się ograniczać jego oddziały? Sugeruję, abyśmy najedli się na zapas na koszt Cezara.

- No, to gdzie jest jadalnia? - mruknąłem tylko w odpowiedzi.

- Trzy namioty na wprost i dwa w lewo. - Tiro zdążył wbić sobie w pamięć rozkład obozu.

Podano nam dymiące miski polewki z prosa, osłodzonej łyżką miodu. Znalazłem w swojej nawet kilka rodzynków. Forteks narzekał jednak na brak mięsa.

- Meto mi mówił, że żołnierz najlepiej się bije z samym zbożem w brzuchu - odparłem. - Od nadmiernej ilości mięsa człowiek pęcznieje i staje się powolny, a jelita ma pełne błota. Kiedyś w Galii legionom Cezara skończyło się ziarno i przez wiele dni mieli do dyspozycji jedynie zarekwirowane tubylcom bydło. Omal nie doszło wtedy do buntu! Żołnierze domagali się swojej polewki.

- Twój syn musi być niezwykłym człowiekiem - zauważył Tiro.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Urodził się niewolnikiem, prawda?

- Tak jak i ty, Tironie.

- Owszem, ale ja zostałem od dziecka wykształcony i przygotowany do roli towarzysza Cycerona. Wiodłem życie skryby. W takim fachu niewolnik może się wykazać talentem i zdobyć lepszą pozycję. Meto jednak należał do Marka Krassusa, a to nie był dobry pan. Mógł sobie być najbogatszym człowiekiem na świecie, ale nigdy nie znał prawdziwej wartości posiadanych rzeczy.

- Meto nie należał nawet do jego domostwa - odrzekłem. - Był chłopcem na posyłki w jednej z jego willi na wybrzeżu, w Bajach. Tam właśnie go poznałem. Było to podczas rewolty Spartakusa. Prowadziłem śledztwo w sprawie morderstwa, rzekomo popełnionego przez zbiegłych niewolników. Krassus zamierzał w odwecie uśmiercić całą tamtejszą służbę, w tym i Metona. Wyobrażasz sobie? Niewinne dziecko wydane na śmierć na arenie!

- Rzymskie prawo bywa twarde - zgodził się Tiro.

- Krassusowi nie bardzo się podobało, że sprawy przyjęły taki obrót. Kiedy już było po wszystkim, odesłał chłopca do posiadłości na Sycylii. Wiesz, co Meto robił, kiedy go w końcu odnalazłem? Był strachem na wróble. Coś strasznego. Spędzał nie kończące się dni pod gołym niebem, w palącym słońcu lub w deszczu i chłodzie, wystawiony na ukąszenia owadów, walczący z nieustannie powracającymi ptakami i bity przez nadzorcę, jeśli nie dawał sobie z nimi rady. Przez długie lata miał potem senne koszmary, a może miewa je do dziś.

- Myślę, że zdążył zaznać dosyć grozy jako żołnierz, by tamte zmory wyparły nowe - powiedział Tiro. - Co go skłoniło do wyboru takiej profesji?

- Nie co, lecz kto. Katylina. - Zobaczyłem, że Tiro marszczy z niesmakiem nos na wzmiankę o tym radykale, wrogu Cycerona. - Kiedy miał szesnaście lat, zakochał się w nim, a raczej w jego ideach, i uciekł z domu, by walczyć pod jego sztandarem. I ja tam byłem, kiedy bitwa pod Pistorią położyła kres marzeniom Katyliny. My dwaj przeżyliśmy z łaski bogów. Smak tamtej bitwy aż nadto zaspokoił moją ciekawość wojny i rzezi, jeśli w ogóle ją żywiłem, ale Meto chciał więcej. Szukał innego wodza i innych bitew. Musiało to mieć związek z jego niewolniczym pochodzeniem, jak sądzę. Wyzwoliłem go i usynowiłem, i nigdy nie traktowałem gorzej niż rodzzonego dziecka. On jednak nie czuł się w pełni moim synem, nie miał pewności, że ma swoje miejsce w naszym domu. W noc poprzedzającą jego dzień togi... - Urwałem, zdziwiony własną szczerością. Chyba to atmosfera wojskowego obozu przed bitwą potrafi tak rozwiązywać ludziom języki. - Miał wtedy koszmarne sen, ten o ptactwie atakującym go na polu. Zapewniałem go, że to ma już za sobą. On to wiedział, ale nie czuł. To, że stał się moim synem i pełnoprawnym obywatelem, było dla niego czymś nierzeczywistym. W głębi serca pozostał zastraszoną, bezsilnym chłopcem-niewolnikiem. Dopiero kiedy wyruszył do Galii i zyskał łaskę Cezara, zaczął odrywać się od swoich korzeni. Znalazł swoje miejsce na świecie i wodza, którego szukał, a mimo to... - Znów urwałem, zakazując sobie dalszego wywodu. - Nie udaję, że go rozumiem, Tironie. Nie do końca jestem jednak jego ojcem, zupełnie jak gdyby wyrósł z mego własnego nasienia.

- Bardzo go kochasz - rzekł Tiro cichym głosem.

- Ponad wszystko inne. Może nawet za bardzo.







## ROZDZIAŁ 19

- Nie umiem pływać - powiedziałem.

Po jedzeniu wróciliśmy na nasze wzgórze obserwacyjne na północ od Brundyzjum. Nie zsiadając z koni, wpatrywaliśmy się w roztaczającą się przed nami równinę, miasto i port. Widok niewiele się zmienił od wczoraj; w porcie było dziś tłoczno od zacumowanych okrętów, a przesmyk między dwoma ramionami blokady Witruwiusza zrobił się jeszcze ciaśniejszy po pospiesznym zakotwiczeniu dwóch dodatkowych tratw. Tiro stwierdził, że chce raz jeszcze dobrze się przyjrzeć topografii terenu i dyslokacji wojsk Cezara, ale zaczynałem podejrzewać, że po prostu nie ma pojęcia, co robić dalej, i szuka sposobu przedostania się do miasta.

Nie dysponując Dedalowymi skrzydłami, mieliśmy do wyboru tylko dwie drogi: lądem lub wodą. Przejście lądem wymagałoby przedarcia się przez pierwszą linię silnie obsadzonych fortyfikacji Cezara, pokonania ziemi niczyjej między nimi a murami miasta, a potem samych murów. Niemożliwe, byśmy mogli to zrobić potajemnie. Na długo przed dotarciem do przedpoła okopów zostalibyśmy zatrzymani przez oblegających albo od razu zabici jako podejrzani o próbę przejścia na stronę wroga. Nawet gdyby udało się nam wymknąć, obrońcy mogliby powitać nas strzałami, zanim zdołalibyśmy się wytłumaczyć z naszych zamiarów. Gdyby i w tej mierze się nam powiodło, trudno byłoby oczekiwać, że otworzą nam bramę czy opuszczą drabinę, skoro tuż za nami mogliby się wdrzeć atakujący.

Pozostawała więc droga wodna. Mur Brundyzjum od strony portu jest krótszy i słabiej broniony niż ten od strony równiny, ale i tak nie mniej niedostępny dla ludzi bez skrzydeł. Na zewnątrz muru brzegiem kanału biegła droga łącząca miasto z portem usytuowanym na końcu półwyspu, była jednak naszpikowana zaostrzonymi palami i żelaznymi wieloramiennymi szpikulcami w celu uniemożliwienia przejścia i odstraszenia nawet małych łodzi od przybicia do brzegu. Było tylko jedno miejsce, gdzie można by próbować wejść do miasta: sam port. Bramy prowadziły tam na szerokie drewniane nabrzeże z wystającymi na wodę pirsami i były teraz otwarte, a na nabrzeżu panował ożywiony ruch, choć nie zauważyłem oznak świadczących o rychłym odcumowaniu okrętów.

- I co ty na to, Gordianusie? - mruknął Tiro, zapatrzony w miejskie fortyfikacje.

- Powiedziałem już, że nie umiem pływać. Zawsze byłem mieszczuchem, urodziłem się i wychowałem w Rzymie.

Tiro zamrugał, jakby nie rozumiejąc.

- Przecież ludzie płyną w Tybrze. W każdym razie powyżej ujścia *cloaca maxima*.

- Akurat. Ludzie taplają się w Tybrze, płyną na deskach, a gdy lato jest suche, brodzą po płycznach. To nie to samo, co płynąć przez port morski w deszczu strzał z łuku.

- A kto mówi o pływaniu przez port? Widzisz te małe chatki rybackie po

naszej stronie kanału?

Skinałem głową.

Chatynek było niewiele, a odległości między nimi spore. Poprzedniego dnia nawet ich nie zauważyłem w wieczornym świetle, zajęty bitwą u wejścia do portu.

- Wyglądają na opuszczone - rzekł Tiro. - Nie ma tam żadnych znaków życia. Wszyscy rybacy przenieśli się za mury, ale zostawili swoje łodzie. To tylko małe łupinki, nieprzydatne Cezarowi, dlatego nikt ich nie ruszał i stoją sobie wyciągnięte na piasek. Widzę ich stąd pięć czy sześć, mamy więc wybór. Ja myślę o tej z białym żaglem, bo mniej się rzuca w oczy niż na przykład ta z pomarańczowym.

- Znasz się na żeglowaniu takimi łódkami?

- Nie masz pojęcia, Gordianusie, na ilu rzeczach się znam.

- Powiedzmy zatem, że uda się nam dopłynąć do portu. Co dalej?

- Skierujemy się wprost do nabrzeża. Kanał nie może być szerszy niż ćwierć mili.

- A jeśli prąd będzie przeciwny albo zaczną nas ścigać ludzie Cezara?

- Wtedy Forteks będzie musiał mocniej wiosłować.

Niewolnik potarł brodę, a Tiro dodał:

- A ty może będziesz musiał pływać.

Perspektywa wydała mi się mało zachęcająca.

Byliśmy już w połowie zbocza, pozwalając koniom wybierać drogę przez jeżynowe zarośla, kiedy z tyłu dobiegł nas czyjś głos.

- Nie możecie tam jechać! Nie wolno!

Był to centurion dowodzący wartą na wzgórzu.

Tiro odwrócił się i pomachał mu przyjaźnie. Przyłożył dłoń do ucha, uśmiechnął się głupawo i wzruszył ramionami, jakby mówiąc, że nie może zrozumieć.

- Jedźcie dalej - szepnął do nas. - Patrzcie prosto przed siebie i nie zwracajcie na niego uwagi. Kierujcie się do łódki. Szybciej!

Spięliśmy konie, zmuszając je do szybszego biegu, i po chwili dotarliśmy do wąskiej plaży. Za sobą usłyszałem szybki tętent.

- Ilu? - spytał Tiro, nie oglądając się.

Forteks dyskretnie zerknął za siebie.

- Tylko jeden.

- To dobrze. Uważa nas zatem za niegroźnych. Nie będziemy wprowadzać go z błędu najdłużej, jak się da.

Minawszy chatę, zsiadliśmy z koni. Centurion szybko się do nas zbliżał. Przysunąłem się do Tirona i spytałem:

- Co zamierzasz z nim zrobić?

- A jak myślisz?

- Nie można tego inaczej rozegrać?

- Zawarliśmy układ, Gordianusie. Ty zabrałeś mnie do namiotu Cezara, a ja mam cię przerzucić do Brundyjzjum. No to idziesz z nami, czy nie? Jest wojna. Myślałeś, że obejdzie się bez rozlewu krwi? Ciesz się, że to nie twoja krew, i już.

- To morderstwo, Tironie. Takie samo, jak tego starego woźnicy.

- Morderstwo to termin prawniczy, Gordianusie. Nie ma zastosowania do niewolników ani na wojnie.

- Nie możemy go po prostu ogłuszyć? Zaciągnąć do chaty?

Tiro się skrzywił.

- Te greckie historie, których się naczytałeś w zajeździe w górach, zaćmiły ci umysł. Cudowne ocalenia i szczęśliwe zakończenia! Tu jest świat realny, Gordianusie. Jest tylko jeden pewny sposób na pozbycie się tego człowieka i Forteks go zna. Jest do tego wyszkolony. A teraz się uśmiechnij, mamy towarzystwo.

Centurion dojechał do nas i zeskoczył z siodła. Podszedł bliżej rażnym, sprężystym krokiem. Krótka i szybka jazda wyraźnie go rozradowała; minę miał lekko wzgardliwą, ale nie wrogą. Byłem w końcu tylko nieświadomym cywilem, zbłąkaną owcą, a nie wilkiem.

- Cywilom nie wolno przebywać na brzegu - oznajmił, zwracając się tylko do mnie i ignorując pozostałych dwóch.

Podniosłem mu do oczu miedziany krążek z Wenus.

- Przecież Cezar osobiście dał mi...

- Imperator wydał wyraźny rozkaz: żadnych wyjątków! - podniósł głos, sądząc zapewne, że jestem przygłuchy.

- Ja tylko... chciałem się przyjrzeć tej rybackiej chacie.

Centurion pokręcił głową z uśmiezkiem. Byłem dla niego zapewne jak zdziecinniały dziadunio, któremu trzeba pobłażać, ale tylko do pewnych granic. Nie zwracał uwagi na Forteksa, który z wolna zachodził go od tyłu. Szumiało mi w uszach. Za kilka sekund będzie po wszystkim. Młody żołnierz, zarumieniony i uśmiechnięty, zostanie pochwycony w żelazny uścisk, błysnie stal, tryśnie krew, jego oczy otworzą się szeroko w szoku, a potem przestaną widzieć. Żywy człowiek stanie się trupem, a ja będę na to patrzył z bliska. Ponad ramieniem centuriona widziałem Forteksa tylko częściowo, ale po jego ruchach domyśliłem się, że wyciąga już sztylet z pochwy. Tiro stał z boku, grając rolę starzejącego się, posłusznego niewolnika i wstrzymując oddech w oczekiwaniu.

Sięgnąłem do ramienia żołnierza i przyciągnąłem go do siebie. Forteks, niepewny moich zamiarów, zatrzymał się w pół kroku.

- Masz dziadka? - spytałem.

- Dwóch - odrzekł zdziwiony centurion.

- Tak myślałem. - Poprowadziłem go ku chacie, oddalając się od łódki i od Forteksa. - A czy któryś z nich nie jest przypadkiem nieco głuchawy? A może trochę już słaby na umyśle?

- Obaj, w samej rzeczy. - Centurion się uśmiechnął na wspomnienie rodziny.

Skinąłem głową.

- Widzisz, młody człowieku, ja nie jestem jeszcze ani głuchy, ani zdziecinniały. Słyszę cię doskonale, a wzrok też mam dobry. Zjechałem tu ze wzgórza, ponieważ zobaczyłem, jak ktoś wchodzi do tej chaty.

Zmarszczył brwi i spojrzał w tamtą stronę. Chałupka była byle jak zbita z desek, pokryta strzechą, a cienkie drzwi wisiały krzywo na zawiasach.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie. Widziałem człowieka w łachmanach, krył się na plaży, w

ogóle podejrzanie się zachowywał. Po jakimś czasie wszedł do chaty, pomyślałem więc, że zjadę na dół i sprawdzę, co robi.

- Powinieneś mnie od razu zawiadomić! - Centurion przewrócił z irytacją oczami.

- Wiem, jak musisz być zajęty. Nie wydawało mi się konieczne zawracać ci głowę taką drobnostką. To pewnie właściciel tej chatki, który przyszedł coś z niej zabrać.

- Prędejj jakiś rabuś! - Żołnierz dobył miecza, podszedł do drzwi i szarpnął je z taką siłą, że górny zawias pękł. - Hej ty tam! Wyłaż z chaty!

Zajrzał do mrocznego wnętrza. Wyciągnąłem sztylet i zbliżyłem się do niego. Jedną ręką pchnąłem mu hełm do przodu, tak że opadł mu na oczy, drugą zadałem cios, uderzając głownią sztyletu w nasadę czaszki. Upadł mi do stóp jak rzucony worek. Schowałem broń i krzyknąłem:

- Forteksie, rusz no się! Wciągnij go w ką, tylko nie waż się go zabijać!

Wyszedłem przed chatę i spojrzałem na wzgórze.

- Nie sędzę, aby ktokolwiek zauważył to zajście - powiedziałem do Tirona. - Chata mnie zasłoniła, a poza tym wszyscy są zajęci obserwacją miasta i wejścia do portu. Udało mi się zyskać trochę czasu, ale niedługo zaczną go szukać albo zwrócą uwagę na nasze konie na plaży. Na co czekasz? Ściągajmy łódź na wodę i w drogę!

Tiro wyglądał na zawstydzzonego.

- Gordianusie, ja...

- Powinieneś czytywać więcej greckich historii, Tironie, a mniej tej mdłej poezji fabrykowanej przez Cycerona.

Po paru chwilach byliśmy już w łodzi i odbiliśmy od brzegu. Tiro rozwinął biały żagiel, Forteks wiosłował co sił, a ja usiadłem na dziobie, drżąc z zimna. Przy wsiadaniu zamoczyłem stopy, przekonując się, że woda jest lodowata. Nie spuszczałem oka z plaży. Po jakimś czasie z chaty wynurzył się nasz centurion, w oszołomieniu trąc bolący kark. Pomachałem do niego i uśmiechnąłem się równie pobłażliwie, jak niedawno on do mnie. Potrząsnął pięścią nad głową i krzyknął coś, czego nie zrozumiałem. Forteks się roześmiał.

- Chciałbym móc mu poderznąć gardło - powiedział ze śmiechem. - Jeszcze nigdy nie zabiłem centuriona. Może następnym razem...

Wiatr i prąd nam sprzyjały, łódź żwawo sunęła więc po gładkiej toni. Plaża z wolna malała za nami, za to mur miasta jakby wyrastał coraz wyżej. Nasz kurs był nieco nierówny; jednak nie był takim świetnym żeglarzem, za jakiego się podawał. Jednakże mimo zakreślanych przez łódź zygzaków udawało się nam płynąć w kierunku portu. Wszystko szło nam wręcz absurdalnie łatwo, zważywszy na to, jak beznadziejne wydawało mi się wczoraj zadanie przeniknięcia do Brundyjzjum.

Druga łódź dopadła nas tak szybko, jakby nagle zmaterializowała się z powietrza. Tiro zajęty był niesformym żaglem, Forteks wiosłował silnymi, równymi pociągnięciami. Pierwszy zauważyłem ścigających, ale dopiero wtedy, kiedy byli już niemal o strzał z łuku od nas. Płynęli długą, wąską łodzią, większą od naszej; było ich czterech: dwaj wiosłarze i dwaj łucznicy, którzy mieli już strzały na cięciwach i celowali prosto w nas. Rozejrzałem się, by zobaczyć, skąd nadpłynęli. Po drugiej strofie kanału, naprzeciwko

wejścia do portu ujrzałem pas płaskiego brzegu, na którym zebrał się spory oddział żołnierzy. Stało tam kilka innych łodzi, a jedna z nich już odbijała, by przyłączyć się do pościgu. Trąciłem Tirona w bok i wskazałem na nowe niebezpieczeństwo. W tej samej chwili, kiedy odwrócił się, by spojrzeć w tamtą stronę, jeden z łuczników wypuścił strzałę. Obaj się skuliliśmy, ale strzała upadła w wodę daleko od nas. Był to jednak tylko próbny strzał, dla oceny odległości i siły wiatru. Druga strzała spadła już znacznie bliżej, a odległość między nami coraz bardziej malała.

- Na Herkulesa, Tironie, nie możesz płynąć prosto? - krzyknąłem. - Przez te zygzaki złapią nas, zanim dotrzemy do nabrzeża!

Tiro nie odpowiedział, tylko przewrotnie, jak mi się wydawało, skierował łódkę ku murowi miejskiemu, zamiast podążać pod bardziej ostrym kątem w stronę portu. Ścigający byli coraz bliżej. Usłyszałem nagle jakby bzyknięcie szerszenia i zrobiłem gwałtowny unik. Strzała śmignęła mi nad głową i utkwiała w napiętym żaglu. Byliśmy teraz na ich łasce, niezdolni do obrony. Popatrzyłem na zimną, odpychającą powierzchnię wody; przygotowując się na nieuniknioną chwilę, kiedy przyjdzie nam skoczyć z łodzi w toń, i zacząłem się zastanawiać, czy śmierć przez utonięcie jest lepsza od podziurawienia przez wrogie pociski.

Nagle gdzieś nad nami usłyszałem krzyki. Poderwałem głowę i zobaczyłem żołnierzy obsadzających parapet muru obronnego. Zrozumiałem teraz strategię Tirona, który błyskawicznie oceniwszy sytuację, skierował się w tę stronę, by wciągnąć naszych prześladowców w zasięg łuków obrońców miasta. Już to, że ścigali nas ludzie Cezara, wystarczyło, aby żołnierze Pompejusza przyszedli nam z pomocą. Deszcz strzał z szumem przypominającym stada sępów zrywających się do lotu pofrunął z muru ku wrogim łodziom, choć niektóre upadły znacznie bliżej nas niż tamtych. Powierzchnia wody zagotowała się dziesiątkami małych gejzerów; ani jedna strzała nie trafiła w cel, ale argument widać był trafny, przekonał bowiem ludzi Cezara do zaniechania dalszego pościgu. Tiro skręcił teraz wzdłuż muru ku nabrzeżu. Prześladowcy zrobili to samo; śledzili nas, nie zmniejszając dystansu i usiłując z wolna zbliżyć się na odległość skutecznego strzału, tak by nie narażać się na zmasowany atak z góry. Przywarłem do dna łodzi, starając się nie tylko chronić przed strzałami, ale i zrobić miejsce Tironowi, który szarpał się z opornym płótniskiem żagla. Usłyszałem czyjś krzyk z daleka. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że jeden z łuczników Cezara został trafiony w ramię, stracił równowagę i wypadł do wody. Miałem nadzieję, że jego koledzy porzucą pościg i ruszą mu z pomocą, ale zostawili akcję ratunkową drugiej łodzi. Port był coraz bliżej. Na nabrzeżu zebrał się tłum gapiów, wykrzykujących niczym widzowie na wyścigach. Leżałem na plecach, spoglądając na mury, gdzie oddział łuczników biegł truchcikiem, by dotrzymać nam kroku. Co chwila któryś z nich przystawał, celował i wypuszczał kolejną strzałę, śmiejąc się przy tym i pohukując wesoło. Nie groziło im żadne niebezpieczeństwo i cała potyczka była dla nich tylko miłą rozrywką, przerywnikiem w nudzie strażowania na stanowiskach. Zupełnie inaczej ja to odbierałem tu, na dole, patrząc na śmigające mi tuż nad głową kąśliwe pociski. Bzyknięcie, a tuż po nim trzask pękającego drewna... i coś

połaskotało mnie w nos. Strzała przebiła burtę naszej łódki, a grot zatrzymał się tuż przy mojej twarzy.

Nagle poczułem wstrząs. Łódka raptownie zwolniła biegu i skręciła w prawo. Pierwszą moją myślą było, że Tiro został trafiony i puścił żagiel luzno, ale rzut oka w jego kierunku upewnił mnie, że wciąż siedzi tuż nade mną cały i zdrowy. A potem ujrzałem Forteksa. Wciąż ścisnął kurczowo wiosła, aż mu kłykcie białeły, ale nie wiosłował. Oczy miał otwarte, a usta mu drżały, jakby chciał coś powiedzieć, ale wydobyła się z nich jedynie krwawa piana. Strzała przebiła mu krtań na wylot: z przodu wystawał zakrwawiony grot, z tyłu pierzasty bełt.

Tiro, gorączkowo zmagający się z żaglem, nie widział, co się stało.

- Wiosłuj, Forteksie! - krzyknął. - Wiosłuj, gamoniu!

Wiosła zanurzone piórami w wodzie i znieruchomiałe w uścisku Forteksa działały jak stery, powodując obrót łódki i zejście z kursu. Tiro zaklął, a w chwilę potem łódka uderzyła w coś z impetem, od którego aż zadzwoniły mi zęby, on zaś zachwiał się i wypadł za burtę. Woda chlusnęła mi w oczy i zalała nozdrza. Usłyszałem wiwaty i zrozumiałem, że uderzyliśmy w nabrzeże. Zamrugalem kilkakrotnie i wyjrzałem ponad burtą. Nasi prześladowcy ścigali nas do końca, a teraz zawrócili żegnani podwójną salwą strzał; do łuczników na murze dołączyli ich koledzy z nabrzeża.

W ten sposób bez szwanku dotarłem do portu w Brundyzjum.





## ROZDZIAŁ 20

Każdy ze zgromadzonych gapiów miał swoje zdanie.

- On chyba umrze, jak mu wyciągniesz tę strzałę.

- Umrze na pewno, jak tego nie zrobisz!

- A jesteś pewien, że on jeszcze żyje?

Forteks leżał na wznak na deskach nabrzeża z otwartymi, nieruchomymi oczami i brodą posklejaną w strąki przez krzepnącą krew, ze sztywno napiętymi mięśniami. Palce miał zaciśnięte w pięści; musiałem dobrze się namęczyć, żeby oderwać je od wiosel, a jeszcze bardziej, by dźwignąć go z łodzi na nabrzeże. I moja, i jego tunika były z przodu czerwone od krwi. Stałem nad nim, nie mogąc oderwać od niego oczu. Obok mnie Tiro drżał z zimna, cały przemoczony.

- I co o tym myślisz, Gordianusie?

- To twój człowiek, Tironie.

Byliśmy już na terenie Pompejusza i nie widziałem powodu, by kontynuować grę w pana i niewolnika.

- Postąpilibyśmy litościwie, skracając jego mękę - szepnął Tiro, szcękając zębami.

Forteks ani drgnął, a jego szeroko otwarte oczy patrzyły wprost w niebo. Widok był okropny; każdy, nawet najmniejszy mięsień był napięty do granic. Czy to strach, dzielność, czy zwykły zwierzęcy instynkt kazał mu tak kurczowo trzymać się życia? Wzywaliśmy lekarza, ale żaden się nie zjawiał. Spojrzałem na zakrwawioną strzałę i zastanawiałem się, co możemy zrobić. Jeżeli odetniemy jeden z końców, można będzie ją wyciągnąć z rany. Czy jednak nie spowoduje to większego krwotoku? Może to tylko ona blokuje uszkodzoną tętnicę szyjną? Nie mogłem jednak tak stać, patrzeć na niego i nic nie robić. Postanowiłem usunąć strzałę. Sięgnąłem po sztylet, zaciskając zęby i starając się odepchnąć podsuwane przez wyobraźnię wizje krwawych skutków mego działania. Nie zdażyłem jednak nic zrobić. Napięcie w ciele Forteksa raptownie zelżało, palce się rozprostowały, oczy uciekły w górę. Z ust wypłynął cichy dźwięk, jak niski ton fletni. Ten człowiek przekroczył własny Rubikon, pomyślałem, i ruszył ku brzegom Styksu.

Tłum zareagował zbiorowym westchnieniem ulgi i ludzie zaczęli się rozchodzić do swoich zajęć. Umierający człowiek z gardłem przebitym na wylot strzałą to było coś interesującego; człowiek martwy nie budzi już takiej ciekawości.

- Zabawne, jak czasami ludzie żyją tylko, dopóki są potrzebni, i ani chwili dłużej - rzekł Tiro.

- Co masz na myśli?

- Spójrz na Forteksa. Jego zadaniem było bezpieczne doprowadzenie mnie do Pompejusza. Gdyby zginął choć chwilę wcześniej, nigdy byśmy nie dotarli do tego nabrzeża. Ty i ja zginęlibyśmy wraz z nim na łodzi. Stało się jednak inaczej i oto jesteśmy w Brundyzjum, jakby z woli samych bogów.

- Wierzysz więc, że każdy człowiek ma swoje przeznaczenie, nawet

niewolnik?

- Nie wiem. - Tiro wzruszył ramionami. - Przeznaczenie mają wielcy. Być może my, cała reszta, mamy je tylko wtedy, gdy wchodzimy przypadkiem na ich drogi i mamy do odegrania jakąś rolę w ich losie.

- I to właśnie daje ci tę odwagę, Tironie? Wiara w przeznaczenie?

- Odwagę?

- Tam w górach, podczas konfrontacji z Otacyliuszem. W obozie Antoniusza. W namiocie Cezara. W łódce, kiedy obsługiwałeś żagiel, a strzały świstały ci koło ucha.

Tiro znów wzruszył ramionami. Spojrzałem na bramę wiodącą z nabrzeża do miasta; w naszą stronę maszerował właśnie chmurny centurion na czele oddziału żołnierzy.

- A nasza wspólna podróż, Tironie? - spytałem. - Czy ja grałem rolę w twoim przeznaczeniu, czy ty w moim?

- Zdaje się, że przysłużyliśmy się sobie wzajemnie.

- A rola Forteksa polegała tylko na dostawieniu nas na miejsce?

- Na to wygląda.

- Ciekawe, czy on by to widział w ten sam sposób. A ten bezimienny woźnica?

- Przewiół nas przez góry, prawda? Wszystko poszło dobrze.

- Nie dla niego. Ale może masz rację. Bogowie do tej pory czuwali nad naszym bezpieczeństwem i jeśli moim przeznaczeniem jest osiągnąć to, po co tu przyjechałem, to przynajmniej jeszcze trochę pożyję. Postaram się być równie odważny jak ty.

Tiro rzucił mi zdziwione spojrzenie, po czym postąpił naprzód na spotkanie żołnierzom. Centurion, ogorzały weteran, brzydał z uśmiechem na cienkich, zaciśniętych wargach, zapytał go o imię.

- Nazywam się Soskarydes. Na pewno powiedziano ci, byś się spodziewał mojego przybycia.

- Twoje przybycie było niezłym widowiskiem, jeśli wierzyć łucznikom.

- Mam się zameldować bezpośrednio samemu Wielkiemu i nikomu innemu.

Centurion skinął głową.

- Kim jest ten zabity?

- To niewolnik, mój ochroniarz.

- A ten drugi? Też niewolnik?

Tiro się roześmiał.

- Gordianusie, podnieś rękę i pokaż swój pierścień. Centurionie, ten człowiek jest także znany Wielkiemu i pójdzie ze mną do niego.

- Nie możecie stanąć przed wodzem w takim stanie - burknął żołnierz. - Jeden ociekający wodą, drugi krwią, zaraz zobaczę, czy nie da się załatwić wam zmiany odzieży.

- Nie ma na to czasu! - zaprotestował Tiro. - Musisz nas natychmiast zaprowadzić do Pompejusza!

- Na Kastora i Polluksa, wstrzymaj no trochę konie! - Centurion rozejrzył się po wciąż kręcących się po nabrzeżu gapiach i wskazał palcem na dobrze ubranego cywila. - Hej, ty! Tak, do ciebie mówię. I twój kolega też. Chodźcie tutaj!



Kiedy dwaj mężczyźni zaczęli się wycofywać w tłum, centurion strzelił palcami i jego żołnierze w mig ich schwytali i doprowadzili do nas siłą.

- Tak, będzie chyba pasowało, a ubrania macie nie najgorsze. Rozbierać się!

Obu obywatelom opadły szczęki. Na kolejny wydany palcami rozkaz żołnierze sprawnie ich rozdziali.

- Nie tak ostro! Nie podrzyjcie tuniki! - upomniał ich centurion. - Którą wolisz, Soscarydesie?

Tiro zamrugał oczami, zaskoczony propozycją.

- Chyba tę żółtą.

- Masz rację, nada się. Ty od żółtej, dawaj swoją przepaskę! Mój przyjaciel Soscarydes jest mokry aż po jaja i potrzebuje suchej. No, jazda! - Odwrócił się do nas i zachęcił: - A wy ściągajcie swoje łaszki i przebierajcie się.

Ściągnąłem swoją zakrwawioną tunikę przez głowę, mruczając pod nosem:

- Skąd u wojskowych ta skłonność do obnażania innych?

Przypomniałem sobie, jak nas samych upokorzył Otacyliusz. Cezar mówił, że żołnierze Pompejusza zrazili sobie mieszkańców Brundyzjum; teraz mogłem się przekonać, w jaki sposób. Centurion spojrzał na nasze stopy, po czym warknął do nieszczęsnych tubylców:

- Buty też!

Obydwoj się zachnęli, ale szybko spokornieli i posłusznie pochylili się, by odwiązać rzemienie.

- Nie przeszkadza mi, że moje buty wyschną mi na nogach - rzucił Tiro, nagi przez chwilę, kiedy zmieniał swoją mokrą przepaskę biodrową na suchą.

- Możesz mi wierzyć na słowo. - Centurion pokręcił głową. - Przymaszerowałem ze swoimi ludźmi do Słupów Heraklesa i z powrotem. Jestem ekspertem od stóp. Będziesz się cieszył, że masz na nogach suche buty, kiedy to się zaczniesz.

- Co się zaczniesz? - spytał Tiro, wciągając tunikę. Pasowała rzeczywiście idealnie.

Centurion zmrużył oczy, spoglądając na słońce chylące się nad murami miasta.

- Dzień się kończy. Gdzie się podziewają te godziny? Kiedy zapadnie mrok, zaczniesz się dziać wiele rzeczy, i to szybko. Wierz mi, docenisz wtedy czyste ubranie i suche buty! Wspomnij mnie wtedy, przyjacielu Soscarydesie, i zmów modlitwę za centuriona, który zadbał o ciebie tak troskliwie jak twoja własna mamusia.

W celu utrudnienia posuwania się naprzód ludziom Cezara, kiedy już wedrą się do miasta, Pompejusz kazał ustawić barykady w różnych punktach na głównych ulicach i przygotować pułapki: szerokie doły z ostrymi palami na dnie, przykryte wiklinowymi matami i zamaskowane cienką warstwą ziemi. Nasza droga do centrum była z tego powodu kręta i długa, musieliśmy bowiem kluczyć bocznymi uliczkami i zaułkami. Centurion szedł na czele, a jego żołnierze uformowali kordon wokół nas dwóch.

Mieszkańcy miasta mieli oficjalny zakaz wychodzenia z domów, ale w

rzeczywistości wszędzie ich było pełno; ludzie krzyczeli, gorączkowo spieszyli we wszystkich kierunkach z ledwie hamowaną paniką malującą się na twarzach. Jeśli obóz Cezara można było porównać do pszczelego ula, to Brundyzjum nasunęło mi skojarzenie z rozkopanym przez chłopski pług mrowiskiem. Zacząłem podziwiać stoicki spokój naszego przewodnika, który niewzruszenie podążał do celu przez ten zgiełk i chaos. W końcu wyszliśmy z labiryntu wąskich alejek na miejskie forum, otwarty plac otoczony świątyniami i budynkami publicznymi. Panowała tu atmosfera zarazem większego porządku i większego chaosu. Z jednej strony centurionowie wydawali rozkazy, żołnierze stawali na baczność w równych sztykach, z drugiej tłum płaczących kobiet i pobladłych mężczyzn kłębił się na stopniach świątyń. Z ich otwartych drzwi płynęła woń mirry i kadzideł oraz słowa modłów wypowiedzianych nie po łacinie, ale w przedziwnie modulowanym języku Messapian, ludu, który zasiedlił ten kraniec Italii w zaraniu dziejów i zbudował Brundyzjum.

Messapianie wojowali niegdyś ze Spartą, a potem z Pyrrusem, który podbił ich ziemie dla Rzymu. Mieszkający tu po dziś dzień ich potomkowie, żeglarze i kosmopolici, czczą wszystkich rzymskich bogów, ale nie zapomnieli też o własnych, miejscowych bóstwach o niewymawialnych imionach. Do nich właśnie zwracali się teraz, kiedy ważyły się losy ich miasta.

Doszliśmy do miejskiego senatu usytuowanego po wschodniej stronie forum, gdzie Pompejusz umieścił swój sztab. Centurion polecił nam czekać na schodach, a sam wszedł do środka. Żołnierze dalej otaczali nas szczelnym kordonem, choć nie byłem już pewien, czy nas w ten sposób chronią, czy więżą. Wyczerpany przysiadłem ciężko na twardym i zimnym stopniu. Tiro po chwili zrobił to samo. Atmosfera w obleżonym mieście wpłynęła na mnie przygnębiająco, ale on jakby czerpał z niej podniecie.

- Jeżeli Pompejuszowi wyjdzie ten numer - powiedział - to rzeczywiście jest on największym geniuszem militarnym naszych czasów.

- Jaki znów numer? - spytałem, marszcząc czoło.

- Udany odwrót z Brundyzjum. Odesłał już część swojej armii do Dyrrachium wraz z konsulami i większą częścią senatu. Teraz nadszedł najtrudniejszy moment. Cezar jest gotowy rzucić całą swoją potęgę do szturm na mury. Czy Pompejuszowi uda się przeprowadzić sprawne wycofanie oddziałów przez ulice miasta, załadunek na okręty i wyjście z portu? To musi być problem taktyczny na wielką skalę, ryzyko jest ogromne.

- Rozumiem, co masz na myśli - przytaknąłem. - Jak i kiedy ostatni obrońca ma zejść z murów, oddając powierzony sobie odcinek wrogowi, i zaokrętować na ostatni wypływający statek? To się może przerodzić w ślepa paniczną ucieczkę.

- A ta z kolei w pogrom. - Tiro rozejrzył się po forum, gdzie aż nadto wyczuwało się dysonans między sztywnym wojskowym porządkiem i ledwo wstrzymywaną paniką cywilów. - A trzeba jeszcze pamiętać o nieprzewidywalnym czynniku, jakim jest ludność cywilna. Wiemy, że mają serdecznie dosyć Pompejusza, ale czy mogą być pewni, iż Cezar nie każe ich wyciąć w pień za udzielenie schronienia jego wrogowi? Łatwo mogą się podzielić na dwie frakcje, kierowane starymi pretensjami. Kto wie, jak

wykorzystają chaos? Jedni mogą odwrzeć bramy i poprowadzić ludzi Cezara bezpieczną drogą, omijającą barykady i pułapki, podczas gdy inni będą obrzucać ich z dachów kamieniami. Część może ulec panice i usiłować dostać się na statki Pompejusza. Samą swoją liczbą mogą zablokować przepustowość ulic i uniemożliwić planowany odwrót. Wodza ocenia się za jego sukcesy w obliczu przeważających przeciwności. Jeżeli Pompejusz wydobędzie swoich ludzi z Italii, by móc dalej walczyć, od nowa zasłuży sobie na prawo nazywania się Wielkim.

- Tak sądzisz? Mnie się zdaje, że lepiej zademonstrowałby swój geniusz, nie pozwalając się zamknąć w takiej pułapce jak Brundyzjum.

- Pompejusz radził sobie równie dobrze jak każdy inny w takiej sytuacji. Nikt nie przewidywał, że Cezar poważy się przekroczyć Rubikon. Zaskoczył tym nawet własnych ludzi. Podejrzewam, że i sam był zaskoczony swoją decyzją.

- A katastrofa w Korfinium?

- Pompejusz nie miał nad tym kontroli. Wzywał Donucjusza do wycofania się i połączenia ich sił, ale Ahenobarbus pozwolił swej próżności wziąć górę nad zdrowym rozsądkiem, którego zresztą nie miał za wiele. Jeśli porównasz tych dwóch wodzów, przekonasz się, że każda podjęta od początku kryzysu decyzja Pompejusza oparta była na rozumnych przesłankach. Ani razu nie kierował się pychą czy głupią dumą.

- Niektórzy mogliby rzec, że brakowało mu też odwagi.

- Trzeba odwagi, by patrzeć nieprzyjacielowi w oczy i cofać się krok po kroku. Jeśli doprowadzi tę operację do szczęśliwego końca, pokaże, że ma kręgosłup z żelaza.

- A co dalej?

- W tym właśnie cały geniusz! Pompejusz ma sojuszników na całym Wschodzie. Tam leży źródło jego siły, tam też Cezar jest najsłabszy. Zbierając stamtąd posiłki, Wielki może blokować Italię ze swej greckiej bazy i przerwać całą żeglugę ze Wschodu, w tym dostawy zboża z Egiptu. Niechże Cezar dzierży sobie Italię... na razie. Kiedy zamkną się przed nim egipskie spichlerze, Wschód powstanie przeciw niemu i powrócą hiszpańskie siły Pompejusza, zobaczymy, jak długo przetrwa jako król Rzymu.

Wszystko, co mówi Tiro, może mieć sens, pomyślałem. Czy Cezar choć przeczuwa możliwość takiego rozwoju wydarzeń? Przypomniałem sobie niewzruszoną pewność siebie człowieka, którego spotkałem tego ranka, ale może właśnie to stanowi o jego talencie dowódczym: nigdy nie okazywać zwątpienia i nie zdradzać się z dręczącymi nocnymi koszmarami. Kto wie, może w końcu wszystko pójdzie po myśli Pompejusza? Na to trzeba jednak udanego odwrotu z Brundyzjum. Znaleźliśmy się w kulminacyjnym punkcie wielkich zmaganiań. Za kilka godzin Pompejusz rzuci kośćmi i albo zdobędzie dość punktów, by grać w następnej rundzie, albo definitywnie odpadnie z gry.

Moje rozważania przerwał powrót centuriona.

- Wielki cię teraz przyjmie. - Zobaczywszy, że się podnoszę, powstrzymał mnie ruchem dłoni. - Nie ciebie. Soskarydesa.

Schwyciłem Tirona za ramię.

- Gdy się z nim zobaczysz, poproś, aby zechciał przyjąć i mnie.

- Zrobię, co będę mógł, Gordianusie. Nie możesz jednak oczekiwać, że w samym środku ważnej operacji wojskowej...

- Przypomnij mu o zadaniu, jakim mnie obarczył w Rzymie. Powiedz mu... powiedz, że znam odpowiedź.

Tiro uniósł brwi.

- Może powinienes mi ją wyjawić, Gordianusie. Przekażę wiadomość Pompejuszowi i poproszę, by uwolnił Dawusa. O to ci przecież chodzi?

- Nie. Prawdę o śmierci Numeriusza odkryję tylko samemu Wielkiemu i to dopiero wtedy, gdy zwolni Dawusa. Jeśli chce wiedzieć, co się stało z jego krewnym, musi przystać na moje warunki. Inaczej może na zawsze pozostać w nieświadomości.

- Jeżeli mu to powiem, a okaże się, że to tylko podstęp, by wymusić na nim tę audiencję...

- Tironie, proszę.

Rzucił mi podejrzliwe spojrzenie, po czym odwrócił się i ruszył za centurionem. Słońce już zniknęło za linią wzgórz na zachodzie i na forum spłynął przedwieczorny chłód, a z nim dziwny spokój. Nawet dobiegające ze świątyń przenikliwe tony pieśni modlitewnych nabrały łagodniejszego wyrazu. Żołnierze zaczęli podawać sobie zapalone pochodnie. Zrozumiałem teraz, dlaczego Pompejusz zwlekał z odwrotem do zapadnięcia zmierzchu. W ciemnościach barykady i pułapki na ulicach staną się dla atakujących dwukrotnie bardziej niebezpieczne; podczas gdy oni będą na nie wpadać, cofać się, omijać, przeszkadzając przy tym sobie wzajemnie, żołnierze Pompejusza, odpowiednio wyćwiczeni, sprawnie i szybko dotrą do czekających w porcie okrętów.

Centurion wyszedł z budynku.

- Gdzie Soskarydes? - spytałem.

- U Pompejusza.

- A dla mnie nie ma wiadomości?

- Nie ma.

Z góry dobiegł mnie szcęk metalowych drzwi. Coś się zaczęło dziać. Zerwałem się na nogi w chwili, kiedy z senatu wynurzyła się liczna grupa oficerów. Centurion i jego żołnierze stanęli na baczność. Na czele grupy ujrzałem Pompejusza w pełnej, jaśniejącej złoceniami zbroi. Drogocenny metal lśnił migotliwie, odbijając światło setek pochodni płonących na placu. Pod pachą wódz trzymał złożony hełm z żółtym grzebieniem z końskiego włosia. W napierśniku wymodelowanym na kształt muskularnego torsu wyglądał na młodego gladiatora, ale temu złudzeniu przeczył widok jego chudych nóg, których nie mogły skryć złociste nakolanniki. Poszukałem wzrokiem Tirona wśród otaczających go ludzi, ale go nie zobaczyłem. Dawusa też nigdzie nie było.

- Wielki! - krzyknąłem w nadziei zwrócenia na siebie jego uwagi.

Na Forum Romanum postąpiłby tak każdy obywatel, chcący złożyć petycję któremuś z polityków. Nie byliśmy jednak w Rzymie, a człowiek przede mną nie był Pompejuszem-politykiem zobowiązanym do zabiegania o względy każdego Marka czy Publiusza uprawnionego do głosowania. Miałem do czynienia z Pompejuszem Wielkim, imperatorem legionów

hiszpańskich, który wierzy w siłę miecza u boku, a nie cytatów z kodeksu prawnego.

- Cisza! - zgromił mnie centurion, wciąż wyprężony jak struna.

Pompejusz zatrzymał się u szczytu schodów. Oficerowie stanęli po jego bokach szerokim wachlarzem. Trębacz zadał w róg. Stałem nie dalej niż kilka metrów od wodza i stwierdziłem, że wygląda okropnie: zmęczony, niewyspany, z podkrążonymi i przekrwionymi oczyma. Dla żołnierzy zgromadzonych na placu musiał się jednak prezentować zupełnie inaczej, jak potężnie zbudowana, okryta złotem, niemal boska postać, cudownie ożywiony posąg samego Marsa.

- Żołnierze Rzymu! Obrońcy ludu i senatu! Dzisiejszej nocy wykonacie zadanie, które ćwiczylście tyle razy przez ostatnie kilka dni. Każdy z was ma swoją rolę do odegrania. Wszyscy wiecie, co macie robić. Działajcie szybko i sprawnie wykonujcie rozkazy centurionów, a nie będzie żadnych problemów. Nieprzyjaciel na każdym kroku napotykał przeciwności. Garstka doświadczonych łuczników i procarzy z powodzeniem nie dopuszczała go do murów miasta. Nie ma do dyspozycji okrętów, a jego wysiłki zmierzające do zablokowania portu spełzły na niczym. Jak zwykle jego ambicje przerosły jego zdolności. Na dłuższą metę będzie gorzko tego żałował.

Przez szeregi żołnierzy przemknęła fala przyciszonych śmiechów. Ja sam nie mogłem się dopatrzeć w Pompejuszu żadnego uroku, ale ci ludzie byli odmiennego zdania. Cóż, może na to trzeba być wojskowym?

- Wkrótce opuścimy Italię i przeprawimy się przez morze - kontynuował wódz. - Niektórzy mogą mieć co do tego mieszane uczucia. Uspokójcie się. My się nie cofamy, my idziemy naprzód. Rzym leży teraz za Adriatykiem i tam się udajemy. Miasto tworzą ludzie, nie budynki. Płyniemy tam, gdzie bije prawdziwe serce Rzymu i gdzie przebywają legalnie wybrani konsulowie. Niech wróg zajmuje sobie puste domy, jeśli ma ochotę, niech wymyśla sobie choćby i najbardziej wyszukane tytuły, jakie mu podsunie wyobraźnia. Być może za dużo czasu spędził na północ od Rubikonu, między prymitywnymi barbarzyńcami, czczącymi królów. Podbiwszy tych mizernych monarchów, doszedł do przekonania, że sam powinien nałożyć koronę. Powinien raczej pamiętać o losie wszystkich despotów, którzy kiedykolwiek podnieśli rękę przeciw senatowi i ludowi rzymskiemu!

Szmer wśród żołnierzy z wolna spęczniał do gromkich wiwatów, które jednak Pompejusz szybko uciszył, unosząc obie ręce.

- Żołnierze! Pamiętajcie o najważniejszym haśle dnia: „Cisza”! Wróg nasłuchuje u bram! Musimy przeprowadzić tę operację przy absolutnie minimalnym hałasie. Zaczynamy od razu. Dowódcy kohort, rozpocząć ewakuację!

Dał znak dłonią stojącym przy nim oficerom, niczym szef cyrku sygnalizujący start do wyścigu. Kiedy ruszyli przed siebie, Pompejusz się cofnął, znikając z oczu żołnierzom na forum jak złoty *deus ex machina* w teatrze.

Teraz, kiedy z jego orszaku zniknęli odprawieni dowódcy kohort, zobaczyłem wreszcie Tirona, który podszedł do wodza. Osobista ochrona Pompejusza zacieśniła krąg wokół nich. Wśród nich ujrzałem masywną

sylwetkę o znajomej posturze; jeszcze zanim odwrócił twarz w moją stronę, wiedziałem, że to Dawus. Usiłowałem nawiązać kontakt wzrokowy z Tironem, ale był on zajęty rozmową z Wielkim. Nagle zobaczyłem, że wskazuje wprost na mnie. Pompejusz skinął głową i odwrócił się. Nasze oczy się spotkały i wódz ruszył w moim kierunku. „Mój” centurion wyprężył się jeszcze bardziej.

- Słyszałem wcześniej, że mnie wołasz, Poszukiwaczu. - W głosie Pompejusza pobrzmiwało zmęczenie i irytacja.

- Naprawdę, Wielki? Nie dałeś nic po sobie poznać.

- Doświadczony orator nie pozwala, aby cokolwiek odwróciło jego uwagę. Wiem od Tirona, że masz dla mnie informacje.

- Tak, Wielki.

- To dobrze. Centurionie, czy nie masz swoich zadań podczas ewakuacji?

- Mam, imperatorze.

- No to ruszaj je wykonywać!

- Tak jest! Muszę cię jednak uprzedzić, imperatorze, że ten człowiek jest uzbrojony. Widziałem u niego sztylet.

- Obawiasz się skrytobójczego zamachu, centurionie? - Pompejusz zdobył się na znużony uśmiech. - Zabijanie nie leży w jego charakterze. Prawda, Poszukiwaczu? - Nie czekając na mą odpowiedź, odprawił centuriona i jego ludzi zdawkowym machnięciem ręki. - Chodźmy, Gordianusie. Pewnie chcesz się przywitać ze swoim zięciem, skoro przebyłeś pół Italii, aby go odnaleźć. Nie rozumiem po co? Nigdy nie spotkałem większego tępaka. I pomyśleć, że kiedyś płaciłem za niego sporo srebra!

Nabrałem powietrza i zapytałem:

- A co z moim raportem, Wielki?

- Nie tu i nie teraz. Nie widzisz, że ziemia pali mi się pod nogami? Zaczekaj, aż znajdziemy się bezpieczni na morzu.





## ROZDZIAŁ 21

- Nie mogę uwierzyć! Po prostu nie mogę w to uwierzyć!
- Dawusie, nie tak mocno! Wyciśniesz ze mnie wszystkie soki!
- Przepraszam...

Dawus wypuścił mnie i cofnął się o krok. Potarłem dłonią policzek, na którym ogniwa jego kolczugi odcisnęły mi geometryczny wzorek. Odziany w skórę i żelazo prezentował się tak samo mocarnie, jak tego dowiódł swym niedźwiedzim uściskiem, ale szeroki uśmiech na jego twarzy nadawał mu wygląd niewinnego dziecka.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć - powtórzył ze śmiechem. - Przyjechałeś tu z tak daleka, przez góry i w ogóle... Jak udało ci się przedostać do miasta?

- To długa historia, Dawusie. Kiedyś ci ją opowiem.

Jeden z przybocznych Pompejusza krzyknął coś, wskazując na dach wysokiego budynku po drugiej stronie placu. Pojawił się tam jakiś człowiek, biegnący tam i z powrotem z uniesioną nad głową pochodnią.

- Na Hades, miałeś rację, Tironie. - Pompejusz zaklął pod nosem. - Przekłęci mieszczanie! To wyraźny sygnał dla Cezara, aby rozpoczął atak. Skryboniuszu, każ któremuś z łuczników zastrzelić tego człowieka.

Wezwany oficer wystąpił przed szereg.

- Odległość jest za duża, imperatorze.
- Poślij więc kogoś na ten dach.
- Wejście z pewnością jest zabarykadowane, wodzu. Czy naprawdę warto się tym...
- Niech więc łucznicy wdrapią się na sąsiedni dach i stamtąd go ustrzelą!
- Wodzu, zaczęła się ewakuacja. Zanim nasi łucznicy...
- Nie obchodzi mnie to! Popatrz na tę małą, jak wymachuje pochodnią i naśmiewa się z nas! Widzą go ludzie na forum i żołnierze na murach. To bardzo niedobre dla morale. Chcę jego głowy. I przynieście mi też jego dłoń razem z pochodnią!

Skryboniusz posłał po łuczników, ale w tej samej chwili rozkaz Pompejusza stracił cały sens. Jak miasto długie i szerokie, dachy zaroily się od ludzi. Niektórzy machali pochodniami, inni tańczyli w ich blasku jak w święto. Pompejusz był rozjuszony.

- Przekłęci! Kiedy odbiję Brundyjzjum, zostawię tu tylko zgłiszcza! Wszystkich, którzy przeżyją, mężczyzn, kobiety i dzieci sprzedam w niewolę! - Zaczął chodzić tam i z powrotem, spoglądając ku zachodowi, gdzie ponad dachami widniały szczyty dwóch wież, stojących po obu stronach głównej bramy. - Magiuszu, czy brama została dostatecznie zabarykadowana?

- Wiesz, imperatorze, że tak - zapewnił zapytany. - Zwaliliśmy tam tony gruzu. Żaden taran jej nie rozbije. Jedyne sposoby na wdarcie się do miasta to wspinaczka na mury.

- Skryboniuszu, czy łucznicy i procarze utrzymują się na pozycjach?

- To same stare wygi, imperatorze. Utrzymają się.

W tej chwili dotarli do nas pierwsze odgłosy bitwy. Z początku były to tylko krzyki, potem przytłumione dała echa uderzeń stali o stal i głuche dudnienie taranu. Forum szybko pustoszało. Ostatni żołnierze maszerowali w milczeniu w stronę czekających okrętów. Zrobiło się już ciemno i tylko z otwartych wrót świątyń padały jasne łaty światła. Złapałem się w pewnej chwili na myśli, że chciałbym znać język Messapian. Miałem wrażenie, że płynące od ołtarzy pieśni stopniowo zmieniały znaczenie: z przepelnionych grozą i strachem nabrały cech dziękczynienia. Śpiew harmonijnie stapiał się z dalekim bitewnym hałasem.

Wreszcie nadszedł sygnał ewakuacji dla orszaku Pompejusza. W jednej chwili wszyscy wokół mnie ruszyli schodami w dół. Oficer nazwany Skryboniuszem wręczył Dawusowi pochodnię i nakazał iść w tylnej straży. Wkrótce stwierdziłem, że zmierzamy do portu inną drogą niż ta, którą wcześniej prowadził nas centurion. Ta ulica była szersza i wiodła prawie bezpośrednio ku bramie portowej. Zastanowiło mnie, dlaczego nie została zablokowana; zwróciłem na to uwagę Dawusa, ale on tylko powiedział, bym poczekał i zobaczył. Na pierwszym skrzyżowaniu budowniczy Magiusz zatrzymał orszak i wraz z kilkoma innymi schwycił za liny zwisające z budynków po obu stronach. Po chwili zwały kamieni i gruzu osunęły się, przegradzając ulicę za nami pylistym rumowiskiem. Na wyższych piętrach domów zainstalowano system bloków linowych połączony z klapami zasobników wypełnionych odpowiednim materiałem. Ta sama operacja została powtórzona na następnym skrzyżowaniu; Magiusz systematycznie blokował ulicę po naszym przejściu. W innych miejscach sygnalizował, by zachować ostrożność i prowadził nas rzędem tuż pod ścianą budynku. Były tam wykopane rowy - pułapki z ostrymi palami. Tylko budowniczy znał ich rozmieszczenie i bezpieczne przejście. W ciemności ziemia, którą pokryto wiklinowe maty, zlewała się z otoczeniem.

Co jakiś czas docierały do nas słabe, zniekształcone echem odgłosy bitwy, krzyki zmieszane z nieustannym, skandowanym śpiewem ze świątyń. Migotliwe pochodnie, ciemność zaułków, sztuczne lawiny, niewidzialne pułapki pod stopami - wszystko to było jak zły sen. Po głowie snuły mi się widziane tego dnia sceny: śmigające nad głową strzały na tle błękitu nieba... zimna, nieruchoma woda w basenie portowym... drgające ciało Forteksa na deskach nabrzeża, jego dłonie wciąż ściskające nie istniejące wiosła i oczy wpatrzone w łódź Charona, nadpływającą po niego z drugiej strony Styksu... Byłem jak uwięziony w koszmarnym śnie na jawie. Nagle kątem oka ujrzałem tuż obok uśmiechniętą od ucha do ucha twarz Dawusa. Dla niego była to tylko wielka przygoda. Ścisnąłem go za ramię.

- Dawusie, kiedy przybędziemy pod statek Pompejusza, masz zostać z tyłu.

Popatrzył na mnie, marszcząc brwi.

- Dawusie, mam informacje, których domagał się ode mnie twój wódz. Wiesz, o Numeriuszu. Dam mu je jednak tylko wtedy, gdy zgodzi się zostawić ciebie na lądzie.

- Zostawić mnie?

- Posłuchaj mnie i spróbuj zrozumieć! Ja pojedę z Pompejuszem, ale ty



nie. To jedyny sposób, aby mój plan się powiódł. Zostawimy cię na nabrzeżu. Gdy tylko statek odcumuje, masz zrzucić całą zbroję. Rozumiesz? Zatrzymaj miecz do obrony, ale rozbierz się do tuniki i wrzuć do wody całą resztę. Nie możesz mieć przy sobie nic, co by mogło świadczyć, że jesteś żołnierzem Pompejusza. Miejscowi zabiliby cię, jeśli wcześniej nie zginąłbyś z rąk ludzi Cezara.

- Mam tu zostać? - Dawus wciąż nie pojmował, co do niego mówię.

- Nie chcesz wrócić do Rzymu? Nie chcesz znów zobaczyć Diany i małego Aulusa?

- Jasne, że chcę.

- To rób, co ci mówię! Przez jakiś czas w mieście będzie panował chaos. Z ciebie jednak taki kawał chłopca, że nikt nie będzie cię zaczepiał bez powodu. Nie wdawaj się w żadne bójki. Staraj się udawać tutejszego, w każdym razie dopóty, dopóki nie będziesz mógł poddać się żołnierzom Cezara.

- Jak to, poddać się? Przecież mnie zabiją!

- Nie zrobią tego. Cezar robi wszystko, aby zyskać sobie opinię łagodnego. Nic ci się nie stanie, jeżeli rzucisz miecz i nie będziesz się opierał. Żądaj widzenia się z Metonem, gdyby Meto... gdybyś z jakiegokolwiek przyczyny nie mógł go odnaleźć, pytaj o trybuna Marka Antoniusza. Powiedz mu, kim jesteś, i proś o ochronę.

- A co będzie z tobą, teściu?

- Dam sobie radę.

- Nic nie rozumiem. Wylądujesz z Pompejuszem w Grecji. Jak dostaniesz się do domu?

- Niech cię o to głowa nie boli.

- Ale co powiem Dianie i Bethesdzie?

- Powiesz im, żeby się nie martwiły. I że... je kocham.

- To nie jest w porządku. Powinienem jechać z tobą i cię chronić.

- Nie! Przecież o to właśnie chodzi, żeby cię wydostać spod władzy Pompejusza i umożliwić powrót do Rzymu. Nie psuj całej mojej roboty, Dawusie. Zrób, co ci każę!

Nagle od przodu dobiegł nas ogromny hałas. Z góry na ulicę posypał się gruz. Przez chwilę sądziłem, że przysypał samego Pompejusza, ale po chwili wódz wyłonił się z chmury pyłu, kaszląc i klnąc, na czym świat stoi. Ktoś uruchomił mechanizm Magiusza, usiłując odciąć nam drogę; usłyszałem czyjeś piskliwe śmiechy. Żołnierze natychmiast skoczyli przez barykadę, by schwycić winnych. Po chwili śmiech zamienił się w okrzyki przerażenia. Przed oblicze wodza przywleczono czterech winowajców: małych chłopców.

Dla Pompejusza była to ostatnia kropla. Podszedł do najstarszego ze schwytanych i uderzył go na odlew w twarz. Malec, który buńczucznością pokrywał strach, załamał się w jednej chwili. Krew pociekła mu z nosa, w oczach błysnęła trwoga; rozplakał się, a w ślad za nim zaczęli szlochać jego koledzy. Pompejusz strzelił palcami.

- Ochrona, do mnie! Egzekucja dywersantów nie jest zadaniem dla żołnierzy.

Dawus rzucił się naprzód. Staralem się chwycić go za rękę, ale wyrwał mi się jednym ruchem. Syknąłem za nim, by wracał, ale on obejrzał się tylko i

wzruszył ramionami, jakby mówiąc, że nie ma wyboru.

- Związać im ręce z tyłu i położyć na kamieniach.

Dawus trzymał uniesioną pochodnię, a pozostali ochroniarze podarli na pasy tuniki chłopców, używając ich jako więzów.

- Zakneblować ich - rozkazał Pompejusz. - Nie chcę słuchać ich błagalnych wrzasków. A potem uciąć im głowy.

Płacz chłopców natychmiast ustąpił piskom przerażenia. Po chwili i one ucichły, stłumione przez kneble.

- Uśmiercimy ich na miejscu i zostawimy dla przestrogi. Niech ludność Brundyjum przekona się, ile trzeba zapłacić za zdradę Pompejusza Wielkiego! Niech myślą o tym, oczekując mego powrotu.

Wszystko stało się tak szybko, że wydawało mi się nierealne. W sekundy czterech chłopcy zostali obnażeni do podpasek, związani i zakneblowani, gotowi na ścięcie. Tiro trzymał się w cieniu, nie podnosząc oczu. Dawus cofnął się, co Pompejusz natychmiast zauważył.

- Dawusie! Ty zetniesz prowodyra.

Dawus przełknął głośno ślinę. Zerknął na mnie, ale szybko odwrócił wzrok. Oddał pochodnię żołnierzowi i wolno wyciągnął miecz. Przesząpił nerwowo z nogi na nogę...

- Wielki, nie!

Pompejusz odwrócił się błyskawicznie, by zobaczyć, kto krzyknął.

- Poszukiwacz! Mogłem się domyślić.

- Wielki, pozwól chłopcom odejść.

- Odejść? O mało mnie nie zabili!

- To był tylko kawał. Przecież to dzieci, nie żołnierze. Wątpię, czy w ogóle wiedzieli, że idziesz na czele orszaku.

- Tym gorzej! Co by o tym pomyślano w Rzymie? Pompejusz Wielki zabity przypadkowo przez bandę smarkaczy dokazującą na ulicach? Muszą oddać głowy.

- I co o tym pomyślą w Rzymie? Chłopcy, zwykłe dzieciaki z obciętymi głowami, pozostawieni w ulicznym pyle na zgryzotę rodzicom? Gdyby chodziło o barbarzyńców gdzieś w dziczy, to co innego... ale to jest Italia! Moglibyśmy równie dobrze być w Korfinium... czy w samym Rzymie!

Pompejusz zagryzł wargę i patrzył na mnie przez, jak mi się zdawało, niemal wieczność.

- Schowajcie miecze - powiedział w końcu. - Zostawcie ich tak, jak leżą, związanych i zakneblowanych. Niech ludzie zobaczą, że zostali schwytani, ale ich oszczędziłem. Skoro Cezar może okazywać łaskę, mogę i ja. Na Hades, opuśćmy to przeklęte miejsce!

Dawus aż się zgarbił z widocznej ulgi. Pompejusz rzucił mi jeszcze rozeźlone spojrzenie i wyciągnął ręce do swych ochroniarzy, którzy pomogli mu wspiąć się na barykadę. Dawus został w tyle, by zgodnie z pierwotnym poleceniem iść w tylnej straży. Pomógł mi pokonać zwały gruzu. Była to już ostatnia zaplanowana przez Magiusza przeszkoda dla zdobywców. Ruszyliśmy szparko w stronę portu. Nikt się nie odzywał.

Gdy tylko minęliśmy bramę portową, jeden z żołnierzy szybko zebrał pochodnię, podbiegł na nabrzeże i cisnął je w wodę. Port był dobrze

widoczny dla oblegających i ciemność miała równie żywotne znaczenie dla powodzenia zamysłu Pompejusza jak cisza. Nabrzeże było wypełnione karnymi szeregami ludzi czekających na swoją kolej okrętowania na wyznaczone statki. Mijaliśmy ich, zdążając spieszenie na sam koniec. Panującą niesamowitą ciszę nagle przerwały okrzyki triumfu, dobiegające gdzieś z przodu i rozprzestrzeniające się szybko na całe nabrzeże. Pomyślałem najpierw, że przybycie Pompejusza zostało spostrzeżone i żołnierze wiwatują na jego cześć. Po chwili jednak zorientowałem się, że chodzi o coś innego.

- Przeszli! Udało się im!

Pierwszy z transportowców, który wcześniej odcumował, minął bezpiecznie przerwę w blokadzie i wypłynął na otwarte morze. Wokół słychać było skrzypienie takielunku, w ciemności wykwitwały czarniejsze od nocy plamy żagli i kolejne statki odbijały od nabrzeża. Kiedy znaleźliśmy się na jego krańcu, roztoczył się przede mną widok na wyjście z portu. Falochrony Witruwiusza były pogrążone w ciemności, ledwo wystając nad wodę. Kapitan, nie widząc w mroku, łatwo mógłby na nie wpaść podczas próby wypłynięcia przez pozostawione między nimi wąskie przejście. Jeszcze nigdy nie czułem się tak zagubiony jak tu, w tym mrocznym świecie rządzonym przez podobnych Cezarowi i Pompejuszowi, gdzie ludzie produkują lawiny, przesuwiają góry ziemi, budują na wodzie i nawet ciemności używają jako broni.

Na krańcu nabrzeża czekał okręt Pompejusza. Był mniejszy i smuklejszy, na pewno szybszy od wielkich statków transportowych. Na nasz widok załoga szybko wyłożyła deskę trapową i Pompejusz skierował się wprost ku niej. Zebrałem całą odwagę i przyspieszyłem kroku, by się z nim zrównać.

- Wielki!

Zatrzymał się raptownie i odwrócił w moją stronę. Bez pochodni trudno było odczytać wyraz jego twarzy. Widziałem tylko głębokie cienie tam, gdzie powinny być jego oczy. Wąska linia ust w kącikach zwrócona była ku dołowi.

- Niechże cię Hades pochłonie, Poszukiwaczu! Czego znów chcesz?

- Wielki, chodzi o mojego zięcia. Chcę, abyś zwolnił go ze służby i zostawił na lądzie.

- Dlaczego?

- To moja cena za to, co mam ci do powiedzenia. Nie tu i nie teraz, powiedziałaś, ale na twoim statku, kiedy czas pozwoli. Popłynę więc z tobą, ale Dawus musi tu zostać.

Pompejusz milczał. Chyba wpatrywał się we mnie, ale nie widziałem jego oczu. W końcu dał gestem znak reszcie naszego oddziałku, by rozpoczęto okrętowanie, po czym odwrócił się do mnie.

- Poszukiwaczu, dlaczego mam to dziwne uczucie, że knujesz jakiś podstęp? Chcesz zamienić się miejscami z tym twoim przyciężkim na umyśle zięciem? Darowałem życie tym ulicznym szczirom, którzy mi się narazili, ale nie zrobię tego samego dla ciebie.

- To nie podstęp, Wielki. Wiem, kto i dlaczego zabił twojego krewnego.

- Powiedz mi więc od razu.

Zerknąłem na Dawusa, który stał niepewny, podczas gdy inni ładowali się

na okręt. Tiro też zwlekał, chcąc się przekonać, co z tego wyniknie.

- Nie. Powiem ci, jak już odpłyniemy.

- Jak Dawus znajdzie się poza mym zasięgiem, chcesz powiedzieć. Nie ufasz mi, Poszukiwaczu?

- Musimy zaufać sobie nawzajem, Wielki.

- Ależ dziwny z ciebie człowiek, Poszukiwaczu! - Pompejusz przechylił głowę, nie spuszczać ze mnie wzroku. - Ośmielasz się tak ze mną rozmawiać... No, dobrze. Ruszaj zatem na okręt. Ty też, Tironie! Przestań się gapić. A co do ciebie, Dawusie, skończyłem z tobą. Wynoś się i zgiń w Hadesie.

Dawus spojrział na mnie. Podszedłem do niego, sięgnąłem za tunikę i wcisnąłem mu w dłoń mój ciężki od srebra mieszek. Dzięki szczodrości Tirona prawie nic nie wydałem w podróży i było w nim więcej pieniędzy, niż będzie potrzebował na bezpieczne dotarcie do domu. Spojrział na niego i zmarszczył brwi.

- Ale, teściu, nie możesz mi tego dać! - szepnął. - Sam będziesz potrzebował pieniędzy.

- Bierz to i idź, Dawusie!

Popatrzył mi w oczy, potem na mieszek i znów na mnie. Jego mocarne ramiona uniosły się i opadły, gdy nabrał i wypuścił powietrze w głębokim westchnieniu. Odwrócił się w końcu, ale wciąż się wahał.

- Ruszaj, zięciu.

Nie obejrzawszy się więcej, poszedł nabrzeżem z powrotem w stronę miasta. Tiro już zdążył wejść na statek. Czekałem, aż uczyni to Pompejusz, ale on gestem nakazał mi iść pierwszemu. Wszedł na pokład zaraz za mną. Marynarze wciągnęli trap. Rozległy się wydawane przyciszonym głosem komendy. Żagiel załopotał, a po chwili wypełnił się wiatrem i ucichł. Poczułem, że ruszamy, a po chwili nabrzeże zaczęło się powoli oddalać. Patrzyłem na nie w milczeniu i widziałem sylwetkę, jak się domyślałem, Dawusa stojącego samotnie na jego krańcu, obramowaną zarysem bramy portowej. A potem statek zrobił zwrot i straciłem go z oczu.





## ROZDZIAŁ 22

I Tiro, i Pompejusz szybko zginęli mi z oczu na ciemnym, zatłoczonym pokładzie. Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, nie mówiąc już o pytaniu, skąd się tam wzięłem. Żołnierzom wydano rozkazy sformowania szyku bojowego, ale odbywało się to wśród sporego zamieszania, przekleństw i przyciszonych okrzyków. Pomyślałem sobie, jakąż byłoby ironią losu, gdyby po tak starannie przez Pompejusza zaplanowanej i sprawnie przeprowadzonej ewakuacji wszystkim okrętom udało się bezpiecznie przedrzeć na Adriatyk... poza tym jednym, na którym płynął on sam, a to na skutek braku dostatecznego przygotowania morskiego wśród jego doborowej straży osobistej.

Zamieszanie było jednak tylko chwilowe. Katapulty i balisty zatoczono na stanowiska i zamocowano, a następnie załadowano pociskami i napięto za pomocą dużych kół z zapadkami. Żołnierze schowali miecze do pochew, wzięli za to włócznie i uformowali wzdłuż burt ciasny kordon, chroniąc się za murem z tarcz. Z tyłu na podwyższeniach zajęli stanowiska łucznicy, pozostała część oddziału stanęła w gotowości, by ich osłaniać i podawać strzały. Znalazłem dla siebie miejsce na jednym z takich podwyższeń na śródokręciu. Dookoła nas w ciemności majaczyły czarne sylwety innych okrętów. Niektóre kierowały się już ku wyjściu, podczas gdy inne czekały swojej kolejki. Taka skoordynowana operacja, przy braku sygnalizacji świetlnej bądź jakiegokolwiek innej, oznaczała, że kapitanowie stosują się do opracowanego wcześniej precyzyjnego harmonogramu.

Akustyka w porcie mogła wprowadzać w błąd. Słyszałem niewyraźne okrzyki i dalekie odgłosy starć, ale nie potrafiłem określić jednoznacznie, czy dobiegają od strony miasta, czy niosą się po wodzie od kanału portowego. Statek za statkiem przepływały przez przerwę między nimi na otwarty akwen. Zdawało mi się, że widzę, jak ostrzeliwują się wzajemnie z obsadą falochronów, ale odległość i ciemność nie pozwalały dopatrzeć się żadnych szczegółów. Kiedy jednak nasz okręt zbliżył się do przejścia, rozpoczął się atak z użyciem ognia greckiego na statek, który akurat przez nie przepływał. Z obu falochronów katapulty zaczęły miotać gorejące kule, w których świetle ujrzałem dziwny widok: ludzie Cezara gorączkowo rozbierali własne umocnienia, rzucając elementy wież i osłon w wodę. Pociski nie dolatywały do celu, ale wpadając do wody, powodowały gejzery pary, a od niektórych zajęły się owe pływające szczątki. Chmury dymu i pary stanowiły niebezpieczne przeszkody dla statku płynącego przed nami, przesłaniając kapitanowi widok. Statek zбочył z kursu, dodatkowo niesiony nagle zmienionym wiatrem wprost na północny falochron. Tuż za sobą usłyszałem głośne przekleństwo i obejrzałem się przez ramię. Pompejusz stał zaledwie o parę kroków, ale zdawał się mnie nie dostrzegać; cała jego uwaga była skupiona na bitwie.

Statek przed nami jeszcze bardziej zszedł z kursu, pozbawiony teraz zdolności do manewru przez niekorzystny wiatr. Płynął prosto na kraniec

falochronu, aż wreszcie, przynajmniej z naszej perspektywy, kolizja była już nie do uniknięcia. Usłyszałem, jak Pompejusz głośno wciąga powietrze. Zderzenie jednak nie nastąpiło. Statek prześliznął się obok zakotwiczonej tratwy i przez chwilę zdawało mi się, że znalazł się bezpiecznie po drugiej stronie. Jęk rozczarowania, jaki wydał z siebie wódz, uświadomił mi jednak, że się mylę. Statek pozostał w porcie; płynął teraz wzdłuż falochronu, ledwo unikając ocierania się o tratwy burtą. Wkrótce jednak znieruchomiał, przyciśnięty do nich wiatrem, wystawiony bezsilnie na ostrzał nieprzyjaciela.

Wiwatujący ludzie Cezara mogli teraz zasypać go strzałami i ognistymi pociskami, ale widać woleli zdobyć go w stanie nienaruszonym. Jak się wnet przekonaliśmy, mieli do dyspozycji odpowiednie do tego celu środki.

Do Pompejusza podbiegł znany mi już Skryboniusz.

- Imperatorze, obejrzyj się do tyłu! Popatrz na miasto!

Ostatni z transportowców postawił już żagiel i odbijał od nabrzeża, co oznaczało, że ostatni z osłaniających odwrót żołnierzy znaleźli się bezpiecznie na jego pokładzie; oznaczało to, że miasto jest teraz otwarte dla oblegających. Można się było spodziewać, że dzięki barykadom i pułapkom wciąż będą się oni przedzierać przez miasto, a jednak nabrzeże rozjaśniło się wieloma pochodniami. Wojska Cezara nie tylko zdążyły opanować port, ale nawet obsadzano już łodzie rybackie, które śmiało ruszały w stronę falochronu, z wyraźnym zamiarem zaatakowania unieruchomionego okrętu.

Skryboniusz złapał Pompejusza za ramię.

- Imperatorze, mam zawrócić i związać ich walką? Możemy ich odeprzeć i zyskać trochę czasu dla tego statku.

- Nie! Nie możemy ryzykować, że sami wpakujemy się na falochron. Ten statek jest już stracony. Nie zdołamy go uratować. Gdybym mógł, sam bym go podpalił, żeby nie wpadł w ręce Cezara! Płynąć prosto do wyjścia!

Skryboniusz wycofał się, a Pompejusz uderzył pięścią w maszt.

- Jak on może posuwać się tak szybko? Co za pakt Cezar zawarł z bogami? Przecież to niemożliwe! Nawet gdyby ci przekłęci mieszczenie przeprowadzili jego ludzi bezpiecznie wokół każdej barykady i każdego rowu, jakim cudem aż tylu ich mogło tak błyskawicznie znaleźć się w porcie? Jakie szaleństwo każe im rzucić się za nami w pościg tymi łupinkami? Sam Cezar musi tam być i ich poganiać!

Spojrzałem ku nabrzeżu i wyobraziłem sobie Cezara stojącego na jego końcu, w tym samym miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Pompejusz. Widziałem jego czerwoną pelerynę trzepoczącą na wietrze, czułem jego wzrok wpatrzony w nasz okręt, znikający w chmurach dymu i pary spowijających kanał portowy. Zamknąłem oczy i modliłem się, aby Meto stał tam u jego boku, cały i zdrowy, i aby był tam też Dawus, nie żałujący zbyt gorzko, że mnie posłuchał. Wyobraziłem sobie ich obu, syna i zięcia, stojących tam razem, i kurczowo trzymałem się tego obrazu.

- Niech cię Hades pochłonie, Poszukiwaczu!

Ocknąłem się z zamyślenia i ze zdziwieniem zobaczyłem utkwione we mnie palące spojrzenie Pompejusza. Jego oczy lśniły odbitymi płomieniami palącego się na wodzie drewna, przedzierającymi się przez dymną mgłę.

- Jesteś człowiekiem Cezara, co?

Pokręciłem głową, zupełnie nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Twarz Pompejusza wykrzywiła się w grymasie.

- Ten adoptowany niewolnik... twój drogi synek Meto... od lat dzieli z nim przytulny namiot. A ty jesteś jednym ze szpiegów Cezara, zawsze wobec niego lojalnym. Przyznaj się! Nawet Cezar nie mógłby tak szybko przerzucić tylu ludzi przez miasto, gdyby nie pomagający mu szpiedzy. Od jak dawna byłeś w kontakcie z mieszczanami? Jak dobrze znałeś te szczury uliczne, które mnie o mało nie zabiły? Czy to ty ich na mnie nasłałeś? Nic dziwnego, że błagałeś o ich nędzne życie!

- Wielki, jesteś w błędzie. To, co mi imputujesz, jest niemożliwe. Zapytaj Tirona. Był ze mną przez całą drogę od samego Rzymu...

- Tak, udało ci się przyssać do niego jak pijawka! Nawet jego wywiódłeś w pole. A Dawus? Musiał być twoim agentem, szpiegował mnie przez cały czas! A ja brałem go za idiotę!

- To szalone zarzuty, Wielki.

Gdybym zobaczył go teraz po raz pierwszy od przybycia do Brundyzjum, w czerwonym blasku ognia w środku nocy, nie poznałbym go. Wydawał się opętany przez coś nieludzkiego, nie wiedzieć, boga czy demona. Włosy zjeżyły mi się na karku. Przed nami widniało jeszcze więcej płomieni i dymu. Z obu stron słyszałem okrzyki szydzących z nas i przeklinających ludzi z obsady falochronów. Rozróżniałem skrzywienie napinanych katapult i balist. W naszym kierunku zaczęły lecieć ogniste kule, sycząc jak harpie. Skryboniusz wykrzykiwał rozkazy: „Katapulty i łucznicy, odpowiedzieć na ostrzał!” Pompejusz jednak wciąż wpatrywał się we mnie, nie zwracając uwagi na rozpoczynające się bezpośrednie starcie.

- Wielki, ja cię nie oszukałem - pospieszyłem z zapewnieniem. - Nie ma tu żadnego spisku. Nie jestem człowiekiem Cezara.

Schwycił mnie nagle za gardło. W jego uścisku poczułem ze zgrozą całą wściekłość, jaka musiała w nim narastać dzień po dniu, odkąd został zmuszony do ucieczki z Rzymu. Pociemniało mi w oczach; jego twarz zaczęła się rozplýwać przede mną. Krzyki i wrzawa bitewna wokół nas zdawały się ledwo wybijać nad oszalały rytm mojego tętna.

Kula ognia wylądowała tak blisko przy burcie, że zostaliśmy solidnie zmoczeni bryzgami wody, w ślad za którymi nad pokład napłynęła chmura pary. Żołnierze krzyknęli, ich szyk się na chwilę załamał, ale szybko stanęli znów w ordynku. Uścisk Pompejusza nie zelżał ani na moment. Usiłowałem rozluźnić jego zaciśnięte palce, ale bez rezultatu.

- Jeżeli nie jesteś szpiegiem Cezara, powiedz mi więc to, z czym tu przybyłeś. Powiedz mi, kto zamordował Numeriusza!

Przez cały czas wiedziałem, że to pytanie musi w końcu paść. Obracałem je w myślach, zwłaszcza w bezsenne noce, przygotowując się na tę chwilę. Zacząłem niemal do niej tęsknić. Ciężący mi sekret przygniatał mnie i pragnąłem zrzucić go z barków. Wstyd miał gorzki smak robaka, chciałem się z niego oczyścić. Ale w mojej wyobraźni to wyznanie zawsze jawiło mi się spokojne i pełne godności, na jakimś prywatnym posiedzeniu rady, gdzie wszyscy w napięciu czekają, aż je wypowiem - jak Edyp na scenie teatru. Nigdy nie przypuszczałem, że odbędzie się to w taki sposób: w ogniu bitwy, wśród śmierci i ciemności, oko w oko z Pompejuszem już na mnie

rozwścieczonym i gotowym mnie zabić. Słowa ledwo przecisnęły mi się przez miążdżoną jego chwytem krtań.

- Ja... go... zabiłem.

To, co nastąpiło, było odwrotnością tego, czego oczekiwałem. Pompejusz raptownie mnie puścił i cofnął się o krok.

- Dlaczego tak mówisz, Poszukiwaczu? Dlaczego kłamiesz? Wiesz, kto go zabił, czy nie?

- Ja go zabiłem - powtórzyłem szeptem.

Przelknąłem ślinę i potarłem obolałą szyję. Jakie to śmieszne, pomyślałem, szukać ulgi dla ciała, którego przyszłość liczy zaledwie parę chwil? Wchodząc na pokład okrętu Pompejusza, wiedziałem, że na nim umrę, chociaż nie spodziewałem się, że nastąpi to tak szybko. Od wyjazdu z Rzymu zdawałem sobie sprawę z tego, że już nigdy tam nie wrócę. Miałem tylko nadzieję, że jakoś uda mi się wymienić Dawusa na siebie i dzięki temu zyskać na swojej śmierci coś jeszcze poza położeniem kresu własnej hańbie.

Skryboniusz przebiegł przez całą długość pokładu, wymachując nad głową mieczem i krzycząc: „Prawoburtowe katapulty, strzelać bez komendy! Wszyscy łucznicy, strzelać na prawo!” Przeplýwaliśmy niebezpiecznie blisko południowego falochronu; tak blisko, że wystrzeliwane przez żołnierzy Cezara ognie greckie przelatwały z sykiem nad naszymi głowami, ciągnąc za sobą ogony dymu i iskier.

- Dlaczego? - Szał Pompejusza ustąpił zdumieniu. - Jeżeli to zrobiłeś, dlaczego się przyznajesz?

W pasmach dymu, snujących się wokół nas, ujrzałem wytrzeszczone oczy Numeriusza i jego opuchniętą, martwą twarz. Ponad bitewnym zgiełkiem usłyszałem drżący głos jego matki i szloch Emilii, płaczącej nad jego dzieckiem, które nigdy nie miało ujrzeć świata.

- Aby się pozbyć żalu, winy i wstydu - odrzekłem.

Pompejusz pokręcił sceptycznie głową, jak gdyby mówiąc, że owszem, coś słyszał o podobnych uczuciach, ale nigdy się z nimi nie zetknął.

- Ale dlaczego miałbyś go zabić?

Drugie nie wypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu między nami: przeoczył coś oczywistego czy wyszedł na głupca?

- Numeriusz przyszedł do mojego domu, aby mnie szantażować.

- To niemożliwe! On był mój, pracował tylko dla mnie!

- Twój krewniak pracował wyłącznie dla siebie. Był intrygantem i szantażystą. Wszedł w posiadanie dokumentu... dowodu istnienia spisku przeciwko Cesarowi, paktu podpisanego przez konspiratorów. Na czele widniał podpis mojego syna, a dokument był spisany jego ręką i stylem.

- Twojego syna? Faworyta Cezara?

- Kiedy i dlaczego Meto obrócił się przeciw niemu, nie mam pojęcia. Numeriusz powiedział mi, że ma gdzieś ukryte jeszcze inne obciążające go dowody. Zażądał pieniędzy, o wiele więcej, niż byłem w stanie mu dać. Oznajmił, że wyjeżdża z Rzymu i jeśli nie zapłacę od razu, wyśle te dokumenty Cesarowi. On zna pismo Metona równie dobrze jak ja! Byłby to koniec. Miałem zaledwie chwilę na podjęcie decyzji.

Pompejusz ściągnął usta.

- Ta garota na jego szyi...



- Pamiątka z wcześniejszego dochodzenia. Numeriusz czekał w ogrodzie, a ja poszedłem do gabinetu po pieniądze. Wróciłem jednak z garotą. Stał pod posągami Minerwy odwrócony do mnie plecami, gapiąc się w niebo i beztrudnie pogwizdując. Taka arogancja! Był młody, silny. Nie wiedziałem, czy dam mu radę, ale okazało się to nie takie trudne, jak sądziłem.

Kolejna kula ognia przemknęła nad nami tak nisko, że aż się skuliłem. W jej krwawym blasku ujrzałem na twarzy Pompejusza rosnący gniew.

- Co się stało z dokumentem, który ci pokazał?

- Zabrałem go do gabinetu i spaliłem. To wtedy Dawus wszedł do ogrodu i znalazł trupa.

- A więc Dawus od początku wiedział o wszystkim?

- Nie! Nie powiedziałem mu ani słowa o morderstwie i o szantażu. Nikt o tym nie wie, nawet moja żona i córka. Musiałem ich chronić. Gdyby wiedzieli, a ty zacząłbyś podejrzewać... Ale nie to było prawdziwym powodem. Naprawdę milczałem ze wstydu i poczucia winy.

Zatoczyłem więc oto pełny krąg. Jak mogłem oczekiwać zrozumienia od człowieka pokroju Pompejusza? Wyrznąć setki i tysiące ludzi w bitwie to rzecz chwalebna i miła bogom. Zabić pojedynczego człowieka jest morderstwem, przestępstwem wobec niebios. Zabijałem już wcześniej, ale tylko w rozpaczliwej obronie, kiedy nie miałem żadnego wyboru poza prostym „on albo ja”. Nigdy od tyłu, nigdy z zimną krwią. Kiedy zabiłem Numeriusza, umarło jednocześnie coś we mnie samym. Nieraz w duchu uważałem się za lepszego od innych. Ludzie w rodzaju Cyncerona, Pompejusza czy Cezara wyśmialiby mnie za to, ale ja zawsze czerpałem dumę i pociechę ze świadomości, że inni mogą być bogatsi, potężniejsi czy lepiej urodzeni, ja mimo to jestem lepszy. Gordianus wyzwala niewolników i usynawia ich. Gordianus jest wolny od chciwości i prymitywnych żądz, które pchają „szacownych” Rzymian do sądów, gdzie rzucają się sobie do gardeł jak dzikie bestie. Gordianus nie oszukuje, nie kradnie i rzadko kłamie, odróżnia zło od dobra dzięki jakiemuś wewnętrznemu, nieomylnemu zmysłowi moralności, a przy tym nie potępia tych, którzy borykają się z wieloma odcieniami szarości własnych sumień. Gordianus nigdy, przenigdy by nikogo nie zamordował. Jak sam Pompejusz powiedział, zabijanie „nie jest w jego stylu”.

A przecież Gordianus właśnie to uczynił: udusił człowieka we własnym ogrodzie. Tym aktem pozbawiłem się tego, co wyróżniało mnie spośród innych ludzi. Utraciłem łaskę bogów; poczułem to w tym samym momencie, w którym Numeriusz Pompejusz padł bez życia u mych stóp. Słońce schowało się za chmury, świat stał się bardziej zimny i mroczny. Ów moment nieuchronnie prowadził do chwili obecnej. Byłem gotowy na wszystko, co może nastąpić. Oddałem się w ręce Parek.

Dawus był uratowany. Widziałem Metona w dobrym zdrowiu. Bethesda, Diana, Eko i ich dzieci są bezpieczne, w każdym razie na ile to możliwe na tym pokręconym świecie. Jeśli prawdą było, że Numeriusz posiadał inne kompromitujące Metona dokumenty, mogłem tylko żałować, że nie udało mi się ich odnaleźć i zniszczyć.

W wyobraźni oprócz sceny mojego wyznania widywałem także jej następstwa.

Wyobrażałem sobie, jak Pompejusz wzywa swoich siepaczy, aby mnie uśmiercili gdzieś z dala od niego. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że może skoczyć na mnie jak drapieżne zwierzę z rozcapierzonymi jak pazury dłońmi celującymi w moją twarz. Zdażyłem zakryć oczy; schwycił mnie za włosy i uderzył moją głową o maszt. W uszach mi dzwoniło, w ustach czułem krew. Cisnął mnie na pokład, wrzeszcząc coś niewyraźnie i kopiąc mnie, gdzie popadnie.

Pozbierałem się jakoś i stanąłem na nogach. Pobieglem przed siebie na oślep, wpadając na zwoje lin, zderzając się z zimną stalą zbroi, tnąc skórę na policzkach o groty strzał i włócznie. W kłębach dymu i rozbryzgach morskiej wody ludzie patrzyli na mnie jak na upiora. Przerazał ich jednak nie mój widok, ale goniącego mnie szaleńca. Każdy człowiek na tym okręcie balansował na ostrzu miecza dzierżonego przez Marsa, zawieszony między życiem i śmiercią, jednak zadrżeli dopiero wtedy, gdy ujrzeli swego wodza opętanego nieludzkim, szaleńczym gniewem.

Ogień grecki przeleciał tuż nad okrętem, naznaczając płomieniem górną krawędź żagla. Żołnierze wpadli w panikę. Skryboniusz darł się na nich, rozkazując, by odcięli płótno. Kilku ludzi zaczęło się wspinać po maszcie z nożami w zębach. Czyjeś ręce schwyciły mnie za ramiona. Szarpnąłem się, przerażony, ale był to tylko Tiro.

- Gordianusie, coś ty zrobił? Co mu powiedziałeś?

W świetle nieustannie nadlatujących ognistych pocisków zobaczyłem Pompejusza zaledwie o kilka kroków od siebie. Wyraz jego twarzy zamienił krew w moich żyłach w wodę. Za sekundę znajdzie się dość blisko, bym ujrzął swe odbicie w jego oczach szaleńca; wiedziałem, że zobaczę w nich trupa.

Wyrwałem się Tironowi i puściłem biegiem naprzód. Musiały mi chyba wyrosnąć skrzydła, jak bowiem inaczej wytłumaczyć to, że przeskoczyłem nad głowami ludzi stojących w zwartym szyku bojowym wzdłuż burty? Przez mgnienie oka byłem pewien, że nie dam rady i zaraz nadzieję się na ich sterczące w górę włócznie. Grot jednej z nich istotnie przebił mi skórę na goleni i dotknął kości. Krzyknąłem z bólu i w sekundę później wpadłem głową naprzód do wody tak zimnej, że serce mi chyba stanęło, a krzyk zamarł na wargach.

Zostałem wciągnięty przez silny prąd głęboko pod powierzchnię. To już koniec, pomyślałem. To Neptun, a nie Mars, weźmie moje życie. Moja zbrodnia zostanie zmyta wodą, nie ogniem.

Zimno było dojmujące. Ciemność nieprzebita. Prąd ciskał mną tam i z powrotem, obracał jak w zabawie, jak gdyby chciał mi udowodnić moją bezsilność. Straciłem wszelkie poczucie kierunku. Nagle zdumiało mnie, że widzę przed sobą jaskrawo migoczące plamy, niczym żółte płomienie. Czyżbym został wciągnięty aż na samo dno, tam gdzie rozwiera się szczelina wiodąca do Hadesu? Wydawało mi się to niemożliwe, zmysły bowiem mówiły mi, że unoszę się ku górze, a nie opadam w dół. Lodowata woda niosła mnie wciąż bliżej ku płomieniom, aż wreszcie poczułem na twarzy żar płonącego drewna. Neptun już ze mną skończył i wypchnął mnie na powierzchnię. Wynurzyłem się w palącą, pozbawioną powietrza próżnię ognia. Ściśnięte płuca rozpaczliwie domagały się wdechu, ale wciągnęły

tylko żar. Nie tylko woda, ale i ogień miał więc oczyścić mnie ze zbrodni.





## CZEŚĆ TRZECIA

# DIONIZOS



## ROZDZIAŁ 23

Dawus siedział przy łożu zgarbiony, z brodą wspartą na dłoniach i wpatrywał się we mnie w milczeniu. Zastanawiałem się, jakie też głębokie myśli krążą mu po głowie.

- Mów - odezwałem się.

To pojedyncze słowo kosztowało mnie wiele. W gardle zdawały się pękać bąble wrzącego ołowiu. Czułem nieodpartą chęć odkaszlnięcia, lecz walczyłem z nią ze wszystkich sił, wiedziałem bowiem, że przyniesie to jeszcze większy, nie do opisania ból. Zamiast tego przełknąłem więc ślinę, co było torturą, ale dawało się wytrzymać.

Dawus zmarszczył czoło i przekrzywił głowę.

- Myślałem tylko, teściu, że o wiele lepiej wyglądałeś z brwiami.

Podczas nie kończących się godzin dryfowania na skraju przytomności spostrzegłem wiszące na jednej ze ścian małe zwierciadło z polerowanego srebra, jedyną ozdobę pokoju, w którym leżałem. Nie poprosiłem jednak Dawusa, by mi je podał; być może słusznie. Zamknąłem oczy i zdryfowałem w nicość.

Kiedy się ocknąłem, Dawus wciąż tkwił na tym samym miejscu. Wciągnąłem nosem powietrze. Moje zatoki muszą być wysłane jęczącymi się pęcherzami, pomyślałem. Było to jednak mniej bolesne niż oddychanie przez usta.

- Jak długo... - zacząłem i urwałem. Dawus poderwał głowę, patrząc na mnie wyczekująco. - ...odkąd zasnąłem? - wymusiłem na sobie dokończenie pytania.

Mówienie sprawiało mi ból, od którego oczy zaszyły mi łzami, mniejszy jednak niż przedtem.

- ...wczoraj - dotarły do mnie jego słowa. - Obudziłeś się na krótko i powiedziałeś „mów”. To twoje pierwsze słowo, odkąd cię wyciągnęli z wody.

- Kiedy to było?

- Jeden... dwa... trzy dni temu. - Dawus musiał to sobie liczyć na palcach.

Trzy dni upłynęły, a ja nie pamiętałem niczego, nawet snów. Niczego! Tylko...

Niezmierzona, czarna i zimna głębia. Płomienie. Dym. Pływająca deska.

Kule ognia nad głową. Odór spalonych włosów i skóry. Krzyk ludzi. Nagły wstrząs. Ostre kamienie pod wodą. I bezruch, do połowy w wodzie, od połowy na brzegu. Niebo równie czarne i zimne, ale nakrapiane gwiazdami, coraz jaśniejsze za każdym razem, kiedy na chwilę się budziłem z niespokojnej drzemki: stalowoszare, niebieskie, różowe. Głosy, czyjeś ręce wyciągające mnie z wody. „Na nic”, ktoś powiedział. „Po co się męczyć? To nikt z naszych”. „Ale ten duży go zna. Duży ma srebro w mieszk”.

Owinięty w płótno. Złożony na wozie. Obok - inne ciała. Żywe czy martwe? Dawus pochyła się nade mną, zmieniony nie do poznania. Nigdy przedtem nie widziałem go płaczącego. Droga bez końca, wstrząsy, uderzenia, a w końcu spoczynek na niewyobrażalnie miękkim łóżku, w chłodnym, ciemnym i cichym pokoju. Głos kobiety: „Jeśli czegoś jeszcze potrzebujesz...” I głos Dawusa: „Zjadłbym coś”. Ja też czułem głód, ale byłem za słaby, by mówić, a kiedy przyniesiono jedzenie, zapach przypalonego mięsa przyprawił mnie o mdłości.

Co jeszcze pamiętam? Twarz Pompejusza, wykrzywiona nienawiścią. Tiro zaniepokojony i niepewny. Usiłowałem wypchnąć te obrazy ze świadomości i zastąpić je innymi twarzami... Bethesdy... Diany...

- Meto! - powiedziałem.

- Nie, to ja, teściu. - Dawus nie zrozumiał, o co mi chodzi, uśmiechnął się i pochylił nade mną.

Pokręciłem głową.

- Ale gdzie...?

- Ach! - Teraz zrozumiał. - Meto jest z Cezarem. Wracają do Rzymu.

- Kiedy?

- Wyruszyli w dzień po ucieczce Pompejusza. Cezar wygłosił mowę na forum, podziękował obywatelom za pomoc, zostawił swój garnizon i pomaszerował na północ, na Via Appia. Meto jest z nim. Było to trzy dni temu.

- Widziałeś się z Metonem?

- O, tak! Mam ci opowiedzieć? Dasz radę słuchać?

Skinałem głową.

- A więc tak... Kiedy cię zostawiłem w porcie, dość szybko znalazłem Metona. Nic trudnego, był przecież z Cezarem. Trudno nie zauważyć tej jego czerwonej peleryny! Natknąłem się na nich w drodze na forum. Wracałem tą samą drogą, którą szliśmy z Pompejuszem do portu. Ochrona Cezara byłaby mnie zabiła, ale zrobiłem, jak mi radziłeś, i rzuciłem miecz na ziemię. Meto się ucieszył na mój widok. Powiedziałem mu, co zrobiłeś, że odpłynąłeś z Pompejuszem. Cezarowi spieszno było do portu. Pokazałem im, jak ominąć pułapki, i dotarliśmy na nabrzeże w chwili, gdy ostatni żołnierze Pompejusza od niego odbijali. Z samego końca wypatrzyłem i rozpoznałem okręt Pompejusza, który właśnie wypływał przez przejście. Pokazałem go Metonowi, a ten z kolei Cezarowi. Patrzyliśmy, jak się przebijają. Przez chwilę wyglądało na to, że Pompejusz znalazł się w poważnych opałach, dryfując na południowy falochron. Odmówiłem za ciebie modlitwę do Neptuna. Mało co było widać z powodu dymu i ciemności, ale przysiągłbym, że widzę, jak ktoś wyskakuje do wody. Meto nic nie zauważył, nikt inny też. Mówili mi, że mi się przywidziało, że nikt

nie mógłby dostrzec czegoś takiego w tych warunkach i z tak daleka. Ja jednak byłem pewien. Chcesz trochę wody?

Kiwnąłem głową.

Dawus przyniósł dzbanek i nalał mi do glinianego kubka. Wziąłem go od niego i podniosłem do ust. Ręce miałem pokaleczone i poparzone, ale sprawne. Przełykanie też nie okazało się tak bolesne, jak się obawiałem. Poczułem, jak burczy mi w brzuchu.

- Jestem głodny.

- Każę kucharzowi zrobić ci coś łatwego do połykania. - Dawus skinął głową. - Może kleik na zimno? Karmią tu wcale nieźle. No, za takie pieniądze, jakie od nas zdzierają, tak być powinno. Ludzie mówią, że to najlepszy zajazd w Brundyzjum. Na mój gust za dużo stosują owoców morza.

Nakazałem mu gestem, by wrócił do swojej opowieści.

- Na czym to skończyłem? Ach, tak... Okręt Pompejusza. Wyplął w końcu, ale ledwo mu się to udało. Trzeba było widzieć wtedy Cezara! Myślał już, że wpadnie mu w ręce sam Pompeusz. Wpatrywał się w ten okręt jak kot w ptaka. Jednak nic z tego nie wyszło; okręt wysliznął się z portu lekko jak bobek z koziego tyłka. Inne też, tylko dwa wpadły na falochron i zostały. Cezar wysłał ludzi na łodziach rybackich, żeby je zdobyli i wzięli załogi do niewoli. Ależ to była noc! Jedna zwariowana płatanina, a Meto zawsze w samym środku akcji. - Dawus zmarszczył brwi. - Nie bardzo się zdenerwował, kiedy się dowiedział, że odpłynąłeś z Pompeuszem. Miał tę swoją minę... wiesz, taką, że nie wiadomo zupełnie, o czym myśli... w każdym razie ja nie wiem... i powiedział, że może tak właśnie będzie najlepiej. Zapytał mnie, czy zamierzam wracać z nim do Rzymu, bo jeśli tak, to mam trzymać język za zębami. Na razie nie chciał, aby Cezar czy Marek Antoniusz się dowiedzieli o twoim odpłynięciu. Pewnie myślał, że postawiłoby go to w złym świetle. Wiesz, skoro ojciec trzyma z wrogiem... Pokazałem mu pieniądze od ciebie i powiedziałem, że dam sobie radę bez jego pomocy. Myślę, że chętnie się mnie pozbył. Następnego dnia, po przemowie na forum, Cezara już nie było. I bardzo dobrze. I tak chciałem zostać tu jeszcze parę dni.

- Dlaczego? - Wypiłem następny łyk wody.

- Bo byłem pewien, że widziałem kogoś skaczącego do wody z okrętu Pompejusza... albo wypchniętego.

- I pomyślałeś, że to mogłem być ja. Dlaczego?

- Miałem po prostu przecucie. Nie umiem tego wytłumaczyć. Wiedziałem, że coś jest nie w porządku. To, jak mi dałeś te pieniądze, jak do mnie mówiłeś... jak gdybyś nie spodziewał się już nigdy wrócić do domu. Musiałem się upewnić. Po południu tego dnia, kiedy Cezar i Meto odjechali, postanowiłem obejść cały port, zaczynając od południowego falochronu, jako że okręt Pompejusza przepłynął najbliżej niego. Dowódca garnizonu rozstawił tam ludzi, by szukali ciał wyrzucanych na brzeg i pilnowali, by nikt nie obrabował zwłok. Większość znalezionych była martwa. Niektórzy zginęli od strzału, inni byli okropnie spaleni. Prawdę mówiąc... nie spodziewałem się ujrzeć ciebie żywego. Kiedy ujrzałem twoją twarz, a ty otworzyłeś oczy... - Głos mu nagle ochrypl.

Skinałem głową.

- A więc Meto nic nie wie?

- Nie. Myśli, że jesteś z Pompejuszem. To dopiero będzie niespodzianka, kiedy wrócimy do Rzymu i on cię zobaczy! Może do tego czasu brwi ci odrosną...

Zimny kleik przyniesiony z kuchni rzeczywiście podziałał trochę kojąco na mój przelyk. Stwierdziłem, że jestem wściekle głodny, ale Dawus bacznie pilnował, abym nie zjadł za dużo w zbyt krótkim czasie. Po jakimś czasie zebrałem się na odwagę i poprosiłem go o podanie lusterka. Okazało się, że bynajmniej nie jestem tak strasznie okaleczony, jak się obawiałem. Owszem, brwi zniknęły i efekt nie dodawał mi urody, ale przynajmniej nie doznałem poważniejszych oparzeń twarzy. Wchłonałem do płuc sporo morskiej wody, dymu i żaru, ciało miałem pokryte skaleczeniami, oparzeniami, pęcherzami i siniakami (zwłaszcza na szyi po stalowym chwycie Pompejusza), a na łydce miałem paskudną, ropiejącą ranę zadaną przez grot włóczni, o który zawadziłem, wyskakując przez burtę. Kiedy Dawus mnie odnalazł, trawiła mnie gorączka i majaki, ale gdy wreszcie ustąpiła, zacząłem szybko wracać do siebie.

Niektórzy na moim miejscu mogliby sobie wyobrazić, że zostali ocaleni dzięki interwencji bogów, mających dla nich specjalne zadania do wypełnienia. Ja jednak widziałem siebie jako płótkę zbyt małą, by zatrzymała ją sieć Neptuna, albo przemoczoną gałązkę rzuconą w palenisko Hadesu, która zadymiała i zasyczała, ale ogień jej nie strawił.

Spieszno mi było do Rzymu, a jeszcze spieszniej, by znów zobaczyć się z Metonem. W obozie Cezara nie mogłem z nim otwarcie rozmawiać, a miałem mu wiele do powiedzenia i wiele chciałem się od niego dowiedzieć.

Zrezygnowaliśmy ze skrótu Tirona przez grzbiet Apeninów i ruszyliśmy na północ gościńcem Via Appia śladami Cezara. Posuwał się on w tempie wręcz nieprawdopodobnym, zwłaszcza jak na tak liczną armię. Ja również starałem się szybko jechać, ale wkrótce sobie uzmysłowiłem, że nie mogę dotrzymać mu kroku, a cóż dopiero mówić o dogonieniu go. Pogodziłem się z tym, że spotkam Metona dopiero w Rzymie. W każdym mijanym miasteczku, do którego przybywaliśmy w kilka dni po pobycie Cezara, nikt nie mówił o niczym innym. Wszędzie, gdzie się pojawił, wódz był witany dziękczynnymi hołdami; miejscowi notable ochoczo przysięgali mu lojalność. Jeśli ktokolwiek wołałby widzieć triumf Pompejusza, nikomu się z tym nie zdradzał.

Pogoda była przyjemna. W Beneventum dopadł mnie nawrót gorączki i straciliśmy cały dzień, ale na ogół utrzymywaliśmy niezłe tempo.

Dotarliśmy do Rzymu przez bramę Kapeńską o zachodzie słońca w nony, piątego dnia kwietnia.

Diana rozplakała się na widok Dawusa. Bethesda rozplakała się na mój widok. Za to Mopsus i Androkles śmiali się za wszystkich domowników.

Dowiedziałem się, że Meto wpadł w odwiedziny tylko raz, na drugi dzień po powrocie do miasta. Powiedział, że Dawus jest w drodze do domu, ale ja odpłynąłem z Pompejuszem do Dyrrachium. Moje pojawienie się było więc

zupełnie nieoczekiwane... nawet dla mnie... ale tym większą z niego czerpaliśmy radość. W domu brakowało tylko jednej osoby, ale nikt za nią nie tęsknił, poza może obu urwisami. Meto rozkazał gladiatorowi Cykatriksowi, pozostawionemu przez Pompejusza jako ochroniarz i strażnik, wynosić się i nigdy nie wracać. Butny niegdyś niewolnik, którego pan musiał uchodzić za morze przed człowiekiem panującym teraz w Rzymie, posłuchał potulnie zadowolony, że zachował głowę. Zniknął bez śladu i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa.

Tego wieczoru przyszedł do nas Eko wraz z całą rodziną. Po kolacji, która upłynęła w atmosferze radosnego podniecenia, obydwaj zaszyliśmy się w moim gabinecie i do późna w noc gwarzyliśmy nad pucharami rozcieńczonego wina. Bałem się, że zaczniesz mnie wypytywać, jak udało mi się wynegocjować zwolnienie Dawusa, a potem samemu wymknąć się Pompejuszowi, ale Eko, podobnie jak reszta rodziny, przyjął po prostu, że uciekłem się do jakiegoś niewinnego podstępu. Uznałem, że na razie powinienem zatrzymać w tajemnicy i okoliczności śmierci Numeriusza, i knowania Metona.

Eko zapoznał mnie z najnowszymi plotkami z Forum. Wiadomość o ucieczce Pompejusza dotarła do miasta tuż przed przybyciem Cezara i wywołała falę zarówno strachu, jak i radości. Cezar zwołał posiedzenie senatu, czy raczej jego resztek, na kalendy kwietniowe. Krążyło wiele spekulacji na temat żądań, jakie zamierza wysunąć, i reakcji na nie, ale dla wszystkich było jasne, że w Rzymie nie pozostał ani jeden senator, który mógłby i chciał mu się przeciwstawić.

Uporczywie twierdzono, że Cezar pokaże się na Forum i przemówi do ogółu obywateli, ale jak dotąd do tego nie doszło. Być może zwycięski wódz obawiał się wrogiego przyjęcia, a nawet zamieszek.

Kiedy Cezar włamał się do świętego skarbcza w świątyni Saturna, który stanowił rezerwę republiki na wypadek wojny, rozległy się szmery niezadowolenia. Olbrzymie sumy w złotych i srebrnych sztabach tam zdeponowane miały zostać wykorzystane wyłącznie w takiej sytuacji i pozostawały nietknięte od niepamiętnych czasów. Uciekający z Pompejuszem konsulowie zastanawiali się, czy nie otworzyć skarbcza, ale i oni zdecydowali zostawić skarb w spokoju. Cezar zaś przywłaszczył go sobie jak zwykły złodziej, tłumacząc: „Święty skarb został zgromadzony przez naszych przodków do użycia na wypadek ataku Galów. Podbiwszy Galię, osobiście wyeliminowałem wszelkie takie zagrożenie, teraz więc zabieram złoto”.

Trybun Metellus usiłował zapobiec nielegalnemu otwarciu skarbcza i własną pierśią zastawił zapieczętowane drzwi. Cezar rzekł mu: „Jeśli mnie do tego zmusisz, Metellusie, każę cię zabić. Wierz mi, że wypowiedanie takiej groźby sprawia mi więcej bólu niż jej wykonanie”. Na takie dictum trybun się wycofał.

Cezar ukradł święty skarb i groził śmiercią urzędnikowi wykonującemu swe obowiązki. Mimo nieustannych zapewnień o chęci negocjacji z Pompejuszem i przywrócenia konstytucji, jasno dał w ten sposób do zrozumienia, że jest gotów złamać każde ograniczające go prawo i uśmiercić każdego sprzeciwiającego mu się człowieka.



A Cycero? Po drodze do Rzymu Cezar odwiedził go w jego willi w Formiach, prosząc o powrót do miasta i wzięcie udziału w pracy senatu. Cycero delikatnie odmówił i ostentacyjnie wyruszył do swego rodzinnego Arpinum, by tam z opóźnieniem świętować dzień togi swego syna. Cezar na razie tolerował tę deklarowaną neutralność. Czy Pompejusz wykaże równe zrozumienie, kiedy zjawi się znów w Italii z ogniem i mieczem? Biedny Cycero... złapany w pułapkę jak zając Ezopa, miotający się między lwem a lisem.

- Co słyhać u twojego brata? - spytał Ekona. - Zdaje się, że odwiedził was po przybyciu z Cezarem do miasta?

- Tak, i to był jedyny raz, kiedy mogliśmy się z nim zobaczyć. Jest pewnie zbyt zajęty, by się wyrwać spod boku swego wodza. Jeśli plotki nie kłamią, lada dzień wyruszą znowu w pole. Cezar zostawi Antoniuszowi dowództwo w Italii, a sam popieszy do Hiszpanii, zmierzyć się z tamtejszymi legionami Pompejusza.

- Muszę się widzieć z Metonem, zanim odjedzie - powiedziałem.

- Jasne, tato. Sztab Cezara jest zakwaterowany w Regii, bo jako *pontifex maximus* ma on prawo tam rezydować. Przejdziemy się tam obaj jutro. Chcę tam być, żeby zobaczyć minę Metona. Będzie równie zaskoczony twoim przybyciem jak my wszyscy!

- Nie, synu. Chcę się z nim spotkać sam, w miejscu, gdzie będziemy mogli poufnie porozmawiać. - Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, aż znalazłem rozwiązanie. - Poślę mu dzisiaj wiadomość i poproszę o spotkanie nazajutrz.

- Oczywiście. - Eko sięgnął po tabliczkę woskową i rylec. - Podyktuj mi, napiszę za ciebie.

- Dzięki, ale sam to zrobię.

Eko popatrzył na mnie ze zdziwieniem, wręczył mi jednak przybory do pisania. Usiadłem przy stoliku i napisałem:

*Do Gordianusa Metona od jego ojca.*

*Ukochany synu! Jestem z powrotem w Rzymie i mam się dobrze. Nie wątpię, że ciekawią cię moje peregrynacje, jak i ja jestem ciekaw Twoich. Spotkajmy się jutro w południe w „Tawernie rozpusty”.*

Zamknąłem drewniane wieczko tabliczki, przewiązałem tasiemką i zapieczętowałem ją woskiem, po czym oddałem Ekonowi.

- Dopilnujesz, aby któryś z niewolników mu to doręczył? Jestem zbyt zmęczony, by utrzymać oczy otwarte choćby jeszcze chwilę.

- Naturalnie, tato.

Eko spojrział na woskową pieczęć i zmarszczył brwi, ale ani słowem tego nie skomentował.





## ROZDZIAŁ 24

Po jaskrawym słońcu na zewnątrz panujący w tawernie mrok był niemal nieprzenikniony. Ta nienaturalna ciemność, podkreślona jeszcze nielicznymi punktami upiornego światła oliwnych lamp, przepełniła mnie nieokreślonym niepokojem, który szybko narastał aż do progu paniki. O mało nie uciekłem z powrotem na ulicę, ale nagle zrozumiałem, z czym mi się to kojarzy: z zimną, nieprzejrzystą wodą pod płonącymi na powierzchni drewnianymi szczątkami machin bojowych w porcie w Brundyzjum. Odetchnąłem głęboko, z wysiłkiem odwzajemniłem przymilny uśmiech właściciela lokalu i przeszedłem przez salę, objijając się kolanami o twarde ławki. Tawerna była prawie pusta i tylko paru bywalców garbiło się nad kubkami pitego w samotności wina. Odszukałem ławę wbudowaną we wnękę w rogu tylnej ściany. Tam właśnie siedziałem podczas mojej ostatniej wizyty w tym przybytku, kiedy spotkałem się z Tironem. Było to też ponoć ulubione miejsce Numeriusza Pompejusza, gdzie zwykł negocjować swoje podejrzanе transakcje. Jak powiedział Tiro, „nazywał je swoim kątem”. Czy teraz w mrocznym wnętrzu tawerny czai się lemur Numeriusza? Wtedy poczułem ukłucie niepokoju na myśl, że zajmuję jego miejsce. Teraz nie czułem nic. Zdałem sobie nagle sprawę, że już nie widuję w snach jego twarzy, prawie wcale też o nim nie myślę od chwili, kiedy wyznałem swą zbrodnię Pompejuszowi i wyskoczyłem z jego okrętu, spodziewając się śmierci. Wraz z zamordowaniem Numeriusza umarły moje pretensje do moralnej wyższości. W Brundyzjum zaś umarło moje poczucie winy. Nie byłem dumny ze swego czynu, ale też nie kwestionowałem go. Byłem odarty z samouwielbienia, lecz już nie wyrzucałem sobie niczego. Byłem jak człowiek bez bogów, już niepewny, co czuję, co myślę, w co wierzę, ani też gdzie jest moje miejsce na świecie.

Publiczny zegar słoneczny nieopodal wejścia do tawerny wskazywał, że przyszedłem nieco za wcześnie. Meto zaś zjawił się z punktualnością wyrobioną przez lata służby wojskowej w samo południe. Jego młodsze oczy szybciej przyzwyczały się do panującego w lokalu mroku; rozglądał się tylko przez chwilę, zanim mnie namierzył i ruszył przez salę sprężystym, zdecydowanym krokiem, ani razu nie uderzając się o meble. Trudno mi było odczytać wyraz jego twarzy, ale w jego zachowaniu było coś dziwnego. Zanim zdążyliśmy zamienić choćby słowo, pojawił się gospodarz. Zamówiłem po kubku jego „najlepszego”. Meto zaprotestował, że nie pija o tak wczesnej porze, więc zawołałem jeszcze o wodę.

- To ci zaczyna wpadać w zwyczaj, tato - Meto się uśmiechnął. - Pojawiasz się tam, gdzie jesteś najmniej oczekiwany. Ostatnie wieści, jakie miałem o tobie, mówiły, że...

- Że płynę do Dyrrachium z samym Pompejuszem. Dawus mi mówił, że niezbyt cię to zmartwiło.

- Nie nazwałbym tego uczciwą zamianą, tato. Ty za Dawusa? Nie bardzo rozumiałem, o co ci chodzi. Pompejusz stracił krewnego i zmusił cię do

szukania zabójcy, Dawusa zaś zabrał jako zakładnika? - Meto pokręcił z niesmakiem głową. - Strasznie małostkowe jak na kogoś, kto nazwał się Wielkim. Musiał postradać zmysły.

- To bardziej skomplikowana sprawa, niż ci się wydaje, synu. Czy Dawus nie powiedział ci, kim był zamordowany?

- Nie.

- To był młody człowiek imieniem Numeriusz Pompejusz. - Nawet w tym młodym świetle zauważyłem, że twarz Metona zmarszczyła się w napięciu. - Czy to ci coś mówi?

- Być może.

Karczmarz przyniósł nam dwa kubki i dzbanek wody.

- Metonie, w przeddzień ucieczki Pompejusza z Rzymu Numeriusz przyszedł do mojego domu. Pokazał mi dokument, rodzaj paktu, spisany twoją ręką... rozpoznałem nawet twój styl... i podpisany przez ciebie i kilku innych. Musisz wiedzieć, o jakim dokumencie mówię.

Meto przesunął palcem po krawędzi kubka.

- Numeriusz miał ten dokument? - spytał.

- Tak.

- I co się z nim stało?

- Spaliłem go.

- Jak to możliwe?

- Zabrałem mu go. On mnie próbował szantażować, Metonie. Zagroził, że odeśle ten pergamin Cezarowi, aby ciebie skompromitować i ujawnić twoją rolę w spisku na jego życie.

Meto odwrócił twarz w taki sposób, że cień spowił jego oczy, ale wciąż widziałem prostą linię zaciśniętych warg i bliznę spod Pistorii.

- I został zamordowany? - spytał.

- Nie wyszedł żywy z mojego domu.

- Ty?

- Zrobiłem to dla ciebie, Metonie.

Osunął się na ławie, nagle zgarbiony, jakby siły go opuściły. Podniósł kubek i wychylił go jednym haustem. Pokręcił głową.

- Tato, nigdy nie myślałem, że...

- Numeriusz mówił mi, że ma inne dokumenty, równie obciążające - przerwałem mu. - I też pisane przez ciebie. Czy to mogła być prawda? Istnieją takie dokumenty?

- Tato...

- Odpowiedz mi.

- Tak.

- Metonie, Metonie! Jak, na Hades, mogłeś być taki nieostrożny! Dlaczego pozwoliłeś, aby takie rzeczy wpadły w łapy takiego typu? Numeriusz powiedział mi, że gdzieś je ukrył. Szukałem ich, chciałem je zniszczyć, ale nigdy ich nie odnalazłem. - Westchnąłem ciężko. - Co z tym spiskiem? Czy innych obleciał tchórz? Wiem, że nie ciebie. To do ciebie niepodobne. Czy zatem niemożliwe było wykonanie waszych zamiarów? Nadal to planujecie? A może się wam odwidziało?

Nie odpowiedział.

- Dlaczego obróciłeś się przeciwko niemu po tylu latach, Metonie? Czy w

końcu ujrzałeś go takim, jakim jest naprawdę? Ludzie jak Cezar i Pompejusz nie są herosami, synu. To potwory. Swoją chciwość i ambicję nazywają honorem, i dla ich zaspokojenia zdolni są roznieść w pył cały świat. Ale kim ja jestem, by ich sądzić? Każdy człowiek robi, co musi, żeby chronić swoją część świata. Jaka jest różnica między mordowaniem całych wsi czy armii a zabiciem jednego człowieka? Motywy Cezara i moje różnią się tylko skalą. Konsekwencje i cierpienie w obu wypadkach dotyczą niewinnych.

- Tato...

- Może stałeś się mu zbyt bliski? Intymność łatwo się przeradza w gorycz. Ludzie mówią, że ty i on... Czy Cezar cię w jakiś sposób znieważył? Czy rozdźwięk między wami... to kłótnia kochanków?

- Tato, to nie jest tak, jak myślisz...

- Więc powiedz mi, jak jest.

- Nie mogę ci tego wytłumaczyć. - Pokręcił powoli głową.

- Nieważne. Ważne jest tylko to: dopóki Cezar żyje, a te dokumenty gdzieś są ukryte, jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Gdyby ktoś je odkrył i doniósł Cezarowi...

- Tato, co zaszło na okręcie Pompejusza w porcie?

- Było tak, jak Dawus ci opowiedział. Zająłem jego miejsce, zapewniając Pompejusza, że wiem, kto zabił Numeriusza. Kiedy okręt zbliżał się do przejścia między waszymi pływającymi groblami, on zażądał, bym natychmiast mu to wyjawiał. No, to wyjawiałem. Powiedziałem mu o wszystkim. Wpadł w szal jak dzikie zwierzę. Wsiadałem na jego okręt, nie spodziewając się, że opuszczę go żywy, Metonie. Skoczyłem jednak za burzę i jakimś cudem przeżyłem, a następnego dnia Dawus mnie znalazł na brzegu.

- Dzięki za to bogom! - wykrzyknął, po czym wziął głęboki oddech. - Powiedziałeś więc Pompejuszowi wszystko? O spisku na życie Cezara?

- Tak.

- I o mojej w nim roli?

- Tak.

- Uwierzył ci?

- Z początku nie. Ale w końcu uwierzył.

Zapadło długie milczenie..

- Musisz mi wierzyć, tato, że nigdy nie chciałem, abyś został w to wszystko wmieszany.

Odwrócił się przodem do mnie. Światło lampy padło na jego oczy. Ich wyraz był tak nieszczęśliwy, że odruchowo wyciągnąłem rękę i położyłem na jego dłoni. Przez chwilę pozwolił na ten dotyk, po czym raptownie wstał.

- Muszę iść, tato

- Teraz? Ale, Metonie...

Patrzył na mnie błyszczącymi oczyma.

- Tato, cokolwiek się wydarzy, nie wstydz się za mnie. Wybacz mi.

- Metonie!

Odwrócił się i ruszył do wyjścia, objając się ślepo o stoły i ławki. Po chwili zniknął mi z oczu. Czego ja się spodziewałem po tym spotkaniu? Na pewno więcej, niż otrzymałem. Meto nic mi nie powiedział. Oczywiście chciał mnie chronić, jak ja chroniałem jego. Pozostawił mnie z tymi samymi

pytaniami bez odpowiedzi i snutymi ślepo domysłami, które wirowały mi w głowie od miesiący. Nie tknąłem dotąd swojego wina; sięgnąłem po kubek i zacząłem powoli pić, zapatrzony w mroczne kąty tawerny. Panująca tu ciemność, która z początku tak mnie denerwowała, teraz stała się miłym schronieniem.

Gospodarz wyrósł przy moim stoliku, unosząc mi przed oczy dzbanek.

- Jeszcze wina?

- Dlaczego nie?

Siedziałem, piłem i rozmyślałem. Co się stanie z Metonem? Co z Cezarem? Z Pompejuszem, Cynceronem, Tironem? A Mecja i Emilia? Wino rozplywało się w moim ciele powolną, ciepłą falą. W pewnej chwili złapałem się na tym, że gapię się na jakąś niewyraźną sylwetkę po drugiej stronie sali przekonany, że to lemur Numeriusza. Wrażenie było tak silne, że niemal widziałem jego martwe oczy wlepione wprost we mnie.

Nie czułem jednak strachu; pomyślałem nawet, jak by było dobrze, gdybym mógł do niego pomachać i zaprosić na wino, jeśli lemury piją. O co bym go zapytał? No, to chyba jasne... Gdyby żył, czy ożeniłby się z Emilią, mimo że Pompejusz planował dla niego małżeństwo z kimś innym? Czy też wzgardziłby nią, skazując swe nie narodzone dziecko na śmierć równie nieuchronnie, jak spowodowała to jego własna śmierć? No i oczywiście spytałbym, gdzie, na Hades, schował te przeklęte dokumenty. Gdzie? Może właśnie w Hadesie! Zaśmiałem się na tę myśl, choć śmiech był bardziej podobny do czkawki. Nie jadłem dzisiaj śniadania i tak jak Meto nie przywykłem do picia o tej porze dnia. Dzięki winu jednak moje myśli błądziły swobodniej, choć bez celu. Dzięki Dionizosowi, pomyślałem, który rozluźnia łądzwie, wyzwala umysły i języki. W dniu jego święta, w liberalia, nawet niewolnicy mogą mówić swobodnie, święta moc wina bowiem jest ponad wszelkie ziemskie okowy. Przez nie Dionizos oświeca ludzkie umysły tak, jak nie potrafi tego żaden inny bóg, nawet Minerwa.

I stało się tak, że właśnie tam, w „Tawernie rozpusty”, Dionizos zesłał mi mądrość. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć łańcuch myśli, który doprowadził mnie do tego, czego szukałem? Przypomniałem sobie ni stąd, ni zowąd coś, co Tiro powiedział o Numeriuszu. Tu, właśnie w tym miejscu, które teraz zajmowałem, Numeriusz chwalił mu się zdobyciem pewnych dokumentów... dowodów na istnienie spisku przeciwko Cezarowi. Czyste niebezpieczeństwo ich posiadania i lukratywne możliwości szantażu wprawiły go w euforię.

Powiedział Tironowi: „Siedzę na czymś wprost niewiarygodnym”.

Gdzie są te dokumenty?

Mecja przeszukała ich dom rodzinny. Ja przeszukałem jego sekretne gniazdko miłości. Numeriusz musiał więc mieć jakąś inną skrytkę na dokumenty.

„Siedzę na czymś wprost niewiarygodnym”. Numeriusz był pijany, kiedy wygłaszał tę przechwałkę przy Tironie. Być może trzeba być równie pijanym, żeby zrozumieć to dosłownie.

Przesunąłem palcami po ławie. Siedzisko było wytarte do gładkości od wieloletniego użytkowania, a deski połączone ze sobą jak monolit. Pochyliłem się do przodu i postukałem kłykciami w jedną z podpór. Odgłos

był głuchy, jakby deska była pusta w środku. Zgiąłem się jeszcze bardziej i po omacku zbadłem jej płaską powierzchnię. Drewno nie było tam tak wygładzone; trafiałem na drobne drzazgi i zagłębienia od kopnięć, ale nie znajdowałem luźnej deszczułki czy czegoś w tym rodzaju. Tylko w jednym miejscu podpora była pęknięta i miała dziurę po gwoździu.

- Hej, ty! Chyba mi nie rzygasz na podłogę, co? - Czujny gospodarz, zaalarmowany moją postawą, wyrósł przy mnie jak spod ziemi. - Na bogów, człowiecze, jak potrzebujesz wiadra, to powiedz!

Nie zwracając na niego uwagi, nacisnąłem na deskę w okolicy pęknięcia, ale nic to nie dało. Wetknąłem więc palec w dziurkę i pociągnąłem. Tym razem powiodło się: odłupana szczapa uchyliła się na tyle, bym mógł wsunąć w powstałą szczelinę najpierw palec wskazujący, a potem i środkowy. Była mała i wąska, ale opuszkami palców wyczułem, że coś jest w nią wetknięte. Ścisnąłem ów przedmiot i pociągnąłem, ale za szybko i wysliznął mi się z niewygodnego chwytu. Spróbowałem jeszcze raz, postępując z napięciem, co jeszcze bardziej zaniepokoiło właściciela tawerny. Wolniutko i ostrożnie wyciągnąłem ciasno zwiniętą rolkę pergaminu o grubości małego palca.

Wyprostowałem się i głośno wciągnąłem powietrze, chowając znalezisko w zaciśniętej pięści. Gospodarz stał nade mną wsparty pod boki, mierząc mnie wzrokiem z jawną dezaprobatą.

- Myślę, że powinienes już sobie pójść - wycedził przez zęby.

- Tak - zgodziłem się potulnie. - Na mnie już rzeczywiście pora.

Pragnąłem natychmiast iść do Metona. Regia była niedaleko, raptem po drugiej stronie Forum, naprzeciwko domu westalek. Mimo zamroczenia winem stwierdziłem jednak, że szaleństwem byłoby wnosić obciążające materiały do domu Cezara. Musiałem wpierw zniszczyć te dokumenty, ale przedtem chciałem rzucić na nie okiem. Jedynym zaś miejscem, gdzie mógłbym to zrobić bezpiecznie, był mój własny dom. Zanurzyłem się więc w labirynt wąskich uliczek na tyłach Forum, dotarłem do Pochylni i poczłapałem pod górę, wyobrażając sobie, że w każdej chwili mogą mnie zatrzymać szpiedzy Cezara.

Drzwi otworzył mi Dawus. Kazałem mu je zaryglować i pospieszyłem do gabinetu. Rozwinałem skrawki pergaminu i przebiegłem po nich wzrokiem, chcąc się upewnić, czy rzeczywiście są tak jednoznacznie niebezpieczne, jak twierdził Numeriusz. Nie mylił się. Sądząc po datach, spiszek przeciw Cesarowi zawiązał się jeszcze przed przekroczeniem Rubikonu. Jeden z arkuszy stanowił coś w rodzaju manifestu i wyliczał, z jakich powodów należy go uśmiercić. Wśród nich najważniejsza była absolutna konieczność zapobieżenia wojnie domowej, która mogła się zakończyć jedynie unicestwieniem republiki. Ludzie wymienieni w tych dokumentach byli tymi samymi oficerami sztabowymi, którzy podpisali pakt pokazany mi przez Numeriusza i spalony przeze mnie po jego śmierci.

Ułożyłem dokumenty w palenisku i podpaliłem je. Wstrzymując oddech, patrzyłem, jak skręcają się w ogniu, czernieją i zamieniają w popiół. Strach, który ścisnął mnie za gardło nieprzerwanie od chwili, kiedy zjawił się u mnie Numeriusz, opuścił mnie w tym samym miejscu, w którym oświadczył mi.

Teraz musiałem zobaczyć się z Metonem. Zawołałem Dawusa i razem

zeszliśmy na Forum. Pod Regią zastaliśmy kolejkę obywateli oczekujących na posłuchanie u Cezara, sięgającą niemal samego Kapitulu. Rozpoznałem wśród nich senatorów, bankierów i zagranicznych dyplomatów. Niektórzy osłaniali się przed słońcem szerokimi kapeluszami, nad innymi niewolnicy trzymali parasole. Przed słońcem czy przed bogami? - zadałem sobie pytanie. Niepotrzebnie, dodałem. Bogowie wstydziłiby się patrzeć na tych ludzi, których można tylko nazwać petentami czekającymi na audiencję u króla.

Ominąłem wszystkich, kierując się prosto do wejścia. Powiedziałem wartownikowi, że jestem ojcem Gordianusa Metona i chcę się widzieć z synem.

- Nie ma go. Wyszedł w jakiejś sprawie tuż przed południem.
- Wiem, właśnie na spotkanie ze mną. Muszę znów z nim porozmawiać.
- Kiedy on jeszcze nie wrócił.
- Nie? A nie wiesz, gdzie może być?
- Powinien być tutaj, ale go nie ma. Wiem, bo właśnie przed chwilą imperator o niego pytał.
- Aha. Możesz mu przekazać ode mnie wiadomość, kiedy wróci?
- Oczywiście.
- Powiedz mu, że muszę się z nim pilnie widzieć. Niech przyjdzie jak najszybciej. Będę czekał na niego w domu.

Tego dnia Meto nie przyszedł, nie przysłał też żadnej wiadomości. Następnego ranka znów wybrałem się do Regii. Na posterunku stał ten sam wartownik, spytałem go więc o syna.

- Nie ma go tutaj - odpowiedział, patrząc przed siebie z kamienną twarzą.
  - A gdzie jest?
  - Nie mogę powiedzieć.
  - Przekazałeś mu wczoraj moją wiadomość?
- Wartownik zawahał się i dopiero po chwili rzekł znowu, że nie może powiedzieć.

- Jak to nie możesz?
- W ogóle nie powinienem z tobą rozmawiać. Idź lepiej do domu. Zimny ciężar legł mi na sercu. Coś musiało się stać.
- Chcę odnaleźć syna - powtórzyłem. - Jeśli będzie trzeba, stanę w tej kolejce i poczekam na widzenie z Cezarem.

- Nie radzę. I tak cię nie przyjmie.
  - Dlaczego?
- Żołnierz w końcu spojrzał mi w oczy.
- Idź do domu, zarygluj drzwi i z nikim nie rozmawiaj. Jak imperator będzie chciał cię widzieć, sam po ciebie pośle. Mam nadzieję... dla twojego dobra... że tego nie zrobi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Wartownik milczał i znów przybrał pozę posągu, zapatrzony gdzieś w dal. Zniżyłem głos do szeptu i spytałem:

- Znasz mojego syna?
- Myślałem, że znam.
- Co się z nim stało? Powiedz mi, proszę!

Widziałem, jak drga mu zaciskana szczęka.

- Zniknął - wykrztusił w końcu.

- Zniknął? Gdzie?

Spojrzał na mnie niemal ze współczuciem.

- Mówi się, że uciekł do Massilii, by przyłączyć się do Lucjusza Domicjusza. Nie wiedziałeś?

Spuściłem oczy. Czułem, jak palą mnie policzki.

- Meto zdrajcą... Kto by pomyślał?

W głosie żołnierza nie było złości. On naprawdę mi współczuł.

Zrobiłem, jak mi radził. Powlokłem się do domu, zabarykadowałem drzwi, zamknąłem się w gabinecie i z nikim nie rozmawiałem. Czy ucieczka Metona była wynikiem długich rozważań, czy aktem rozpaczliwego niedosłusznego skrytobójcy, obawiającego się zdemaskowania? Gdybym znalazł skrytkę Numeriusza zaledwie chwilę wcześniej, kiedy Meto był jeszcze ze mną, czy mimo to uciekłby do Massilii? Rozgrzebałem machinalnie popiół w palenisku, rozmyślając nad kolejnym żartem, jaki sobie moim kosztem urządzili bogowie.







## ROZDZIAŁ 25

Kilka dni później Cezar opuścił Rzym, zmierzając do Hiszpanii. Jego trasa wiodła wzdłuż śródziemnomorskiego wybrzeża Galii, obok miasta-państwa Massilia, bronionego teraz przez Domicjusza z jego sześcioma milionami sesterców i namiastką armii.

Ahenobarbus stracił Korfinium bez walki; czy w Massilii pójdzie mu lepiej? Jeśli Cezar ją zdobędzie, czy i tym razem go oszczędzi? Jak postąpi z Massylczykami? A jak z dezertorem, który knuł jego zamordowanie? By ratować Metona, dokonałem ohydneho czynu. Teraz sam się będzie musiał ratować. Czuję się jak aktor, który opuszcza scenę przed finałem, nie mając już żadnych kwestii do wypowiedzenia, podczas gdy akcja sztuki toczy się dalej. Czy tak się czują lemury, obserwując świat żyjących? Miałem wrażenie, że bogowie dworują sobie ze mnie, Parki porzuciły mój los, a poplątana nić mojego żywota wypruła się z ich tkaniny i zwisa bezwładnie w próżni. Nieśmiertelni jednak jeszcze ze mną nie skończyli.

Któregoś ranka w połowie kwietnia do mych drzwi zastukał nieznajomy. Powiedział Dawusowi, że ma na sprzedaż oliwę. Kiedy mój zięć wyjaśnił mu, że pani domu nie ma (Bethesda akurat wyszła z Dianą na targ rybny), gość zapytał, czy nie mógłby zostawić jej próbki. Wręczył Dawusowi mały, okrągły gliniany słoik z ceną zawartością i odszedł. Incydent wydawał się najzupełniej niewinny, ale ponieważ przykazałem zięciowi meldować mi o wszystkich bez wyjątku przybyszach, posłusznie zjawił się z tą nowiną w ogrodzie, gdzie siedziałem nachmurzony pod posągami Minerwy.

- Co tam masz? - spytałem.

- Oliwę. Przynajmniej tak powiedział ten człowiek.

- Jaki człowiek?

Dawus opowiedział o wizycie handlarza. Wziąłem do ręki słoik i badawczo go obejrzałem. Wąski dzióbek na górze był zakryty kawałkiem tkaniny, zamocowanym sznurkiem i zalany woskiem. Naczynie niczym szczególnym się nie wyróżniało, tylko u podstawy miało wyryte dwa słowa: po jednej stronie *OLIYUM*, po drugiej *MASSILIA*.

- Oliwa z Massilii - mruknąłem. - Dobry produkt. Ale cóż za ciekawy zbieg okoliczności! A może... Dawusie, przynieś mi pusty słoik!

Zanim wrócił, skruszyłem woskową pieczęć i odwiązałem sznurek. Płatek tkaniny nie krył żadnych tajemnic: ot, kawałek białego lnianego płótna. Wyjąłem z dzióbka korek, który też niczym nie zwrócił mojej uwagi. Na wszelki wypadek go jednak rozciąłem; okazał się zwyczajnym, pełnym korkiem. Kiedy Dawus podał mi słoik, powoli przelałem do niego zawartość, przyglądając się połyskliwemu strumykowi.

- Myślisz, że może być zatruta? - spytał Dawus.

Dotknąłem oliwy palcem i powąchałem.

- Leje się, wygląda i pachnie jak zwykła oliwa - odrzekłem.

Kiedy słoik był już pusty, ustawiłem go tak, by słońce oświetliło jego

wnętrze, i zajrzałem przez dzióbek. Zobaczyłem jednak tylko błyszczące oleiście ścianki. Potrząsałem słoikiem, odwracając otworem na dół. Nic z niego nie wypadło poza jeszcze kilkoma kroplami oliwy.

- Może to dziwne, a może nie - powiedziałem. - W końcu dlaczego jakiś kupiec nie miałby zaprezentować nam próbki swego towaru? Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

- Co z nią zrobimy, teściu? - Dawus podniósł do góry słoik z oliwą.

- Złożymy w ofierze Minerwie.

Było to logiczne rozwiązanie. Jeżeli to była tylko oliwa, to niewątpliwie najlepszej jakości i nadawała się na ofiarę dla bogini. Jeżeli zaś było tak, jak się Dawus obawiał, trucizna nie zrobi krzywdy posągowi z brązu. Wziąłem słoik z jego rąk i postawiłem na cokole u stóp Minerwy.

- Przyjmij tę ofiarę i ześlij nam mądrość - szepnąłem.

To nie mogło zaszkodzić.

Oryginalny słoik postawiłem na kamiennej płycie obok mojego krzesła. Usiadłem i zamknąłem oczy, pozwalając ciepłym promieniom kwietniowego słońca rozgrzać mi twarz. Moje myśli zaczęły się z wolna rozpylić, aż zapadłem w drzemkę.

Nagle usiadłem wyprostowany i zupełnie obudzony. Wstałem i przeszedłem do gabinetu, gdzie wśród ksiąg odszukałem pamiętniki dyktatora Sulli. Cierpliwie brnąłem przez opisy skandali politycznych, rzezi, łupienia miast, wizyt u wyroczni, hołdów dla ulubionych aktorów i seksualnych wyczynów autora, aż w końcu trafiłem na ustęp, którego szukałem:

*„Dowódca wojskowy i przywódca polityczny często muszą się uciekać do wysyłania tajnych wiadomości. Przypisuję sobie zasługę wynalezienia kilku sprytnych metod w tej materii.*

*Kiedyś, gdy musiałem przekazać tajne rozkazy sprzymierzeńcowi, wziąłem świński pęcherz, nadmuchałem go sztywno i pozwoliłem w takim kształcie wyschnąć. Następnie napisałem, co było trzeba, atramentem enkaustycznym. Kiedy zasechł, wypuściłem z pęcherza powietrze i wsadziłem go do słoika. Nalałem oliwy, która na nowo wypełniła pęcherz, po czym zapieczętowałem słoik i posłałem odbiorcy niby w prezencie. Mój sprzymierzeniec wiedział, że ma otworzyć go na osobności, wylać oliwę i rozbić słoik, aby wyciągnąć pęcherz, na którym mój list zachował się w niezmiennym stanie”.*

Przypominałem sobie mgliście, że kiedyś to czytałem, ale nie pamiętałem, czy kiedykolwiek rozmawiałem o tym z Metonem. Zakładałem jednak, że przeczytał on chyba każdą książkę z mojej biblioteki. Poza tym pamiętniki Sulli są akurat taką pozycją, nad którą Cezar by siedział, przygotowując własne zapiski i dyktując je Metonowi. To, że słoik pochodził z Massilii, nie mogło być przypadkiem.

Wróciłem do ogrodu. Minerwa uśmiechała się z lekka szyderczo, kiedy uderzałem słoikiem o kamień. Pękł na dwie równe części. Pęcherz zachował jego kształt. Ostrożnie wyprostowałem jego zgięcia, a potem nadmuchałem. Lśniaca warstewka oliwy nadawała malutkim woskowym literkom wygląd jeszcze ciepłych i miękkich, jak gdyby Meto napisał je dopiero przed chwilą.

List zaczynał się na szczycie pęcherza i ciągnął się spiralną linią w dół. Obracając go wolno, czytałem:

*„Tato, po przeczytaniu tego listu natychmiast go spal. W ogóle nie powinienem do Ciebie pisać, ale nie mogę pozwolić, byś żył, wierząc w kłamstwa. Prawda zawsze tyle dla Ciebie znaczyła. Wiedz, że zawsze byłem lojalny wobec C. i nadal jestem, pomimo wszystkiego, co mogłeś o mnie słyszeć. Spisek na życie C. był fikcją. Dokumenty, które zdobył N., były fałszywe, sporządzone za wiedzą i przyzwoleniem C. Zostały celowo podrzucone N. za pośrednictwem człowieka, któremu ufał. Naszym zamiarem było, aby N. przekazał je P., przekonany o ich autentyczności. W ten sposób P. sądziłby, że ja i inni jesteśmy wrogo nastawieni wobec C. i można nas pozyskać dla opozycji przeciw niemu. Moglibyśmy wówczas infiltrować najwyższe kręgi nieprzyjaciela. Jednak N. zamiast przekazać je P., zdecydował się wykorzystać je do własnych celów. Nigdy nie przewidywałem, że on może próbować Cię szantażować i w ten sposób wciągnąć w tę sprawę. Kiedy myślę, co zrobiłeś, aby mnie chronić, wprost płonę ze wstydu, bo wiem, jak bardzo ten akt był sprzeczny z Twoją naturą. Jednakże Twoje wyznanie wobec P. na temat mojej roli w fikcyjnym spisku mogło znacznie lepiej przekonać go o mojej nielojalności wobec C. niż mój pierwotny plan. Dzięki Tobie moja misja ma przynajmniej szansę powodzenia. Wybacz mi te toporne zdania, piszę w wielkim pośpiechu. Dla mojego dobra natychmiast zniszcz ten list”.*

W rogu widniało postscriptum napisane tak drobnym maczkiem, że oczy mnie rozboleły od jego czytania.

*„W noc przed przekroczeniem przez C. Rubikonu śnił on, że popętnia kazirodztwo z matką. Myślę, że ten sen był boskim znakiem, mówiącym, iż aby zrealizować swoje przeznaczenie, C. będzie musiał popętniać okropne, bezbożne czyny. Przełożył więc przeznaczenie nad sumienie. Tak samo jest ze mną, tato. Aby pójść za głosem obowiązku, zhańbiłem człowieka, który wyzwolił mnie z niewoli i uczynił swym synem. Nie dopuściłem Cię do tajemnicy, pozwoliłem, byś wierzył w kłamstwo. Jestem niegodnym synem. Dokonałem wyboru jak C., a kiedy raz przekroczy się Rubikon, nie ma już powrotu. Wybacz mi, ojcze”.*

Przeczytałem cały list jeszcze raz wolno i uważnie, aby się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiałem. Podszedłem potem do paleniska i cisnąłem pęcherz w ogień. Zapach palonej oliwy i świńskiego ciała przypomniał mi Brundyjzjum. Zbrodnia, którą popełniłem, aby chronić swego syna, w rzeczywistości pokrzyżowała jego sekretne plany. Moja spowiedź przed Pompejuszem, której dokonałem dla własnego oczyszczenia, pomogła Metonowi osiągnąć zamierzony cel. Świat uwierzył, że uciekł on do Massilii, zdradziwszy Cezara, a on naprawdę stał się jego głęboko zakonspirowanym szpiegiem w obozie wroga. Czy teraz grożące mu niebezpieczeństwo jest mniejsze, czy jeszcze większe?

Wróciłem do ogrodu i przysiadłem u stóp Minerwy. Modliłem się o oświecenie i doznałem go. Nic nie było jednak dzięki temu prostsze; każdy nowy strzęp informacji czynił otaczający mnie świat jeszcze bardziej tajemniczym. Od frontu domu dobiegły mnie głosy powracających Bethesdy i Diany. Zawołałem je i po chwili zjawily się w ogrodzie.

- Córko, sprowadź tu Dawusa. Żono, poślij po Ekona. Czas, aby nasza rodzina odbyła spotkanie. Czas, abym powiedział wam... prawdę.

Minął kwiecień; maj przyniósł nam czyste niebo i łagodne ciepło. Drzewa pokryły się liśćmi, chwasty wyjrzały przez szpary w bruku. Wiosna dała Rzymowi poczucie ulgi, jakkolwiek iluzoryczne, od okropnej niepewności czasu wojny. Z Galii nadeszły wieści, że Massilia zamknęła bramy przed Cezarem, który zostawił dowodzenie oblężeniem swoim oficerom, a sam podążył dalej do Hiszpanii. Starzy żołnierze sprzeczekali się na Forum o to, jak długo potrwa oblężenie. Massylczycy są znani z uporczywości, zaciętości i dumy. Niektórzy sądzili, że z łatwością mogą oni odpierać ataki tak długo, aż Pompeusz przyśle im posiłki. Inni twierdzili, że Cezarowi sprzyja Fortuna i wszystko skończy się w kilka lub kilkanaście dni. Czy Massylczycy mogą oczekiwać od Cezara takiej samej łaskowości, jaką okazywał w Italii, czy też raczej zrówna on miasto z ziemią, wyrznie obrońców, a ludność sprzeda w niewolę?

Usiłowałem nie wyobrażać sobie, co może czekać szpiega przyłapanego w takich niespokojnych okolicznościach albo wziętego przez swoich za wroga.

Któregoś ranka szedłem przez Forum w towarzystwie Mopsusa i Androklesa. Nieskazitelność wiosennego dnia odsunęła ode mnie wszelkie ponure myśli. Mój nastrój szybował w górę, niesiony zefirem ciepłego, przesyconego słońcem powietrza. Kierując się nagłym impulsem, postanowiłem zająć się zadaniem, które od samego powrotu do Rzymu odkładałem na później. Szliśmy przez Forum, nie zatrzymując się. Nie chciałem, by katastroficzne plotki zepsuły mi humor. Codzienna dawka chaosu i strachu może poczekać jeszcze godzinę.

Chłopcy nie pytali, dokąd idziemy. Nie obchodziło ich to. Już samo wyjście do miasta w taki cudowny ranek było dla nich nagrodą. Na ulicach panowało ożywienie. Sprzedawcy zachwalali swoje towary, niewolnicy dźwigali kosze zakupów. Kobiety otwierały szeroko okiennice, by wpuścić do domów ciepły, słodki oddech wiosny.

Dotarliśmy do dzielnicy Carinae u stóp Eskwilinu i ruszyliśmy cichą uliczką do żółto-niebieskiego domu, w którym mieszkała Mecja. Na jego drzwiach wciąż wisiał czarny, żałobny wieniec. Mój radosny nastrój prysnął, ale wziąłem głęboki oddech i zapukałem grzecznie nogą. Przez okienko wyjrzało czyjeś oko. Zanim jednak zdążyłem powiedzieć, kim jestem, drzwi się gwałtownie otworzyły. Mopsus i Androkles aż zapiszczeni uszczęśliwieni. Ich reakcja zaskoczyła mnie prawie tak samo, jak widok górującego nade mną cielska Cykatriksa.

Serce zabiło mi szybciej. Napiąłem mięśnie; czyżby jeszcze jeden figiel spleł mi przez bogów? Czy nieświadomie sam oddałem się w ręce Nemezis pod postacią jednego z wyszkolonych zabójców Pompejusza? Jednak ta myśl nie była racjonalna; to raczej odruch nieczystego sumienia, reakcja na symbol żałoby na drzwiach. Ani Cykatriks, ani Mecja nie mogli wiedzieć o mojej zbrodni, chyba że przez jakąś tajną sieć informacyjną wieść o niej dotarła do nich od samego Pompejusza.

Odchrząknąłem i rzekłem:

- A więc to tutaj wylądowałaś...

To miało sens, wszyscy inni krewni Pompejusza opuścili bowiem Rzym.

- Tylko do powrotu Wielkiego. - Cykatriks uniósł brwi, co jeszcze bardziej uwydatniło blizny na twarzy.

Burknąłem coś pod nosem, ale wstrzymałem się od komentarza. Olbrzym patrzył na mnie ze złością, ale po chwili błysnął uśmiechem, spojrzawszy na obu malców.

- Ale zostawiłem tych dwóch szpiegów na moje miejsce! - zakrzyknął i zaczął ich na niby okładać pięściami.

Chłopcy nie pozostali mu dłużni, zanosząc się od śmiechu.

- Cykatriksie, kto przyszedł? - dobiegł czyjś głos z wnętrza domu.

Niewolnik wyprostował się natychmiast.

- Gość do pani. Gordianus - odpowiedział i odsunął się na bok.

Do westybulu weszła Mecja. Światło z atrium prześwitujące przez cienką stolę obramowało jej szczupłą sylwetkę niebieską aureolą i rozświetliło upięte w kok włosy. Ze swymi zielonymi oczami i mlecznobiałą cerą była piękna nawet bez ozdób i makijażu już wtedy, gdy widziałem ją po raz pierwszy. Dzisiaj jej widok wręcz zaparł mi dech w piersiach. Zdałem sobie sprawę, że sedno tej przemiany tkwi w jej uśmiechu. Nie widziałem jej jeszcze uśmiechniętej.

- Gordianus! Cykatriks mówił, że odpłynąłeś z Pompejuszem do Dyrrachium!

Rzuciłem gladiatorowi spojrzenie z ukosa.

- Nie sprawdzona plotka - odparłem. - Tak wiele ich krąży dzisiaj po mieście...

- Wejdz, proszę. A twoi niewolnicy...

- Myślę, że chętnie dotrzymają towarzystwa Cykatriksowi. Jeśli to nie przeszkodzi mu w wypełnianiu obowiązków.

- Oczywiście, że nie. Mogą mu pomóc pilnować domu.

Przeszliśmy do atrium. Tam, gdzie wtedy wystawione były mary ze zwłokami Numeriusza, dziś zobaczyłem tylko słoneczny blask. Przez kolumnadę portyku widać było ogród; między rozkwitłymi krzewami ujrzałem sylwetkę siedzącej kobiety.

- Masz gościa, Mecjo? Jeżeli przeszkadzam...

- Nie, cieszę się, że przyszedłeś. Posiedzimy sobie razem na słońcu i porozmawiamy chwilę. Dzień jest zbyt piękny, by marnować go na cokolwiek innego. Ale najpierw chcę zamienić z tobą kilka słów na osobności. - Poprowadziła mnie do małej izby przyległej do atrium. Zniżyła głos do szeptu. - Zanim Cykatriks został wyrzucony z twojego domu, podsłuchał, jak twój syn mówił, że odjechałeś z Pompejuszem.

- To nieporozumienie.

- Ale byłeś w Brundyzjum?

- Tak.

- Widziałeś się z Pompejuszem?

- Tak.

Zawahała się, zanim zapytała:

- Czy udało ci się dowiedzieć, dlaczego mój syn został zamordowany?

Nabrałem dużo powietrza. Być może kiedyś dowie się wszystkiego od

Pompejusza... jeżeli on kiedykolwiek wróci żywy do Rzymu... ale ja nie mogłem powiedzieć jej całej prawdy. Mogłem jednak odpowiedzieć na pytanie.

- Tak, wiem, dlaczego zginął Numeriusz. Usiłował kogoś szantażować, wykorzystując informacje, które powinien był przekazać bezpośrednio Pompejuszowi.

- A to złoto, które znalazłam?

- Mógł szantażować też innych.

- Wiedziałam, że musi chodzić o coś takiego. Ale to nie Pompejusz...?

Potrząsnąłem energicznie głową.

- Nie. Pompejusz nie był w najmniejszym stopniu odpowiedzialny za jego śmierć.

- To dobrze - westchnęła. - Tego się bałam najbardziej, że Numeriusz mógł zdradzić Pompejusza, a on się o tym dowiedział. Gdyby mój syn okazał się zdrajcą, a Pompejusz wydał za to na niego wyrok... wszystko mogę przeżyć, ale nie taką hańbę.

- A więc nie musisz już nigdy o tym myśleć, Mecjo. Nie mogę ci powiedzieć, kto go zabił, ale wiem z całą pewnością, że to nie Pompejusz. Twój syn nie był wobec niego absolutnie lojalny, ale nigdy go nie zdradził.

- Dziękuję ci, Gordianusie. Pocieszyłeś mnie.

Dotknęła mej dłoni, a ja poczułem, że policzki zaczynają mnie palić. Zauważyła to od razu.

- Potrzebujesz chłodnego napoju, Gordianusie. Przejdźmy teraz do ogrodu. Mamy tam wino z miodem.

Poszedłem za nią przez korytarz i między kolumnami na rozświetloną, zieloną przestrzeń. Nieznajoma kobieta siedziała zwrócona do nas tyłem. Miała na sobie stolę jak matrona, a jej włosy upięte były podobnie jak u Mecji. Słyszając nasze kroki, obejrzała się przez ramię. Przez chwilę nie poznałem tej uśmiechniętej twarzy, a potem aż mnie zatkało. To była Emilia.

Mecja usiadła przy niej i ujęła ją za rękę. Niewolnik przyniósł dla mnie krzesło i nalał mi kubek wina, co przyjąłem z wdzięcznością. Policzki wciąż miałem gorące, a w ustach nagle mi zaschło. Przyszedłem tu przygotowany na spotkanie z matką Numeriusza, ale nie z jego kochanką!

Obie kobiety zdawały się być w zagadkowo dobrych humorach, trzymały się za ręce i wręcz biła od nich radość. Może to po prostu ta wiosenna pogoda, pomyślałem. Może słodkie wino. Czemu jednak Emilia jest ubrana jak mężatka? Patrząc na luźne fałdy jej stoli, zauważyłem wszystko mówiący wgórek jej brzucha. Dziewczyna spostrzegła moją minę i uśmiechnęła się.

- Zatrzymałaś dziecko... - szepnąłem.

- Tak. - Poklepała się z dumą po brzuchu.

- Ale jak? Myślałem, że...

- Moja matka z początku nalegała, bym pozbyła się ciąży. Mecja jednak chciała, żebym urodziła to dziecko. W końcu to potomek Numeriusza. Przyszła porozmawiać z mamą. Nie było to łatwe, ale we trójkę znalazłyśmy rozwiązanie.

- Ułożyłyśmy małą bajeczkę - wyjaśniła Mecja. - Widzisz, Numeriusz w tajemnicy poślubił Emilię. Dlaczego nie miałby tego zrobić? Kto może

powiedzieć, że tak nie było? Załatwiłam nawet oficjalny zapis małżeństwa w księgach miejskich. Łapówka była śmiesznie mała. A jako wdowa po Numeriuszu, Emilia nie miała powodu, by nie urodzić jego dziecka. To dlatego mieszka teraz ze mną jako moja synowa. A kiedy Pompejusz i ojciec Emilii, mój brat i synowie wrócą... - Oczy zaszły jej mgłą i głos się załamał. - Kiedy wrócą do domu, być może nie będą uszczęśliwieni tym, co zaszło za ich plecami, ale co będą mogli zrobić, jak nie zaakceptować sytuacji? - Westchnęła ciężko. - Wszystko jest o wiele prostsze, kiedy mężczyźni nie przeszkadzają...

Skinałem tępo głową. Jeszcze jeden spisek! Znow oszustwa, sekrety i knowania... ale tym razem dla ratowania życia, a nie odebrania go komukolwiek. Z westybulu dobiegał chichot Mopsusa i Androklesa, przerywany basowym rżeniem Cykatriksa. Hałas był zaraźliwy. Mecja poklepała Emilię po brzuchu i obie się roześmiały.

Pociągnąłem łyk wina i usłyszałem, jak odpowiada im echem śmiech bogów.





## OD AUTORA

Historię pierwszych dni i miesięcy rzymskiej wojny domowej znamy z wielu źródeł. Dwa spośród nich są najważniejsze: własna relacja Cezara, napisana w chłodnej, jego własnym celem służącej retrospekcji, oraz seria dramatycznych listów Cyncerona, pisanych w miarę rozwoju wydarzeń, które czyta się jak pełne emocji doniesienia z frontu. Tam, gdzie krytycy Cyncerona widzą słabość i chwiejność, jego sympatycy upatrują hamletyczne niezdecydowanie.

Mamy szczęście, że zachowały się też niektóre z listów otrzymanych przez Cyncerona w omawianym okresie, w tym od Cezara i Pompejusza. Dysponujemy też garścią coraz bardziej przepełnionej frustracją korespondencji Pompejusza z okresu poprzedzającego upadek Korfinium, wysyłanej do Lucjusza Domicjusza i obu konsulów.

Dodatkowych szczegółów dostarczają późniejsi historycy, w tym Appian i Kasjusz Dion, biografie głównych postaci pióra Swetoniusza i Plutarcha, a także Lukan w swym poemacie epickim o tej wojnie, *Pharsalia*. W opisie podróży Gordianusa i Tirona czytelnicy mogą się dopatrzeć ech *Satyry 1.5* Horacego, relacjonującej właśnie drogę z Rzymu do Brundyzjum (dzisiejsze Brindisi).

Napotkany przez Gordianusa pod Brundyzjum Witruwiusz to oczywiście Marek Witruwiusz Pollio. Jak wynika z pewnych ustępów w jego słynnym traktacie o architekturze, mógł on służyć pod rozkazami Cezara jako inżynier wojskowy podczas kampanii afrykańskiej. Ten wcześniejszy udział w oblężeniu Brundyzjum jest wymyśloną przez mnie fikcją.

Listy z życzeniami wyzdrowienia, jakie Cyncero wysyłał do Tirona w Patras, należą do jego najsłynniejszych, ale rola jaką im i samemu Tironowi tu przypisałem, jest jeszcze jednym moim zmyśleniem.

Szczególna metoda korespondencji wymyślona przez Sullę jest nam znana dzięki żyjącemu w II wieku pisarzowi Polienusowi, który skompilował zbiór podobnych forteli dla edukacji Marka Aureliusza. Zamieszczenie wzmianki o tym przez samego Sullę w swoich (niestety, zaginionych) pamiętnikach jest również moim pomysłem.

Nie starałem się szczegółowo wyjaśniać w *Rubikonie* szatańsko pogmatwanych przyczyn wybuchu wojny domowej, nad którymi po dziś dzień spierają się uczeni. Czytelnikom o makiawelicznym smaku polecam dwie książki, które zagłębiają się w polityczne szczegóły czasów późnej republiki, podając dwie uderzająco różne interpretacje: *The Last Generation of the Roman Republic* („Ostatnie pokolenie republiki rzymskiej”) Ericha S. Gruena (University of California Press, 1974) oraz Arthura D. Kahna *The Education of Julius Caesar* (Schocken Books, 1986). Bardziej soczyste (choć zdecydowanie pro-Cezariańskie) wyjaśnienie wydarzeń można znaleźć na pierwszych dziewięciu stronach wstępu pióra Jane F. Gardner do wydanej przez Penguin Books *Wojny domowej Cezara*.

Swoje badania nad tematem *Rubikonu* prowadziłem głównie w Doe



Library na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Składam tu serdeczne dzięki Penni Kimmel za dokładne przestudiowanie pierwszej wersji manuskryptu i Teri Odom za korektę. Dziękuję też za niezachwiane wsparcie i dodawanie ducha mojemu agentowi, Alanowi Nevinsowi, oraz wydawcy, Keithowi Kahla. Jak zawsze, wdzięczny jestem też Rickowi Solomonowi, któremu powtarzam tu dedykację z Rzymskiej krwi:

*AUSPICIUM MELIORIS AVI*



**KONIEC**  
**tomu ósmego**

**Księgozbiór DiGG**



**2008**